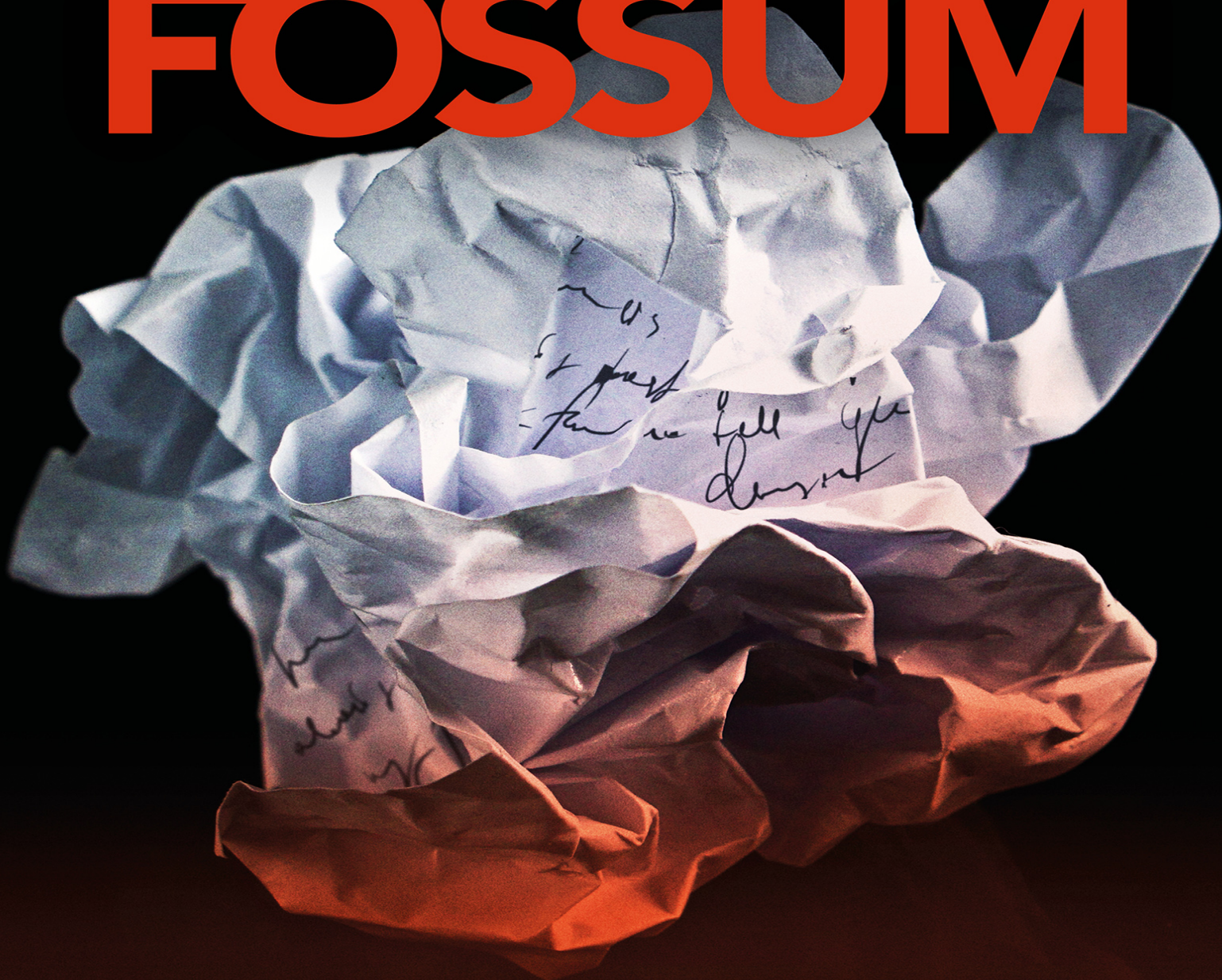


KARIN FOSSUM



SZEPTACZKA

PRZEKŁAD JOANNA BARBARA BERNAT



KARIN FOSSUM

SZEPTACZKA

PRZEKŁAD JOANNA BARBARA BERNAT



Tytuł oryginału: *Hviskeren*

Przekład: Joanna Barbara Bernat

Copyright © Karin Fossum, 2024

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2024

Projekt graficzny okładki: Henriette Mørk

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Aneta Iwan

ISBN 978-87-0238-064-4

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

www.gyldendal.dk

www.wordaudio.se

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Do sędziego Ernesta Comélieu

Szeptaczka

Do sędziego Ernesta Comélieu, rue de Seine 23 b, Paryż 6 (VIe).

Szanowny Panie Sędzio,

Chciałbym, żeby jeden człowiek, chociaż jeden, mnie zrozumiał.
I chciałbym, żeby tym człowiekiem był Pan.

Spędziliśmy razem dużo czasu w trakcie wielotygodniowego procesu. Ale wtedy było za wcześnie. Był Pan sędzią, był Pan moim sędzią, wyglądałoby to tak, jakbym próbował się usprawiedliwić. Teraz już Pan wie, że nie o to chodzi, prawda?

Georges Simenon, *Lettre à mon juge*, 1947¹.

¹ – Tłumaczenie z j. francuskiego Joanna Barbara Bernat.

Nie była piękna, oczywiście zdawała sobie z tego sprawę, poruszała się jak większość nieśmiałych kobiet, ostrożnie, z przeproszającym spojrzeniem. Nie chciała zajmować miejsca, nie miała nadziei, że zrobi wrażenie, że ktoś jej uwierzy ani że będzie traktowana poważnie. Od ponad czterdziestu lat widziała w lustrze swoje braki i pokornie przyjmowała je do wiadomości. Jej włosy były suche jak siano, skóra blada jak papier, wręcz mogłaby zapłonąć od jakiejś zbłąkanej iskry. Duże, głębokie kieszenie stylonowego fartucha dawno zostały przeszukane i opróżnione. Na kieszonce na piersi, czyli na sercu, wyhaftowano czerwono-zielone logo z dużymi literami „Europris”. Na białej szyi miała brzydką bliznę po źle zagojonej ranie. Ważyła za mało, mogła też mieć anemię, była ruda i piegowata. Pomimo tej bezbarwności płynęła w niej przecież krew, zwłaszcza w tej chwili, gdy stała przed nim i miała się wytłumaczyć. Z dłońmi ukrytymi w starannie przeszukanych kieszeniach fartucha. Czekwała na pozwolenie, by usiąść, nie była na tyle odważna, by się rozgościć. Sejer przez lata przesłuchiwał wiele osób, ale nikogo takiego jak ona.

Ostrożnie wysunęła krzesło, nie chciała, by szurnęło o podłogę, ktoś mógłby to usłyszeć i się zirytować. Nigdy nie miała do czynienia z policją, nie chciała go drażnić, prowokować ani wzbudzać jego gniewu. Zauważyła psa przy oknie, dopiero teraz, gdy wstał i podszedł do niej powoli. Pies, Frank Robert, mały, gruby shar pei, ze wszystkimi swoimi zmarszczkami i fałdami, był uroczym stworzeniem, wyglądał, jakby miał na sobie zbyt duże ubrania – jak ona sama. Pies podszedł do biurka i położył swój ciężki łeb na jej kola-

nach. Oczy, ledwo widoczne w fałdach, poruszyły w niej jakąś strunę, zapomniała o powadze sytuacji. W jej spojrzeniu pojawiła się nutka radości, mała iskierka. Nawet jej oczy były pozbawione koloru, tęczęwki miała jasne i wodniste, a brwi ledwo widoczne i cienkie jak kreski. Nie spodziewała się psa. Zwłaszcza takiego, który podszedłby do niej, tak ufnie i bez wahania. Nie była przyzwyczajona do wzbudzania emocji, ani u ludzi, ani u żadnych innych stworzeń. Frank, jak na żebraka przystało, stanął na tylnych łapach i ślinił się na zieloną tkaninę. Kiedy przestała go głaskać, położył łapę na jej kolanach, jakby liczył na więcej.

– Frank, leżeć – powiedział Sejer.

Pies wrócił na swoje miejsce, szurając pazurami. Miał kołdrę, którą zwinął łapami w coś przypominającego gniazdo. Nadwaga spowalniała go, a każda komenda właściciela musiała być dokładnie zinterpretowana i oceniona przed wykonaniem, co zajmowało trochę czasu. Nie był też najmłodszy, co znacznie osłabiło wzrok, słuch i zdolność poruszania się.

– Mówmy sobie po imieniu – powiedział inspektor. – Konrad.

Wyciągnął rękę.

– Ragna – wyszeptała. – Riegel.

– Jak czekolada – zauważył Sejer z uśmiechem. – Bardzo ją lubiłem w dzieciństwie, kosztowała tylko trzydzieści øre. Riegel zawsze była najtańsza.

Natychmiast zdał sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział, jednak Ragna tylko się uśmiechnęła. Lody zostały przełamane.

Jej smukła, biała dłoń na chwilę znalazła się w jego dłoni. Zauważył brak siły, delikatny uścisk był ciepły i suchy, nie wykazywała żadnych oznak niepokoju, choć szybko spojrzała w dół. Podanie ręki

było pierwszym krokiem ku czemuś nieuniknionemu. Wszystkiemu, o czym trzeba było porozmawiać, co trzeba było wyjaśnić i zrozumieć.

Obserwowała go ukradkiem. Nasuwał jej na myśl stare, impregnowane drewno lub kłody w rzece, coś ciężkiego i dryfującego. Był dużo starszy od niej, wysoki i siwy. Ubrany w prostą koszulę i ciemnoniebieski krawat z wyhaftowaną wisienką i zielonymi listkami. Z pewnością nie wyszedł tak spod ręki producenta, pomyślała Ragna; ktoś, prawdopodobnie jakaś kobieta, usiadł z igłą i nitką i podarował mu ten mały owoc jako wyznanie miłości.

– Teraz spróbuje pan zbudować między nami zaufanie – wyszeptała. – Nie powie pan ani słowa o tym, dlaczego tu siedzę, jeszcze przez dłuższy czas. Rozgrzeje mnie pan powoli, aż wyskoczę jak ziarenko kukurydzy w mikrofalówce. Wywrócona na lewą stronę.

– Zaufanie by się przydało – odparł Sejer. – Czy na to właśnie pani liczy?

Ragna nie liczyła na nic. Policji zależało na przyznaniu się do winy, a gdy już je zdobędą, będą mogli wnieść oskarżenie i skierować sprawę do sądu. I skoncentrować się na kolejnej sprawie.

– Tak, proszę – wyszeptała. – Zaufanie by się przydało.

Wiedział, że kobieta nie ma głosu. Straciła go kilka lat wcześniej po operacji gardła, drobnym zabiegu, który miał fatalne konsekwencje i trwale uszkodził jej struny głosowe. W dodatku rana źle się zagoiła, pozostała po niej szorstka, postrzępiona, wyraźnie widoczna i wciąż czerwona blizna. Pewnie często ukrywała ją pod szalikiem lub golfem, pomyślał Sejer. Teraz się tym nie przejmowała. Naga, oszpecona blizną szyja dużo wyjaśniała. Chociaż mówiła tylko szeptem, nie miał żadnych problemów ze zrozumieniem jej słów. Przy-

kładała dużą wagę do artykulacji, wyraźnie kształtując słowa językiem i wargami, pomagała sobie też mimiką. Sejer szybko przyzwyczaił się do sytuacji. Wyostrzył wszystkie zmysły, czytał z jej ust i notował mimikę, co robił zresztą zawsze podczas przesłuchania. Uderzyło go, że taka sytuacja, gdy siedzi naprzeciwko drugiego człowieka, który ma coś do opowiedzenia, historię strachu i wściekłości, groźnego przeciwnika, obrony koniecznej, wielkiego nieszczęścia czy palącej nienawiści, mimo wieku wciąż go kręci. Pojawiło się wspomnienie z dzieciństwa. Kiedy mali chłopcy skakali sobie do oczu na szkolnym podwórku, a potem rzucali do karcącego nauczyciela zwyczajowym komentarzem: „To on się zaczął”.

– Pani Ragno – zaczął poważnym tonem. – Jest pani w areszcie od czterdziestu ośmiu godzin. Musi pani tu zostać przez cztery tygodnie, potem czas zostanie przedłużony o kolejne cztery, prawdopodobnie niejednokrotnie. Da pani radę?

– Jasne – szepnęła.

– Czy jest pani w stanie zwrócić się do strażników i poprosić o potrzebne rzeczy? Nawet jeśli czasem spotka się pani z odmową?

– Niczego nie potrzebuję. Dostaję jedzenie i picie. Mam własną kołdrę. Tak jak Frank. – Skinęła głową w stronę psa. – On chyba rzadko spotyka się z odmową – dodała, odnosząc się do jego wyraźnej nadwagi. Ten delikatny przytyk był wymierzony z dobrodusznym uśmiechem, być może jako riposta na komentarz o czekoladzie.

– Wiem, że nie masz rodziny – rzucił Sejer – a może się mylę?

– Mam syna – szepnęła szybko Ragna. – W Berlinie. Ale nigdy nie przyjeżdża do domu. Nie ma też rodziny, prowadzi tam hotel. Zwykle dostaję kartkę na Boże Narodzenie albo na urodziny. Jak go urodziłam, miałam tylko siedemnaście lat.

- Jak się nazywa?

- Rikard Josef.

- A jego ojciec?

Potrząsnęła głową.

- Dlaczego pani syn nie wraca do domu?

Wzruszyła wątlými ramionami i odwróciła wzrok. Sejer odłożył nieobecny syna na bok, jak zbędny pakunek.

Bacnie obserwował cichą postać. Siedziała spokojnie na krześle, wyprostowana niemal na baczność, ewidentnie pod wrażeniem autorytetu, który reprezentował. Wiedział jednak, że po pewnym czasie, kilku godzinach lub kilku dniach, powoli się rozluźni. Zacznie się ruszać, częściej używać rąk, zmieniać pozycję, pochylać się do przodu i odchylać w tył, widział to już wcześniej. Nie stanie się jednak hałaśliwa i agresywna, jak wielu przed nią. Zwykle pochylali się nad biurkiem i podkreślali swoje słowa zaciśniętą pięścią lub ruszali ciągle krzesłem, aby zrobić jak najwięcej hałasu. Niektórzy tupali, przeklinając i wykrzykując te same słowa, które pamiętał ze szkolnego podwórka. „To on się zaczął”.

Ragna nie mogła już podnieść głosu. Ten fakt dawał jej stoicki spokój, utrzymywał ją w miejscu, może nawet w niewoli. Trudno wyjść ze skóry, kiedy nie można krzyżeć. Ona tu nie pasuje, pomyślał, ma wszystko poukładane. Stary dom na Kirkelinie, który odziedziczyła po rodzicach. Pracę i przyjaznych kolegów. Co prawda nie zarabiała dużo, ale mieszkała sama i nie musiała spłacać kredytu. Nie wyglądała też na kobietę z upodobaniem do luksusów, nie była uzależniona od narkotyków. A jednak siedziała przed nim na tym krześle.

– Czy ma pani jakieś nagrania swojego głosu z czasów, gdy jeszcze mogła pani mówić normalnie? – zapytał.

Wodniście niebieskie oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Nikt nigdy wcześniej o to nie pytał, ani razu. Szybko pomyślała, że tak właśnie musi czuć się matka, którą ktoś pyta o zmarłe dziecko. Taka kobieta może rozmawiać o swej stracie z każdym, kto nie boi się podsyć żałoby.

– Dlaczego pan o to pyta? – wyszeptała. Zdawała się szczęśliwa, jej policzki się zaczerwieniły.

– Jestem po prostu ciekawy – wyznał Sejer. – Gdyby miała pani takie nagranie, poprosiłbym o jego kopię. Próbuję sobie wyobrazić, jak brzmiał kiedyś pani głos.

– Nie ma żadnego nagrania – odpowiedział Ragna. – Ale wszyscy mówili, że brzmię jak mała dziewczynka. Kiedy dzwoniли nieznanymi, na przykład telemarketerzy, a ja odbierałam i przedstawiałam się: Ragna Riegel, zawsze słyszałam w odpowiedzi: Czy jest w domu ktoś dorosły? Za każdym razem bawiło mnie to tak samo. W końcu bardzo polubiłam zawstydzanie ludzi wyznaniem, że zbliżam się do czterdziestki, w domu jestem sama, moi rodzice już nie żyją.

– Zabawna gra – skomentował Sejer. – Teraz może pani już tylko szeptać. Czy nadal zawstydzają pani ludzi, gdy dzwonią?

– Nie odbieram, jeśli nie rozpoznaję numeru na wyświetlaczu. Uznaję, że jeśli to coś ważnego, zadzwonią jeszcze raz. Odpisuję na esemesy. Albo maile. Ale nie dostaję zbyt wielu maili. Tylko reklamy.

– A gdy dzwoni dzwonek do drzwi, otwierasz?

I nagle jakby rozbłysła między nimi błyskawica. Na myśl o tym wszystkim, co się wydarzyło.

– Zwykle tak – szepnęła i spojrzała w dół. – Stałam się mistrzynią w kiwaniu i kręceniu głową z uśmiechem, używam też rąk. Szybko zamykam drzwi, jeśli to nic ważnego, czyli zawsze. Każdy przychodzi tylko coś sprzedać. Jeśli jakiś dzieciak zbiera na coś, po prostu cofam się do środka bez słowa po pieniądze. Ręką daję im znak, by wrócili. Potrafię machać ręką na kilka sposobów – dodała – przyjaźnie lub lekceważąco. Mogę odganiać ludzi jak owady. Albo podnieść rękę na znak „stop”. – Pokazała mu, jak to robi.

– Jak sobie pani radzi w miejscach publicznych?

– Nie za dobrze – przyznała. – Nie wychodzę zbyt często na ulicę, jest za dużo hałasu. W prawie każdym sklepie gra muzyka. Do tego ruchome schody, windy. Trudno mi rozmawiać. Ktoś może zapytać o drogę, a ja wiem, że nie usłyszy mojej odpowiedzi, nie chcę, by wyszło niezręcznie i może nawet arogancko, dlatego unikam takich sytuacji, jak tylko mogę. Ale czasami muszę przecież wyjść. Potrzebuję jedzenia i muszę załatwić inne sprawy. Sąsiedzi wiedzą jednak o moim problemie, a ja zazwyczaj robię zakupy w tych samych sklepach.

– A twoi koledzy w pracy? W Europris?

– Nie mają problemu z usłyszeniem mnie, są do tego przyzwyczajeni. Ale oczywiście musimy stać twarzą w twarz. Pan też się przyzwyczai – dodała – ale widzę, że się pan stara. Ten wysiłek jest też dla mnie ciężarem. Nie ujawniam się przed ludźmi, jeśli nie muszę. A teraz muszę.

– Ale w sklepie jest wielu klientów – zauważył Sejer.

– Rozwiązuję jeden problem naraz. Kiwam głową, uśmiecham się i wskazuję.

Ponownie pochyliła głowę. To sygnał, że piłka jest po jego stronie. Zastanawiał się, czy sama rozwinęła wyjątkowo dobry słuch, tak jak niedosłyszający starają się mówić głośno i wyraźnie. Nie zapytał o to. Wciąż był zdumiony, że ona tu siedzi, że znalazła się w takiej sytuacji. Chuda jak trzcina i ledwo słyszalna. Nie widział jej rąk, położyła je na kolanach. Ile może podnieść, pomyślał, jak szybko może biec, jak mocno może uderzyć? Każdy używa takiej broni, jaką ma w zasięgu. To, jak teraz siedzimy, twarzą w twarz, sam na sam, bez hałasu i zakłóceń, daje nam najlepszy punkt wyjścia do znalezienia prawdy. Kłamstwo nie ma w tym pomieszczeniu sprzyjających warunków. Przypomniawszy sobie, co powiedziała jego stara matka, zanim naczynie krwionośne w jej mózgu pękło jak dętka i zniszczyło jej życie. Ogromne krajobrazy wspomnień, wszystko, co było, wszystko, co miało nadejść i czego nie miała możliwości zatrzymać.

„W pewnym momencie swojego życia absolutnie każdy powinien gwałtownie rozplakać się z żalu”. Tak właśnie powiedziała. A potem umarła. Ragna Riegel siedziała przed nim na krześle, podtrzymywana wyłącznie przez swą determinację. Czy ona również załamała się gwałtownie, zaleje się łzami i utonie w wyrzutach sumienia?

*

Pracowała w Europris od kilku lat. Nikt jej tu nie znał przed operacją, nikt nie wiedział o jej problemie, dopóki nie otworzyła ust. „No tak”, mówili tylko przy powitaniu. Czasami pracowała przy kasie lub w magazynie, otwierała kartony ostrym nożem, a następnie wyjeżdżała z towarami na wózku na salę sprzedaży, naklejała na nie ceny i układała je na półkach. Jeśli klient podchodził, aby o coś zapytać, uśmiechała się, bez słowa podchodziła do półki, na której znajdował

się żądany przedmiot, i wskazywała go, wciąż z uprzejmym uśmiechem. Był on jej bronią, samoobroną. Jeśli nadal musiała odpowiedzieć na jakieś pytanie, szeptała tak wyraźnie, jak tylko się dało, a następnie kładła palec na ustach, aby zasygnalizować, że jest niepełnosprawna. Klient grzecznie kiwał głową i zniknął pośpiesznie między półkami. Wielu z nich bywało tu często, w końcu zrozumieli. Pracowało tam kilka rówieśniczek Ragny Riegel, ku jej zadowoleniu. Nie miała dobrych relacji z młodszymi, czuła się przy nich niepewnie. Świat, w którym żyli, był jej obcy, ledwo rozumiała ich język. Było tam mnóstwo słów, których znaczenia nie знаła, dziwnych skrótów, często w języku angielskim. Jeden z jej nieco młodszych kolegów, Lars, nazywał ją Ragnarok. Podobało jej się, że nie bał się jej obrazić, że nigdy nie ważył słów i że czasami, jeśli uznał to za stosowne, odpowiadał na jej szeptane zapytanie słowami: Nie wrzeszcz na mnie!

Oboje wybuchali wtedy śmiechem, Lars serdecznie i hałaśliwie, ona na swój cichy sposób, jakby miała zadyszkę. Do pewnego stopnia dała kolegom prawo do dokuczania sobie. Ale nie dotyczyło to ludzi z zewnątrz, obcych. Ponieważ nie miała głosu, skupiła się mocno na innych. Gdyby tylko ludzie wiedzieli, jak bardzo się ujawniają, kiedy otwierają usta. Niektórzy ukrywali się za ostrym chichotem, inni mamrotali niezrozumiale. Niektórzy mówili śpiewnym głosem z charakterystyczną melodią, inni mieli głosy płaskie i pozbawione wyrazu, jeszcze inni dudnili i ryczeli, by zaznaczyć swoją obecność.

Pracowali na zmiany. Od dziesiątej do piątej lub od pierwszej do ósmej. Pasowało jej to. Nikt poza nią nie mieszkał w domu na Kirkelinie, nikim nie musiała się przejmować. Samotność, która oczywiście czyniła ją bezbronną, dawała jej również poczucie wolności

i kontroli. Przychodziła i wychodziła, kiedy chciała, nikt nie czekał, nikt nie zadawał pytań. Ale codziennie myślała o Rikardzie Josefie, lubiła być matką, lubiła słuchać, gdy jej koledzy rozmawiali o swoich dzieciach, co robili nieustannie.

Nie miała jednak zbyt wiele do powiedzenia na temat syna, mogła tylko powtarzać to, czym już wcześniej się podzieliła. Czasem trochę upiększała lub wyolbrzymiała, aby rozmowa trwała dłużej. Na swój sposób była z niego dumna, mimo że zerwał z nią prawie wszystkie kontakty. Nigdy nie napisał listu, nigdy nie zadzwonił, nigdy jej nie odwiedził. Tylko kartka świąteczna w grudniu, a potem może na jej urodziny, wczesnym latem. Raz otrzymała kartkę z Pat-tai, gdzie spędzał wakacje. Sam, pomyślała, nikt inny nie został wspomniany. Ale miło było powiedzieć kolegom, że prowadził hotel w Berlinie. Nazywał się Dormero i miał pięć gwiazdek na TripAdvisor. Co prawda nigdy tam nie była, nigdy nawet jej nie zaprosił, ale widziała zdjęcia w Internecie. Gdy tęsknota stawała się zbyt silna, Ragna potrafiła siedzieć cały wieczór i marzyć, patrząc na zdjęcia sal, apartamentów i restauracji. Duża, otwarta recepcja z żyrandolami, bar z głębokimi fotelami. Jeśli miała być ze sobą szczerą, to było jej wielkie marzenie. Wsiąść do samolotu do Berlina, spotkać się z synem w hali przylotów, a następnie pojechać do centrum miasta, może dużym mercedesem, i zobaczyć dzieło jego życia. Mogłaby zjeść w pięknej sali, spędzić noc w pokoju, który wybrał specjalnie dla niej, może w apartamencie. Ale tak się nie stało. Lata mijały. Zawsze tylko kartka na jej urodziny siedemnastego czerwca i na Boże Narodzenie, z aniołem lub gwiazdą i krótkim, nadrukowanym pozdrowieniem po niemiecku. I oczywiście jego imię, albo tylko inicjały, pisał je ręcznie, ale były ledwie czytelne. Wątpiła, czy w ogóle

pamiętał, które to jej urodziny. Miał ledwie siedemnaście lat, gdy ją opuścił, pełen marzeń i wizji, nie kosztowało go to zbyt wiele. Ona sama miała wtedy trzydzieści cztery lata, a od tamtego ciężkiego dnia minęło ich ponad dziesięć.

Co by było, gdybym tam pojechała, pomyślała, i sama dotarła do hotelu, i nagle stanęła w recepcji z walizką w ręku. Poprosiłabym o dyrektora. Po minucie pojawiłby się, oczywiście, zza drzwi za ladą recepcyjną, prawdopodobnie w ładnym garniturze. Szedłby po luksusowym dywanie, światowy, z pytającym spojrzeniem. Minęłoby kilka sekund, zanimby ją rozpoznał, wyobrażała sobie szerokie oczy i uniesione brwi, być może zakłopotanie. Ona zaczęłaby się jąkać, próbując wydusić słowa, których nie mógł usłyszeć, narastałoby zażenowanie. Nie wiedział, że straciła głos, nie wiedział o jej nieszczęściu. Nie do końca rozumiała, dlaczego sprawy między nimi potoczyły się w ten sposób, nigdy nie odważyła się o to zapytać. Jej syn z pewnością był ambitny i żądny przygód, w przeciwieństwie do niej. Fakt, że otrzymał wysokie stanowisko na długo przed ukończeniem trzydziestki, napawał ją dumą.

Wina leżała głównie po jej stronie, przynajmniej tak to widziała. Zająć w ciążę w wieku szesnastu lat z mężczyzną po czterdziestce, który oczywiście miał już rodzinę, a nie zamierzał jej opuszczać – to nie było mądre. Rikard dorastał więc bez ojca. Ale przecież tak go kochała i troszczyła się o niego! Nosiła go na rękach dzień i noc. Zwykle zajęcia nastolatka przestały być interesujące, nie tęskniła za niczym, ani za nocnym życiem, ani za randkowaniem, ani za chłopcami w tym samym wieku. Była po uszy zakochana w swoim synu. Jego widok i zapach, puszysta główka, mokre usta. Nie marzyła o bogactwie ani dużej rodzinie. Była tylko ona i chłopiec.

Do końca jej zmiany pozostało dziesięć minut. Pchnęła przed sobą ciężki wózek, na którym znajdowały się dwa otwarte kartony z drobiazgami do łazienki, a pod nimi karton, z którym przybiegł do niej Lars, nie miała jeszcze czasu zajrzeć do środka. Zaczęła układać szczotki do toalety na półce, plastikowe, w trzech różnych kolorach, kosztowały dziewiętnaście koron, uczciwa cena. Kiedy wszystkie stanęły w rzędzie, mogła sobie wyobrazić, że to kwiaty na grządce, czerwone, fioletowe i różowe. Wiedziała, że nie wszystko w tym sklepie jest dobrej jakości. Świece, które sprzedawali, kapały i ciekły, nie wytrzymały tak długo jak inne, droższe. Kawa była gorzka i słaba, a pudełka ze słodyczami często tak stare, że czekolada zeschnęła się i pokryła nalotem. Czasami opakowania miały odbarwienia po niewłaściwym przechowywaniu. Ale wiele rzeczy było w porządku. Plastikowe pudełka, szmatki, gotowe zasłony, ręczniki frotté, przybory kuchenne i narzędzia. Kiedy wszystkie szczotki toaletowe stanęły już na swoim miejscu, otworzyła karton od Larsa, spoczywający na dolnym poziomie wózka. Rzuciło jej się w oczy słowo Malezja. Karton zawierał osiem mniejszych pudełek. Z rozbawieniem spostrzegła, że każde zawiera ceramiczną czaszkę na małym postumencie, całkiem realistyczną. Podniosła jedną z nich i odkryła, że w oczodołach zamontowano małe czerwone żarówki, a wewnątrz pudełka znajdowały się dwie baterie AA do umieszczenia w podstawie. Otworzyła małą pokrywkę w dnie czaszki i włożyła baterie na miejsce, ciemne oczodoły się rozświeciły. Następnie ułożyła pozostałe siedem pudełek na półce, a na samej górze umieściła czaszkę ze światłem. Pomyślała przez chwilę o dzieciach, które mogły dostać taką zabawkę Boże Narodzenie i postawić ją na swoim stoliku nocnym. Będą leżały samotnie w ciemności i wpatrywały się w czerwone oczy, tak jak ona

teraz. Nie była w stanie oderwać wzroku przez długi czas, było w nich coś hipnotyzującego. Postanowiła natychmiast pokazać czaszki Gunnhild, żeby mogły śmiać się razem.

Odstawiła pusty wózek na miejsce, wyjęła torebkę z szafy, włożyła płaszcz i pożegnała się szeptem z Gunnhild i Larsem, wskazując na czaszki. To właśnie z tą dwójką kolegów była najbardziej związana. Inni pracowali na pół etatu lub tylko w weekendy, raczej ich ignorowała. Z wzajemnością. Chciała, by jej świat był mały i łatwy do opamięnienia, potrzebowała poczucia kontroli. Była dwudziesta piętnaście, kiedy doszła na pogrążony w jesiennej ciemności przystanek autobusowy. Wsiadały cztery osoby, wcześniej stali pod wiatą, podczas gdy ona na chodniku, tyłem do nich. Całe lata zajmowała stałe miejsce przy oknie, na trzecim rzędzie za kierowcą. Nie lubiła, gdy było zajęte. Czuła się przesiedlona. Ktoś wkraczał na jej terytorium. Dziś jej miejsce było wolne i usiadła z dobrym samopoczuciem, jakby wślizgnęła się w idealnie dopasowane opakowanie.

Podróż autobusem do domu trwała czterdzieści minut. Lubiała tak siedzieć i patrzeć przez okno. Czasami, gdy była zmęczona, opierała policzek o chłodną szybę i zamykała oczy. Pod powiekami robiło się jasno za każdym razem, gdy autobus mijał latarnię uliczną, ale umysł miała zawsze wolny, w ruchu, otoczona kabiną autobusu jak grubą skorupą. Podróż do domu stała się czymś miłym, złotym momentem, w którym była częścią świata i ruchu ulicznego, ale bezpiecznie od nich oddzieloną.

Wysiadła na przystanku, ulica była ciemna i cicha. Do domu miała tylko kilka minut, ale najpierw szybko przeszła przez ulicę do sklepu Irfana. Zawsze był otwarty. Wyobrażała sobie Irfana śpiącego na materacu na zapleczu i zrywającego się za każdym razem, gdy

rozbrzmiewał dzwonek nad drzwiami, czy to w dzień, czy w nocy. I tak było tym razem, gdy tylko weszła do środka, zadzwonił dzwonek, a ona poczuła się uroczyście zapowiedziana. Wdychała egzotyczne zapachy przypraw i innych smakołyków z jego ojczyzny, Turcji. Kupiła ryż, herbatę i pomidory, a także wielkie, domowej roboty placki, które kiedyś jadła z serem i szynką. I cztery butelki Uludağ Frutti. Ilekroć była u Irfana Barisa, przechadzała się między półkami w świetle i ciepłe, ciesząc się jak dziecko. Sklep nie przypominał tych norweskich, był raczej miniaturowym targiem, pachnącym i kolorowym. Na osobnej półce stał wybór perfum w krzykliwych flakonach. Czasami podnosiła któryś i odkręcała nakrętkę. Wszystkie pachniały ostro i tanio, nie kosztowały też dużo. Starry Night. Secret Dream. Killer Queen. Można tu było też kupić mnóstwo suszonych owoców, ciasteczek i tajemniczych sosów w słoikach. Pieluchy i mydło, owoce i warzywa. Nie wyrzucał ich, nawet jeśli miały brązowe plamy, banany leżały tu bardzo długo. Torby na zakupy najprostszego rodzaju, cienkie i bez reklam. Jeśli kupiła coś ciężkiego, musiała nieść to w ramionach, uchwyty często się urywały. Do domu miała na szczęście niedaleko – wystarczyło przejść przez ulicę. Irfan był przystojnym mężczyzną, nieco młodszym od niej, szczupłym, złocistym i ciemnym. Nigdy się nie uśmiechał. Od jego postaci bił niepokój, zmartwienia wprawiały jego ciało w wieczne drżenie. Często kasując zakupy, rozmawiał przez telefon, czasami mówił do siebie w swoim języku, niezrozumiałym, ale pięknym. Spoglądał przez okno, jakby kogoś szukał, ale wciąż miał czas zamienić z nią kilka słów łamanym norweskim. Potem kończył rozmowę lekkim skinieniem głowy, być może nauczył się tego od niej.

Wychodząc do pracy, nigdy nie gasiła światła. Gdy wracała, witało ją ciepło, zwłaszcza w ciemnościach jesieni, takich jak teraz. Był to skromny, parterowy dom z salonem i kuchnią, dwiema sypialniami i łazienką oraz piwnicą, w której miała pralkę i miejsce na nagromadzone przez lata rupiecie, zarówno jej własne, jak i te kupione jeszcze przez rodziców. Piwnica była zimna i surowa, a jeśli dużo padało, na podłodze pojawiały się mokre plamy. Mieszkała w tym domu od zawsze, po urodzeniu syna nie miała pieniędzy i potrzebowała pomocy. Zostali więc czteroosobową rodziną. Przed wejściem znajdował się mały ogród, w którym nie robiła zbyt wiele, brakowało jej do tego talentu. Miała też mały ganek, na którym rzadko siadała, nie lubiła, gdy ludzie mogli zobaczyć ją z drogi. Ze swoją białą skórą i wyblakłymi rudymi włosami nie znosiła dobrze słońca. Przy drodze miała pojemniki na śmieci, skrzynkę pocztową na stojaku, a tuż przy podjeździe dużą latarnię uliczną. Podjazd był dobrze oświetlony. Ilekroć wracała do domu, myślała o tej latarni, o tym, że została ustawiona specjalnie dla niej, aby prowadziła ją do domu. Wolno sobie wyobrazać takie rzeczy, pomyślała Ragna Riegel. Dzieci mogą sobie wyobrazać, co chcą.

Przeszła przez ulicę i trzymając torbę w lewej ręce, otworzyła skrzynkę na listy. Wyjęła lokalną gazetę i magazyn parafialny, ulotkę reklamującą meble i dziwną białą kopertę. Nieczęsto dostawała listy. Na kopercie było tylko jej nazwisko, Riegel, zapisane wielkimi literami. Żadnego adresu. Postawiła torbę na ziemi. Nie było znaczka ani adresu nadawcy. Stała w świetle ulicznej latarni i obracała list w dłoniach. Papier był zwykły, być może z recyklingu, cieńszy i bardziej szary niż inne. Co u diabła... To mógł być Olaf z domu obok, może miał jej coś do przekazania, albo Teigen z naprzeciwka.

A może to też ulotka, coś, co wrzucono do każdej skrzynki wzdłuż ulicy, która ciągnęła się aż do kościoła. Czasami w ten sposób oferowali swoje usługi cudzoziemcy. Sprzątanie, malowanie i stolarka, porządkowanie i naprawy. Przyszło jej do głowy, że być może powinna skontaktować się z takim fachowcem i poprosić o pomoc z płótem. Wymagał malowania. Albo może to być wiadomość od władz gminy, może taką samą dostało każde gospodarstwo domowe. Nie, oczywiście, że nie, jej nazwisko było napisane odręcznie. Podeszła żwirowaną drogą do domu i zamknęła drzwi za sobą, pocztę zostawiła na kuchennym stole. Gdy zdejmowała buty, torba spadła na podłogę. Wypakowała zakupy ze sklepu Irfana, postanowiła zrobić risotto. Oby się tylko nie przeterminowały dwie kielbaski, które miała w lodówce. Na szczęście nie. Usiadła przy stole i wpatrywała się w białą kopertę. Kilka razy ją obróciła, jakby wyobrażała sobie, że coś pojawi się na odwrocie, nazwa firmy lub logo, jeśli tylko trochę poczeka. Ale tak się nie stało. Otworzyła ją więc i znalazła złożoną kartkę z krótką wiadomością.

UMRZESZ.

Stała zdezorientowana z kartką w dłoni. Przerazenie poderwało ją z krzesła, serce jej przyspieszyło. Mimowolnie spojrzała za okno, jakby ktoś miał się pojawić na zewnątrz, ktoś, kto mógłby wyjaśnić, co się dzieje. Ale na zewnątrz nie było nic, tylko ciemność i trochę światła w oknach u Teigen. Gdy się zbliżyła, zauważyła słaby ruch, bladą, upiorną zjawę, która była jej własną twarzą odbitą w szybie. Ponownie odwróciła kopertę, ale w ciągu ostatnich kilku minut nie pojawił się żaden nadawca.

Jezu, szepnęła, kręcąc głową. Umrzesz. Napis wielkimi, drukowanymi literami, tak jak pisałoby dziecko, mądre dziecko. Proste, schludne litery o równej wysokości. Uśmiechnęła się, choć trochę niepewnie. Wszyscy przecież umrzemy, pomyślała. Ostatecznie wzruszyła ramionami i prychnęła z pogardą, tak jak robił jej ojciec. Myślamy wędrowała wzdłuż ulicy. Nie знаła wszystkich, którzy tu mieszkali, tylko najbliższych sąsiadów. Wielu było w jej wieku lub starszych. Domy zbudowano jeszcze w latach trzydziestych i czterdziestych, sporo mieszkańców było samotnych. Żadnych rodzin z małymi dziećmi. Żadnych rozwrzeszczanych bachorów, żadnych psotnych nastolatków. Ale niektórzy mieli przecież wnuki, pomyślała. Olaf i Grethe obok mieli czwórkę dzieci, często przyjmowali odwiedziny. Ustawili trampolinę w ogrodzie, widziała ją z werandy. W miesiącach letnich słyszała śmiechy i krzyki, widziała chude postaci podskakujące w górę i w dół, w górę i w dół, za gęstą siatką ochronną. Ale znała przecież Olafa i Grethe, to byli stateczni ludzie. Nie sądziła, by ktoś z ich rodziny wysyłał listy z pogrózkami. O ile osoba, która napisała wiadomość, była w ogóle dzieckiem. Dzieci nie miały też przecież samochodów, pomiędzy domami przemieszczały się tylko na rowerze lub pieszo. Chociaż było coś zachęcającego w jesiennej ciemności. Tyle rzeczy można było robić niezauważonym. Przechodzić od domu do domu i z ogrodu do ogrodu. Na gumowych podszwach, w czarnych ubraniach, z podniesionym kapturem. Tylko czy radość z psot nie polegała właśnie między innymi na tym, że się podziwiała efekt swoich wybryków? Nikt nie mógł jej teraz zobaczyć, gdy stała w kuchni i czytała to słowo. Nikt nie widział, czy chwyciła się za głowę z rozpacz, czy podarła list na kawałki w furii i wrzuciła do kominka, czy przeklinała. Innymi słowy ten wygłup nie

miał żadnych konsekwencji, no, może dręczyciel mógł poczuć pewnego rodzaju radość, gdy wrzucił kopertę do jej skrzynki pocztowej i przemknął się dalej. Cóż, pomyślała Ragna Riegel, niektórych cieszą takie małe złośliwości. Ponownie spojrzała na okno, za którym ciemność pozostawała niewzruszona jak ściana. Pomyślała, że czasy, gdy młodzież wychodziła na dwór, by robić psikusy, już dawno minęły. Siedzieli w swoich pokojach, grając w gry, znęcali się nad sobą raczej w sieci. Żaden z nich nie spojrzałby w jej stronę, żaden nie zainteresowałby się jej słabością, jej wszechświatem. Nikt nie wiedział, na czym polega jej wielki strach. Była po prostu samotną starą babą, która nigdy się nie pokazywała. Teraz przygotuje risotto, zje je w ciszy i spokoju, a potem usiadzie z gazetą, w której na pewno znajdzie się wzmianka o wandalizmie i niemożliwej młodzieży. W końcu była jesień. Tak, pewnie jechali wzdłuż ulicy i wrzucali listy, stwierdziła jednak. Pewnie byli nietrzeźwi, bo wyobrażała sobie, że musiało ich być kilku, to pewnie chłopcy, nastolatki. Mogli też być młodsi. Pamiętała z własnego dzieciństwa kilka wrednych dziewczynek w wieku ośmiu czy dziesięciu lat. Złożyła kartkę i wsadziła ją z powrotem do koperty, prychnęła jeszcze raz, by podkreślić swoją pogardę. Zagotowała wodę i pokroiła kielbaski w kostkę, posiekała cebulę, pomidory i chili. Nie żałowała przypraw, jedzenie miało palić. Cały czas stała plecami do białej koperty. Ale czuła jakby ukłucie, coś nie dawało jej spokoju. Krzyczało. Potrząsnęła głową, by rozpędzić niepokój. Zrobić hałas na swój delikatny sposób. Zamknąć drzwi, które otworzyły się na coś obcego. Rondel zabulgotał, najpierw słabo, potem głośniej. Ponownie spojrzała na stół, nie mogła się powstrzymać. Koperta była tak anonimowa, jak tylko się da. Teraz już nie krzyczała, zaczęła szeptać, tak jak ona sama, domagając się

uwagi. Nigdy nie widziała czegoś tak nieistotnego, co jednocześnie stanowiłoby zagrożenie.

Wsypała ryż od Irfana do rondla, dodała łyżkę masła, przykryła lekko odchylną pokrywką i zmniejszyła ogień. Przysmażyła kostki kiełbasy na patelni, z przecierem pomidorowym i wszystkimi innymi pikantnymi przyprawami. Stół miał być prosto nakryty, z talerzem, szklankami i sztućcami oraz dzbankiem wody, musiała więc położyć list w innym miejscu. Zaklęła cicho do siebie, nie chciała tego robić, ale znów otworzyła list i przeczytała go.

Umrzesz. Właśnie ty. Osoba, która napisała wiadomość, miała doskonałe zdolności manualne. Litery zostały starannie narysowane, jedna po drugiej. Nadawca nie chciał, by pismo zdradzało go łukami i pętlami, jak odcisk palca. Mężczyzna, oczywiście, kobieta nie groziłaby w ten sposób. Czyżby nagle psotny dzieciak stał się mężczyzną? – pomyślała. Odwróciła kartkę. Wiadomość została napisana z dużym naciskiem, litery były wyraźne na cienkim papierze. A gdyby na kopercie było napisane „Ragna” zamiast „Riegel”? Albo jedno i drugie. Albo gdyby widniał na niej adres „Kirkelina 7”? Wtedy nie denerwowałyby się aż tak przed przeczytaniem listu. Nie potrafiła wyjaśnić sobie tej różnicy, ale czuła ją. Wiadomość z pewnością była dla niej, znajdowała się w jej skrzynce. Syn się wyprowadził, rodzice zmarli. Wiadomość zaadresowano tak, jakby Ragna nie była nic warta. Była tylko „Riegel”. I miała umrzeć. Przerazała ją ta zwięzłość, tylko najpotrzebniejsze informacje, niewątpliwie bezlitosna. Jestem głodna, pomyślała zdezorientowana i ponownie złożyła kartkę. Wsadziła ją do koperty, otworzyła szafkę i wrzuciła wiadomość głęboko do kosza na śmieci. Leżała tam teraz razem ze starym, zepsutym jedzeniem.

Jadła wolniej niż zwykle, urażona. Jakby ktoś obmawiał ją za plecami, rozsiewał plotki. Dotknięta, bo przecież nigdy nikomu nie dokuczała, nigdy się nie wyróżniała, nigdy o nikim nie mówiła lekceważąco, ani jako dziecko, ani jako dorosła. Była zraniona. Była poważnie zaniepokojona. Powąchała trochę, skończyła jeść i wstała, wyjęła kosz na śmieci z szafki, zawiązała szczelnie worek, włożyła buty i wyszła z nim na ulicę. Otworzyła pojemnik na śmieci, był wypełniony do połowy. Wpatrywała się w dół Kirkeliny, jakby miała kogokolwiek zobaczyć lub usłyszeć, a potem w górę, w stronę kościoła. Iglica była ledwo widoczna. Wrzuciła worek do pojemnika i zamknęła pokrywę. Wtedy nadszedł jej sąsiad Olaf z psem, kierowali się w stronę kościoła. Mieli na sobie żółte kamizelki odblaskowe. Zdała sobie sprawę, że chyba chciał z nią zamienić kilka słów, poczekala więc. Znała Olafa dobrze, byli sąsiadami od zawsze. Rottweilerka Dolly zauważyła ją i chciała podejść. Ragna nigdy przedtem nie widziała tak małego rottweilera. Wyglądała jak szczeniak i najwyraźniej nigdy nie dorosła. Patrząc na swojego miłego sąsiada, Ragna pragnęła tylko jednego – żeby powiedział jej, że on również znalazł w swojej skrzynce pocztowej dziwaczny list z pogrózkami. List informujący go, że umrze. A na zewnętrznej stronie koperty tylko nazwisko Skiold napisane wielkimi literami. Żadnego adresu, żadnego nadawcy. Jednak Olaf nie wspomniał o żadnym liście, wyglądał na wolnego od zmartwień i szczęśliwego. Był mężczyzną, miał donośny głos, nawet trochę mięśni, pomyślała, był szeroki w ramionach, silny i dużo starszy od niej. Spojrzał tylko na latarnię na jej podjeździe i powiedział:

– Zazdroszczę ci tej latarni, Ragna. Przed naszym domem jest ciemno choć oko wykol. – Pociągnął za smycz, bo Dolly chciała biec

dalej. – Ale chyba sobie na to zasłużyłaś – dodał z uśmiechem.

Ragna zastanawiała się, co sąsiad ma na myśli. Może uważał, że skoro straciła głos, potrzebowała dodatkowej pomocy? Nie, źle go oceniam – uświadomiła sobie – Olaf to dobry facet. Zawsze słyszy, co mówię, nawet gdy drogą jedzie hałaśliwa ciężarówka, on po prostu podchodzi bliżej, słucha i stara się czytać mi z ruchu ust.

– Teigen się przeprowadza – poinformował ją i skinął w stronę domu naprzeciwko, który widziała z kuchni i z sypialni.

– Aha – szepnęła zaskoczona.

– Sprzedali dom rodzinie z Tajlandii, z dwójką dzieci – kontynuował. – Otwierają małą restaurację w centrum miasta, podobno żona dostała też pozwolenie na prowadzenie salonu masażu w domu. No, w pokoju w piwnicy.

– Aha – wymamrotała. – Masaż?

Olaf roześmiał się, gdy zobaczył jej minę.

– Tak, myślę, że to tylko kwestia ceny lokalu. Najwyraźniej nauczyła się masażu w Tajlandii i wie co nieco o bolących plecach. Ceny pewnie też będą przystępne, ma mieć otwarte co drugi dzień.

– Pójdiesz tam? – szepnęła Ragna.

– Nie wykluczam – odparł Olaf – jeśli żona nie będzie miała nic przeciwko. Są takie ładne, te panie z Tajlandii.

Mrugnął do niej, gdy to mówił. Oczy zalśniły odbitym światłem latarni. Odwrócił się i podążył wzrokiem za samochodem, który przejechał obok nich i skierował się w stronę kościoła. Ledwo widzieli tarczę wielkiego zegara, świeciła blado jak księżyc.

– Mam kręgosłup pokryty zwapnieniami jak amerykańska choinka śniegiem – wyjaśnił. – Według mojego lekarza rodzinnego. No dalej, Dolly! Idziemy.

Pociągnął za sobą psa i odszedł, widziała już tylko żółte kamizelki tańczące w ciemności. Nie dostał żadnego listu. Więc to tylko ona. Odwróciła się i weszła z powrotem do domu, usiadła w fotelu przed telewizorem, włączyła wiadomości. Potrzebowała wiedzieć, co się dzieje na świecie, jej własny był tak nieskończenie mały, a koledzy w Europris zawsze o czymś opowiadali, więc chciała być poinformowana. Gdyby coś wydarzyło się w Berlinie, nadstawiłaby uszu. Ale obrazy nie przykuwały jej uwagi tak jak zwykle. Nie mogła się uspokoić. Niepokój tkwił jak gwóźdź w jej głowie, drażnił coś głęboko w środku. Siedziała cicho z rękami na kolanach, wyrzucała sobie teraz, że nie spaliła listu od razu. Nawet go nie podarła ani nie zgmiotła, wiadomość leżała w worku na śmieci w koszu przy drodze kompletnie nienaruszona. Groźba wciąż tam była, nie zniszczyła jej, leżała i odbijała się echem, tak głośnym, że pokrywa pojemnika na śmieci wibrowała, cała ulica mogła usłyszeć jej ciągły stukot. Słyszeć, że siedzi tutaj, niespokojna, w domu pod numerem siódmym, bez męża i głosu. Wstała i poszła do przedpokoju, włożyła buty, szarpnęła drzwi, wyciągnęła rękę i otworzyła pojemnik. Pochyliła się. Było ciemno, stała plecami do latarni i prawie nic nie widziała. Która to była torba, ta na górze czy ta, która wylądowała z boku? Niektóre były ze sklepu Irfana, białe i bez reklam, ale znalazła też kilka z Europris, z zielonym logo. Jak to było, którą torbę wyjęła z szafki i zabrała ze sobą na dół? Grzebała w śmieciach, ściskając kolejno torby, próbując zidentyfikować ich zawartość. W końcu wyłowiła jedną z nich. Pokrywa zatrzasnęła się na swoim miejscu. Już miała wychodzić, kiedy Olaf wrócił. Spojrzał na torbę zwisającą z jej ręki, Ragna poczerwieniała na twarzy.

– No tak – zauważył z uśmiechem. – Też mi się zdarza wyrzucić coś, co potem muszę odkopać. Wrzuciłaś zwycięski los na loterię?

Przyciągnęła torbę do siebie i potrząsnęła głową.

– Pomyliłam się w pośpiechu – szepnęła. – Porządkuję dom, worki są wszędzie, położyłam je na korytarzu. Niektóre trafiają do piwnicy, a inne do kosza.

– Chyba się nie wyprowadzasz?

– O nie, ja się stąd nie ruszam. – Odwróciła się do niego plecami i ruszyła w stronę domu. Weszła do przedpokoju, policzki wciąż jej płonęły z zażenowania. Mimo wszystko lubiła Olafa. Nie wyobrażała sobie życia bez miłego sąsiada w wieku emerytalnym, który zawsze miał coś dobrego do powiedzenia, mógł mieć oko na jej dom, sprawdzić, czy rano zapali światło, da znak, że żyje. Mógł zareagować, gdyby dom się zapalił lub ktoś próbował się włamać. Wiedział, że nie mogła krzyczeć.

Weszła dalej i otworzyła worek na śmieci. Koperta tkwiła zgniecioną między wilgotnymi obierkami ziemniaków i zmiażdżonymi, przeterminowanymi jajkami. Podniosła ją dwoma palcami i natychmiast podeszła do kominka, wrzuciła ją do szarego popiołu obok zwęglonego drewna, na stole znalazła zapalarkę. Ale koperta zamocła i nie chciała się zapalić.

*

Jej twarz ożyła w trakcie tej opowieści. Trzymała go w napięciu, chociaż nie mogła modulować głosu. W całej jej postawie było coś zapraszającego. Czasami podnosiła rękę, aby gestami w powietrzu coś podkreślić, pomóc sobie, stworzyć iluzję dźwięku. Jej szept sprawił,

że on też wyciszył głos. Słuchał tak uważnie, że usłyszałby kota podkradającego się do zdobyczy.

– Nic pani nie powiedziała – zauważył Sejer. – Ani sąsiadom, ani kolegom, ani Irfanowi w sklepie, ani innym znajomym. Ani Rikardowi Josefowi. List, który znalazła pani w skrzynce pocztowej, był przecież groźbą. Nie wiadomo od kogo. A pani z nikim się tym nie podzieliła.

Ragna widziała jego twarz wyraźnie w świetle ekranu. Głębokie bruzdy biegnące od skrzydełek nosa do kącików ust, proste brwi, które kiedyś były ciemne, a teraz miały kilka srebrnych pasm. Zawsze był uważny, zawsze blisko. Nie odrywał od niej wzroku, nie ulegał pokusie odwrócenia się w stronę monitora, by sprawdzić, czy coś się tam dzieje. Czasami telefon migał na czerwono, ale on nie odbierał. Czuła się jak ryba, którą złapał w sieć, leżała dość wygodnie wśród cienkiej nici. Na biurku miał stos papierów i wielki notes, w którym od czasu do czasu robił notatki, z taką szybkością, że zastanawiała się, czy uczył się stenografii.

– To było żenujące – wyszeptała. – Tak bardzo się wstydziłam.

Widziała, że przemyślał jej odpowiedź. Nie wyciągał pochopnych wniosków, jakby do pewnego stopnia ją rozumiał. Co Lars, Gunnhild i wszyscy inni w Europris pomyśleliby o liście? Co by powiedzieli, jak mogliby ją pocieszyć? Chyba tylko uśmiechnąć się pod nosem i ocenić całą sprawę jako nonsens. Nie mieli szans zrozumieć, jak wielkim wstrząsem był ten list. Uznaliby, że coś jest na rzeczy, że nie bez powodu jakiś złoczyńca wybrał właśnie Ragnę Riegel. Wskazał ją palcem, bezlitośnie wytrącając z równowagi. Nic nie jest przypadkowe, pomyśleliby, bo przecież nic nie przeraża ludzi bardziej niż przypadkowość. Musi istnieć jakaś przyczyna, jakaś forma winy. Ina-

czej wszystko mogłoby się zdarzyć, nie byłoby sensu podejmować środków ostrożności, chronić się, postępować zgodnie z zasadami.

Inspektor wyraźnie się zastanawiał. Rozumiał powagę sytuacji i jej szok, widziała to w jego szarych oczach. Nie żeby wcześniej nie myślała o śmierci, wprost przeciwnie. Ale od kiedy otworzyła tamten list, myślała o niej cały czas, nie mogła pozbyć się widoku nieostemplowanej koperty. Przyjechał samochodem lub szedł ulicą. Zatrzymał się tuż przy jej skrzynce pocztowej, wpatrywał się w dom, szukał cienia w oknie, upewniał się, czy nie jest obserwowany. Potem popieszył dalej w ciemnościach wieczoru lub nocy, z podniesionym kołnierzem płaszcza i rękami głęboko w kieszeniach, a za tym wszystkim kryła się jakaś myśl, jakiś niezrozumiały cel. Przyszło jej do głowy, że w dzieciństwie mógł dręczyć koty. Zadrzała.

– Ma pani jakiś pomysł, kto to zrobił? – zapytał Sejer. – Jakiś znajomy, były, może kolega z pracy, sąsiad lub daleki krewny, któremu nadepnęła pani na odcisk?

– Prawie nic nie ważę – odparła Ragna. – Gdybym nadepnęła komuś na odcisk, nawet by tego nie spostrzegł, tak jak nie zauważyłby myszy. – Słowo „mysz” wypowiedziała z naburmuszoną miną, ale zaraz uśmiechnęła się do niego.

– Nie jest pani żadną myszą – zapewnił Sejer. – Są ludzie przeczułeni, którzy reagują przesadnie na najmniejszą rzecz. Muszę szukać wszędzie, w najdalszej przeszłości. Ojciec Rikarda Josefa. Nie chciała pani o nim rozmawiać?

– Nie ma o czym mówić. Skończył sześćdziesiąt dziewięć lat.

– Więc liczy pani lata?

Znowu się zawstydzila. Ktoś dostrzegł ją w tłumie i skierował na nią bezlitosne światło reflektora, którego nie mogła zignorować.

Dom, w którym dorastała, jej małe gniazdko, ukochane, stał przy Kirkelinie w czarnej jesiennej ciemności, świecąc jak amerykańska willa udekorowana na Boże Narodzenie. Została wystawiona na widok publiczny. Chociaż nie czuła się winna, była przekonana, że dręczyciel coś do niej miał.

Przez krótką chwilę Sejer wyczuł jednak pewien rodzaj oporu, jakby chciała mu powiedzieć: „Zdaję sobie sprawę, dlaczego tu siedzę, ale nie będę się poniżać”. Wcale tego nie żądał. Oboje przez to przechodzili, on bez osądzania, ona bez utraty godności. Tak właśnie chciał. Tego właśnie potrzebowała Ragna Riegel.

– Pani syn... – powiedział Sejer. – Czy jest owocem krótkotrwałego związku?

– Jednej nocy. Byłam na imprezie i wypłam o wiele za dużo. Mimo że chowałam się w kącie, ktoś mnie znalazł. Nie miałam odwagi zbliżyć się do chłopców w moim wieku. Nie żeby oni tego chcieli, nie miałam cech, których pragną chłopcy.

– A czego pragną?

– Nie zadawaj tak głupich pytań.

– Więc – kontynuował Sejer – jedna noc. I nigdy więcej go nie widziałaś?

– Ależ tak, kilka razy.

– Myślisz o nim czasem?

– Bardzo rzadko. W sypialni mam starą komodę, w dolnej szufladzie jest zdjęcie, które zrobił mi, kiedy spacerowaliśmy po parku. Czarno-białe, wywołał je i dał mi w prezencie. Powiedział, że patrząc na nie, powinnam czuć, że jestem widziana, że zasługuję na to. Nigdy nie byłam piękna – dodała – nawet kiedy miałam szesnaście lat, ale z jakiegoś powodu udało mu się złapać mnie w korzystnym świe-

tle. To się już nie powtórzyło. Na tym konkretnym zdjęciu wyglądam jak anioł. On jest fotografem – zaznaczyła.

Znów spuściła wzrok, zawstydzona. Za daleko poszła w tym przechwalaniu się. Chyba ją poniosło z tym „aniołem”. Zaczerwieniła się i nie podnosiła wzroku przez dłuższy czas.

– Ale zdjęcie leży w szufladzie? Chociaż to najpiękniejsza wersja siebie, jaką kiedykolwiek pani widziała?

– To kompletny przypadek, nic innego. Zamglenie. Zachodzące słońce. Takie rzeczy.

– Ale też go pani nie wyrzuciła. Jak on się nazywał?

– Walther Eriksson. Mieszka teraz w Sztokholmie, od lat. Prawdopodobnie jest na emeryturze.

– Więc nadal pani śledzi, co się z nim dzieje?

Skinęła głową. Nigdy nie widział tak cienkiej szyi, pomyślał, że można by ją złamać jedną ręką.

– Żyję w małym świecie – przyznała. – Nie utrzymuję kontaktów towarzyskich, tylko z ludźmi w pracy. Spędzam dużo czasu w Internecie, jest tam wiele o nim. Otrzymał kilka nagród za swoje portrety. Nie kilka. Wiele.

– Czyli to dobry fotograf – zauważył Sejer – lepszy od innych. Tacy fotografowie nie zdobywają nagród dzięki szczęściu. Mają dobre oko. Unikalne podejście i dobre wyczucie czasu. Wiedzą, kiedy nacisnąć migawkę. – Pochylił się do przodu i dodał stanowczo: – Prędeż czy później to zdjęcie ma trafić na ścianę.

Czasami wolał milczeć. Nie chciał wywoływać niepewności, ale używał milczenia jako taktyki. W takich chwilach mowa ciała przesłu-

chiwanych wiele mu mówiła, niektórzy zaczęli gadać, dużo i nerwowo, odsłaniaли się. Teraz jednak chciał dać jej przestrzeń, żeby mogła się pozbierać. Przetworzyć zwierzenia, których już dokonała, rzeczy, których być może nigdy nie powiedziała nikomu innemu. Teraz jej oczy błędziły po pokoju. Obserwowała świat tak, jak tylko cisi ludzie potrafią, a ponieważ miała trudności z komunikacją, była dobrym słuchaczem.

– Ja też lubię Grace Kelly. – Kiwnęła głową w stronę zdjęcia na ścianie. – Lubię stare amerykańskie filmy. Pochowali ich obok siebie, ją i księcia, w pałacu. Zawsze są tam kwiaty. I tłum ludzi.

Sejer odpowiedział na to uśmiechem, co zdarzało mu się rzadko.

– To moja żona Elise. Ona też spoczywa już w grobie i zawsze są tam kwiaty. Ale tłumów nie ma, tylko Frank i ja.

– Och! – odparła Ragna, zahipnotyzowana. – Ale wygląda jak ona. Bardzo podobnie.

– Wszyscy tak mówią – przyznał z dumą.

– Och! – powtórzyła.

Jej wzrok zatrzymał się na portrecie, powędrował do twarzy Sejera, a potem z powrotem. Znów się zawstydzila. Jak mogła sugerować, że jej własny portret był piękny!

– Elise?

Przytaknął.

Znowu cisza. Usiadł i spojrzał na jej stylonowy fartuch, o wiele za duży; mógł się tylko domyślać jej figury.

– Łatwo tracisz panowanie nad sobą? – zapytał nagle.

Roześmiała się, gwałtownie łapiąc powietrze.

– Wystarczy na mnie spojrzeć. I posłuchać. Czy na to wyglądam?

Jej spojrzenie było bezpośrednie, nabrała do niego większego zaufania.

– Nie – musiał przyznać. – Ale ma pani w sobie potencjał wściekłości, wszyscy ludzie go mają. Prędzej czy później wszyscy znajdujemy się w sytuacji, w której go potrzebujemy. Adrenalina. Czyni nas silnymi i szybkimi. Męczyzna ma jej oczywiście więcej niż kobieta; to on wychodzi na polowanie, to on może napotkać dzikie zwierzęta. Ale pani też. Dlatego tu pani teraz siedzi, prawda?

– Tak – przyznała. – Kobiety też mają swoją broń. Często myślę, że nawet nie zdają sobie sprawy z tego, do czego są zdolne. Gunnhild, ta z mojej pracy, kupiła gaz pieprzowy przez Internet, zawsze ma go w torebce. W najbardziej stresującym momencie musiałaby więc go szukać. Zdjęłaby nasadkę, wycelowwała i strzeliła, podczas gdy jakiś szaleniec groziłby jej nożem.

– Widzę tu problem – przyznał.

– Ale jest coś, co zawsze przerazi sprawcę – kontynuowała – coś, co wszystkie kobiety mają, czego nie muszą szukać, ale czego wciąż niechętnie używają.

– O czym pani myśli?

– O krzyku.

Przypomniał sobie wiele starych spraw, wiele kobiet. Gwałt mógł mieć miejsce w sypialni, podczas gdy reszta towarzystwa bawiła się w salonie. Kobiety były gwałcone w bramie, podczas gdy ludzie przechodzili obok ulicą. Paraliżujący lęk. Strach, że będzie jeszcze gorzej. „Najlepiej leżeć całkowicie nieruchomo. Nie ruszaj nawet palcem. Wkrótce będzie po wszystkim”.

Stopniowo zaczęła postrzegać ludzi w inny sposób. Wcześniej wydawali jej się tacy podobni, zwłaszcza teraz, jesienią. Kobiety i mężczyźni ubierali się tak samo, w puchowe kurtki i dżinsy, czarne, granatowe i anonimowe. Nastolatki też takie nosiły, zresztą w Europris nie było ich zbyt wiele, a ona nie spędzała za dużo czasu na ulicach. Ale teraz nie stanowili już jednolitej masy. Potwór zawsze miał wiele głów, teraz dostrzegała każdą z nich.

Była na pierwszej zmianie, obsługiwała kasę. Utrzymywała klientów na dystans zdawkowymi uśmiechami, ruchem głowy sygnalizując ostateczną sumę na wyświetlaczu, pytając wskazywała na pudełko z reklamówkami. Nikt się do niej nie odzywał, mało kto w ogóle na nią patrzył, jakby była częścią terminala płatniczego. Ale Ragna Riegel zaczęła uważnie przyglądać się każdej osobie. Ściśle rzecz biorąc, nie kobietom, których była większość, ale wszystkim innym. Badała twarze dorosłych mężczyzn, by sprawdzić, czy wysyłają jakieś sygnały, coś, co powinna zauważyć, może tajemniczy uśmiech albo zaniepokojone spojrzenie. Coś szczególnego w ich mowie ciała, niezrozumiały komentarz albo nawet wyraźny zapach, choć oczywiście zdawała sobie sprawę, że nie jest psem tropiącym. Nie wywęszyłaby ani strachu, ani agresji. Jednak nikt się nie wyróżniał, nie znalazła nikogo, kto mógłby być autorem anonimowego listu, kto mógłby chcieć ją drażnić czy przestraszyć. Klienci nie byli już tacy sami, pomimo kurtek i dżinsów widziała ich wyraźnie. Dostrzegała niuanse i szczegóły. Nawet stali klienci, o których myślała raczej ciepło, musieli zostać poddani ponownej ocenie. Nie, to nie był żaden z nich. Czy ojciec z dwulatkiem na rękę, szukający taniego jabłuszka do zjeżdżania, miał być jej dręczycielem? Albo dorosła kobieta szukająca nowej patelni Jamiego Olivera, która w rzeczywisto-

ści kosztowała tysiąc dwieście koron, ale sprzedawali ją za pół ceny? Musi być coś, co przegapiłam, pomyślała, coś, o czym zapomniałam, coś z przeszłości. Nie lubiła myśleć o przeszłości, miała dość tego, co było teraz, jej głowa była wypełniona chwilą, dźwiękami i zapachami, rojem ludzi, zajmowało ją to całkowicie i bez reszty. Całe to gadanie o używaniu tylko części mózgu, phi! Nie wierzyła w to nigdy. Każdy neuron był w użyciu, w głowie Ragny nie było pustych przestrzeni. Pozwalała towarom przesuwac się po taśmie, pewna, że jej dręczyciel z Kirkeliny pojawi się w którymś momencie. Nagle stanie tam, wpatrując się w nią, być może z porozumiewawczym uśmiechem. Aby przejść do następnego poziomu gry, bo dla niego to była przecież gra. Spojrzeć na swoją ofiarę z bliska, delektować się jej niewiedzą i bezbronnością. Może powie kilka słów, których znaczenia na początku nie pojmie, ale kilka godzin później wszystko do niej dotrze. O mój Boże. To był on, to był on! Kiedy siedziała przy kasie, od klientów dzielił ją ledwie metr, dobrze wykorzystywała te sekundy, w których mogła im się przyjrzeć. Dlatego była bardziej zmęczona niż zwykle, jej zmysły pozostawały w stanie wysokiej gotowości. A potem, kiedy zmiana dobiegała końca, musiała przeliczyć kasetkę, która zawsze się zgadzała, co do jednego øre. Następnie kilka minut na przystanek autobusowy, by tam znaleźć swoje stałe miejsce, trzecie po lewej stronie. Z ulgą i frustracją jednocześnie, bo niczego nie zauważyła, niczego nie podejrzewała, nie odebrała żadnych tajemnych sygnałów. Zniknął w tłumie ludzi jak igła w stogu siana. Oparła się ciężko o szybę autobusu. Siedziała tam, wiedząc, że kiedy wysiądzie po czterdziestu minutach i przejdzie ostatnie kilka metrów wzdłuż Kirkeliny, będzie musiała otworzyć skrzynkę pocztową z napisem „Riegel”. Latarnia uliczna na podjeździe świeciła już o zmierz-

chu, a ona uważała, by nie zasłonić światła. Wpatrując się w głąb skrzynki, zmobilizowała się do płomiennego sprzeciwu, który, jak sobie wyobrażała, zamieniłby się w gniew, gdyby znalazła kolejny anonimowy list. Nie znalazła jednak żadnego. Wyjęła gazetę i reklamę, list z prośbą o wsparcie od Norweskiego Lotniczego Pogotowia Ratunkowego i fakturę od firmy energetycznej, a gdy usadowiła się w fotelu pod lampą, przeczytała lokalny dodatek, aby sprawdzić, czy któryś z czytelników doświadczył tego samego co ona i napisał o tym na „Mojej stronie”. Niemożliwe, żeby to była tylko ona! Gdyby kilka osób otrzymało taką wiadomość, straciłaby zupełnie na znaczeniu, ale jeśli była jedyna, nie mogła postrzegać tego jako nic innego niż prawdziwą groźbę. Jeśli to była groźba. Wiadomość była krótka i zwięzła – że umrze. Była to przecież prawda. Może ktoś, dręczony przez własne problemy, po prostu wskazał to jako fakt. Samotny nieszczęśnik, który pragnął być zauważony, lub ktoś, kto miał wkrótce umrzeć. Szybko przekartkowała gazetę od pierwszej do ostatniej strony, a kiedy dotarła do nekrologów, przejrzała je z wielkim zainteresowaniem. Dziwne, pomyślała, nie znam nikogo. W ogóle nie znam nikogo w tym mieście, nie chcę też nikogo znać. Nagle zdała sobie sprawę, że osoba, która wysłała wiadomość, również czytała nekrologi z wielkim zapałem, jej palce też były czarne od atramentu, gdy odkładała gazetę. Tak właśnie powinno być, pomyślała, przeglądając listę nazwisk. Nieszczęście świata powinno zostawiać ślad, a nie tylko migać na ekranie. Nigdy nie czytała wiadomości online, lubiła szelest papieru, gdy przewracała strony. Pamiętała swojego ojca, kiedy czytał coś oburzającego, potrząsał gazetą mocno i bezlitośnie, jak niegrzecznym dzieckiem. Wtedy nie był to tylko słaby szelest, brzmiał twardo i ostro.

Pewnie po jakimś czasie znudzi mu się ta zabawa, pomyślała Ragna. Wkrótce będę mogła otrząsnąć się z dyskomfortu, śmiać się z tego i zapomnieć. To się wypali, tak jak wypaliło się wspomnienie o Waltherze Erikssonie i żal po Rikardzie Josefie, który od wyjazdu do Berlina porozumiewał się wyłącznie za pomocą kolorowych kartek z kilkoma wydrukowanymi słowami. To też się wypaliło. Dystans między nimi stał się nową normą. Tym właśnie stało się jej życie. Myśl o własnym tchórzostwie była dla niej jak zimny prysznic. Dlaczego nigdy nie skonfrontowała się z nim i nie zażądała wyjaśnień? Zaniedbała to, może się jej wstydził, a może po prostu miał problemy z bliskością i kontaktem? Ale hotel, pomyślała w następnej chwili, odnoszący sukcesy pięciogwiazdkowy hotel był przecież pełen ludzi i pracowników, z którymi miał do czynienia na co dzień. Chciał z nimi rozmawiać, troszczyć się o nich i im służyć. Czy źle go traktowałam, czy jest coś ważnego, czego mu zabrakło? Z pewnością nie! Poczwała ucisk w gardle. Irytowało ją to, nie chciała znowu poruszać tych spraw, to ten cholerny list tak ją poturbował. Przypomniała sobie, że bliskość i kontakt nie były przecież gwarantowanym doświadczeniem każdej rodziny. Niektórzy tego nie chcieli, inni nie mieli do tego talentu. Wiele rodzin rozjeżdżało się na różne strony, czasem nawet na drugi koniec świata. Niekoniecznie rozchodzili się rozgoryczeni, niekoniecznie żyli z pogardą dla własnego pochodzenia. W końcu Rikard Josef wysyłał kartki świąteczne i urodzinowe, a ona słała kartki do niego, istniało między nimi jakieś połączenie. Wykonanie telefonu lub wysłanie e-maila byłoby przekroczeniem granicy, konfrontacją, czuła, że to naruszenie jego prywatności. Nie miała też adresu e-mail, tylko numer komórki, którego nigdy nie odważyła się wybrać. Poza tym nigdy jej o nic nie oskarżył, nie wyraził gniewu ani

urazy, ona też z pewnością nie zamierzała go wydziedziczyć. Nic mi się nie należy, uświadomiła sobie, on sam decyduje o sobie. Rikard Josef chciał po prostu żyć własnym życiem w Hotelu Dormero. Jako dyrektor.

Weszły jej w nawyk szybkie spojrzenia w kierunku drogi, gdy mijała okno. Nie żeby spodziewała się przyłapać autora listu na gorącym uczynku, pochylonego nad skrzynką pocztową, ale jej życie bezpowrotnie zajęły nerwy, może nawet rozgorączkowanie. Drażniły ją stale. Nic nie mogła na to poradzić, na wszystko patrzyła teraz inaczej, uważnie badała nawet samoloty na niebie. Na Kirkelinie panował spory ruch, słyszała jednostajny szum samochodów, zwłaszcza po południu. Do użytku weszły nowe autobusy przegubowe, miały osiemnaście metrów długości i nie mogły wjeżdżać w zatoczki, musiały stawać na jezdni. Wciąż myślała o autorze listu, właściwie coraz więcej. Przyłgął do niej jak pijawka. Coś tak żalosego, pomyślała, coś tak marnego. Nieudacznik, anonimowy tchórz. Wyrzutek. A jednak nie mogła o tym nikomu powiedzieć, ani Olafowi, ani kolegom w pracy. Czasami przychodziło jej też do głowy, że może wcale nie był nieudacznikiem, tylko zwykłym człowiekiem z żoną i dziećmi, kimś, komu niczego w życiu nie brakowało. Po prostu miał mroczny sekret. To przerażało ją jeszcze bardziej. Gdy siedziała z takimi myślami, czuła czasem, że wbija paznokcie w dłoń, to była jej przytłumiona wersja gniewu, którego nie miała na kogo skierować, z wyjątkiem siebie. Wieczorem uspokajała się nieco. Kolejny dzień bez gróźb. Często stała przez długi czas przed otwartym oknem sypialni, aby ochłonać. Policzki jej płonęły. Nie musiała podsycać tego ognia.

Wreszcie pewnego wieczoru usiadła jednak, by napisać list do syna w Berlinie. Tylko krótkie pozdrowienia, coś bardzo skromnego. Pewnie się zdziwi, bo przecież nigdy tego nie robiła, nie było to Boże Narodzenie ani jego urodziny, nie sprzedawała domu i nie przeprowadzała się, nie była poważnie chora i nie wyszła za mąż. Oczywiście miało to coś wspólnego z tamtym listem z groźbą, to on sprawił, że zachowywała się inaczej, myślała inaczej. Starła się zachować lekki ton. Nie chciała niepokoić syna ani sprawiać wrażenia, że żąda natychmiastowej odpowiedzi. Niemniej jednak musiała wreszcie mu przypomnieć, że siedzi sama w starym domu, w którym on się wychował. I że oczywiście był częścią jej myśli na co dzień; nie wolno mu było sądzić inaczej. Nadszedł czas, aby ona również znalazła miejsce w jego świecie, nie było za późno, oboje byli młodzi. Gdy tak siedziała, pisząc ręcznie, najpiękniej jak potrafiła, w wyobraźni stała w holu hotelu Dormero, w którym nigdy wcześniej nie postawiła stopy. Kiedy nadchodził grudzień, personel dekorował piękną choinkę migoczącymi światełkami, ku uciechu każdego, kto przechodził przez drzwi. Pomyślała, że to pewnie jej syn nadzorował wszystko. To on decydował, gdzie ma stanąć choinka i jakie ozdoby mają zawisnąć. Wyraźnie widziała go oczami duszy, stojącego z uniesioną ręką, kierującego personelem autorytatywnym tonem, ubranego w schludny, ciemny garnitur. Na klapie mógł mieć złotą plakietkę z napisem „Dyrektor”. Albo „Menedżer”. Nagle nie była pewna tytułu swojego syna.

„Drogi Rikardzie Josefie. Pozdrowienia z zimnej północy. Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia i spodziewam się, że masz w pracy pełne ręce roboty. W sklepie rozpakowujemy elfy i anioły z Chin i Tajwanu, a od rana do nocy gra świąteczna muzyka. Dorośli się

krzątają, ale gdybyś tylko mógł zobaczyć dzieci, Rikard. Czerwone policzki i błyszczące oczy. Myślę o Tobie w tych zabieganych czasach”.

Podpisała list „Mama” i twarz syna zniknęła jej sprzed oczu. Czuli, jakby łamała jakąś zasadę. Bała się, że wywoła to u niego wyrzuty sumienia, może powinna poczekać z wysłaniem listu do świąt?

A jednak zakleiła kopertę i położyła ją na komodzie w przedpokoju. Była to wąska i błyszcząca biała koperta, która wkrótce zabyłśnie na dnie jego skrzynki pocztowej przy Landsberger Allé, wyobrażała sobie, jak stoi z nią w rękę, przewraca i patrzy na norweskie znaczki. Nie było tam wzmianki o wiadomości z pogroźkami, którą wcześniej otrzymała.

*

– Rzeczy, z którymi już dawno się pogodziłam, znów stały się problematyczne – powiedziała Ragna. – Na przykład Rikard Josef. To, że zniknął z mojego życia i że nigdy nie odważyłam się poprosić go o wyjaśnienia. Że Walther zdradził mnie i wyprowadził się. Że straciłam głos, że unikałam widoku. Inni, bardziej niepełnosprawni ode mnie, cały czas są na zewnątrz, na wózku inwalidzkim lub z laską dla niewidomych. Wszystkie te rzeczy są zrozumiałe. Ktoś zauważył mnie w tłumie, mimo że robiłam wszystko, by być niewidzialna.

Po każdym wyznaniu uśmiechała się przeprasząco. Chciała się wytłumaczyć, ale też przepraszała, że go tym obciąża, zabiera miejsce i czas, choć było to naturalną konsekwencją przesłuchania.

– Musiała pani szukać rozwiązań – odezwał się Sejer. – Kładła się pani spać w nocy z poczuciem ulgi, ponieważ minął kolejny dzień

bez zagrożeń i czekała pani, aż wszystko minie. Nie próbowała pani czegoś zrobić?

Położyła dłoń na bliźnie na szyi. Pewnie czuła ją pod opuszkami palców jak gruby sznurek.

– Myślałam o wyjściu z domu – przyznała. – Mogłabym dać się zobaczyć. Włóczyć się po mieście, wchodzić i wychodzić ze sklepów i kawiarni, siadać na ławce na placu i karmić gołębie. Rozważałam wieczorne wyjście do kina lub spacer nadrzeczną promenadą. Bycie widoczną przez cały czas, dla każdego. Żeby po prostu przyszedł i mnie złapał.

– Ale nie zrobiła pani tego?

– Nie miałam odwagi. Stchórzyłam.

– Jak pani myśli, do czego by to doprowadziło, gdyby zaczęła się pani zachowywać w ten sposób?

Spojrzała na Franka śpiącego na kołdrze. Och, jak ona zazdrościła psu tej prostej egzystencji. Też chciała tak leżeć, skulona na kołdrze, podczas gdy pan i władca brał odpowiedzialność za wszystko.

– Nic by to nie dało. Byłby to tylko żaloszny bunt. Którego nikt by nie zauważył.

– Ale sądziła pani, że autor listu dowie się, że wyszła pani na ulicę?

– To było możliwe – wyszeptwała. – Prędzej czy później mogliśmy na siebie wpaść, mieszkamy w małym mieście.

Na wszystkie pytania odpowiadała prosto i bardzo wiarygodnie. Nie przyszło jej do głowy, by coś zmyślać. Albo w ogóle nie odpowiedzieć, albo się zirytować. Nigdy nie otrzymała tak wiele uwagi. W każdym razie od czasu, gdy Walther wręczył szesnastoletniej dziewczynie portret. Nie widziała w nim żadnych oznak zniecierpli-

wienia, żadnej oceny, krytyki czy kpiny. Nie wpadła też na to, że cały ten spokój jest tylko jednym z wielu jego atrybutów, tym, po który sięgał w pokoju przesłuchań, by osiągnąć rezultaty. Nie było innej, bardziej impulsywnej lub niekonsekwentnej strony, którą tylko najbliżsi mogliby zobaczyć, czy to na imprezie, czy w konflikcie. Był uśpioną mocą.

– Frank – odezwała się żarliwie do psa. – Chcesz dziś spać ze mną?

Pies usłyszał ją i otworzył oczy. Choć jej głos był cichy, wyczuwał jego intensywność, wiedział, że czegoś się od niego żąda. Podszedł do niej, położył głowę na kolanach, ciężki i czuły. Ślinił się na zielony fartuch.

– Wygląda jak pan – szepnęła do inspektora.

– To ma być komplement?

– Może go pan tak potraktować. Mówicie to samo. To znaczy, kiedy pan milczy, jeśli wie pan, co mam na myśli. Telefon – dodała – miga. Na dwóch liniach. Chcą się z panem skontaktować.

– Cały czas chcą. Jestem zajęty.

– Dzwonią też w nocy? – dopytywała.

– Zdarza się. W szczególnych przypadkach, gdy nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu.

– Czy byłam takim przypadkiem? – zapytała Ragna.

Odepchnął telefon, by pokazać, że chwila z nią jest ważniejsza.

– Chciałaby pani być wyjątkowym przypadkiem?

Nie odpowiedziała, zaczerwieniła się z zażenowania.

– Odebraliśmy zgłoszenie wcześniej rano – przypomniał jej. – Byłem już na nogach, w pracy. Tutaj, w tym biurze, z Frankiem. Wtedy

też błyskało na kilku liniach. Zamrugało też na ekranach u dyżurnego policji, rozesłano wiadomość do wszystkich jednostek w pobliżu Kirkeliny. Innymi słowy, Ragna, to wezwanie przyciągnęło uwagę. Chociaż to nie pani dzwoniła.

Nie zwracała już uwagi na Franka. Wrócił na miejsce, zwinął się w kłębek i zasnął. To, co się wydarzyło, powód, dla którego tu siedziała, pojawił się w jej głowie jak obrazy na ekranie. Wspomnienia ją uciszyły. Czuła się tak chroniona w biurze Sejera, trzymana za zamkniętymi drzwiami i murem jego głębokiego głosu. Nie żeby zupełnie wyparła ten incydent, ale skupiła się wyłącznie na odpowiadaniu na pytania. Poprawnie i zgodnie z prawdą.

– Porozmawiajmy o czymś innym – powiedział Sejer. – Pewnego pięknego dnia, a może straszego dnia, w wieku szesnastu lat, musiała pani przekroczyć próg domu, w którym nadal pani mieszka, i powiedzieć rodzicom, że jest pani w ciąży. Było pani trudno?

– Nie – szepnęła z uśmiechem. – Nie miałam się czego obawiać. To była prosta wiadomość, zaledwie kilka słów. Położyłam ręce na brzuchu i powiedziałam, że spodziewam się dziecka. Za kilka miesięcy. Zapytałam, czy możemy zostać, bo jego tata mieszka w Sztokholmie i mówi, że nie ma dla nas miejsca. Oczy ojca zrobiły się ogromne i jasne jak nigdy. Mama poklepała mnie po policzku i powiedziała: „Oj Ragna, Ragna. Zaskoczyłaś nas, ale my ciebie chyba też”. Potem wszyscy się trochę roześmialiśmy, bo przecież urodzenie dziecka jest jednak sporym wydarzeniem.

– Ale na pewno martwili się, że to Walther Eriksson – powiedział Sejer. – Był po czterdziestce i miał już rodzinę.

– Nie powiedziałam im nic o Waltherze – stwierdziła.

– Ale pytali, prawda? Mieli zostać dziadkami.

- Moi rodzice byli rozważnymi ludźmi - szepnęła. - Byli pokorni i niezwykle wrażliwi. Hojni. Nigdy nie osądzali, nigdy nie wymagali. Mama pytała, czy jestem szczęśliwa, i byłam. To było wszystko, czego potrzebowała. Oboje zawsze troszczyli się o siebie nawzajem, ponieważ tata często chorował, a ja w końcu miałam mieć coś własnego. Ale rzuciła mi pytające spojrzenie, na które odpowiedziałam, zamykając tylko oczy i kręcąc głową. Wtedy zdała sobie sprawę, jak się sprawy mają. Ojciec dziecka, Walther, był nieistotny i nie było dla niego miejsca w naszym domu. Odtąd mieliśmy tam być we czwórkę, nikt więcej. Potem już o tym nie rozmawialiśmy. W naszym świecie jest tak cholernie dużo do omówienia - dodała - tyle się gada o wszystkim. Urodziłam dziecko. Cieszyli się, że jest zdrowe. Może zdali sobie sprawę, że to jedyny wnuk, jakiego kiedykolwiek będą mieli. Myślę, że uznali to za błogosławieństwo.

- Tak - przyznał Sejer. - Jest cholernie dużo gadania, zwłaszcza tutaj, na komisariacie. Do tej pory odnosiłem wrażenie, że chciałyby pani się wytłumaczyć. Jak inaczej moglibyśmy osiągnąć sprawiedliwość? A może uważa ją pani za pewnik?

- Ależ skąd! - Spojrzała na niego zaskoczona.

Zanotował coś i odłożył długopis.

- Jak zareagowali, gdy syn pojechał do Berlina i zerwał z panią kontakt?

- Mamy kontakt - podkreśliła. - Tylko niezbyt częsty. Rikard Josef ma ambicje życiowe i uważa, że łatwiej je zrealizować poza granicami kraju. Ludzie wyjeżdżają, niektórzy znacznie dalej niż on. Wielu nigdy nie wraca do domu. On jest wolnym duchem. Naprawdę wolnym duchem!

No i proszę, pomyślał, pierwsza oznaka irytacji, odkrył jej słabość.

– Zakładam, że ma pani jakieś jego zdjęcia – powiedział. – Z dzieciństwa. I być może również z czasów, gdy był nastolatkiem, zanim zaczął podróżować. Czy jest podobny do Walthera?

– Tak, tylko do niego. Nie ma nic po mnie. Ani jednej cechy.

– Jest teraz dorosły – przypomniał jej Sejer – i nie komunikuje się z tobą zbyt wiele, tylko za pomocą gotowych nadruków na kartkach. Nie masz żadnych jego aktualnych zdjęć?

– Nie – musiała przyznać. – Używam wyobraźni.

– Minęło wiele lat. Może jest bardziej podobny do pani, niż się pani wydaje? Czy chciałaby pani, żeby tak było?

– Powinien być wolny – powtórzyła. – Powinien wyglądać jak Walther.

– Wolny od pani?

Wpatrywała się w swoje dłonie złożone na kolanach. Nie chciała o tym rozmawiać. Fakt, że jej syn ją zostawił, był oczywiście trudny do zniesienia, Sejer wyczuwał jednak, że zaakceptowała to, wierzyła, że istnieje jakieś wyjaśnienie. Wyjaśnienie, którego nie chciała mu wyjawiać. A może myślała, że nie ma to nic wspólnego z jej przestępstwem, dlatego mogła zamknąć przed nim tę część swojego życia. Tylko że wszystko może mieć związek z tym incydentem. Zbrodnia, którą popełniła, była czymś niewyobrażalnym dla większości ludzi. Wszystko miało więc znaczenie.

– Chce pani, żebyśmy zmienili temat? – zapytał.

– Tak, proszę.

Przesunął karafkę z wodą w jej stronę. Zauważył, że zapominała się napić, a kiedy zasychało jej w ustach, trudniej było ją zrozumieć.

Piła długo, wreszcie nasyciła się i otarła usta. Obserwował drobne piegi na grzbietach dłoni i cienkich palcach bez biżuterii.

– Jeśli można spytać... – podjął uprzejmym głosem. – Kogo kocha pani najbardziej na świecie?

– Tatę – wyszeptała.

– Ale on nie żyje.

– Myśli pan, że przez to przestałam go kochać?

Sejer zdenerwował się na siebie. Kogo on sam najbardziej kochał? Elise, oczywiście, a ona też odeszła.

– A pani mama? – zapytał łagodnie. – Czy ona też zajmuje ważne miejsce w pani sercu?

– Martwiła się głównie o tatę... Była niedostępna.

– Masz do niej o to żal?

– Nie, skąd. Ja też byłam zajęta moim tatą, wymagał tyle uwagi. Był jak naelektryzowany. Wiesz, co mam na myśli? – dopytywała.

– Miał dużo energii?

– Sprawiał, że cały dom świecił. Ogrzewał każdy pokój. Ale czasami robił też zwarcie i wtedy robiło się ciemno i zimno.

Sejer znów coś zapisał.

– Na co był chory?

Zwlekąca z odpowiedzią, odwróciła wzrok.

– To było coś z jego układem odpornościowym. Był bardzo podatny na infekcje. Często trzymałam się na uboczu – wyznała. – Mama była wiecznie zajęta i dużo pracowała. Proszę, niech mi pan opowie o swoich rodzicach. Czy żyją?

– Nie chce pani rozmawiać o swoich rodzicach?

– Nie, teraz pogadamy o pańskich.

Zastanawiał się, co mógłby o nich powiedzieć. Oczywiście: że oboje nie żyją, że byli ciężko pracującymi i bardzo przyzwoitymi ludźmi o wysokim morale. Że byli surowi i staromodni, że zawsze wiele od niego wymagali. Nie pod względem kariery, tylko zachowania. Nauczyli go, jak zachowywać się w towarzystwie innych, właśnie to było dla nich najważniejszą formą edukacji. Niektórzy nigdy się tego nie nauczyli. Myślał o tych wszystkich elementach, ale postanowił powiedzieć coś innego.

– Moja mama hobbystycznie zajmowała się garncarstwem – zaczął. – Lepiła małe figurki z gliny. Kiedy wysychały, zabierała je do garncarza w mieście i wypalała, a potem robiły się czerwone, wiesz, jak terakota. Nigdy nie używała glazury. Kładła je na parapecie lub na półce i tak sobie stały, dla ozdoby. Cały nasz dom był pełen tych figurek.

– Były ładne? – zapytała Ragna.

– Były krzywe, pokręcone i brzydkie, nie miała talentu. Ale nic nie mówiliśmy, ani ojciec, ani ja, czerpała tyle przyjemności z tworzenia i może jej zdaniem były ładne. A może uspokajała się z miękką gliną w dłoniach. Człowiek ma prawo trochę się oszukiwać, prawda?

Przytaknęła z uśmiechem.

– Zachował je pan?

– Tylko trzy sztuki. Stoją u mnie w kuchni na parapecie.

– Mama, tata i dziecko – wyszeptała. – Jesteś jedynakiem, jak ja?

– Tak.

– Cieszyli się, gdy wstąpiłeś do policji?

Sejer uśmiechnął się szerzej niż zwykle, spoglądając najpierw na Ragnę, a potem na stół.

– Mój ojciec był nieśmiałym człowiekiem, który nigdy nie mówił zbyt wiele. Krótko skinął głową, gdy im powiedziałem, po czym szybko zniknął w innym pokoju.

– W innym pokoju? – Ragna otworzyła szeroko oczy. – Co on tam robił, zastanawiał się pan nad tym?

– Pewnie podszedł do okna, może też je otworzył. A potem stał i patrzył na ogród. Pewnie był dumny, chciał ochłonać. Mama wykorzystywała każdą okazję, by opowiadać o tym ludziom. Każdego gościa, który przychodził do naszego domu, witała tymi samymi słowami: „Przy okazji, czy wspominałam, że Konrad wstępuje do policji?”.

Ragna roześmiała się tak serdecznie, jak tylko potrafiła, a jej wątle ciało zadrżało.

– A pana mama zrobiła nową ceramiczną figurkę. Bardzo ładną.

– Zrobiła. Dużą.

– Teraz już ich znam – wyszeptała.

– A pani rodzice – zapytał – byli z pani dumni?

– Myślę, że tak – odpowiedziała skromnie. – Nie wiedzieli nic o tym, co miało się wydarzyć.

*

Zaczęła liczyć kroki.

Do pojemnika na śmieci przy drodze – czterdzieści osiem. Od domu do sklepu Irfana – sześćdziesiąt cztery, do przystanku autobusowego – sto pięćdziesiąt siedem. Liczenie dawało jej poczucie kontroli, to było jej terytorium i precyzyjnie je odmierzała. Idąc rano na autobus, dziwiła się, że liczba jest zawsze taka sama. Nigdy sto sześćdziesiąt osiem czy sto czterdzieści dziewięć. Patrzyła w dół na stopy

w małych butach i rozmyślała o tym, że jej kroki są tak precyzyjnie równe. Co by zrobiła, gdyby liczba się zmieniła? Oznaczałoby to, że straciła orientację, że jej ciało zostało wytrącone z naturalnego, miarowego rytmu, że życie przestało być bezpieczne. Że siły zewnętrzne wkrótce przejmą nad nią kontrolę. Szła teraz do domu z przystanku autobusowego, z torbą przewieszoną przez ramię, zakupy trochę ważyły. Wzięła ze sobą cztery paczki spiralnych fioletowych świec, mydło z koziego mleka i tani szampon do włosów. Rzeczy, które kupowała w Europris, były odnotowywane i potrącane z każdej wypłaty. Stała w niewielkiej odległości od swego podjazdu i rozejrzała się. Przed domem Teigen zauważyła ogromną ciężarówkę firmy transportowej, kilku dorosłych mężczyzn krzątających się i noszących pudła. Wychodzili ze starego domu, niemal identycznego jak jej, i wchodzili do niego z powrotem. Wkrótce, na długo przed Bożym Narodzeniem, Tajowie przywiozą wszystkie swoje rzeczy, stoły, krzesła i łóżka, a także, tak jak uprzedzał Olaf, stół do masażu. Prędzej czy później wpadnie na nich, być może w sklepie Irfana, i jak zwykle przy pierwszym spotkaniu, będzie musiała wywołać u nich zakłopotanie. Szepcząc swoje imię, z napiętym uśmiechem, który został starannie przećwiczony. Potem, jeśli tak potoczy się rozmowa, wyjaśni swój stan. Trwa to zwykle kilka sekund – i po wszystkim. To zawsze była dla niej sytuacja, w której czuła niepokój. Że też coś tak nieznającego mogło ją paraliżować do tego stopnia. Zobaczyła, że zasłony w salonie Teigen zostały zdjęte, a pokoje, które zaraz miały zostać opróżnione, wydawały się niezwykle jasne. Porównała je ze swoimi oknami: z ciemnym wnętrzem i nastrojowym oświetleniem. Mój dom, pomyślała i przyspieszyła kroku. Mój własny dom. Dotarła do podjazdu i otworzyła skrzynkę pocztową. Nie mogła sobie przypo-

mnieć, kiedy ostatnio była pusta. Teraz też coś w niej znalazła. Najpierw podniosła gazetę, a potem zwykłą kopertę z napisem „RIE-GEL”.

Szybko rozejrzała się na boki. Jeśli ktoś ją obserwował, to dobrze się ukrył. Spojrzała na sklep Irfana po drugiej stronie ulicy, w oknach paliło się światło. U Olafa zapalono tylko jedno słabe światełko, może ich nie było. A Teigen z naprzeciwka była w trakcie przeprowadzki. Drogą przejechał samochód, potem kolejny, podmuch wiatru porwał jej płaszcz. Odwróciła się i przekręciła kopertę w dłoni. Obok stał pojemnik na śmieci z ciężką pokrywą. Było oczywiste, że list tam trafi nieprzeczytany. Postanowiła go zignorować, list miał swoje miejsce między skorupami jajek i zepsutymi resztkami obiadu, też był zgnilizną. Zatrzasnęłyby pokrywę z taką siłą, że ekipa w domu Teigen mogłaby wziąć to za wystrzał z pistoletu. Potem szybko weszłyby do domu, pokonała czterdzieści osiem kroków, położyła na stole gazetę i z nikczemnym grymasem okazała pogardę osobie, która próbowała ją nachodzić. Zaczęłyby gotować. Grzechać garnkami i patelniami, trzaskać drzwiczkami szafek. Miała zamiar tupać po domu jak generał, przeczytać wiadomości. Miała ważniejsze rzeczy na głowie niż próby niepokojenia przez znudzonego, samotnego trolla. Na pewno nie miał przyjaciół, był typem osoby, która nic nie wносиła do otoczenia, kimś, kogo nikt nie chciał słuchać, nawet się do niego zbliżyć.

Gdyby tak zrobiła... Gdyby wyrzuciła nieprzeczytaną białą kopertę, jak mogłaby się uspokoić? Czy będzie siedzieć na krześle aż do zmroku, zastanawiając się, co to za nowa wiadomość? Czy miała leżeć w ciemności pod kołdrą, podczas gdy jej wyobraźnia szalała?

Nie, musiała być na bieżąco, musiała wiedzieć, co on planuje. Rozewać kopertę, przeczytać ją szybko i wrzucić wiadomość do kominka. Nawet jeśli część jej mózgu mówiła jej, że w pewnym sensie jest to równoznaczne z wpuszczeniem go do środka. Że pozwoli mu wsadzić stopę w drzwi i w końcu dostać się do niej. Mimo to rozewała kopertę, wzburzona i zaczerwieniona, wściekła i przestraszona jednocześnie. Kartka tego samego typu co ostatnio, złożona podwójnie, litery duże i proste.

TO JUŻ NIEDŁUGO.

Stała beczynn timer przez długi czas. Nagle ogarnął ją żal. Że była taką idiotką i przeczytała wiadomość. Zgniotła list w twardą kulkę, która miała dobrze się spalić. Potem poszła do domu, zamknęła się i wsadziła papier do kominka, obok położyła zapaloną zapałkę, zamknęła ciężkie drzwiczki i obserwowała skromny płomień przez szybę. Ogień pochłaniał papierową kulkę z imponującą prędkością. To cudowne, pomyślała, wszystko zniknęło w mgnieniu oka, po prostu skremowała go i całą jego istotę. Nic nie było tak niszczycielskie jak ogień. Włożyła do kominka dwa duże polana, by dodatkowo zaznaczyć swoją decyzję, i wpatrywała się w nie, dopóki nie zajęły się ogniem.

To może być sprawa dla policji, pomyślała później, kiedy w końcu najadła się, posprzątała po sobie i usiadła w swoim przytulnym fotelu. Ale oba listy zostały zniszczone, nie miała nic do pokazania. Na pewno nie będzie im się chciało tym zajmować, była jesień, panowały ciemności, ludzie trafiali do nich z całą masą gorszego gówna. Kobiety były maltretowane przez swoich mężów, dzieci bite, siły porządkowe miały dość roboty. A ten tutaj nie podniósł na nią ręki.

Poza tym uświadomiła sobie, że nigdy nie była skłonna do hysterii. Nie jest osobą, która angażuje ważne zasoby z powodu drobnostek, to poniżej jej godności. Uruchomiła zmywarę, próbowała usiąść przed telewizorem, ale znów pożałowała, że spaliła listy. Nadejdzie jednak i trzeci list, była o tym przekonana, i wtedy na pewno się nim zajmie.

Numer trzy, pomyślała, numer cztery i pięć. I co dalej, co dalej, gdzie to się skończy, dokąd zmierza? Czy może powinna poinformować wszystkich w okolicy, chociaż tylko słabym głosem, że jakiś szaleniec ją prześladowa? A może w ten sposób dałaby mu to, czego chciał? A jeśli faktycznie tu mieszka? Czego tak naprawdę chce? Jej lęków, jej życia? Może lepiej skulić się w kącie, podkręcić głośność telewizora, zasunąć zasłony i nie wpuszczać nawet odrobiny światła? Wstała i wyszła do przedpokoju, by sprawdzić, czy zamknęła drzwi i założyła łańcuch – który, nawiasem mówiąc, nie był zbyt solidny, można go było łatwo przeciąć szczypcami. Czasem, gdy wieczorem dzwonił dzwonek do drzwi, nie miała odwagi ich otworzyć. Ta granica przesuwała się z biegiem lat; na początku otwierała drzwi do dziesiątej, teraz była niespokojna już o ósmej, zwłaszcza w jesiennych ciemnościach. Większość ludzi, którzy przyjeżdżali samochodem, zatrzymywała się przy drodze i szła ostatnie kilka metrów w górę. Trudno było ocenić z daleka, czy na podjeździe jest miejsce, by zawrócić, zwłaszcza zimą. W kwestii odśnieżania była bezradna, szufla mokrego śniegu ważyła dla niej za dużo. Zwykle tworzyła tylko wąską ścieżkę do drogi, nigdy nie miała samochodu, starała się jak mogła, by odśnieżyć dojście do kosza na śmieci i skrzynki pocztowej. Zdarzało się też, że Olaf litował się nad nią i przejeżdżał przed jej domem swoją odśnieżarką Hondy. Ale w tym roku jak dotąd nie było

śniegu, tylko czarna ciemność i samotna latarnia przy podjeździe. Za każdym razem, gdy ją mijała, zauważała spróchniałe drzewo, zaatakowane przez termity. Prędzej czy później się przewróci, ale miała nadzieję, że nie za jej czasów, choć widziała, że z roku na rok chyli się coraz bardziej.

Zostawiła swój wygodny fotel i podeszła do okna. Zobaczyła Olafa i Dolly, szli w swoich jaskrawych, odblaskowych kamizelkach. Zauważyła z przyjemnością, że on zerknął na jej dom. Myślał o niej, była częścią jego wszechświata, tak jak on i pies byli częścią jej. Kontynuował spacer w kierunku domu Teigen, gdzie wciąż pracowali ludzie od przeprowadzki. Może powie kilka słów na pożegnanie, jej samej nie przyszło to do głowy, tak jak nigdy nie przyszłoby jej na myśl witanie nowych sąsiadów. Olaf oczywiście by to zrobił, przede wszystkim dlatego, że był ciekawski. To niesprawiedliwe z mojej strony, pomyślała, nie ma nic złego w angażowaniu się w sprawy innych, to ja jestem tchórzem. Aroganckim i obojętnym. Usiadła ponownie i pomyślała o pustych pokojach w domu Teigen. Jak zimno będzie, gdy wszystko zostanie załadowane na ciężarówkę, zakurzone i wyblakłe. Ściany pełne dziur, lampy, których nie da się zdemontować, świecące ponurym światłem, z kloszami pełnymi martwych much, tak jak u niej. Nie wyobrażała sobie nic bardziej przykrego niż opuszczony dom. Ściany zdradzają przeszłość. Światło wpada przez gołe okna i ujawnia zużycie, każdy krok na podłodze, każde drzwi, które były otwierane i zamykane, czasem z brutalną siłą. Zużyte progi, odbarwiona porcelana łazienkowa, której nie dało się już wybielić, gdzieś przymocowane lustro z brązowymi plamami. Jeśli między ścianami istniało coś pięknego, nie został po tym ślad. Tylko rozkład, zniszczenie, ciężkie dni. Tysiącletni szkielet również

miał do opowiedzenia historię o czyimś życiu, znacznie więcej niż pusty dom. Mężczyzna czy kobieta, młody czy stary, chory czy ranny. Sposób życia i dieta. Chcę być pochowana w ziemi, kiedy umrę, pomyślała Ragna, tak jak mama i tata. Mój szkielet będzie tam leżał ze wszystkimi ranami i nacięciami. To daje teoretyczną możliwość ponownego wykopania i zbadania. Szczątki kości byłyby dowodem na to, że żyła, potrzebowała takiego dowodu. Ogień oznaczał całkowite unicestwienie. Nigdy się stąd nie ruszę, pomyślała Ragna. Spojrzała na wszystko, co było jej drogie, obrazy, meble i dywany, poduszki na sofie, ułożone codziennie w dokładnie taki sam sposób, i ciepły, złożony koc. Wielkie zdjęcie jej rodziców z czasów młodości, kiedy byli Hansem i Signe i nie wiedzieli nic o tym wszystkim, co miało się wydarzyć. Pozując do zdjęcia, nie wiedzieli o Ragnie, ona jeszcze nigdzie nie istniała, była tylko okazją, którą postanowili wykorzystać, nie sądziła, by tego żalowali. Nie wiedzieli też nic o Rikardzie Josefie. Spojrzała na swoich rodziców i poczuła tęsknotę. Jak szczęśliwym można być przez kilka krótkich, nieświadomych chwil. Dbała o dom, nie wpadł w obce ręce. Widziała oczywiście, w jakim jest stanie, był stary. Jej rodzice nigdy nie zmieniali wystroju, nie mieli na to pieniędzy, a ona sama wymieniła tylko niektóre meble i kilka innych drobiazgów. Była tylko ona, skradała się cicho po domu, nikt nie przekroczył progu. No, Gunnhild przyszła raz, gdy Ragna zachorowała. Jakże mały jest mój świat, pomyślała. Niektórzy podróżują na drugą stronę globu, by spotkać nieznajomych. Inni organizują przyjęcia, na których hałasują, śmieją się i wznoszą toasty. Popisują się, publikują swoje zdjęcia online. Zwierzają się sobie, zdradzają sekrety. Pod wpływem tych myśli spojrzała w dół na swoje niezgrabne ciało. Powiesiła za duży zielony fartuch na krześle, pod spodem miała stary

sweter, który sięgał jej do kolan. Był dziergany maszynowo z syntetycznej przędzy i rozciągnął się po kilku praniach. Zastanawiała się, co pomyślał Rikard Josef, gdy otrzymał list, nieoczekiwany gest na tak długo przed Bożym Narodzeniem. Czy odebrał to jako prośbę o kontakt, oskarżenie, zaproszenie, czy pomyśli nad jakimś własnym gestem? Gdyby się okazało, że Hotel Dormero przynosi straty, a on został zmuszony do znalezienia innej pracy, czy poinformowałby ją o tym? Prawdopodobnie nie. Jeśli mu się nie udało, mógłby poczuć się zawstydzony i trzymać ją w niewiedzy. Ona sama poniosła porażkę, której się wstydziła. Ktoś skazał ją na śmierć.

TO JUŻ NIEDŁUGO.

Na oknie jej sypialni wisiała gruba, czerwona zasłona sięgająca podłogi. Wzdłuż dolnego brzegu biegła taśma z obciążnikami, dzięki której materiał był ciężki i piękniej się prezentował. Kiedy kładła się spać w nocy, otwierała okno, zarówno latem, jak i zimą; potrzebowała powietrza. Nie miało znaczenia, czy jest mroźnie. Lubiła leżeć pod kołdrą i wsłuchiwać się w świat na zewnątrz, czuć zimny przeciąg wpadający do środka. Czasami, jesienią, zdarzała się burza, a wtedy mały lasek za domem wydawał się napastnikiem, wiatr strzelał szyszkami i gałązkami w ścianę domu. Ragna miała czasem nadzieję na burzę. Lubiła, gdy natura się odzywała, walczyła. Nie podobał jej się pomysł, że to człowiek jest suwerenną i kontrolującą siłą. Jeśli słońce się wypali, jeśli morze zaleje ziemię i utopi każde małe stworzenie, to będzie dobry koniec. Poddałaby się temu, poddałaby się w pokorze. Łóżko znajdowało się tuż pod oknem. Czasami budził ją deszcz padający prosto na jej twarz. Czasami rano znajdowała na podłodze zwiędłe liście, które wpadły do pokoju, kilka razy

w zimie na listwie przypodłogowej leżał śnieg. Ubijała go wtedy w śnieżkę, wrzucała do toalety i obserwowała, jak się topi. Teraz stała przed oknem i rozmyślała. Dochodziła północ, za chwilę miała położyć się spać. Zdała sobie sprawę, że nie chce go otwierać, że od tej pory będzie odcinać się od świata i chronić przed wszystkim i wszystkimi, nawet przed naturą. Ułożyła czerwone zasłony tak, by ładnie opadały, wytrzepała poduszkę i wczołgała się pod kołdrę. Po chwili bezsennego leżenia zdała sobie sprawę, że niezwykle cisza ją niepokoi. Była przyzwyczajona do dźwięków samochodów na Kirke-
linie, jakiegoś pędu wszechświata. Otworzyła więc okno i wyjrzała na drogę, by sprawdzić, czy ktoś tam jest. Ale na ulicy nikogo nie zobaczyła, a w pustym domu Teigen było ciemno. Stąd nie widziała ani domu Olafa, ani sklepu Irfana. Za jakiś czas wprowadzi się rodzina z Tajlandii, zostaną jej nowymi sąsiadami. Ponownie położyła się twarzą do ściany. Chłodne powietrze, które teraz napływało do środka, działało na nią uspokajająco, a okno oczywiście musiało pozostać otwarte. Zmiana starych, utrwalonych nawyków z powodu kilku idiotycznych wiadomości od anonimowego durnia nie wchodziła w grę. Wciąż jednak dręczyły ją pytania. Co będzie zawierała trzecia wiadomość? Bo na pewno ją otrzyma. Usiadła w łóżku, skuliła się pod kołdrę i wsłuchiwała się w noc. Myślała o tym, jak wielki jest świat, z siedmioma miliardami ludzi, samochodami, statkami i samolotami, autobusami i pociągami, ogłuszającym, grzmiącym zgiełkiem. Ale nic nie słyszała. To było naprawdę dziwne, gdzie oni wszyscy byli, co robili, jak mogło być tak cicho w jej małym domku przy Kirkelinie, tylko dlatego, że była noc? Czy żyła w swoim własnym małym wszechświecie? Znow położyła się spać, zamknęła

oczy. Już wystarczy, Ragna, skarciła się surowo. Zimny przeciąg z okna zmroził jej kark.

Obudziła się po długim czasie, natychmiast pomyślała, że budzik nie zadzwonił i zasnęła. Podniosła się na łokciu i zdała sobie sprawę, że jest trzecia, a pokój jest cichszy i ciemniejszy niż kiedykolwiek. Była jednak zupełnie rozbudzona. Nie mogła zasnąć ponownie, nie była wcale zmęczona, nie chciała też wstawać o tej porze. Nasłuchiwała. Coś musiało ją obudzić, coś na zewnątrz, może jakieś zwierzę albo samochód, bo okno było otwarte. Albo przebudziło ją coś wewnątrz, może sen, choć żadnego nie pamiętała. Faktem było jednak, że zawsze spała dobrze, rzadko kiedy budziła się sama. To coś znaczyło. Zrezygnowanym ruchem odciągnęła kołdrę i postawiła stopy na podłodze, wychodząc do niewielkiej łazienki. Nie miała tam nic do załatwienia, ale musiała coś zrobić, przejść kilka kroków, przemyśleć parę spraw. Zapaliła światło nad lustrem i spojrzała na siebie, na swoją bladą twarz. Wypukła blizna na szyi była szczególnie widoczna w ostrym świetle, jak czerwony robak. Czuła się zdezorientowana. Czy powinna wrócić do łóżka, czy pójść do kuchni i zaparzyć sobie herbaty, usiąść na fotelu przy oknie, a czas niech sobie spokojnie sunie w stronę poranka?

Wybrała łóżko. Myślała o Rikardzie Josefie, który spędzał cały dzień na przemierzaniu cichych korytarzy, aby się upewnić, że wszyscy goście mają się dobrze. Albo stał w recepcji, rozwiązując małe i duże problemy, zawsze do usług, uprzejmy, uważny i poprawny. A ona leżała sama, bezsenna i bez głosu. Mimo że tuliła go i kołysała, gdy był mały, mimo że dała mu wszystko i zawsze trzymała go za rękę, odrzucił ją. Nie, przewróciła się w łóżku na drugi bok, on tego

nie zrobił. Wybrał karierę w innym kraju. Miał ambicje. W tym nowym życiu nie było dla niej miejsca, to, co wybrał, pochłaniało cały jego czas i energię. Co ona, Ragna Riegel, z pracą w sklepie Europris, z brzydkim stylonowym fartuchem i maszyną do oklejania cenami w rękę, i prostymi, nieskomplikowanymi zadaniami, wiedziała o pracy w pięciogwiazdkowym hotelu z gośćmi z całego świata? Nic. Jasne, że był pochłonięty swoją pracą, spoczywała na nim ogromna odpowiedzialność, trzeba było zadowolić wielu ludzi, także dosyć wymagających. Może i narzekali bez powodu, ale i tak musiał się uśmiechać, bez przerwy i bez końca. Duża odległość geograficzna między nimi pogłębiła przepaść. Pewnie nie miał zbyt wiele wolnego czasu, a gdyby miał, to nie poświęciłby go na lot samolotem. Ale pocieszała się jedną rzeczą. Ani razu nie zwrócił się przeciwko niej, nie zachował się w sposób, który sugerowałby, że jest rozgoryczony lub czuje się odrzucony. W żadnej kartce świątecznej nie zamieścił niczego innego niż przyjazne pozdrowienia. Wstała i podeszła do okna, odsuwając czerwoną zasłonę. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyła, że dom Teigen jest oświetlony. Dziwne. Dom był ciemny, kiedy kładła się spać, czy ktoś z tajskiej rodziny przyjechał w środku nocy i teraz błąkał się po pustych pomieszczeniach? Stała tak, wpatrując się przez dłuższą chwilę, sądziła, że prędzej czy później zauważy cień w jednym z okien. Albo coś innego, może znów zrobi się ciemno lub przeciwnie, zapali się więcej świateł. Nie widziała samochodu na tamtym podwórku, na zewnątrz paliły się latarnie, zobaczyłaby, gdyby ktoś zaparkował przed schodami. To znaczy, że dotarł tu pieszo. Spojrzała na budzik, było wpół do czwartej. Psia wachta, pomyślała. W jasno oświetlonym domu wciąż nie było cienia. Co za ludzie mieli się wprowadzić, kim byli jej nowi sąsiedzi? Tak jak ona

mogła mieć oko na ich dom, tak oni mogli obserwować ją. Zasunęła zasłonę i wróciła do łóżka. Fakt, że ktoś chodził po opuszczonym domu o tej porze, niepokoił ją przez długi czas.

*

Audun przyszedł do pracy na pełny etat. Nie potrzebował szkolenia, przez długi czas pracował w sklepie dla majsterkowiczów, był szybki, wydajny i dokładny. Cienką brodę zaplatał w warkocz, tak że zwisała jak kawałek linki, często chwycił za nią. Włosy miał spięte w kok na czubku głowy. Kiedy przychodził rano, kok był ciasny i błyszczący jak kasztan, ale potem zaczynał opadać w kierunku szyi, stopniowo rozluźniając się, aż przypominał bardziej koński ogon. Z ucha zwisał mu krzyżyk. Audun nie odzywał się niepotrzebnie, nauczył się tej samej techniki co Ragna, jeśli chodziło o trzymanie ludzi na dystans. Uśmiechał się, kiwał głową i ruszał dalej.

Ragna przez cały dzień miała ciężką głowę. Nie była przyzwyczajona do problemów ze snem; była tak zmęczona, że kręciło jej się w głowie. Kiedy jej zmiana wreszcie dobiegła końca, szybkim krokiem udała się na przystanek autobusowy. Powietrze było surowe, a zmierzch zamglony, słupy i znaki zdawały się unosić swobodnie. Audun szedł kawałek przed nią, widziała, że jest przygarbiony. Nie czekał na nią, odpowiadało jej to. Zastanawiała się, do czego wraca, czy ma w domu żonę i dzieci, był młody, miał zaledwie dwadzieścia lat. Wyobrażała sobie, że pewnie mieszka gdzieś w kawalerce, a większość dnia spędza albo w Internecie, albo słuchając muzyki. Black metalu lub czegoś podobnego. Tak właśnie wyglądali teraz, o zmierzchu, świadomi swojej obecności, a jednak ukryci za swymi

barierami. Oczywiście można było je przełamać, ale oni przestrzegali niepisanych praw.

Ragna zaczekała, aż on pierwszy wsiądzie do autobusu. Niestety usiadł na jej miejscu, trzecim po lewej, a na to nie była przygotowana. Miał przecież tak wiele wolnych miejsc, a wybrał to. Rozsiadł się wygodnie, pochylając się w stronę okna, jak i ona miała w zwyczaju. Była tak zdenerwowana, że stanęła w przejściu, nie mogąc wybrać innego miejsca. W jej życiu pojawiło się zupełnie nowe zmartwienie. A co jeśli zamierzał wybierać to siedzenie za każdym razem? Może on też coś w nim znalazł, poczucie przynależności, przekonanie, że siedzi w formie, która idealnie do niego pasuje. Usiadła wreszcie po drugiej stronie przejścia, gdzie czuła się bardzo niekomfortowo, niewygodą ogarnęła całe jej ciało. Obserwowała go stamtąd. Czubek jego włosów był taki dziwny. Z tyłu można by pomyśleć, że siedzi tam dziewczyna z cienką, białą szyją. Zastanawiała się, czy rozpuszczał kok, kiedy kładł się spać w nocy, i jak wtedy wyglądał. Spojrzała na tył autobusu, gdzie siedziało jeszcze pięcioro pasażerów. Przed nią było czworo – czyli razem dziesięć osób. Kierowca był oczywiście jedenasty. Wszyscy mieli kiedyś umrzeć. Oczywiście byli tego świadomi, ale nie dawali tego po sobie poznać. Dwie dziewczyny rozmawiały poufale, jedna pisała na komórce, Audun chyba słuchał muzyki, miał słuchawki w uszach, widziała biały przewód. Dlaczego śmierć nie była widoczna w ich kruchych ciałach, w ich jesiennie bladych twarzach, gdzie ją ukryli? Śmierć była ciemna i rozległa, ważyła dużo, a jednak żadne z nich nie wydawało się niczego nieść. Kierowca, jedenasty, prowadził ciężki autobus przez mgliste, ciemniejące ulice. Nie widziała jego twarzy, nie patrzyła też na niego, gdy wsiadała. Przypomniała sobie coś, co kiedyś przeczytała

u Edgara Allana Poeego, chyba, o omnibusie, który zabierał wszystkich pasażerów do królestwa śmierci. Niczego nie podejrzewając, wsiedli i wybrali miejsca, podczas gdy powoli, ale pewnie przenosili się do innego wymiaru. A jeśli dotyczyło to również tego konkretnego autobusu, jeśli kierowca, którego plecy widzieli tylko oni, zdażał na ostatni przystanek, z którego nigdy nie wróca?

Gdy ta myśl wykiełkowała w jej głowie, nagle poczuła się związana z innymi pasażerami w nowy sposób. Wspólnota przeznaczenia, której stała się zniecka częścią. Autobus warczał mocniej niż zwykle, pomyślała, silnik szarpał z większą siłą, ciemność na zewnątrz stała się gęstsza. Spojrzała na szerokie plecy kierowcy i zdała sobie sprawę, że nie ma on twarzy. Od tej pory przejeżdżał obok wszystkich przystanków bez zatrzymywania się. Nie pozwalając nikomu wsiąść ani wysiąść. Gdyby wstała z siedzenia i podeszła do niego z pytaniem, nie odpowiedziałby jej, nawet by na nią nie spojrział. Wszystko było przesądzone. Straciłaby równowagę, chwyciłaby się jednego z uchwytów przymocowanych do sufitu i zawisłaby tam, kołysząc się jak na szubienicy. Przeklinała Edgara Allana Poe i wszystkich innych pisarzy, którzy swymi opowieściami potrafili wywołać takie myśli w jej głowie wiele lat po ich przeczytaniu.

Audun wysiadł na placu w centrum. Skinął jej głową przy wyjściu, to było coś, odwzajemniła gest. Wymknął się przez syczące drzwi i pochłonęła go ciemność, był taki młody i szybki. Oczywiście, że był nieśmiały. Czowała do niego życzliwość z tego powodu, nie jest łatwo żyć w ten sposób, stale strzegąc swojego terytorium, stale żyjąc wśród ludzi, nie czując z nimi żadnego pokrewieństwa, nie chcąc być z nimi kojarzonym. Siedziała z policzkiem przy szybie i wyobra-

żała sobie, że zrozumiała, kim jest Audun, jak żyje, co ma, a czego nie ma, o czym marzy, czego się boi. Że po prostu patrząc na niego, na jego włosy, chód, głos i mimikę lub jej brak, mogła czytać w nim jak w otwartej książce. Że same jego ciemne, nijakie, znoszone ubrania mówiły jej, co uważał za ważne, a co za mniej ważne. Ale wszystkie jej przypuszczenia opierały się na uprzedzeniach, na tym, jak ludzie oceniają się nawzajem, przez całe życie. Jeśli nie podejmiemy do drugiego człowieka i nie porozmawiamy, pomyślała Ragna, będziemy myśleć w ten sam sposób, wyciągać wnioski, dokonywać osądów i błędnie kalkulować. Ale usiadł na jej miejscu. Dlaczego tam, skoro prawie wszystkie miejsca były wolne? Czy od teraz musiała wsiadać do autobusu jako pierwsza, za wszelką cenę, i dopilnować swego? Nagle pomyślała o Waltherze Erikssonie. Sposób, w jaki na nią patrzył, to przeciągłe, mądre spojrzenie. Rozumiał wszystko, kim była, czego pragnęła, o czym marzyła. Tej nocy wypła całą butelkę Peach Canei. Była łatwym łupem.

Kiedy autobus zatrzymał się przy Kirkelinie, wstąpiła do sklepu Irfana po kilka rzeczy.

– Robi się ciemno – zauważył, wskazując na nią. – Nie masz odblasków. – Skinął w stronę jej czarnego płaszcza. – Kierowcy cię nie zobaczą. Spójrz na Skiolda i jego psa, dbają o siebie. – Wskazał gestem dom Olafa.

Była zaskoczona i wzruszona jego troską. Czy naprawdę zależało mu na jej dobrym zdrowiu, czy ciężko by to przyjął, gdyby została potrącona? Musiała przyznać, że czasem zaniedbywała takie sprawy, ale wyjaśniła mu, że prawie nie chodzi jezdnią, tylko na krótkim odcinku od przystanku autobusowego do domu. Jego odruch klócił się również z głębokim pragnieniem, które w niej tkwiło. Chciała pozo-

stać niewidzialna. Zapakowała zakupy do białej torby, podziękowała mu i przeszła przez ulicę, spoglądając na dom Teigen, znów pogrążony w ciemności. Zdała sobie sprawę, że nie należy już do znanej jej osoby. Zatrzymała się przy skrzynce pocztowej i zawahała, wpatrując się w nią przez dłuższą chwilę. Czy nie wyglądała na cięższą niż zwykle, czy nie emitowała złowieszczej energii? Odetchnęła i otworzyła drzwiczki, w środku była tylko gazeta. Jednocześnie szybko obejrzała się przez ramię, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Była teraz odsłonięta, sama pod latarnią, widoczna w ciemności. Przypomniała sobie, że wiele lat temu stała pod inną latarnią, w parku miejskim, razem z Waltherem. Przeprowadzał się z rodziną do Sztokholmu. Zanim się odwrócił i odszedł, położył palec pod jej brodą i uniósł jej twarz w stronę światła.

W tobie, małeńka Ragno Riegel, nie ma wiele złego.

*

Sejer zauważał, jak jej twarz się rozjaśnia, ilekroć mówiła o Waltherze Erikssonie, jakby był dla niej życiodajnym światłem i natychmiast kierowała się w jego stronę. Miała tendencję do rumieńców, często z powodu drobiazgów. Ale Walther nie wprawiał jej w zakłopotanie. Musiała zyskać od niego coś ważnego, poczucie wartości, może nawet czuła się dla niego ważna.

– Czy bała się pani śmierci? – zapytał. – Kiedy stała pani w świetle latarni i otwierała skrzynkę pocztową?

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Całe to zamieszanie ze śmiercią... – odparła. – Nie wiem, o co ludziom chodzi, czy naprawdę chcą tu być na zawsze? Wielu umarło

przed nami, mają się dobrze. Nigdy nie słyszałam żadnych skarg z drugiej strony. – Uśmiechnęła się zawadiacko.

– Więc na czym polegał ten strach, który pani odczuwała?

– Bałam się, że stracę kontrolę nad swoim życiem. Że nigdy jej nie odzyskam, że będę musiała żyć jak więzień lub uchodźca. Przyzwyczaiałam się do zorganizowanego życia, w którym to ja decyduję o wszystkim, a teraz ktoś inny przejął tę rolę. Nie pomagała już pusta skrzynka pocztowa, dzień nie stawał się przez to lepszy, wszystko utknęło w martwym punkcie. Teraz czekałam, nie wiadomo nawet na co.

– Wyobrażała sobie pani trzeci list? Myślała pani o tym, co ta osoba może jeszcze napisać?

– Kiedy napisał, że niedługo umrę, wydało mi się to poważniejsze niż pierwsza wiadomość. Wiedział coś o przyszłości, miał jakieś plany. Chodziłam z uczuciem, że ma o mnie jakieś informacje, nie mogłam zrozumieć, co to jest.

– Miała pani coś na sumieniu?

– Na początku sądziłam, że nie. Ale potem zaczęło się pojawiać poczucie winy. Może słusznie ktoś wskazał mnie w tłumie i uświadomił mi, że zostałam zauważona? Że nie mogę się już dłużej ukrywać.

– Czy tego właśnie zawsze pani chciała? – zapytał Sejer. – Ukryć się?

Rozważyła to pytanie.

– Chciałam po prostu mieć spokój.

Telefon znów zamrugał, Ragna spostrzegła to, nastąpiła przerwa. To, że ktoś chciał skontaktować się z inspektorem, niepokoiło ją w jakiś sposób, tak jak wcześniej wiadomości w skrzynce pocztowej. Siedziała nieruchomo na krześle. Nie wyglądała na zmęczoną czy

przygnębioną, tylko na głęboko skoncentrowaną. Miała w sobie coś wyjątkowego, coś, co lubił. Szczerłość. Nie robiła z siebie lepszej, niż była, nie broniła się. Nigdy w życiu nie prosiła o wiele. Syn, którego urodziła, opuścił ją, gdy tylko stał się samodzielny. Nie oskarżała go, ale broniła.

– Co spodziewała się pani znaleźć w następnym liście? – zapytał ponownie.

Wzruszyła ramionami

– Spodziewałam się, że wyznaczy mi datę.

– Datę śmierci?

– To byłaby logiczna kontynuacja, nie sądzi pan?

– I co by pani zrobiła w takim przypadku? – zapytał. – Kiedy nadszedłby ten dzień?

– Niewiele – szepnęła. – Może zostałabym w domu i zamknęła drzwi. Ale i tak to co dzień robiłam. Pyta mnie pan o list numer trzy. A ja często myślałam o liście numer sto. Wyobrażałam sobie, że do tego czasu groźby już dawno stracą moc. Miałam niemal nadzieję, że będą napływać, żebym mogła się z nich śmiać, uważać je za bzdury, a na niego patrzeć jak na tchórza, który tylko gada, a nic nie robi. Jak każdy, kto pisze do innych anonimowo, odważny tylko w słowach. Dwie krótkie wiadomości, a potem cisza, to byłoby trudniejsze do zniesienia, trudniejsze do rozszyfrowania. Ale myślałam o wielu dziwnych rzeczach. Jeśli umrę, to umrę, to mi często przychodziło do głowy, obojętnie, czy dziś, czy za trzydzieści lat. Ale zrobiłam się rozkojarzona i zauważyli to w pracy.

– Proszę mi opowiedzieć, jak to zauważyli.

– Myliłam się przy oznaczaniu cen. Było za dużo lub za mało zer. Ludzie podchodzili do kasy i pytali, czy naprawdę sprzedajemy opie-

kacz do kanapek za dwadzieścia koron.

– Czy spędza pani dużo czasu online?

– Czasami. Czytam trochę tu i tam, oglądam filmy na YouTube i różne śmieszne rzeczy. Ale nigdy zbyt długo. Może pół godziny, potem się nudzę.

– Facebook?

– Nie.

– Dostawała pani jakieś anonimowe telefony lub esemesy z pogroźkami?

– Nigdy.

Sejer pozwolił sobie na chwilę ciszy. Długo zastanawiał się nad tym, co zwykle sygnalizuje szept, jeśli nie jest się Ragną Riegel, której lekarz przeciął struny głosowe skalpelem. Wielu ludzi ściszało głos ze strachu. Albo gdy chcieli wyjawić jakiś sekret, czasem też gdy nie chcieli komuś przeszkadzać, na przykład śpiącemu dziecku, albo gdy w pobliżu znajdował się wróg i bali się, że zostaną odkryci. Ragna szeptała zawsze. Zdał sobie sprawę, że zaczyna mu się to podobać, ta jej wielka cisza, ta ostrożność. Szept sprawiał, że była powolna i rozważna, musiała dać się zrozumieć. Ważyła słowa, planowała je, formowała ustami i językiem, używała mięśni twarzy. Nie widział u niej uzalania się nad sobą ani żadnych oskarżeń, nie byłaby w stanie krzyczeć na niego przez biurko. Gdyby chciała sprawiać kłopoty, musiałaby przewracać meble. Niefortunna operacja dodała jej godności.

Zapytał, czy spała, a ona odpowiedziała, że tak.

Początkowo leżała nieruchomo przez długi czas i słuchała hałasu na zewnątrz aresztu, a był on znaczny. Słyszała też pociągi, wyjaśniła, przejeżdżały niedaleko. Powiedziała, że po raz pierwszy od

dłuższego czasu poczuła się bezpiecznie; w celi nikt nie mógł jej dosięgnąć. W rezultacie spała najlepiej od dawna. Kiedy się obudziła, wciąż miała to samo poczucie bezpieczeństwa. Ci, którzy jej pilnowali, chronili ją; wszystko, co działo się na ulicach, wydawało jej się chaotyczne i zagmatwane. Nigdy nie słyszała innych więźniów, nikt nie krzychał w nocy. Nikt nie otwierał drzwi jej celi, by dostarczyć pocztę.

– Potrzebuje pani czegoś? – zapytał Sejer. – Ubrań czy innych rzeczy?

– Nie podoba się panu mój strój, rozumiem. – Uśmiechnęła się kpiąco. – To mój uniform z Europris.

– Nie zdejmuję go pani po powrocie do domu? – dopytywał.

– Lubię go – wyjaśniła – lubię duże kieszenie. Uniform jest dowodem na to, że pracuję, a nie żyję z zasiłku. Jestem niepełnosprawna, ale udało mi się to przezwyciężyć.

– Co zwykle nosi pani w kieszeniach?

– Odebrał pan już wszystkie telefony? – przerwała mu. Na aparacie nie migwały żadne światła.

– Tak.

– Czy chodziło o mnie?

– Niektórym tak. Przeszkadza to pani?

Wzruszyła ramionami.

Sejer patrzył na kobietę siedzącą po drugiej stronie biurka i przypomniał sobie, że pierwsze wrażenie minęło. Te krótkie sekundy, kiedy jego mózg wyciągnął pochopne wnioski. Niezgrabna i chuda w brzydkim fartuchu. Oczy i włosy nieokreślonego koloru. Teraz poszedł dalej, wrażenie powoli się zmieniało. Biała skóra z kilkoma widocznymi żyłkami przywodziła mu na myśl marmur. Jej brwi, cien-

kie jak kocie wąsy, również prawie bezbarwne. Jej przezroczystość, kobiecość i bezbronność sprawiały, że wyglądała jak elf z bajki. Oczywiście była piękna, gdy miała szesnaście lat, zdawał sobie z tego sprawę i Walther Eriksson też to dostrzegł.

– Więc... co zwykle pani trzyma w kieszeniach fartucha? – powtórzył pytanie.

Zrobiła zdziwioną minę. Inspektor zadawał wiele dziwnych pytań, zakładała jednak, że ma jakiś plan, podobało jej się to, że schodzi z utartych szlaków.

– Klucz do toalety dla personelu. I do kasy. Balsam do ust. Kórkę, żeby można się było ze mną skontaktować, nie szukając po całym sklepie. Scyzoryk do otwierania kartonów, paczkę dropsów miętowych. Recepturki. Spinacze i taśmę klejącą. Teraz moje kieszenie są puste. Ale dobrze jest włożyć tam ręce, aby pozostały na miejscu. Dobrze jest mieć czym zająć ręce. Nic dziwnego, że ludzie palą.

– Czy chce pani, abyśmy skontaktowali się z pani synem? – zapytał nagle.

Pytanie ją zaskoczyło. Nie mogła odpowiedzieć, nie wiedziała też, czego chce. Syn, mój Boże, wszystko, co było, wszystko, czego nie wiedział. Mogła tylko złapać podłokietniki krzesła i trzymać się mocno.

– Niełatwo go złapać – odparła. – Szczerze mówiąc, nie wiem, co on robi.

– Nie udało pani się z nim skontaktować?

– Tej jesieni nie.

– Jak pani myśli, co mogło się stać?

– My, matki, mamy bardzo bujną wyobraźnię, jeśli chodzi o nasze dzieci – szepnęła.

– Tak jak i ojcowie – odparł Sejer. – Czy powinienem zacząć jakieś śledztwo? I tak nie będziesz w stanie ukryć przed nim tego, co się stało. Możemy postarać się powiadomić go w delikatny sposób. O tym, że tu siedzisz. Tym, dlaczego tu siedzisz, zajmiemy się we właściwym czasie.

Rozluźniła uścisk na podłokietnikach.

– Najlepiej dla Rikarda Josefa będzie żyć w niewiedzy – powiedziała. – W błogiej niewiedzy.

– Ale czy masz coś do stracenia? – zapytał.

– Kartki świąteczne – wyszeptała. – Anioły.

*

Ktoś przysłał jej list. Nie taki, jakiego się obawiała, to było coś innego, spora koperta z pełnym adresem i nazwiskiem. Został nadany w Berlinie. Stała przy skrzynce pocztowej, zamarła pod latarnią uliczną, przyciskając list do piersi, w duszy wiwatując z radości i ulgi. Potem pokonała czterdzieści osiem kroków do domu szybciej niż zwykle, zerwała płaszcz i położyła list na stoliku. Duży, biały i piękny, leżał tam i czekał. Chciała go zachować, chciała delektować się tą chwilą. Dostałam list od syna, pomyślała, dyrektora. Chce czegoś ode mnie. Drżała z ekscytacji, od stóp do głów. Oczywiście musiała wspomnieć o tym w pracy następnego dnia, inni nieustannie rozmawiali o swoich dzieciach. Teraz przyszła kolej na nią, jej syna i jego karierę. Zatrzymała się u Irfana i kupiła trochę jedzenia, słoik marynowanej dyni, habanero, ząbki czosnku w słoikach i kilka ostrych sosów. Wypakowała zakupy na kuchennym stole. Miała przygotować posiłek, który będzie palił, najpierw w ustach, a potem aż do żołądka. Dolała wody do ekspresu do kawy. Rikard Josef nie przy-

słał małej kartki. To był prawdziwy list, po kopercie poznała, że zawiera więcej niż zwykle. Miał jej coś do powiedzenia, coś wielkiego, coś, czym chciał się z nią podzielić. Czy to możliwe, że po raz pierwszy od wielu lat znalazła w nim ziarno troski o jej samopoczucie? Czy wyczuł, że coś się dzieje, gdy otrzymał jej list, mimo że nic takiego nie napisała? Czy był tak wrażliwy, że czytał między wierszami? Tak jej się wydawało. A może pisał, aby zaprosić ją do Berlina, może chciał razem świętować Boże Narodzenie, spacerując pod ramię po Unter den Linden, pośród białych płatków tańczących w powietrzu. Podekscytowana usiadła z listem na kolanach. W przesyłce było jednak coś, co ją zaniepokoiło, coś niezwykłego, nie potrafiła określić, co to było. Nie mogła też znaleźć adresu zwrotnego, ale wielu ludzi to zaniedbywało, ona sama zawsze była skrupulatna. Nie rozpoznała też pisma, teraz rzuciło jej się to w oczy. Nie znała przecież nikogo w Berlinie poza synem. Rozerwała kopertę i wyciągnęła zawartość, wgapiała się w nią. Wewnątrz dużej koperty znajdowała się mniejsza. Rozpoznała nazwisko syna i adres na Landsberger Allé napisany własną ręką. Zobaczyła też niebieski stempel z dwoma słowami. „Adresat nieznany”. List, który wysłała, został zwrócony. Była tak rozczarowana, że wstała z fotela i zaczęła chodzić po pokoju, rzucając zrozpaczone spojrzenia na kopertę. Była sama w domu. Nikt jej nie widział, nikt jej nie słyszał, a jednak miała dziwne wrażenie, że ktoś stoi w kącie i śmieje się z niej, drwi, szydzi. Święta Bożego Narodzenia w Berlinie, co za bzdura! Co miała zrobić, co miała myśleć i w co wierzyć? Adresat nieznany. Mieszkał tam przecież od lat.

Na początku chciało jej się płakać. Ale wzięła się w garść i zaczęła myśleć racjonalnie. List został zwrócony, w porządku. Więc się przeprowadził. I co z tego, zdała sobie sprawę, ludzie przeprowadzają się

cały czas. Irfan przeprowadził się z Turcji na Kirkelinę, rodzina Soi przeprowadziła się z Tajlandii do domu Teigen. Jej syn wyprowadził się z Landsberger Allé. Nie ma się czym martwić. Ponownie usiadła i przyjrzała się własnemu pismu, było całkiem ładne, schludne i łatwe do odczytania, z pięknymi, wąskimi pętelkami. Mimo to zarumieniła się ze wstydu. Przyjazne pozdrowienie, delikatny znak życia, który wysłała w świat, został odrzucony, jakby dała prezent, którego nikt nie chciał. To było żenujące. Czuła się odtrącona. Nie chciała, by ktokolwiek wiedział, że jest osobą, której nikt już nie akceptuje. Przez chwilę rozważała otwarcie koperty i ponowne przeczytanie listu, prostego i niewinnego pozdrowienia, które po prostu do niego nie dotarło. W jej głowie odezwały się teraz dwa głosy, jeden zranny i przygnębiony, drugi rygorystyczny i rozsądny. Zwrot oznaczał, że poczta w Berlinie wykonała swoją pracę. Odesłali jej list po zbadaniu skrzynki pocztowej jej syna, nowego adresu nie znaleźli. Pozostawała tylko jedna rzecz. Spalić list w kominku. Na znak, że nie może się już z nim skontaktować. Może już nigdy go nie złapie, jej myśli były czarne jak spalony papier, gdy ogarnęły je płomienie. Jej umysł również rozpadł się i zamienił w popiół. Zatrzasnęła mocno drzwiczki kominka, zbierając się w sobie. Za jakiś czas, w grudniu, miał wysłać zwykłą kartkę świąteczną, w niej wspomniałby, że się przeprowadził. Wyjaśniłby też dlaczego, podałby jej nowy adres, żeby mogła odpisać. Nic takiego strasznego. Co z niej za czarnowidzka! Może założył rodzinę i potrzebował więcej przestrzeni. Chciała wypić swoje espresso, nie było już gorące, czarne i lepkie zebrało się na dnie filiżanki. Jej głowa była pusta, pokoje śmiertelnie ciche, czyż nie były też dziwnie obce, czegoś w nich brakowało, czegoś, o czym zapomniała. Zaczęła się zastanawiać, czy w jej głowie

nie dzieje się coś złego, ale na nic nie wpadła. Włączyła telewizor i obejrzała wiadomości, głosy i obrazy zatrzymały ją, w końcu znów się uspokoiła. Dopiero po dłuższym czasie zdała sobie sprawę, że nie przygotowała pikantnego posiłku, który zaplanowała. Na myśl o zakupach natychmiast zgłodniała i poszła do kuchni. Spojrzała na dom Teigen, w oknach paliło się światło. Nie, to nie był dom Teigen, musiała przyzwyczać się do rodziny Soi. Prędzej czy później spotka ich na drodze. Może będą zażenowani, gdy usłyszą jej szept, może wycofają się, a potem będą jej unikać. Albo podejną bliżej, by wsłuchać się w to, co mówi, słuchać uprzejmie i uważnie, dać jej czas. Nigdy nie wiadomo.

Po posiłku usiadła na fotelu, senna. Za każdym razem, gdy jej podbródek opadał na klatkę piersiową, podrywała się. Myślała o synu. Wyobrażała sobie, że otrzymał oszałamiającą ofertę z Johannesburga, w luksusowym hotelu. Może jego umiejętności jako menedżera hotelu stały się słynne. Wieść się rozniosła, a on opuścił Berlin, poleciał go jakiś łowca głów. Przecież nawet jako nastolatek mówił o Afryce Południowej z blaskiem w oczach. Wyraźne, uspokajające obrazy przemykały przed jej oczami, personel hotelowy w białych uniformach, ogrody z egzotycznymi kwiatami, ogromne baseny z lśniącą błękitną wodą. O prowadzeniu takiego hotelu marzył przez całe życie, przez wiele lat ciężko na to pracował. Teraz marzenie wreszcie się spełniło. Negocjacje trwały od dłuższego czasu, dlatego nigdy nie zaprosił jej do Dormero. Chciał poczekać, aż ta nowa posada zostanie dopięta. Nie mogła wykluczyć, że wyśle telegram. Ta myśl obudziła ją, usiadła przed komputerem, wyszukała luksusowe hotele w Johannesburgu. Oczywiście hotel nie mógł mieć mniej niż

pięć gwiazdek, nie byłby w stanie zejść ze standardu. Najpierw znalazła Radisson Blu, ale to był nudny hotel biznesowy, jej syn miał większe ambicje. Może Hotel Michelangelo albo Residence Boutique. Ostatecznie zdecydowała się na Intercontinental. Na zdjęciu zdecydowanie wyglądał na miejsce, które syn by wybrał. W myślach była już w recepcji. Może przy wejściu stał na straży wypchany lew. Chyba potrzebowała wizy, aby wjechać do tego kraju, albo szczepień, wiele rzeczy musiała zorganizować. Kiedy wreszcie napisze i ją zaprosi. Doszła do siebie i złapała przebłysk własnego dziecięcego marzenia. Wstała i wyłączyła komputer, czując ciepło w głowie. Dobrze, że nikt nie może czytać w jej myślach.

*

Dzień po dniu siedziała przy kasie w Europris i przyglądała się ludziom. Jak zwykle sprawnie posługiwała się wzrokiem i wylapywała wszystkie szczegóły, aureę, blask lub jego brak. Od czasu do czasu wyczuwała zapach perfum albo dymu papierosowego. Ale najbardziej zajmowały ją głosy, bo swój przecież straciła. Jakże były różne! Jasne i ciemne, ochryple i ostre, słodkie i miękkie, niewyraźne, płaskie lub śpiewne. Mówili, kiedy musieli, albo mówili bez celu. Ona robiła kiedyś to samo. Jej dziecięcy głos, ten, który sprawiał, że ludzie przez telefon prosili o dorosłego. Może powinna była odpowiedzieć, że jej dorośli od dawna nie żyją.

Nagle stanął przed nią młody mężczyzna, domagając się uwagi. Był ubrany w czarny garnitur, pod marynarką zobaczyła białą koszulę. Przez cały dzień widziała tylko ludzi w kurtkach i dżinsach, a tu nagle klient w wieku może trzydziestu lat, schludnie i odświeżenie ubrany w koszulę i krawat, z prostymi, ciemnymi włosami. W zu-

pełnie zwyczajny dzień powszedni. Zastanawiała się, dlaczego tak ubrany mężczyzna zawędrował do Europris w środku dnia, kiedy jego miejsce było na eleganckim przyjęciu. Ślubie. Bierzmowaniu. Albo pogrzebie. Nikt nie ubierał się tak na co dzień, chyba że miało to coś wspólnego z jego zawodem. Może pracował w zakładzie pogrzebowym, a teraz miał dziesięć minut wolnego między chwilami powagi. Może na zewnątrz stał zaparkowany karawan. Nieboszczyk nie zauważyłby, że kierowca zniknął. Był chudy i blady, prawie tak jak ona, wydawał się rozgorączkowany, miał coś do zrobienia. Agent nieruchomości, pomyślała, zawsze odpowiednio ubrany. Albo, uśmiechnęła się do siebie, agent Secret Service. Tajny agent. Zdał sobie sprawę, że na niego patrzy, uśmiechnął się do niej, położył towar na taśmie. Kupił kilka narzędzi, młotek, małą piłę, taką do cięcia metalu, i kilka śrubokrętów różnych rozmiarów. Zdaniem Ragny nie wyglądał na złotą rączkę, ale oczywiście miało to coś wspólnego z jego czarnym garniturem. Wyciągała głupie wnioski, jak zwykle. Gdy towary przesuwają się na taśmie, poczuła się obserwowana. Zdała sobie sprawę, że szukał czegoś w jej twarzy, może w oczach, jakby chciał czegoś więcej, niż tylko zapłacić za zakupy. Zebrał swoje narzędzia do torby, grzechocząc jej zawartością mocno i stanowczo. A potem, rzucając jej ostatnie spojrzenie, zniknął. Myślała o nim przez resztę dnia.

Oczywiście mogłaby znaleźć nowy adres Rikarda Josefa w biurze numerów międzynarodowych. Myślała o tym, siedząc w autobusie do domu, po prawej stronie przejścia, z policzkiem przy oknie. Audun po raz kolejny wsiadł pierwszy i po raz kolejny siedział na jej miejscu. Wiedziała, że musi coś zrobić, ale nie miała pomysłu, co by to

mogło być. Siedzenie, które musiała zająć, wydawało się zbyt duże dla niej, może zostało stworzone dla kogoś innego. Pomyślała o swoim zaginionym synu. Każdego dało się namierzyć, znalezienie go zajęłoby jej kilka minut. Coś mogło się wydarzyć, coś, co wymagałoby pilnego kontaktu z nim. Co może się stać, pomyślała natychmiast, w moim życiu nic się nie dzieje, nic poza tymi śmieciami w skrzynce pocztowej. Ale mogę zachorować. Może będę miała wypadek, może dom spłonie. Czy on w ogóle przyjdzie na mój pogrzeb? – zastanawiała się, teraz już bliska rozpacz. Musiała jednak za wszelką cenę dowiedzieć się, gdzie wysłać doroczną kartkę świąteczną. Nadal nie chciała go oskarżać, czuła jednak, że ma jakieś prawo wiedzieć, gdzie jest. Gdzie śpi, je i pracuje, czy jest zdrowy. Jak tylko znajdzie nowy adres, wyśle mu kolejny list, żeby miał świadomość, że dowiedziała się o przeprowadzce. Mogła oczywiście zadzwonić do Dormero, wiedzieli na pewno, gdzie go szukać, ale nie uśmiechała się jej perspektywa o szeptaniu przez telefon, z jej mierzonym angielskim, może pod niewłaściwym wewnętrznym. Nigdy nie miała prywatnego numeru syna, po prostu tak wyszło. Teraz musi go poszukać. Przynajmniej mogłaby wysłać esemesa. Wiadomość dotarłaby do niego z delikatnym dźwiękiem, pluśnięcie kropli wody, pomyślała, krótka melodia lub gwizd. Na swoim telefonie wybrała pierwsze cztery nuty z Symfonii Losu.

Wiatr uderzył ją w twarz, gdy tylko wyszła z autobusu i pospieszyła w kierunku domu. Olaf i Dolly szli w żółtych kamizelkach, sąsiad podniósł rękę i pomachał. Jak zwykle była zajęta liczeniem własnych kroków, pozdrowienie wyrwało ją z tego rytuału.

- Poznałaś ich już? – zapytał, ruchem głowy wskazując dom Soi.
- Nie. Ale ty pewnie tak?

Oczywiście, że już ich poznał, mógł jej więc donieść, że zarówno dorośli, jak i dzieci są wyjątkowo mili, przyjaźni i uśmiechnięci. Jak większość Tajów. Słońce świeci, gdy tylko otworzą usta.

– Zadzwońeś do ich drzwi? – dopytała Ragna.

– Tak, rozmawialiśmy. Stałem tylko w drzwiach, długo gadaliśmy. Ale zajrzałem do domu, mają takie egzotyczne meble.

– A co ze stołem do masażu, widziałeś go?

Uśmiechnął się szeroko.

– Myślę, że jest w piwnicy. Ale na pewno położę się na nim jeszcze przed świętami. Mam strasznie sztywny kręgosłup – narzekał, krzywiąc się w udawanym dyskomforcie. – Może znajdzie się tam dla mnie też coś lepszego – dodał. Nagle zmienił wyraz twarzy na taki, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. Jego słowa sprawiły, że poczuła się niepewnie. Nie był przecież tego rodzaju mężczyzną! Przyzwyczaił ją do ciepłego uśmiechu za każdym razem, gdy żartował. Zamiast tego teraz wyglądał na zamyślonego, jakby coś planował lub wpadł na świetny pomysł.

Powiedział coś o ciemnościach i wietrze. Miał na sobie dzianinową czapkę i grube rękawiczki, w kurtce puchowej wyglądał na dużego, ale taki nie był.

– Nieszczęścia dnia jeszcze nie nadeszły – rzucił, kiwając głową w kierunku jej skrzynki pocztowej.

– Co? – wyszeptała. – Nieszczęścia dnia?

– Gazeta – wyjaśnił. – Zadzwońełem do nich. Nikt przy Kirkelinie nie dostał dziś gazety, coś się pomieszało. Choroba, awaria silnika i nie wiem co jeszcze.

– Nie będę mogła przeczytać nekrologów – stwierdziła Ragna, przyglądając mu się uważnie.

Bo gdyby to Olaf przepowiedział jej śmierć, zobaczyłaby to w jego oczach, jak iskrę, gdy żelazo mocno uderza w żelazo.

– Będziemy musieli zadowolić się tymi zgonami, o których powiedzą w wiadomościach – odparł. – Ja nie jestem taki ważny, że tak powiem.

– Ja też nie.

Uśmiechali się do siebie jak dobrzy sąsiedzi.

Otworzyła skrzynkę pocztową i zajrzała na dno. Żadnej gazety, tak jak powiedział Olaf, tylko biała koperta. RIEGEL. Stała z nią w ręku, gdy Olaf i Dolly zniknęli w ciemności. Zachwiała się, zrobiło jej się słabo. Koperta wyslizgnęła jej się z ręki i upadła na zamarzną ziemię. Położyła na niej but i wdepnęła w żwir, biały papier zmiał się i zawilgotniał. Podniosła list i obejrzała się przez ramię, wypatrując Olafa i Dolly, których żółte kamizelki podskakiwały i tańczyły z każdym krokiem w świetle przejeżdżających samochodów. Potem szybko weszła do domu i zamknęła się na klucz. Szarpnęła drzwi gwałtownie, położyła list na kuchennym stole. Za każdym razem, gdy otwieram kopertę, on wygrywa, pomyślała. Zdjęła płaszcz i buty, ignorując list, brudny, z wyraźnymi śladami buta. Otworzyła lodówkę i zajrzała do środka. Nie było w niej zbyt wiele, ale teraz, rozebrana, nie chciała już iść do sklepu Irfana po drugiej stronie ulicy. Znalazła jajka i postanowiła zrobić omlet, na razie zostawiając list tam, gdzie go odłożyła. Pozostanie tam przez jakiś czas, dopóki nie straci swojej mocy. Miała ważniejsze rzeczy do zrobienia. Zje kolację i wyśledzi swojego syna, wyśle miłe pozdrowienia na jego nowy adres. Potem podejmie decyzję. Czy powinna otworzyć anonimową wiadomość, która była numerem trzy w serii, czy też powinna po-

drzeć ją na strzępy i spuścić w toalecie, by zagrożenie trafiło do ścieków, gdzie jego miejsce, i stało się pożywieniem dla szczurów.

Ubijała jajka z wielką energią, widelec uderzał wściekle o szklaną miskę, a następnie wlała mieszaninę na patelnię. Stała i patrzyła, jak bulgocze. Nie jadła dziś przy kuchennym stole, usiadła w salonie i szybko pochłonęła prosty posiłek. Odsunęła się od stołu i uruchomiła komputer, wstukała adres biura numerów międzynarodowych. Rikard Josef Riegel, Berlin. Nie mogło być wielu ludzi o tym nazwisku, nawet w dużym mieście. Ku jej przerażeniu wynik pojawił się natychmiast. Nie znaleziono wyników. Wpatrywała się bez zrozumienia w ekran. Pod spodem była kolejna wiadomość: Riegel, trzydzieści pięć trafień. Ale nie było Rikarda Josefa. Mógł oczywiście wyprowadzić się z miasta do hotelu w Johannesburgu, tak jak fantazjowała. Postanowiła poszukać ponownie, dodając stary adres na Landsberger Allé, gdzie zawsze mieszkał. I tam znalazła jego nazwisko, jakby nic się nie stało. Nic z tego nie rozumiała. Albo tam mieszkał, albo nie. List został zwrócony. Musiał przeprowadzić się całkiem niedawno, pewnie nie został jeszcze zarejestrowany pod nowym adresem. Albo poczta w Berlinie, albo biuro numerów się pomyliły. Takie błędy musiały się zdarzać. Im większe miasto, tym więcej pomyłek. Może powinna wysłać kolejny list na zwykły adres, tak dla pewności, prawdopodobnie był to jednorazowy przypadek. Zaczęła szukać numeru telefonu, ale również bezskutecznie. Był zastrzeżony, z powodów, których nie знаła. Siedziała zamyślona przez długi czas. W końcu przypomniała sobie o liście na kuchennym stole. Dobrze było mieć to już za sobą. Mógł coś planować, a ona musiała być przygotowana. Jestem już prawie jak jego niewolnica, pomyślała, wstała, przyciągnęła kopertę do siebie i rozerwała ją.

OBSERWUJĘ CIĘ.

*

– Zastanawiałam się, czy to zagrożenie jest gorsze od poprzedniego – wyjaśniła Ragna – ale tak nie było.

– Dlaczego nie było gorzej?

– Spodziewałam się daty. Informacji, że umrę w przyszłym tygodniu. Albo już tej nocy, albo następnego ranka. Ale dostałam coś innego. Wiedziałam już przecież, że mnie obserwuje, czułam to od pierwszego listu. Że śledzi każdy mój ruch. Udawałam, że uśmiecham się drwiąco. Już się powtarzał, więc wzruszyłam ramionami. Kiedy wychodziłam na ulicę, rozglądałam się uważnie, ale nie odczuwałam już takiego niepokoju jak wcześniej, kiedy otwierałam skrzynkę pocztową. Wielu ludzi żyje z niepokojem i rozpaczą. Mogłam więc żyć z jakimś idiotą, który dużo gadał, a niewiele robił.

– Marzyła pani o przyłapaniu go na gorącym uczynku? Pochyłego nad skrzynką pocztową z listem w ręku?

– Tak było – przyznała.

– Co by pani wtedy powiedziała?

– Jedyłą ripostą, jaką miałam dla niego przygotowaną, było proste pytanie: „Naprawdę sięgasz do skrzynki pocztowej bez drabinki”? – Uśmiechnęła się z nieskrywaną satysfakcją. – Jednak ostatecznie pomyślałam, że będę musiała z tym żyć. Każdy z czymś żyje. Z czym pan żyje?

– Dużo tego – odrzekł Sejer. – To część mojej pracy. Wszystko to, co widzimy, czego doświadczamy na służbie. Nie mogę o tym zapomnieć, nawet o tych najgorszych rzeczach.

– Jakie są najgorsze?

– Małe dzieci. Kiedy nic z nich nie zostaje po szaleństwie dorosłych. Rozpamiętywanie takich rzeczy jest bardzo ludzkie – dodał. – Ja często rozpamiętuję.

Narysował coś na podkładce. Chociaż pochyliła się do przodu, nie mogła tego rozszyfrować. Może był palaczem, może długopis zastępował mu papierosa.

– Znaleźliśmy pani syna – powiedział nagle, podnosząc wzrok.

– Co? – Zaskoczona gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Nie bez powodu listy zostały zwrócone. Przeprowadził się i minęło już dużo czasu.

– Co powiedział?

– Nie chciał z nami rozmawiać.

– Ale mówi pan, że go pan znalazł?

Telefon znów migał na czerwono. Sejer odsunął podkładkę na bok i wyglądał poważnie, jak ksiądz, gdy podchodzi do drzwi, pomyślała Ragna. Zebrała się w sobie.

– Jest w więzieniu. W więzieniu w Berlinie. Nazywa się Plötzen-see. Rozmawiałem tylko z kierownictwem.

Ragna spuściła wzrok w kierunku psa. Jej policzki mrowiły i zdała sobie sprawę, że to krew z nich odpływa.

– Ale dlaczego on jest w więzieniu? – jąkała się.

– Za defraudację – odpowiedział Sejer.

– Defraudacja? Czyli pieniądze? Kiedy to się stało?

– Kiedy pracował w hotelu – mówił ostrożnie. – Dormero. Jako recepcjonista.

– Dyrektor – szybko poprawiła.

– Nie.

– Kierownik. Menedżer!

– Nigdy nie był menedżerem. Nie był szefem ani dyrektorem. Był recepcjonistą. Uzyskał dostęp do kont hotelu. Kiedy oszustwo trwało już jakiś czas, grut zaczął mu się palić pod nogami i wtedy odszedł. Do tego czasu sumy sięgnęły milionów. Załamał się i przyznał do winy. Był wtedy już w innym miejscu pracy, w innej dzielnicy.

– Nie był kierownikiem – wyszeptała Ragna, teraz we łzach. – Nie był szefem.

– Nie.

– Defraudacja?

– Tak.

– Miliony?

– Tak właśnie powiedzieli.

– Napisał do mnie, że jest szefem.

Była tak zdruzgotana, że Sejer ledwo mógł to znieść.

– Jak się pan o tym wszystkim dowiedział?

– Jestem przecież śledczym – przypomniał jej. – Pani syn pozwolił mi przekazać te wszystkie informacje. Można to uznać za wyciągniętą do zgody rękę, prawda?

Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała pojęcia.

– Ma pani teraz dużo do przemyślenia – stwierdził Sejer. – Jaka jest pierwsza rzecz, która przychodzi pani do głowy?

– Pierwsza? Pyta pan tak, jakby moje myśli były ułożone w uporządkowanej kolejce i jakbym mogła je wymienić we właściwej kolejności.

– Przepraszam.

– Więc teraz wie, że tu siedzę?

– Wie.

– A wie dlaczego?

– Nie ujawniliśmy szczegółów. Nie możemy tego zrobić bez pani zgody. Poza tym sprawa jest w toku. Zgodzi się pani, byśmy mu powiedzieli?

– Wtedy straci matkę – wyszeptała. – Nigdy nie miał ojca. Potrzebuje czegoś, czego będzie mógł się chwycić w więzieniu. Chcę, żeby myślał, że wszystko jest w porządku, że wkrótce wrócę do domu. Że to tylko jakaś bzdura.

– Ale to nie bzdura, prawda?

Przez chwilę siedziała pogrążona we własnych myślach.

– Ale dlaczego? – spytała wreszcie. – Pensja w Dormero jest chyba wystarczająca, to pięciogwiazdkowy hotel?

– Nie znam żadnych szczegółów. Mógł być w trudnej sytuacji. Długi hazardowe. Narkotyki, uzależnienie, takie rzeczy.

– O nie! – Zaprzeczyła gwałtownie. – Nie Rikard. To bardzo poważny chłopak, ale marzył o stworzeniu czegoś wielkiego. Nie był menedżerem? O nie, co sobie pomyślą o mnie w pracy? Powiedziałam wszystkim, że jest szefem, sąsiadce też. To takie żenujące. – Otarła łzę. – Wyobraź sobie, jak bardzo się teraz wstydzi – dodała. – Wiem, jak się czuje. Ale może uda mi się zdobyć adres tego więzienia i wysłać mu list?

– Co by mu pani napisała?

– Że nie jesteśmy złymi ludźmi, żadne z nas.

– Pani listy są kontrolowane – przypomniał jej Sejer. – Na pewno zdaje sobie pani sprawę, co to oznacza?

– Będzie pan musiał go przeczytać. Słowo w słowo. Myśli pan, że mnie to obchodzi? Siedzę tu jak otwarta księga.

Zapadła cisza. Wreszcie odezwała się po dłuższym namyśle:

– Wie pan, co kiedyś powiedział mi Walther? Nigdy nie mieliśmy czasu zbyt wiele sobie powiedzieć, ale on był starszy ode mnie i dużo mądrzejszy.

– Chciałbym to usłyszeć – poprosił Sejer.

– Byliśmy w parku miejskim, o którym panu mówiłam, to był ten dzień, w którym zrobił mi zdjęcie. To, które włożyłam do szuflady. Zawsze nosił ze sobą tę wielką torbę z aparatem. Nie różniłam się od innych, czułam się niepewnie i głupio przed obiektywem, a on to zauważył. Powiedział tak: „Mikroskop to cudowne urządzenie. Dzięki niemu zaglądamy w głąb siebie. Patrzymy tą drogą na wszystko, co żyje wewnątrz nas, na wielki, niewidzialny świat. A teleskop pomaga nam spojrzeć na wszechświat. Akceptujemy niezliczone rzeczy wewnątrz nas i wszechświat na zewnątrz. Ale nie akceptujemy tego, co widzimy w lustrze”.

– I stał wtedy tam z obiektywem skierowanym na panią?

Przytaknęła.

– I jeszcze powiedział: „Zdjęcie, które ci teraz robię, pokazuje, jak widzę ciebie. To moja wersja. Moje doświadczenie. Nikt inny nie widzi cię dokładnie tak samo wzrokiem. Obraz będzie wyjątkowy. Nikt nie będzie mógł go zakwestionować. I będzie trwał wiecznie”.

– Dlaczego pomyślała pani o tym teraz? – zapytał Sejer.

– Mam swój własny obraz Rikarda Josefa. Nigdy się nie zmieni, bez względu na to, co się stanie. Patrzył pan kiedyś na rozgwieżdżone niebo przez teleskop?

– Nie. Patrę na gwiazdy z takim samym zachwytem jak wszyscy inni, ale wolę myśleć, że są nieosiągalne i że wszechświat jest pełen

tajemnic. Koncentruję się na tajemnicach tutaj na Ziemi, one bardziej mnie interesują.

– A teraz chce pan moich tajemnic?

– Tak.

– Miałam sen... raz, jesienią. To było zaraz po pierwszym liście. Szłam długim chodnikiem w kopalni. Był ciemny, gorący i zakurzony, mogła to być kopalnia węgla. Nie wiedziałam, jak głęboko jestem, ale widziałam, że szyb znika w głębi góry, ciężko mi było oddychać. Potem natknęłam się na wagonik, wiesz, taki na torach, do przewożenia węgla. Usiadłam w nim. Nagle zaczął się toczyć. Momentalnie nabrał straszliwej prędkości. Był zbyt szybki, bym mogła z niego wyskoczyć, a w gęstej ciemności nic nie widziałam i nie miałam pojęcia, jak daleko jest do końca ani gdzie uciekający wagon w końcu się zatrzyma. Czy stanie się to z hukiem, czy może przechyli się przez krawędź i zniknie w ciemności? I nigdy nie zostanie przez nikogo odnaleziony.

– Więc teraz jest pani na dnie? – zapytał Sejer.

Uśmiechnęła się i mrugnęła do niego.

– Wciąż spadam. Mam nadzieję, że ktoś mnie znajdzie i zapewni mi godny pochówek.

Zdała sobie sprawę, że chce mu opowiedzieć jeszcze jedną historię. Było to wspomnienie, które nosiła w sobie przez lata, coś zdumiewającego.

– Pamięć to zabawna rzecz. Dlaczego pamiętamy tak wiele małych rzeczy, a zapominamy o ważnych? Czy czuje pan podobnie?

– Być może – odpowiedział Sejer. – Ale problemem nie jest to, że zapominamy, tylko to, że pamiętamy zbyt dobrze. Mózg nie zawsze potrafi dokonać najlepszego wyboru.

– Pewnego razu, dawno temu, siedziałam przed telewizorem – zaczęła. – Pokazywali stary amerykański film o grupie chłopców w wieku od ośmiu do dziesięciu lat. Było lato i gorąco, mieli na sobie krótkie spodnie i nudzili się, jak to chłopcy. Po chwili opuścili swoje domy i udali się do lasu. Bez zastanowienia, bez żadnych planów, oddalali się coraz bardziej od osiedla, robiąc to, co robi większość chłopców, dokuczając sobie, popychając, kłócąc się i śmiejąc. Polubiłam ich – przypomniała sobie – byli tacy niefrasobliwi. Zero szacunku dla autorytetów, zero pokory. – Spojrzała na niego, by sprawdzić, czy słucha. – Jeden z nich w końcu zauważył, że słońce jest nisko na niebie, zdali sobie sprawę, że byli cały dzień poza domem. Chcieli zawrócić i pójść do domu tą samą drogą, ale szybko zrozumieli, że całkowicie się zgubili. Wywiązała się między nimi gorąca kłótnia, nie jakieś tam przekomarzanie się. Każdy miał swoje zdanie na temat tego, co powinni zrobić, w którym pójść kierunku, ale wszystko im się już pomyliło, chodzili po tak wielu ścieżkach i rozstajach, nie było żadnych znaków. Nie wiedzieli też, jak daleko zaszli, czas stanął w miejscu, ale teraz było tak, jakby zegar znów zaczął tykać. Za chwilę miał zapaść zmrok. Nie mieli ze sobą nic, nawet picia. Po wielu kłótniach, które nic im nie dały, znów ruszyli w przypadkowym kierunku. W końcu przestali w ogóle rozmawiać. Jeden z nich odłamał z drzewa ogromną gałąź i stukał nią przed sobą jak kijem. Nie patrzyli już na siebie, po prostu szli. Nikt nie chciał się rozplakać jako pierwszy. – Zatrzymała się. Chciała zapamiętać wszystko jak najdokładniej. – Często pan płacze? – zapytała, podnosząc wzrok na inspektora.

– Nie, niezbyt. A pani?

- Tak, zdarza mi się. Tak, to się zdarza. Wielu twierdzi, że płacz jest ważny, myślę, że ma to związek z chemią ciała. Hormony, enzymy i tym podobne rzeczy mają być korzystne i kojące. W ogóle w to nie wierzę.

- Ja też nie.

Kontynuowała historię chłopców:

- Jeden z nich nagle dokonał ważnego odkrycia. Szli prosto na linię kolejową. Znajdowali się na torach, które mogły zaprowadzić ich do miejsca, gdzie byli ludzie. Znowu mogli żartować i śmiać się. Podkręcili tempo, stali się zdeterminowani i wciąż było jasno. Chociaż nie wiedzieli, jak daleko muszą iść, aby znaleźć ludzi, ruszyli wesoło wzdłuż torów kolejowych, w kierunku, który intuicyjnie uważali za najlepszy. Ten z kijem zaczął śpiewać – przypomniała sobie – rozdarł się i z całej siły uderzył w szyny, a reszta dołączyła z okrzykami. Nie dało się jednak ukryć, że są zmęczeni, szli cały dzień. Potem dotarli do mostu kolejowego.

- Tak myślałem – wtrącił Sejer.

- To był jeden z tych dużych, zabudowanych, wie pan, gdzie pociąg przejeżdża przez stalową konstrukcję, która wygląda jak klatka. Most przecinał wąwóz – wyjaśniła – a na dnio wąwozu płynęła wzburzona rzeka. Zbocze w dół do wody było zbyt strome, nie byłoby w stanie zejść na brzeg. A nawet gdyby im się to udało, nie mogliby przeprowić się przez silny prąd. Musieli więc przejść przez most. Ale tor zniknął za zakrętem po drugiej stronie, widzieli go tylko na bardzo ograniczoną odległość. Znowu więc zaczęli dyskutować. Chłopiec z kijem przejął rolę lidera. Powiedział, że muszą iść dalej. Za kilka minut będą bezpieczni, po drugiej stronie. Inny sprzeciwił się, zauważając, że jeśli pociąg nadjedzie, gdy będą na środku mostu,

zginą. Nie było miejsca obok torów, a pod nimi płynęła rzeka. Przywódca twierdził, że nie mogą mieć aż takiego pecha. A potem pobiegli dalej. W połowie drogi zza zakrętu wyskoczył pociąg.

Sejer oparł podbródek na dłoni, uśmiechając się szeroko.

– Dlaczego się pan uśmiecha? – zapytała.

– Bo tak przyjemnie pani opowiada – odrzekł. – Co się dalej stało?

– Nie pamiętam.

– Nie pamięta pani? Nie skończyła pani oglądać filmu?

– Na pewno to zrobiłam, to było takie ekscytujące. Usiadłam na brzegu fotela i wstrzymałam oddech. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest gwizd pociągu, gdy maszynista zauważył chłopców, i ich małe przerażone twarze, gdy zdali sobie sprawę, co się wydarzy. Koniec tej historii nie zapisał mi się w pamięci.

*

– Co tam w luksusowym hotelu? – zapytała Gunnhild. – Jak sobie radzi dyrektor generalny?

Ragna podskoczyła, zaskoczona. Gunnhild nigdy wcześniej nie pytała w ten sposób, nigdy nie była tak bezpośrednia, nigdy nie miała tak ostrego spojrzenia. Może coś podejrzewała?

– Nie jest do końca dyrektorem generalnym – mruknęła Ragna, czerwieniąc się.

– Źle zrozumiałam. Menedżer. Czy tam kierownik... – Gunnhild patrzyła na nią uważnie. – Czyli że on tam rządzi – dodała.

Ragna skinęła głową.

– Tak, jest szefem.

Zapadła cisza, ale Gunnhild miała zamiar drażnić, Ragna wyraźnie to zauważyła.

– Zatrzymują się tam czasem jakieś gwiazdy? W jego hotelu?

Znowu musiała wydukać odpowiedź, ciche kłamstwo. Upokorzenie, że jej list został zwrócony, że teraz nie wie nawet, gdzie jest jej syn, sprawiło, że poczuła się nieswojo, poczerwieniała, zgrzana. Próbowwała zyskać na czasie. Kłamstwo padło z jej ust, zanim zdążyła je powstrzymać.

– Angela Merkel – wyszeptała.

– Merkel tam mieszkała? Z ochroniarzami i w ogóle?

Ragna odwróciła wzrok. Była zajęta rozpakowywaniem małych gumowych zwierzątek z pudełka, koncentrując się na pracy, ścisnęła czarno-białą krowę trzymaną w dłoni. Ta wydała gniewny dźwięk.

– To była odpowiedź? – zapytała Gunnhild ze śmiechem.

– Tak, byli tam ochroniarze – odparła szybko Ragna. – Myślę, że bez nich nie przejdzie nawet metra. Wyobraź sobie to uczucie – dodała. – Ktoś cały czas cię tropi.

– Siedzieli przed jej pokojem w nocy? Byli uzbrojeni?

Ragna jeszcze raz ścisnęła gumową krowę. Jak zwykle udało jej się uciąć temat nieznacznym skinieniem głowy. Nie mogła jednak spojrzeć koleżance w oczy. Podniosła krowę do nosa, pachniała słodko, jak guma do żucia.

– Może wybierzemy się tam kiedyś na babską wycieczkę? – zaproponowała Gunnhild. – Mogłybyśmy spędzić długi weekend w Berlinie. Od czwartku do niedzieli. Jestem pewna, że Rikard załatwi nam pokój ze zniżką, chyba zorganizuje to dla nas? Jest przecież menedżerem. Nigdy nie byłam w Berlinie.

Ragna prawie straciła oddech.

– W Berlinie nie ma zbyt wiele do roboty – powiedziała – tylko stare muzea.

Gunnhild potrząsnęła głową, wiedziała lepiej.

– Niewiele? Można tam zrobić lepsze zakupy niż w Londynie. Mają świetne restauracje, fantastyczne galerie i wspaniałe hotele. I wiele starych więzień Stasi jest otwartych dla zwiedzających.

– Więzienia? – Ragna potrząsnęła głową. – To chyba nic ciekawego, włóczyć się po starych więzieniach?

– Skąd, to bardzo ciekawe! – zachwyciła się Gunnhild. – Wyobraź sobie, zobaczyć więzienie od środka. Nigdy nie będziemy mieli czegoś takiego tu, w Norwegii. Zapytaj chociaż! Może uzna gości z Norwegii za miłą odmianę.

Gunnhild przyglądała się jej uważniej niż wcześniej.

– Jest bardzo zajęty – mruknęła Ragna. – Prawie nigdy nie ma wolnego.

Zostawiła resztę krów w pudełku, wyjęła z kieszeni klucz do toalety dla personelu, szybko przeszła przez sklep i wyszła do magazynu. Serce waliło jej w piersi, w mieszaninie zażenowania i złości. Zażenowania, bo czuła się zdemaskowana, złości, bo zmuszono ją do kłamstwa. Zirytowała ją presja ze strony Gunnhild, zdawało jej się, że zrobiła to celowo. Jakby nagle uznała, że trzeba wyłożyć kawę na ławę, jakby miała prawo do informacji. Chciała pokazać, że nie jest głupia, że nie da się już dłużej oszukiwać.

Ragna weszła do niewielkiego pomieszczenia z okropnym, niebieskim, bakteriobójczym światłem, które nadawało jej twarzy trupi wygląd. Minęła lustro, starając się nie spojrzeć w jego stronę, i zamknęła się w kabinie. Usiadła na zamkniętej desce sedesowej. Otarła samotną łzę. Trudno znaleźć gorsze miejsce do przeżywania wstydu. Ludzie tu siadali i oddawali mocz, a ona musiała się teraz w tym miejscu chronić. Znajdowała się dosłownie nad kanałem ścieko-

wym, w rurach daleko poniżej prawdopodobnie roiło się od tłustych szczurów. Popłynęły kolejne łzy. Ścisnęła w dłoni klucz tak mocno, że przebijał przez jej cienką skórę. Była nędzną kłamczuchą, tchórzliwą krętaczką. Gadała bzdury o Angeli Merkel tylko po to, by podkreślić swoją wartość, szybko, bez zastanowienia, byle dać Gunnhild to, na co czekała. Co powie następnym razem, gdy ten temat wypłynie, jakie przeprosiny wygłosi? Nie mogła wyznać prawdy. Że nie wie, gdzie jest jej syn, że przeprowadził się, nie mówiąc jej o tym, a może nawet zmienił pracę. Gdyby tylko wysłał jej list! Gdyby tylko mogła powiedzieć Gunnhild, że będą jednak musiały polecieć do Johannesburga, bo właśnie tam teraz pracował, w hotelu Intercontinental. Może mogłyby zrobić sobie zdjęcia z wypchanym lwem w recepcji lub przy niebieskim basenie. Siedziała w ubikacji tak długo, jak tylko mogła. Bała się, że Gunnhild się zaniepokoi i przyjdzie sprawdzić, co z nią. Płakała, zaciskając pięści ze złości, głównie na siebie, na to, jak żalosna się stała, ale także na to podle zrządzenie losu, które najpierw odebrało jej syna, a potem głos.

Gdy wróciła na salę, nie zobaczyła Gunnhild. Poszła prosto do Auduna, który niósł ogromne pudło zegarków Casio. Każdy miał być umieszczony na obrotowym stojaku tuż obok kasy. Ragna widziała, że ogląda zegarki, zanim odłożył je na miejsce. Nie zrobił się bardziej rozmowny, mimo że pracował tam już od kilku tygodni. Teraz stał z zegarkiem w ręku.

– Przedtem – powiedział w zamyśleniu – zanim ludzie mieli zegarki... Życie musiało być o wiele prostsze. Wstawali o świcie. Wieczorem robiło się ciemno i kładli się spać. Gdy byli głodni, jedli.

– Chciałbyś się z nimi zamienić? – zapytała Ragna.

– Zasadniczo tak – odparł, nie patrząc na nią. Odłożył zegarek, pochylił się nad pudełkiem i wziął nowy. Każdy znajdował się w delikatnym białym pudełku wyłożonym aksamitem.

– Jest nas teraz tak wielu – dodała Ragna. – Musimy jakoś zorganizować dni.

– W mrowisku też jest wiele mrówek – stwierdził – i panuje tam całkowity porządek, a na ścianie nie ma zegara. Każdy wie, co ma robić. Każdy zna swoje miejsce.

– Z mrówkami też byś się zamienił?

– Zasadniczo tak.

– Ale tak naprawdę nigdy nie byłeś w mrowisku – szepnęła. – Może panuje tam kompletny chaos, może zabijają się nawzajem. Kiedy ktoś zabiera im miejsce.

Uśmiechnął się nieznacznie, co nie zdarzało mu się często. Wciąż nie spojrzał jej w oczy. Jednak było to coś zupełnie nowego. To, że otworzył się, chociaż na kilka drobnych zdań, właśnie przy niej, nie przy innych, świadczyło o jakimś zaufaniu. Nawet jeśli zajął jej miejsce w autobusie. Więc tęsknił za innym czasem. Czowała się wybrana, okazał jej zaufanie, nie była przyzwyczajona do takich wyróżnień.

– Nie wydaje mi się, żeby wcześniej było o wiele lepiej – wyszeptała.

– A ja właśnie tak uważam – odrzekł równie cicho.

Jej myśli szybko powróciły do propozycji Gunnhild, wycieczki do Berlina, i tego, co powie, gdy ten temat powróci. Pod koniec zmiany zdecydowanie podeszła do stojaka z pocztówkami stojącego również przy kasie. A może by tak wysłać kolejne pozdrowienia na zwykły adres syna, aby się upewnić, że naprawdę się przeprowadził? Jeśli znów nie otrzyma odpowiedzi, będzie już pewna, że ma problem.

Ale nie podda się tak łatwo; może nie żyła jednak w zorganizowanym świecie. Z zegarem, kalendarzem i pocztą. I niemiecką dokładnością. Przeglądała kartki, jedną po drugiej. Na większości były zdjęcia kociąt i szczeniąt, życzenia urodzinowe, podziękowania i seria idiotycznych pseudomądrości. Nie miało to znaczenia. Chciała tylko sprawdzić. Wyszarpnęła kartkę z kucykiem, razem z kopertą. Poczta w Berlinie dostanie drugą szansę.

Żadnej anonimowej wiadomości w skrzynce pocztowej. Ani następnego dnia, ani w kolejnych tygodniach. Zastanawiała się, ile czasu sobie dać, zanim będzie mogła uznać ten rozdział swojego życia za zamknięty, zanim odbierze gazetę bez oglądania się przez ramię, zanim przejdzie czterdzieści osiem kroków do domu bez liczenia. Na razie nie mogła. Stała się jedną wielką maszyną do liczenia. Tykała, brzęczała i biła na okrągło.

Przebiegła ulicę i weszła do sklepu Irfana, porozmawiała z nim krótko przy kasie. Z miejsca, w którym stała, widziała swój dom i oświetlone okna. Irfan też mógł więc widzieć zarówno dom, jak i jej skrzynkę pocztową, gdy był w pracy. Kupiła kilka drobiazgów, położyła je na taśmie. Leżał tam stos ulotek, prostych, wręcz prymitywnych.

– Ostatnio w skrzynce pocztowej znajduję mnóstwo papierów – rzuciła, nie spuszczając z niego wzroku. – Ulotki, reklamy i oferty. Jeszcze nigdy nie było tak źle. Prawie wszystko to śmieci. Pałę to w kominku.

Szukała czegoś w jego oczach, może wymijającego spojrzenia. Może wyczułaby w nim poczucie winy. Albo triumf. Gdyby to on

skradał się po ciemku Kirkeliną, wrzucając do skrzynek pogróżki. Albo gdyby zaobserwował nieznanego z ręką w jej skrzynce.

Kasował towary z typową dla siebie szybkością.

– Wkrótce Boże Narodzenie – odpowiedział. – Dużo reklam. Tutaj, u mnie, można je wziąć, jak ktoś chce, a jak nie, to nie. Można je przeczytać na miejscu, a potem wrzucić do kubła tam. – Wskazał na kosz na śmieci przy wyjściu.

Aby zachować się przyjaźnie, podniosła ulotkę i poprosiła go o włożenie jej do torby.

– Ubierasz choinkę? – zapytała.

– Nie mamy choinki. Ale mamy czwórkę dzieci, które chcą prezentów. Uczą się tego w szkole. – Przewrócił oczami.

– Ale nie od świętego mikołaja, prawda? – szepnęła z uśmiechem.

– Przywieźliśmy własne tradycje z Turcji.

– Jecie jakieś pyszności?

– O tak. Ja zajmuję się gotowaniem.

– Nie twoja żona?

– Nie, jestem szefem kuchni.

– Z wykształcenia? Uczyłeś się w Turcji?

– Tak. Ale nie mogę dostać takiej pracy tutaj. Próbuję, odkąd tu przyjechaliśmy, próbuję od wielu lat. – W jego głosie słychać było nutę gorzkości.

Ragna zapłaciła i wzięła torbę, którą jej podał.

– Musisz zmienić nazwisko – zasugerowała.

– Myślałem o tym – przyznał. – Wtedy może chociaż zaproszą mnie na rozmowę kwalifikacyjną. Nikt nie chce zatrudnić Barisa.

– Czy Soi robiła tu zakupy? – zapytała. – Ci nowi ludzie z Tajlandii? Którzy mieszkają w domu Teigen?

– Wielokrotnie.

– Słyszałam, że otwierają jakąś knajpę, może powinieneś porozmawiać z nimi o pracy? – zasugerowała. – Chyba że nie umiesz gotować tajskiego jedzenia?

– Mogę gotować wszystko – stwierdził. – Ale mi nie dają.

Ragna chciała go pocieszyć. Wstydziła się za swoich rodaków. Stała przy kasie, szukając w głowie czegoś miłego.

– Ale przynajmniej twój sklep jest popularny – szepnęła – tak wielu z nas lubi robić tu zakupy.

– Gdyby było was faktycznie tak wielu, zarabiałbym więcej – wybrzmiała krótka odpowiedź. Podobnie jak Audun, nie patrzył jej w oczy. Rozmowa wzbudziła w niej wiele frustracji, żałowała, że w ogóle ją zaczęła.

– Gdybym był neurochirurgiem – dodał nagle – też nie dostałbym pracy. Chirurg nie powinien wyglądać jak ja, norweskie władze zakwestionowałyby moje tureckie wykształcenie. Ale gdyby pozwolili mi operować, na pewno dobrze posługiwałbym się skalpelem. Na norweskich mózgach. – Stuknął się palcem w skroń.

Spojrzała na niego zaskoczona. Była w nim gorycz, której nigdy przedtem nie widziała, jak uśpiony wulkan, pomyślała, próbując wyobrazić sobie jego gniew i jak by to wyglądało, gdyby wybuchł. Chwyliła torbę i wyszła, szybko przecinając ulicę. W Irfanie nagle pojawiło się coś dziwnego. W sklepie nie nawiązali kontaktu wzrokowego. Ale kiedy się odwróciła, poczuła, że śledzi ją spojrzeniem.

Kartka z kucykiem została wysłana do Berlina. Napisała swoje imię i nazwisko oraz adres dużymi, wyraźnymi literami, których nie dało się źle odczytać. Zdenerwowała ją propozycja babskiej wycieczki. Wciąż martwiła się o kolejny możliwy cios. Była jednak też głęboko poruszona. Dawno nikt nie dał jej czegoś tak miłego, zaproszenia, okazji do przeżycia czegoś tylko we dwoje. Takie rzeczy robiły przecież od czasu do czasu wszystkie przyjaciółki. Mogłaby zasugerować coś innego, Kopenhagę, Sztokholm lub Londyn, cokolwiek, byle uniknąć kolejnych pytań o syna. W hałasie restauracji i sklepów Gunnhild mogła mówić za nią, zamawiać jedzenie i organizować rozrywki. Przygotowała w głowie kilka odpowiedzi, powtarzała je, aż znała je na pamięć, aż była pewna, że przyjdą jej z łatwością i bez wysiłku, jeśli Gunnhild znów wspomni o Berlinie.

Nie było listu w skrzynce. Była więc tylko przypadkową ofiarą, zwrócił się gdzie indziej. Czał się teraz skulony w jesiennej ciemności na innej ulicy, w innej dzielnicy. Krótkie wiadomości wyprowadzały z równowagi coraz więcej ludzi, sprawiały, że kolejne osoby czuły się niepewnie. Była pewna, że wybierze kobietę, kogoś, kto mieszka sam, co zapewni mu większą przyjemność. Tego wieczoru długo siedziała przed komputerem. YouTube był jej oknem na świat, było tam się z czego śmiać, czym zachwycać i czym przerażać. Miłe scenki z ludźmi i zwierzętami lub zaskakujące i niezrozumiałe rzeczy, takie jak krótki filmik The Jumper, na którym mężczyzna skakał z dachu wieżowca. Nie pamiętała już, jak go znalazła, czego szukała, po prostu nagle się pojawił, trwał dokładnie sześćdziesiąt sekund i zaparł jej dech w piersiach. Skoczek został sfilmowany z ulicy, ręczną kamerą, operator śledził wydarzenie sekunda po sekundzie. Mężczyzna przez chwilę kręcił się niespokojnie po dachu, po czym

zajął pozycję na krawędzi. Zwarta, ubrana na czarno postać. Stał tam przez kilka krótkich sekund, nieruchomo niczym gargulec, po czym rozłożył ręce jak skrzydła. Teraz kamera zrobiła zbliżenie, ale nie pokazywała wyraźnie jego twarzy, tylko samą postać i to, jak był ubrany. Z ulicy nie dochodziły żadne odgłosy, ani hałas ruchu ulicznego, ani krzyki. Następnie ubrana na czarno postać powoli opadła wielkim, eleganckim łukiem, spadając z zawrotną prędkością na asfalt poniżej. Rozległ się twardy, obrzydliwy dźwięk, gdy uderzył o chodnik, niczym ciężkie zwierzęce truchło. Wylądował na brzuchu z jedną ręką pod sobą i drugą wyciągniętą w bok, krew natychmiast zaczęła płynąć z jego uszu i ust. Wtedy dało się słyszeć kroki i czyjś przyspieszony oddech. To był kamerzysta, podbiegł i zrobił zbliżenie. Martwe ciało twarzą w dół, krew. A potem znowu cisza, przez długi czas. Nagle zobaczyła lekki ruch. Najpierw w dłoni, później w ramieniu. Poruszył też głową, bardzo delikatnie, ale w końcu udało mu się ją podnieść z wielkim wysiłkiem, pozwolić jej opaść, a potem znów ją podnieść. Następnie, w niezrozumiały sposób, wstał na kolana i dalej mozolnie stanął na własnych nogach. Spojrzał w kamerę wzrokiem, jakiego Ragna nigdy wcześniej nie widziała. Przeszywało ją w zupełnie niezrozumiały sposób, jakby wiedział wszystko, co warto wiedzieć, zarówno o niej, jak i o świecie i wszystkich ludziach, którzy na nim żyli. Dlaczego są, dokąd zmierzają, jakby właśnie powrócił z martwych. Potem odwrócił się od kamery, spokojnie poszedł chodnikiem i zniknął za rogiem. Kiedy Ragna po raz pierwszy obejrzała *The Jumper*, zajęło jej sporo czasu, zanim zdała sobie sprawę, że film został zmanipulowany; nigdy nie była szczególnie bystra. Nikt nie skoczył z dachu dziesięciopiętrowego wieżowca, by potem wstać z asfaltu i odejść. Ktoś bawił się filmem,

ktoś znający się na montażu, być może studenci szkoły filmowej. Następnie opublikowali wynik na YouTube. Nie rozumiała, jak to zrobili, nie znała się na takich rzeczach. Ale była pod ogromnym wrażeniem, niemal zszokowana, uderzyło ją, jak łatwo oszukać ludzi, zwieść ich, sprawić, by uwierzyli we wszystko, sprzedać im przekonania, które mogą prowadzić do działań, na przykład politycznych. Nie dało się dostrzec montażu. Wszystko wydawało się dziać w jednym ujęciu. Ponownie obejrzała wideo, z twarzą blisko ekranu i skupionym spojrzeniem. Po raz kolejny ją zahipnotyzowało. Pomyślała, że jeśli obejrzy to wystarczająco dużo razy, dostrzeże dowody manipulacji. Znajdzie miejsce cięcia. Upewni się, że postać spadająca z dachu to ciężki, ubrany na czarno manekin. Gdy była już usatysfakcjonowana, wyłączyła komputer i spojrzała na ulicę, u Irfana świeciło światło. Być może też patrzył w jej rozświetlone okna, myśląc o Norwegach i ich braku otwartości, a może marzył o posadzie szefa kuchni, z wyższą pensją. Może nie wystarczało mu pieniędzy, nie mógł znieść tej myśli, może miał rodziców w Turcji, których częściowo utrzymywał, którzy polegali na nim. Honor, pomyślała, wstyd, wściekłość. Wyobraź sobie, co może zrobić człowiek.

Ragna Riegel spała.

Z twarzą zwróconą w stronę otwartego okna, przez które wpadało chłodne listopadowe powietrze. Tysiące myśli, które przyszyły jej do głowy w ciągu dnia, te, które nie przerodziły się w decyzje ani działania, plany na następny dzień lub słowa na pocztówce, iskrzyły się w jej mózgu jak spadające gwiazdy. W snach widziała migoczące obrazy bez znaczenia, stawały się strachem lub dyskomfortem, a czasami radością. Oczywiście Rikard Josef jej nie opuścił. Nadal

nosiła go w ramionach, był ciepły i pachniał słodko, jak mydło z koziego mleka, które sprzedawali w Europris, a kiedy ścisnęła czarnobiałą gumową krowę, śmiał się radośnie. Nagle przy jej łóżku stanęli agenci Stasi i oskarżyli ją o zdradę i zaniedbanie; nie była świadoma swoich obowiązków. Teraz przyszli ją zabrać i umieścić w muzeum. Potem Irfan pojawił się w drzwiach i też był wściekły, stał tam w zakrwawionym płaszczu i ze skalpelem w ręku, chciał, żeby myślała inaczej, przyszedł zoperować jej mózg. Przeciąć ważne połączenia, by nie znajdowała już żadnej spójności, by jej myśli nie zamieniały się w refleksje i wnioski. Unosiła się i opadała w każdej warstwie snu, była lekka jak piórko i ciężka jak wieloryb, jak skała lub bańka, i znów mogła mówić, mogła krzyczeć, a wszyscy to słyszeli i kulili się z przerażenia.

*

– Dużo myślałem o tych chłopcach na moście kolejowym – powiedział Sejer.

Ragnie podobało się, że inspektor myślał o niej w domu. Zabrał ją ze sobą, nie włączał i nie wyłączał jej jak przełącznika, jej słowa, jej historie towarzyszyły mu przez cały dzień, może nawet z nimi zasypiał.

Chciałaby dołączyć do niego we śnie.

– Kiedyś młodzi chłopcy kładli się na środku torów, gdy nadjeżdżał pociąg, dla zabawy – wyjaśnił. – W tamtych czasach pociągi miały spory prześwit między podwoziem a podkładami torów. A chłopcy w tym wieku są szczupli i drobni.

Ragna wciągnęła powietrze z przerażeniem.

– Czyli kładli się tam, gdy przejeżdżał pociąg?

– Tak, słyszałem, że to się często zdarzało, w ramach zakładu.

– A jednak... – szepnęła Ragna – nawet jeśli film zakończył się w ten sposób, mój mózg tego nie zarejestrował.

– W takim razie coś innego w pani głowie zastąpiło zakończenie – powiedział. – Albo usłyszała pani coś na zewnątrz. Coś ważniejszego niż chłopcy.

Nie zdawała sobie sprawy, co to mogło być, ale i tak przytaknęła.

– Czy może pan opowiedzieć mi o czymś ważnym, o czym pan zapomniał? – spytała, uśmiechając się do własnego sformułowania. – O czymś, o czym powinien pan pamiętać.

Ponownie sięgnął po pióro, usiadł i bawił się nim przez dłuższą chwilę. Czekąco go kilka decyzji w związku z Ragną Riegel, musiał zdecydować, w jakim stopniu powinien się przed nią odsłonić, grać razem z nią, dawać jej rzeczy, których potrzebowała lub chciała, aby zająć jak najdalej. A może powinien ograniczyć się do nakreślenia przebiegu wydarzeń minuta po minucie, spisania go i przedstawienia sądowi? Chciał jednak dać jej to, czego potrzebowała, chciał zrobić w tej sprawie więcej, niż nakazywały mu obowiązki. Ragna była inna pod każdym względem, sprawa różniła się od pozostałych, kontakt między nimi był odmienny. On sam się starzał. Nie zostało mu wiele lat w fotelu z wysokim oparciem, który sam sobie kupił w Kinnarps. Chciał odejść z pracy z szacunkiem do samego siebie, ze świadomością, że każdemu dał możliwość złożenia szczegółowych wyjaśnień, że poświęcił czas, że słuchał z otwartością, zrozumieniem i szacunkiem. Ponownie odłożył pióro.

– W ostatnich dniach życia Elise – powiedział – miałem posłanie obok jej łóżka w szpitalu. Nie spałem dużo, po prostu leżałem i słuchałem jej oddechu. Zasypiała na długo, potem znów otwierała oczy,

chcąc sprawdzić, czy nadal jestem, a potem znów odpływała, przechodząc w stan nieświadomości. Między naszymi łózkami było tylko kilka centymetrów i chociaż pokój był nagi, bez dźwięków i zapachów, chociaż składał się wyłącznie ze stojaków i rurek, był wszystkim, co mieliśmy, razem, przez ostatnie kilka godzin. Słyszałem jej oddech, nic więcej. Przez ostatnią godzinę oddychała tylko raz na minutę. Jej serce zatrzymywało się i znów biło, zatrzymywało się i znów biło, trwało to dość długo. Potem nie słyszałem już nic więcej. I wiem, że to dziwne, ale byłem wtedy tak zaskoczony, prawie zirytowany, ponieważ tak po prostu zniknęła i nie mogłem już do niej dotrzeć. To była zdrada.

– Ale pamięta pan ten ostatni oddech?

– Tak, pamiętam.

– Więc czego pan nie pamięta, chociaż pan powinien?

– Pierwszej samotnej nocy. Nie pamiętam jej.

– Ale to pewnie dlatego, że pan spał? – zasugerowała Ragna. – Może bez snów?

– Właśnie tego nie mogę sobie wybaczyć – przyznał. – Że spałem. Że spałem spokojnie.

– Pewnie był pan wyczerpany – pocieszała – oczywiście, że pan spał. Ale obudził się pan następnego ranka. I na pewno pamięta pan ten poranek.

– Tak. To ja byłem zdrajcą. Pozwoliłem jej odejść zbyt łatwo. Podczas gdy ona leżała w zimnie, ja spałem jak dziecko pod puchową kołdrą.

– Czuje się pan zawstydzony, bo pan zasnął. Po tej nocy na pewno nie mógł pan spać. Nie zamierzał pan więcej okazywać takiej słabości?

– Tak, zgadza się.

– Teraz pan sypia?

– Tak, a pani?

Przytaknęła.

– Wreszcie. Po długim czasie.

Klasnęła w dłonie, jakby w końcu została uwolniona i mogła swobodnie oddychać.

Wyznał jej, że w każdy piątek po pracy odwiedza grób Elise i zawsze przynosi ze sobą znicz.

– Taki znicz pali się przez kilka godzin – powiedział – Zwykle obserwuję zegar. Kiedy kładę się spać o północy, wiem, że znicz zgaśnie podczas snu. Nie lubię o tym myśleć.

Nagle zmienił temat.

– Jak wyobraża pani sobie przyszłość?

– Nie myślę o przyszłości – odpowiedziała. – Jedynymi osobami, które mnie teraz widują, są strażnicy. Są mili.

– A to, co pani zrobiła... Czy to panią przeraża? – spytał poważnym tonem.

– To było jak upadek z klifu... Naturalny i nieunikniony wynik szeregu zdarzeń.

– Ale moment, w którym popełniła pani przestępstwo, już dawno minął – stwierdził Sejer – a pani jest w zupełnie innym miejscu. Czy nadal nie jest pani przerażona tym, co się stało? Czy nie jest pani zszokowana? Czy żałuje pani, czuje się winna, chciałaby pani cofnąć czas?

– Myślę, że pan nie do końca to rozumie. Stało się, co musiało się stać. Teraz siedzę tu z panem. Teraz wreszcie jestem bezpieczna.

*

Przez lata nie mogła się zdecydować, co myśli o grobie rodziców. Czy miejsce, które otrzymali na cmentarzu, było dobre, czy złe? Zostali pochowani z tyłu budynku kościoła, blisko muru, więc byli chronieni przed warunkami atmosferycznymi i silnym wiatrem od rzeki. Jednocześnie nagrobki były bardzo odosobnione, zawsze w cieniu. Za kościołem znajdował się również parking, na który nieustannie wjeżdżały samochody, a spaliny zabarwiły ścianę budynku, nie była już czerwona, tylko brudna i szara. Groby przed kościołem, od strony placu i miasta, w ładne dni były skąpane w słońcu. Ale w burzowe jesienne noce, takie jak teraz, deszcz i wiatr wdzierały się nad nie, niczym niechronione. Z tyłu było ciepło i przytulnie.

Dziś grób jest bezpieczny, pomyślała Ragna, chroniony i zadbane. Ciężki, majestatyczny budynek kościoła nie dopuścił tu burzy wiejącej od rzeki, a ta nie była litościwa. Deszcz zmoczył ją w ciągu kilku minut, ręce jej zamarzły. W torbie miała znicz z ażurową osłoną. Z trudem udało jej się go zapalić, w zapalniczce prawie nie było już gazu. W końcu jednak dała radę, a gdy zobaczyła skromny płomień przed kamieniem z imionami rodziców, uspokoiła się.

Hans i Signe Riegel.

Największa z wszystkiego jest miłość.

Nigdy nie usłyszała między nimi niemiłych słów, ani jako dziecko, ani nastolatka czy dorosła. Stała przez chwilę przy grobie, chcąc zostawić coś po sobie, nie tylko znicz. Jakiś rodzaj energii, jakiś rodzaj wdzięczności. Stała nieruchomo i koncentrowała się, myśląc o nich z całym ciepłem, jakie mogła wykrzesać w swoim zmarzniętym ciele. Miała nadzieję, że jej myśli dotrą do nich, tam daleko w ziemi, jak promienie, że oboje pozostaną w ich blasku. Że

wszystko, o czym myślała przez lata, nostalgia i tęsknota za nimi, przeniknie drewno trumien tak, by oni to poczuli. Nic więcej nie mogła zrobić. Opuszczenie ich było zawsze tak samo trudne, połączenie, które czuła przez chwilę, gwałtownie zrywała teraźniejszość. Potem Ragna szła ulicami, po których przejeżdżały samochody, a wiatr, mokre, biczące poddmuchy uderzały ją w twarz. Z wielką siłą wichura wyrwała ją z powrotem do rzeczywistości, do żywych. Zrobiło się już ciemno, zmarznięte postacie spieszące przez plac z pochylonymi głowami schowanymi pod parasolami lub w kapturach. Na autobus do domu musiała jeszcze trochę poczekać, więc znalazła miejsce w przytulnej, samoobsługowej kawiarni w centrum handlowym. Mogła wybrać sobie wszystko ze szklanej witryny, a potem zapłacić bez słowa. Wzięła ciastko i filiżankę kawy, której naląła sobie z dzbanka stojącego na podgrzewanej płycie. Siedziała przez chwilę, ogrzewając dłonie filiżanką, i rozglądała się po gościach kawiarni. Było ich pełno, ze względu na pogodę, być może więcej osób czekało na autobus, pod kilkoma stołami stały torby. Nikt nie patrzył w jej stronę, była do tego przyzwyczajona. Była przyzwyczajona do tej niewidzialności, walczyła o nią przez długi czas. Sama jednak szybko spojrzała na każdego, by się upewnić, czy ktoś ma ją na oku. To właśnie zapowiedziano przecież w trzecim liście. Może nadawca siedział tu w tej chwili, w ciepłej kawiarni, może podążał za nią przez miasto, może czekał między grobami, nie zauważyłaby go.

Kawa stała w dzbanku zbyt długo, a ciasto, które wyglądało kusząco w witrynie, okazało się suche i rozpadało się na cienkie płatki. Piekarz wstał może o czwartej, a o piątej wyjął z pieca pierwszą blachę ciastek. Następnie załadował wszystko do samochodu i zaczął jeździć po okolicy, rozwożąc wypieki, nie tylko tutaj, ale też do wielu

innych kawiarni. To zajęło trochę czasu. Spojrzała na zegarek, była siedemnasta, więc jedenaście godzin. Mimo to zjadła posiłek, wsłuchując się w szum głosów i szuranie krzesel po kamiennych płytach. Główne drzwi, na które miała widok, otwierały się i zamykały bez przerwy, za każdym razem czuła zimny powiew z ulicy. Jednak ktoś ją obserwował. Na początku tylko przelotnie, ale wkrótce zdała sobie sprawę, że jego oczy wciąż do niej powracają. Nie mogła się już zrelaksować, spięła się. Spojrzała na niego, zamknęła oczy kilka razy, chcąc potwierdzić, że to na nią patrzy, i dowiedzieć się dlaczego. Stała się niespokojna, pomyślała, że może wyjdzie, mimo że do autobusu miała jeszcze daleko. Było w nim też coś znajomego, może to jakiś klient z Europris. Często się zdarzało, że gdy ludzie pojawiali się w nowym kontekście, nie dało się ich skojarzyć. Innymi słowy, jeśli był klientem sklepu, nigdy nie widział jej bez służbowego stroju, pewnie dlatego miał wątpliwości. Miała na sobie czarny płaszcz, z futrzanym wykończeniem wokół kaptura. To normalne, że jego mózg pracował nad umieszczeniem jej we właściwym kontekście, dlatego nadal się wpatrywał. Emeryt w szarym płaszczu, żuł bułkę. Wielu takich kupuje w Europris. Siwe włosy miał długie i nieco zaniedbane, od dawna nie strzygł brody. Pomyślała, że jego bułka też ma pewnie jedenaście godzin, a kawa jest równie gorzka jak jej. Odwróciła się. Próbowwała okazać jakiś rodzaj niechęci, ale nie reagował na sygnały. Wstała więc gwałtownie i szybkim krokiem skierowała się w stronę wyjścia. Z pewnością to nie podstarzały mężczyzna wysyłał listy z pogrózkami. Drzwi otworzyły się, uderzył ją gwałtowny powiew. Naciągnęła kaptur i stała przez kilka sekund, aby się pozbiierać. Chciała szybko wrócić do domu. Gdy już miała wybiec na deptak, pojawił się obok niej. Nagle znalazł się bardzo blisko, znacznie

wyższy od niej, wiedziała, że zaraz coś powie. Wyglądał dziwnie niezręcznie, niemal przepraszająco, nie rozumiała dlaczego. Ale to na nią się gapił, to o nią mu chodziło.

– A co z chłopcem? – zapytał łagodnie.

Przytuliła do siebie torebkę, nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Chłopcem? Czy miał na myśli Rikarda Josefa? Mało kto wiedział, że ma syna, na pewno nie klienci w Europris, nie spędzała zresztą zbyt wiele czasu z innymi ludźmi. Zbyła go zdezorientowanym wzruszeniem ramion, ruszyła szybko deptakiem i wyszła na plac, nie odwracając się ani razu. Autobus przyjechał, silnik pracował, dzięki Bogu, wewnątrz pojazdu paliło się światło, a ona weszła do środka i usiadła. Jej zwykłe miejsce było wolne. Teraz, gdy znalazła się w jasnym wnętrzu, miasto na zewnątrz zdawało się kompletnie ciemne, nie mogła go już zobaczyć. Widziała tylko swoją twarz w szybie. Padający deszcz zatarł jej rysy, twarz zdawała się spływać po oknie. Co z chłopcem, spytał. Chłopiec. Z dziwnym, zakłopotanym uśmiechem.

Autobus szybko się zapełnił, ludzie się tłoczyli. Nastoletni chłopiec opadł na siedzenie obok niej, w reakcji na bliskość młodego ciała skurczyła się, by zająć jak najmniej miejsca. Rzuciła ostatnie spojrzenie na deptak, na parasole i błyszczące witryny sklepów. Walther, pomyślała zdezorientowana. Walther Eriksson. Zapomniała o wszystkich latach, które minęły. Stał się starszym mężczyzną. Czas go zniszczył. Pytał o syna, a ona mu nie odpowiedziała. A gdyby wrócił do miasta, gdyby znów go spotkała? A gdyby zapytał o adres syna? Już go nie miała.

Przez całą drogę do domu była roztrzęsiona. Był jednym ze znaków, omenem. Zmianą. Uspokoila się, a teraz znów ją denerwowano.

Wszyscy w tym uczestniczyli, uderzali w nią jak fale w morzu. Umrzesz, Ragna, i to niedługo.

W skrzynce pocztowej, oprócz gazety, znajdował się katalog odzieży damskiej od Wentza. Żadnych gróźb, nikogo nie było widać, gdy obejrzała się przez ramię. Światła w domu Irfana, światła w jej własnym domu.

Ale czy to naprawdę był Walther Eriksson? Ten zmęczony starszy mężczyzna, z ciężkimi policzkami, zaniedbany i źle ubrany, u progu starości, czy to naprawdę był on? We własnej kuchni, gdzie czuła się bezpiecznie, nagle straciła pewność. Gdzie tamten przystojny człowiek, którego kiedyś poznała, dobrze zbudowany, wysoki mężczyzna, pewny siebie i uprzejmy mistrz fotografii? Ten, który przeszedł przez pokój i usiadł na podłokietniku jej fotela w roju dziewcząt? I dlaczego tam usiadł? Przecież była najmłodsza, najszcuplejsza, najbledsza. Co chciał osiągnąć, co ona sobie teraz myśli, po tych wszystkich latach? Ile dziewczyn sfotografował, czy tylko te najmłodsze, najbrzydsze, te z najniższą samooceną, te, które uwiódł aparat z wielkim obiektywem? Wino, które jej podał, było słodkie, może celowo, żaden dorosły nie wypiłby Peach Canei. Ile dzieci zostawił za sobą? Dlaczego w ogóle zadawała sobie pytanie o jego motyw, skoro już dawno pogodziła się ze swoim losem, skoro przez lata widziała w nim dobroczyńcę? Dał jej syna. Teraz jej policzki płonęły ze wstydu. Płonęły, bo zdała sobie sprawę, że się myliła, że on był jak inni, szukający tylko gorącej, mokrej przyjemności. Zarumieniła się, bo zobaczył ją z bliska po wielu latach, dziś, w świetle kawiarni, zdał sobie sprawę, że wcale nie jest piękna, chociaż kiedyś tak myślał, nawet chciał uwiecznić jej piękno swoim aparatem. Dał jej zdjęcie, by

coś jej powiedzieć, a ona uwierzyła. Ale tego dnia, nawet w półmroku chodnika w ulewnym deszczu, musiał być nieskończenie rozczarowany. Czas ją wybielił, lata pozbawiły ją wszystkich kolorów. A teraz postanowił się wyczołgać z ukrycia. Zapytał o chłopca. Syna, którego imienia nawet nie znał, ale wiedział, że to chłopiec. Po porodzie wysłała mu kartkę, na którą nigdy nie odpowiedział. Żadnych gratulacji, życzeń powodzenia czy „Myślę o tobie”. Z jakiegoś powodu wrócił do rodzinnego miasta i ją odnalazł. A może to zbieg okoliczności? Tak, na pewno. Może był zbyt pochłonięty przeszłością, czy jego dni też były pełne omenów? Odłożyła to, co miała w rękach, i stanęła wyzywająco przed lustrem w korytarzu. Stała tam w swoim zielonym fartuchu, demonstrując swoją obecność. Zrobiła dokładnie to, przed czym ją ostrzegał, w miarę upływu sekund zdała sobie sprawę, że znika. Im była starsza, tym więcej kolorów traciła. Co by było, gdyby przyszedł do jej drzwi dziś wieczorem, z jakimś nieprawdopodobnym wyjaśnieniem? Powiedziałaby, że był w okolicy i chciał się przywitać. Że myślał o niej przez te wszystkie lata i chciał dowiedzieć się czegoś o synu, którego nigdy nie zapomniał. Z którym oczywiście się kiedyś spotka, tylko do tej pory nie znalazł na to czasu. Jej myśli stały się czarne, zmrużyła oczy. Pewnie stracił wszystko, co posiadał w Sztokholmie, pomyślała: żonę, dzieci i karierę. A nastoletnich dziewcząt nie dało się już uwieść. Właśnie dlatego wrócił. Chciał spróbować po raz drugi, chciał stanąć pod jej drzwiami jak skamlący pies, zapytać, czy może wejść do środka, do ciepła, oczywiście tylko na chwilę, chciałby też coś ze sobą zabrać. Jakieś zdjęcia, jakieś historie o chłopcu.

Odwróciła się plecami do swojego odbicia i otworzyła drzwi wejściowe. Na schodach nie było nic poza miotłą, którą zamiatała śnieg

i zwiędłe liście. Z tyłu domu miała stos brzozowego drewna pod zieloną plandeką. Wyszła za róg, zerwała plandekę, wzięła kilka polan i ułożyła je na ramieniu. Ostrożnie umieściła plandekę z powrotem na miejscu i wróciła do środka, po czym włożyła drewno do kominka wraz z suchym papierem. Usiadła na podłodze przed drzwiczkami i zatraciła się w płomieniach, które widziała przez szybę. Walther najwyraźniej zrozumiał, że go nie poznała. A przynajmniej, że nie była pewna. Wędrował więc zimnymi, mokrymi ulicami, trzymając mocno poły płaszcza i być może zastanawiając się nad swoim życiem, przeklinając je. Przyspieszał kroku z wściekłości, ponieważ go odrzuciła. Samotny i zapomniany przez wszystkich w swoim mieście. Może trafił do piwiarni i utopił swoje smutki w kuflu. I w kolejnym. A w myślach był z powrotem na wielkiej imprezie, na jej podłokietniku, z ogromną torbą na sprzęt fotograficzny stojącą na podłodze i obiektywem imponującym jak lufa armaty. Jego broń, która dawała mu władzę i dostęp do każdego, zwłaszcza dziewcząt. Przed obiektywem kulily się. Przed obiektywem czuły się widziane. Ogień płonął teraz jasno, po raz kolejny jej policzki zrobiły się gorące, ale tym razem nie ze wstydu, to płomienie tańczyły. Być może chłopcu nie poszło najlepiej? W luksusowym hotelu w Berlinie, na wysokim stanowisku? Ona sama łąziła po Europrisie, układając durnostojki na półkach, cieszyła się, że on nic o tym nie wie. A może tam też był i go nie zauważyła?

Po raz drugi wyrwała się z zamyślenia, zdecydowanym krokiem ruszyła do sypialni. Stary klosz, ten z martwymi muchami, przypominał jej matowy księżyc. Podeszła do komody i wyciągnęła dolną szufladę. Zdjęcie było w żółtej kopercie, otworzyła ją ostrożnie, zabrała zawartość z powrotem do salonu, gdzie było lepsze światło.

Usiadła w swoim wygodnym fotelu, przysunęła bliżej lampę do czytania i podniosła zdjęcie, było duże, chyba A4, pomyślała. Jak elfopodobna istota o przygnębionym spojrzeniu, pojawiła się na papierze fotograficznym, delikatna niczym chińska porcelana. Pomiął jej ciało, nie znalazł w nim piękna, nigdy nie miała kształtów, uroku ani pewności siebie. Musiał go ująć jej dziecięcy, anielski głos, który teraz utracił. Kiedyś powiedział, że jej śmiech brzmi jak dzwonki. W tobie, maleńka Ragno Riegel, nie ma wiele złego.

Tej nocy nie spała dobrze. Czuła się zagubiona, ale nie chciała się zamartwiać. Jeśli tylko będzie leżeć bez ruchu, sen w końcu przyjdzie. Walther też mógł gdzieś leżeć, równie poruszony jak ona, w swoim zmęczonym, znużonym ciele. Zebrał się na odwagę i wyszedł za nią z kawiarni; musiało go to sporo kosztować. Na swój zawstydzony sposób odsłonił się, a ona go odrzuciła. Uznała go za obcego i uciekła. Być może myślał, że stała się zgorzkniała i już nigdy nie zamieni z nim ani słowa. Co u „chłopca”, musiał dowiedzieć się sam. Ale nie była zgorzkniała. Mimo że nalał jej drinka i zaniósł do sypialni, a potem wziął, co chciał, szepcząc i głaszcząc ją, jakby była kotkiem. Zdała sobie sprawę, że chce jeszcze poprawić tamto wrażenie. Może wyjdzie do miasta i poszuka go? Ale wtedy będzie musiała ujawnić swoją niepełnosprawność. Zdałby sobie sprawę, że dzwonki zamilkły, a chłopiec zniknął jak we mgle.

Zmieniła jednak pozycję w łóżku, odwróciła się wyzywająco w stronę ściany, przycisnęła czoło do suchej tapety. Leżąc w ciemności, przejechała palcami po różnych strukturach, które tak dobrze знаła, teraz niewidzialnych. Lilia, liść. Czuła je pod palcami jak alfabet Braille'a. Czy to naprawdę przypadek, że Walther pojawił się wła-

śnie teraz, czy był częścią czegoś większego, planu, którego nie znała, wzoru, którego nie mogła dostrzec?

*

Z biegiem dni poznała rytm budynku ze wszystkimi jego dźwiękami, trzaskającymi drzwiami cel, warkotem wind, ruchliwym pulsem budynku. Słyszała trzask zamykanych drzwi wczesnym rankiem, kiedy przynoszono jej śniadanie, albo kiedy szła do toalety, potem trzaskały znowu, często około jedenastej. Wtedy jeden z funkcjonariuszy przychodził po nią, by zabrać ją na dalsze przesłuchanie. Ale teraz było południe, a nikt nie przyszedł. Nikt nie poinformował jej, że przesłuchanie zostało przełożone i odbędzie się później albo może wcale. Albo – co byłoby najgorsze – że inspektor ma już to, czego potrzebował, może teraz podsumować i ostatecznie przedstawić Sądowi Rejonowemu jej zeznania. Czekała. Nasłuchiwała odgłosów z korytarza, siedziała z rękami na kolanach, nerwowo przesuwała stopami po podłodze. Lada chwila ktoś wejdzie, tylko się spóźniali. Funkcjonariusze nosili buty na grubych podeszwach, była zima, ich kroki na korytarzu były słyszalne. Wstała i podeszła do okna, stanęła plecami do drzwi – kiedy się otworzą, odwróci się zaskoczona.

„Och, już tak późno! Pewnie już na mnie czeka”.

Ale nikt nie przyszedł. Może to taka taktyka, postanowili, że wystarczająco długo było miło, a teraz trzeba podkreślić ogrom strasznej rzeczy, którą zrobiła, tej zbrodni. Nie chcieli, by myślała, że o tym zapomnieli. Odnotowali ją, omówili i porównali z innymi przestępcami. Zapewnili jej miejsce w historii policji. Mówiono o niej przy stole w tysiącach domów, jak o przysmaku, a wieczorem dyskutowano o niej przy kieliszku. Teraz musiała tu czekać w nie-

pewności, najbardziej humanitarne warunki więzienne na świecie, w jakich miała szczęście przebywać, będą musiały jej już wystarczyć. Położyła się na pryczy z rękami blisko ciała, napięta jak stalowa sprężyna. Zwykle spędzała popołudnie, analizując rozmowę z Sejerem, ale teraz nie było co analizować. Prawdopodobnie był zajęty czymś innym, kimś innym. Nie była przecież jedyna, wzdłuż korytarza znajdowało się wiele zielonych drzwi cel, przez cały dzień słyszała brzęk zamków przypominający wystrzały z karabinu.

To Adde przyniósł lunch o pierwszej. Był jednym z tych, którzy niewiele mówili, ale przyglądał jej się uważnie. Położył szaro-żółtą, mało wyrafinowaną tacę na stole, rzucił jej badawcze spojrzenie i już miał wychodzić. Z jednym z jego oczu było coś nie tak, było martwe albo szklane, większe od drugiego i znacznie wyraźniejsze, ale zdecydowanie ślepe.

– Przyjdziecie po mnie wkrótce? – wyszeptała.

Potrząsnął głową bez zrozumienia.

– Kto ma po ciebie przyjść? – Martwe oko nie wyrażało nic, drugie patrzyło ostro.

Podeszła do stołu i przyjrzała się jedzeniu, nie mogła mieć żadnych zastrzeżeń, wystarczyłoby jedzenia dla trojga dorosłych.

– No. – Odwróciła wzrok zawstydzona. – Przesłuchanie. Jeszcze nie skończyliśmy.

Drzwi celi były otwarte. Jego ręka spoczywała na klamce, uwagę skupiał na korytarzu, jakby coś się tam działo. Jaki był spokojny, jaki pewny, jaki silny. Nie przyszło mu do głowy, że mogłaby stracić panowanie nad sobą. Że mogłaby rzucić się na niego z widelcem w rękę, celując w jego oko, jedyne zdrowe, jakie mu pozostało. Mo-

głaby wylupić je jak małża ze skorupy, mogłaby celować w pulsującą żyłę na jego szyi, nabrzmiałą, grubą i niebieską pod skórą, tak jak żyły u mężczyzn, którzy trenują podnoszenie ciężarów. Dobrze wiedział, o co jest oskarżona, a mimo to stał odwrócony do niej plecami, obojętny, z opuszczonymi ramionami. Zrobiła kilka kroków w jego stronę.

– Nie wytłumaczyłam się jeszcze – wyszeptała. – Jest tego więcej!

Odwrócił się i uśmiechnął, ale zimno. Jego krótkie, czarne włosy pokrywały głowę jak plusz. Ragna spojrzała na swój lunch. Kromki razowego chleba, ser i kiełbasa. Plastikowe pojemniczki z masłem i marmoladą, kilka kawałków jabłka. Pół pomarańczy i jogurt. Jajko na twardo. Małe torebki soli i pieprzu, serwetka i karton soku. Adde wyszedł, a ona usiadła i zjadła, ale bardzo niewiele. Położyła się z powrotem na pryczy i czekała. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że leży na torach starego mostu kolejowego z rękami blisko ciała. Czuła wibracje zbliżającej się lokomotywy. System prawny miał się po niej przetoczyć, ale położyła się płasko – w ten sposób mogła uratować życie.

Adde jednak wrócił. Poszedł z nią przez długie korytarze, do windy i dalej do biura Sejera. Miała nadzieję na wyjaśnienie. Zostawił ją, czekającą w niepewności, nic jej nie powiedział, a teraz zdecydował, że jednak po nią pośle. Spokojna, niewzruszona i solidna postawa inspektora zaczęła ją irytować. Stopniowo nabierała pewności, że kazał jej czekać celowo, że czegoś u niej szukał. Pokory. Przyznania się. Ale przecież była pokorna. Przyznała się.

Z trudem usiadła na swoim miejscu, wściekle szorując krzesłem, nie była już tak cicha jak kiedyś. Sejer nie dał po sobie poznać, że to

zauważył. Począł, aż się usadowi, upewnił się, że ma jej pełną uwagę.

– Czy miała pani poczucie czasu? Od samego zdarzenia do momentu, w którym Gunnhild weszła do pani domu i podniosła alarm?

Czyli tam chciał się udać, chciał porozmawiać o incydencie, mogła do niego dołączyć.

– Żadnego poczucia czasu – odparła. – Nie stał w miejscu. Ale też nie poruszał się. Mijała sekunda za sekundą, a ja czułam każdą z nich.

– Więc mogło to być kilka godzin, ale też kilka dni?

– Tak.

– Może wieczność?

– Tak, wieczność. Albo tylko chwila.

– Czy poczuła pani ulgę, gdy ktoś w końcu coś zrobił?

– To było w porządku – wyszeptała.

– W porządku?

– Wiedziałam, że prędzej czy później ktoś przyjdzie. Byłam zmęczona, ale też obojętna.

Chciała go zapytać, czy czas był ważny. Dlaczego przejmował się szczegółami i tym, co myślała i czuła. Pewnie postępował zgodnie z jakąś swoją procedurą, chociaż przecież w żaden sposób nie próbowała zaprzeczyć faktom. A jednak on musiał mieć wszystkie ogniwa łańcucha, podnosić je do światła, przekręcać i obracać.

– Zadzwoń pani do Europris w poniedziałek rano – powiedział Sejer. – Zgłosiła pani, że jest chora. Rozmawiała pani krótko z Gunnhild. Pamięta pani tę rozmowę?

– Mówiłam przecież, że wszystko pamiętam. – Stuknęła się palcem w skroń, by pokazać mu, że wszystko tam jest.

– Potem poszła pani spać?

– Padałam tu i tam. Na fotelu, na kanapie, na podłodze. Pamiętam, że było mi zimno.

– Minął poniedziałek – przypominał Sejer – i wtorek. W środę po południu Gunnhild zadzwoniła, by sprawdzić, jak się sprawy mają. Czy czuje się pani lepiej. Czy czegoś pani potrzebuje. Mówiła pani wtedy niespójnie, wydawała się pani dezorientowana. Pamięta pani też tę rozmowę?

– Tak, byłam dezorientowana, to nie jest zaskakujące. Usiadłam w fotelu, a on nie chciał stać w miejscu, musiałam trzymać się podłokietników.

– Pamięta pani, co powiedziała Gunnhild?

– Chciała przyjść. Przynieść jedzenie i inne rzeczy, leki. Powiedziałam jej, że mi to nie pasuje.

– Ale z pewnością chciała pani rozwiązać tę sytuację? Nie chciała pani się z tego wyplątać, nie chciała pani, żeby ktoś przejął stery?

– Tak. Ale to musiał być ktoś większy i silniejszy niż Gunnhild. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Telefon mignął ponownie, na dwóch liniach. Ragna zastanawiała się w duszy, czego tak naprawdę chce, ale przeszkadzały jej czerwone światła. Była przytłoczona, przecież dawał jej czas, a ona czuła się coraz bardziej zmęczona. Przypomniła sobie, że w końcu jest bezpieczna, inspektor nie jest jej wrogiem. Nie spieszyła się też, wszystko zmierzało tylko w jedną stronę, niczego nie chciała. Karmili ją jak gęś. Tace z jedzeniem, krótkie, przyjazne komentarze.

– Wyjaśnienie – wyszeptała – już je miałam.

– Tak to pani widzi?

Zanotował coś, podniósł szybko wzrok. Uderzyło ją, że prawie nigdy nie mruga, jego oczy są szeroko otwarte. Spojrzała na białą podkładkę na biurku ze śladami niebieskiego długopisu. Zdała sobie sprawę, że gdyby napisał na niej wiadomość, oderwał kartkę i złożył ją na pół, miałyby dokładnie taki sam rozmiar jak wiadomości, które otrzymywała do swojej skrzynki pocztowej.

– Tak, tak to widzę. To było wyjaśnienie.

– Rozwiązałaś problem?

Odwróciła wzrok, wyglądała na smutną.

– Byłam na końcu drogi. Nie bałam się już niczego i wiedziałam, że nie dostanę więcej wiadomości.

– Kiedy cię przywieziono, byłaś w bardzo złym stanie – powiedział – wyczerpana, odwodniona i zdezorientowana. Nie przyjmowałaś żadnych pokarmów ani napojów.

Spojrzała na Franka przy oknie, skupiła na nim wzrok. Widok śpiącego psa, odgłos jego miarowego oddechu był chyba wszystkim, czego człowiek potrzebował, aby się uspokoić. Po chwili sama zaczęła oddychać w tym samym tempie.

– Nic nie jadłam. Nie obchodziły mnie takie rzeczy. Ciężko mi było się poruszać, nie mogłam podejmować decyzji. Przerastało mnie wstanie z fotela, pokonanie wszystkich kroków do kuchni, otwarcie szafki, sięgnięcie po szklanę, odkręcenie kranu i napicie się. Była to seria działań, która składała się z tak wielu kroków, że samo myślenie o tym męczyło mnie niezmiernie. Siedziałam nieruchomo w fotelu, nie ruszając palcem i koncentrując się tylko na oddychaniu. Dopóki tak siedziałam, pogrążona w apatii, niczego nie potrzebowałam. Przez większość czasu miałam zamknięte oczy.

Kiedy je otwierałam, czasem było jasno, a czasem ciemno, stąd wiedziałam, że dni mijają i mijają.

Sejer wyrwał kartkę z podkładki. Zerknął na czerwone światełko telefonu, przejechał dłonią po krótko ostrzyżonej głowie, ale nie zmierzwił ani włosa.

Ostrożnie odgarnęła suche pasma z twarzy, jakby naśladowując jego zachowania. Pomyślała, że za kilka lat ona też posiwieje, tak jak inspektor, posiwieje podczas odsiadki wyroku, będzie to wyglądało lepiej niż wyblakła czerwień. To doda jej charakteru, którego nigdy nie miała. Miała ojca, ale on nie żył. Miała syna, ale odszedł.

– Będzie mnie pan pamiętał? – wyszeptała cicho. – Kiedy to wszystko się skończy i ktoś inny usiądzie na tym krześle?

– Oczywiście.

– Co będzie pan wtedy pamiętać, jak pan myśli? Proszę mi powiedzieć. – Była jak dziecko błagające o cukierka.

– Pani głos. – Uśmiechnął się. – Nikt, kogo znam, nie mówi tak jak pani. Nie jestem przyzwyczajony do tego, że ludzie w tym pokoju czy nawet w całym budynku mówią do mnie w ten sposób. Jest pani kimś wyjątkowym, pani Ragno, oczywiście, że panią zapamiętam. Prawdopodobnie do końca życia.

– Walther też tak powiedział – szepnęła. – Chyba dlatego pozwoliłam mu zanieść się do łóżka. Brzydkie dziewczyny nie dostają zbyt wielu szans.

*

Gunnhild przejechała nożem po grubym, brązowym kartonie i rozewała wieko. W środku znajdowały się paczki majtek sloggi, po dzie sięć sztuk.

– Pamiętasz z dzieciństwa katalog sprzedaży wysyłkowej Direct? – zapytała. – Ten, który wrzucali nam do skrzynek pocztowych?

– Pamiętam – odparła Ragna. – Siadałyśmy z mamą na kanapie i przeglądałyśmy go. Nie było to zbyt ekscytujące dla małej dziewczynki, głównie przybory kuchenne i inne takie, ale lubiłam patrzeć na obrazki. Mieli też pakiet cudowności, pamiętasz go?

Gunnhild pamiętała.

– Kosztował czterysta pięćdziesiąt koron – wspominała dalej Ragna – ale był wart prawie tysiąc. Miesiącami błagałam o niego mamę. Tłumaczyła mi, że pakowali tam pewnie rzeczy, których nie udało się sprzedać i zalegały w magazynie. Ale w końcu dopięłam swego. Nigdy w życiu nie byłam tak rozczarowana.

– Co tam było? – zapytała Gunnhild ze śmiechem.

– Wieszaki. Prawidła do butów. Nożyce krawieckie. Różnokolorowe grzebienie, długopisy, spinacze i gumki. Ponczo przeciwdeszczowe, takie przezroczyste. I latarka – dodała. – Świeciła na różne kolory, czerwony, zielony i żółty.

– Pamiętam te latarki – powiedziała Gunnhild.

– Był plastikowy naszyjnik z koralików, taki wielorzędowy. Nosiłam go codziennie, musiałam pokazać mamie, że pakiet był wart swojej ceny. Ale naszyjnik pękł niemal natychmiast. Godzinami na kolanach zbierałam koraliki. – Ragna wpatrywała się w pudełko. – Teraz dostajemy takie pakiety każdego dnia.

Ragna sprawdziła, czy majtki są oznaczone kodem kreskowym, następnie włożyła je do wózka i wyszła z magazynu. Kawalek dalej mężczyzna sięgał po coś na półce. Rozpoznała jego czarny garnitur i proste, ciemne włosy. Z daleka wydawał się mniejszy i bardziej wąty niż ostatnio, gdy stał przed nią przy kasie. To agent. Z czarnymi

butami i schludnym wyglądem, które nasunęły jej myśl, że pracuje w zakładzie pogrzebowym, a może w służbach specjalnych. Ciągnął za sobą koszyk z zakupami. Nie zauważył jej spojrzenia, nie był na takie rzeczy wyczulony, musiał chyba nie mieć wrogów, nie bać się. Chociaż na pewno jacyś byli. Nic nie wybrał, poszedł dalej, wyróżniał się strojem. Minęła go, ale po chwili odwróciła się i znów na niego spojrzała. Miał w sobie energię, nerwowość, która nie pasowała jej do pracy w zakładzie pogrzebowym. Był taki szybki, lekki w nogach, wyraźnie w drodze. Może był agentem nieruchomości, często tak się ubierali. W końcu wziął coś z półki, paczkę czterech kul dla ptaków, takich w zielonych plastikowych siateczkach. Karmił małe ptaszki, to jej się spodobało. Sama wieszala takie kule za kuchennym oknem, poza tym zbliżały się święta Bożego Narodzenia, ludzie myśleli o takich rzeczach. Starła się trzymać blisko niego, choć nie rozumiała dlaczego. W sklepie było przecież wielu klientów, których mogła obserwować. Ale lubiła podążać za nim między półkami. Miała go na oku.

Kiedy jej zmiana dobiegła końca, wzięła paczkę majtek sloggi i poprosiła Gunnhild, by zapisała je na jej koncie. Audun zajął jej miejsce w autobusie. Siedział z telefonem i do kogoś pisał. Po chwili wyjął książkę, może uczył się do egzaminu na kierowcę wózka widłowego, Lars go namówił.

Sama wybrała miejsce po prawej stronie przejścia, piąte siedzenie. Wyglądała na sklepy i parki. Przedszkole ze starą łodzią rybacką na placu zabaw przeniosło ją w czasie. Taka sama łódź stała przed przedszkolem jej syna, bardzo lubił się w niej bawić. Może czuł się tam bezpiecznie. Jako dziecko bardzo lubił się chować, skulony

w małych przestrzeniach. Na pokładzie miał kontrolę, sterował całym statkiem. Zdawało jej się, że widzi jego drobną twarz w okrągłym oknie kabiny, trochę bladą i przestraszoną, jak jej własna. Za przedszkolem autobus minął boisko do piłki nożnej i sklep ze sprzętem dla właścicieli psów i koni. Potem wiele niskich drewnianych budynków z lat sześćdziesiątych, pomalowanych na różowo, żółto i niebiesko. Widziała to wszystko już wcześniej, codziennie i od lat, przecież zawsze poruszała się według tego samego schematu. Był jak mapa w jej mózgu, a kiedy się go trzymała, czuła się bezpiecznie.

Znowu przypomniała sobie plastikowy naszyjnik, turkusowe perełki, postukiwanie, gdy przesuwiała palcami po kolejnych rzędach, i trzask pękającej żyłki, a potem koralików toczących się we wszystkich kierunkach po drewnianej podłodze. Wstyd, jaki czuła wobec matki, która dała się namówić na wydanie pieniędzy na taką bzdurę. Mimo to nigdy, ani razu, nie powiedziała: „A nie mówiłam”.

Z przystanku autobusowego poszła do Irfana. Dolly była przywiązana przed sklepem, jedno z dzieci Soi błąkało się między półkami w środku, Ragna podeszła prosto do Olafa. Zamienili parę słów, po czym wybrała kilka rzeczy z półek i włożyła je do koszyka. Zapytała Irfana, czy widział jakieś wolne stanowiska szefa kuchni od ostatniego razu, pokręcił głową. Pomyślała, że powinna powiedzieć mu o śnie, o tym, że był w jej sypialni i szukał jej mózgu. Że widziała go wyraźnie z zakrwawionym skalpelem w dłoni. Natychmiast poczuła do siebie obrzydzenie. Co człowiek z jego kręgu kulturowego pomyślałby o takim wyznaniu? „Śniłam o tobie zeszłej nocy”. To było bardzo intymne wyznanie, bez względu na adresata. Powiedzenie czegoś takiego lokalnemu sklepikarzowi byłoby przesadą. Mogłaby

ewentualnie powiedzieć to Larsowi, on uśmiechnąłby się podekscytowany i zapytał o szczegóły. Na razie milczała. Po zakupach pospieszyła przez ulicę na swój podjazd. Otworzyła skrzynkę, wyjęła gazetę i spojrzała na pierwszą stronę. Pod spodem było coś jeszcze, dwa zwykle listy. Jeden ze stemplem pocztowym z Berlina, dostrzegła natychmiast znajomy niebieski znaczek. „Adresat nieznan”. Kartka z kucykiem została zwrócona. Na drugim, który nie miał znaczka, widniało po prostu RIEGEL. A więc Rikarda Josefa nie było. Czyż Niemcy nie były dobrze zorganizowanym społeczeństwem, w którym nienagannie działały wszystkie systemy i struktury? Ze złością weszła do domu i zatrzasnęła drzwi, zrywając z siebie płaszcz. Z wściekłością otworzyła anonimową kopertę. Nie została wybrana przypadkowo, jak mogła pomyśleć coś takiego?

Z listem w dłoni podeszła do okna. Zastanawiała się, czy Irfan mógłby ją zobaczyć, gdyby wyjrzał w tej chwili, zobaczyć jej ciemną sylwetkę. Wiadomość była jak zwykle krótka i zwięzła.

NIKT CIĘ NIE USŁYSZY.

*

Czasami wstawiała w środku nocy, odsuwała zasłonę i wpatrywała się w dom Soi oraz wieżę kościoła z bladą tarczą zegara. Chodziła chwilę niespokojnie po pokoju, po czym wczolgiwała się z powrotem pod kołdrę i robiła się jak najmniejsza. Nikt jej teraz nie widział, nikt nie wiedział, o czym myśli. Często, gdy leżała tak bezsennie, myślała o Waltherze Erikssonie. Wrócił pewnie do Sztokholmu, nic mu nie dała. Nie miała mu nic do przekazania. Co gorsza, berliński listonosz znów stanął na Landsberger Allé z kartką, nie mając pojęcia, co z nią zrobić. Pod tym adresem nie było już skrzynki pocztowej z nazwi-

skiem Riegel. Przecież zbliżało się Boże Narodzenie! Była pewna, że życzenia nadejdą jak zawsze, a ona powie Gunnhild, niemal od niechcienia, że dostała kartkę świąteczną z Berlina. Mój Boże, ten chłopak ma naprawdę dużo pracy!

Leżała przebudzona i wsłuchiwała się w ciemność. Rozciągnięta na całą długość łóżka, potem zwinięta jak krewetka, skręcała się i obracała. Noc nie była już cicha, słyszała siedem miliardów ludzi żyjących na świecie. Oddychali jak jedna wielka bestia, rechotali, krzyczeli i jęczeli. Przypomniała sobie, że słyszała kiedyś o człowieku, który przez dwadzieścia cztery godziny przebywał w całkowicie dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. Doświadczył rosnącego ciśnienia w głowie, aż w końcu nie mógł już myśleć. Jakby zalano go betonem. Jak może być tak cicho, pomyślała Ragna, to musi być śmierć. Spojrzała na budzik, było dziesięć po czwartej. Niewiele zostało do końca nocy, ale rano jeszcze nie nadszedł. Wstała i poszła do łazienki, okno było zasłonięte niebieską plastikową zasłonką. Odsunęła ją na bok. Z tyłu domu był wąski pas trawy, a raczej chwastów i wrzosów, zmarzniętych i bezbarwnych. Pod oknem miała też składowisko drewna pod zieloną plandeką. Skorzystała z toalety i skulona wróciła do łóżka.

Pomyślała, że zadzwoni do Napera, swojego lekarza rodzinnego, i poprosi o coś na sen. O szóstej w końcu się poddała. Postawiła stopy na zimnej podłodze, ubrała się i zapaliła światło w kuchni.

Trzy dni później siedziała w autobusie jadącym do centrum miasta, planując swoje małe przedstawienie. Nie lubiła żebrać, ale Naper nigdy jej nie odmawiał, nigdy nie negował jej dolegliwości, nigdy nie był autorytarny ani arogancki. Raczej miał w sobie jakąś taką melan-

cholię, przez którą czuła z nim pewną więź. Ze swoją poważną twarzą, mocną szczęką i dłońmi wielkości łap niedźwiedzia przypominał jej bardziej starzejącego się leśnika niż lekarza. Wyjaśniła, że nie może spać, już od dłuższego czasu. Ze zmęczenia była ociężała i ospała, i to przez cały dzień. Często wstawiała z bólem głowy i niepokojącym migotaniem przed oczami. Chciał wiedzieć, czy coś się stało. Może jakieś nowe zmartwienie w jej życiu lub strata? A może lęki? Siedziała trochę niepewnie na krześle, jak to się zwykle robi u lekarza, blada, z rękami na kolanach. Pokręciła głową. Nie miała w zwyczaju zaprzętać lekarza błahymi sprawami, jak kilka głupich listów w skrzynce pocztowej.

To chyba przychodzi z wiekiem, pomyślała, nie patrząc na niego.

Wyszeptała swój problem, siedząc całkiem blisko niego, ubrana w zielony fartuch z Europris, z torebką na kolanach. Wpatrywał się w ekran, wyświetlił tam jej dokumentację, wszystko, co wydarzyło się w jej życiu, a było tego trochę, miała już ponad czterdzieści lat.

– Dam ci coś lekkiego – powiedział – co nie uzależnia. Ale i tak musisz się oszczędzać. Chwilowe problemy ze snem są normalne, zwykle mijają samoistnie. Jesteś rozsądna, Ragna, nie masz w zwyczaju narzekać. – Wydrukował receptę, usłyszała warkot drukarki. – Ale na pewno zdarzają się też lepsze noce, podczas których dobrze śpisz? – zapytał.

Uderzyło ją, jaki jest uprzejmy, nawet po tych wszystkich latach narzekań, latach żądań i oczekiwań, chorób i śmierci, ludzi, których nie mógł uratować.

Przytaknęła.

– Zdarzają się dobre noce.

– Miewasz koszmary? Wiele osób ma trudności z zasypianiem właśnie przez złe sny. Niechętnie zasypiają.

– Nie – odparła – ja chcę spać. Spać całą noc. Jeśli to możliwe.

Usiadła z receptą w ręku, zauważyła nieczytelny podpis.

– A twój syn? – dodał jeszcze. – Przyjedzie do domu na Boże Narodzenie czy może jedziesz do Berlina?

Pytanie padło tak nagle, że zaczęła się jąkać.

– Jeszcze się nie zdecydowałam.

Milczał przez chwilę, to był jej czuły punkt, widział to już wcześniej.

– Wpadnij wkrótce – zachęcał.

Złożyła receptę na pół i schowała ją do torebki. Cicho zamknęła za sobą drzwi i zniknęła w poczekalni, mijając innych oczekujących pacjentów. Było w nich coś smutnego, pomyślała, że może żaden z nich nie spał, może wszyscy cierpieli, może to ich słyszała w nocy, oddychających, jęczących i zawodzących.

Zaniosła receptę do apteki, a w domu otworzyła pudełko i wyciągnęła listek małych tabletek. Każda była nie większa niż ziarenko ryżu, czy naprawdę mogły ją uspić? Trudno było w to uwierzyć. I co właściwie zawierały? Nie zapytała. Pewnego lata, dawno temu, była z rodzicami na wakacjach na wybrzeżu Algarve, a na chodniku w wiosce mężczyzna sprzedawał ziarna ryżu. Twierdził, że na każdym z nich wygrawerowana jest cała Modlitwa Pańska. Ziarna znajdowały się w małych szklanych ampułkach, nawleczonych na rzymski. Ludzie kupowali je i nosili na szyi, wierząc, że niosą modlitwę, że są chronieni. Ona jednak nie kupiła ziarenka. Nie wierzyła w to, czego nie widziała. Ścisnęła mocno w dłoni pudełko tabletek, na którym widniał czerwony trójkąt ostrzegawczy. Podobał jej się ten znak,

oznaczał, że naprawdę działają. Nie prowadziła samochodu i nie obsługiwała ciężkich maszyn, więc ostrzeżenie jej nie dotyczyło. Teraz miała obronę. Przełącznik. Mogła go włączać i wyłączać, spać lub nie spać, wybór, kontrola nad nocą. Mogła się obudzić, gdy chemikalia znikną z jej ciała. Wybrać dzień, a potem wybrać sen. Trzymać demony z daleka.

Tabletki stanowiły obronę przed intruzami, jak gaz pieprzowy, który Gunnhild kupiła przez Internet i zawsze nosiła przy sobie.

Wędrowała bez celu po mieście, zaglądając w okna. Zatrzymała się przy tamtym centrum handlowym, rzucając ukradkowe spojrzenie do kawiarni, na wypadek gdyby Walther siedział przy jednym ze stolików i miał ją na oku. Nabrała ochoty, by popatrzeć na zwierzęta w sklepie zoologicznym. Czasami wchodziła do dużego, jasnego pomieszczenia, lubiła jego zapachy i dźwięki, mieli tam rybki akwariowe i papugi, chomiki, świnki morskie i króliki. Ara o imieniu Papa Doc mieszkała w sklepie od kilku lat, ale wciąż wzbudzała podziw Ragny. Klatka była zawsze otwarta. Ptak mógł wchodzić i wychodzić, kiedy mu się podobało, miał stały dostęp do wolności, z której jednak rezygnował. Za dużo tam było dla niego ludzi, za dużo hałasu, za dużo gapiów i zamieszania. Zostawał więc na patyku, gdzie czuł się bezpiecznie. Ragna stała nieruchomo i wpatrywała się w ptaka, a on wodził za nią bystryimi oczami, zastanawiając się, jaką jest osobą, czy ma dobre intencje. Wyszeptała kilka miłych słów, Papa Doc podszedł bliżej. Chciała go dotknąć, pogłaskać jego pierzaste ciało. Ale znak na klatce tego zabraniał, było oczywiste, że mógłby odgryźć jej palec. Czerwone pióra i czarne oczy błyszczały w świetle. Wiedziała też, że potrafi mówić, ale dziś nie miał nic do powiedzenia. Pochyliła się bliżej, zachęcająco. Dobre zwierzątko,

wyszeptała, dobry ptaszek. Ale nie dał się przekonać do rozmowy. Jakiś ptak w sąsiedniej klatce zaczął uwodzicielsko gwizdać, podniosło ją to na duchu. Gdyby zamknęła oczy, mogłaby sobie wyobrazić, że jest piękną przechadzającą się ulicą, a mężczyźni czynią jej awanse ze wszystkich stron. Wychodząc bez zakupów, minęła stojak z pocztówkami, naklejkami i innymi takimi, wszystkie z motywami zwierzęcymi. Ale coś innego przykuło jej uwagę. Na ścianie nad stojakiem z kartkami znajdowała się metalowa tabliczka. Miała chyba format A4 i przedstawiała warczącego rottweilera z otwartą paszczą i kolczatką na szyi. W każdym rogu znaku wywiercone były otwory na śruby. Pod obrazkiem widniał napis, wielkimi literami: Uwaga, pies!

Ragna otworzyła szeroko oczy. Nigdy nie widziała takiego psa, nigdy nie widziała takich kłów. To nie była Dolly, to był drapieżnik, wyszkolony do ataku. Stała na palcach i wzięła tabliczkę, by przyjrzeć się bliżej przerażającemu psu. Tabliczka była ciężka i solidna, przeznaczona do powieszenia na ścianie domu, ogrodzeniu lub bramie. Przez długi czas stała z nią w dłoniach, nie przestając mu się przyglądać. Nieważne, ile kosztowała, tego właśnie potrzebowała. Podeszła do lady i otworzyła portfel z determinacją, na jaką rzadko potrafiła się zdobyć. Ktoś skazał ją na śmierć. Teraz wynajęła obrońcę.

– Ma pani rottweilera? – dopytywał sprzedawca, pakując jej zakup do torby. Przyglądał jej się, gdy przeciągała kartę.

– Nie – odpowiedziała – ale potrzebuję go.

Był zaskoczony jej szeptem, zinterpretował go jako flirt. Zniżyła głos i stała się tajemnicza, a on był oczarowany.

– Z takim znakiem na ścianie nie potrzebuje pani alarmu – powiedział.

Podziękowała mu i wyszła, szybko przez deptak i na plac, tabletki nasenne w torebce, rottweiler w torbie. Kiedy znalazła się w autobusie, na trzecim siedzeniu po lewej, wyjęła z torby ciężką tabliczkę. Nie miała dość widoku warczącego zwierzaka. Mogła z łatwością przybić znak do ściany domu za pomocą gwoździ, które trzymała w kuchennej szufladzie.

Gdy tylko znalazła się w domu, przystąpiła do działania. Używała młotka z wielką energią, wałąc mocno i wytrwale, kontynuując długo po tym, jak gwoździe wbiły się w drewno, po jednym w każdym rogu. Stukanie powinno być ostrzeżeniem dla całej okolicy, pomyślała, stojąc z młotkiem w ręku. Mieszkała tu kobieta, która wiedziała, jak się bronić. Kiedy tabliczka została już przytwierdzona, po lewej stronie drzwi, cofnęła się o kilka kroków i z daleka obserwowała psa. Następnie zeszła po schodach i wyszła na żwirową ścieżkę. Pies zdawał się podążać za nią wzrokiem, niezależnie od tego, gdzie stała. Szła w bok, w prawo i w lewo, w dół do podnóża schodów i dalej w dół w kierunku drogi, cały czas utrzymując kontakt wzrokowy z psem. Widziała jego czerwony i mokry pysk, żółte zęby, które mogły rozrywać i żuć.

Prawdziwy rottweiler, którego w ogóle nie miała, ten, którego mogła nazwać Attyła lub Saddam, ten, który ważył ponad siedemdziesiąt kilogramów i znajdował się tuż za drzwiami, ten, którego odwiedzający mieli wyobrażać sobie po zauważeniu znaku, gdyby mieli wątpliwe zamiary, zaatakowałby na krótką, wyszeptaną komendę. „Attyła, bierz go!”

Uderzyło ją, że małe dzieci, które przyjdą sprzedawać losy na loterię, pełne nadziei, z czerwonymi policzkami i zmarzniętymi pal-

cami, również tracą odwagę, której przecież nie miały zbyt wiele. Odbiegną szybko, z losami w jednej ręce i kilkoma zimnymi monetami w plastikowej torbie w drugiej. Wzruszyła ramionami. Niech i tak będzie. Wróciła do środka, zamknęła drzwi i założyła łańcuch.

*

W te ciemne, listopadowe dni było bardzo zimno. Podczas krótkiego spaceru w dół do drogi, kiedy wyrzucała śmieci i nie miała na sobie kurtki, śnieg chwycił ją i gryzł w policzki jak rak. W pośpiechu załatwiała swoje sprawy i zataczając się, wracała do domu, skulona jak stara kobieta. Zimno było surowe i okrutne, czuła, że idzie po nią, że coś znaczy. Postanowiła kupić skórzane rękawiczki. Tanie, syntetyczne rękawiczki nie wystarczały, podobnie jak buty. Nie miała w ogóle tłuszczu na ciele, dla mrozu była łatwą ofiarą. Kiedy ja się nauczę, pomyślała. Całe życie mieszkam w tym kraju. Eskimosi wiedzieli, jak się ubierać. Dla nich zimno było czymś oczywistym, czymś, z czym zawsze żyli. Mróz był bakteriobójczy, utrzymywał świeżość żywności, wszystko było czyste i lśniaco białe. Eskimosi kojarzyli jej się z czymś szlachetnym, zdrowym.

Ale wewnątrz autobusu było ciepło, a jej miejsce było wolne. Kierowca, jak jej się wydawało, kołysał się na swoim siedzeniu i wciąż zmagął się z zimnymi podmuchami z ulicy, gdy drzwi otwierały się z sykiem. Była już prawie w domu. Co chcę dziś zjeść, pomyślała, może placki od Irfana z szynką i ostrym sosem. Czuła, jak jej twarz oświetlają latarnie wzdłuż drogi, czuła to w krótkich błyskach, nawet gdy zamykała oczy. Spadł śnieg, a pług jeszcze nie przejechał. Szła w cienkich butach, ich skóra była pokryta białymi zaciekami od soli, nie czuła palców stóp. Miała wrażenie, że coś jest inaczej. Ale było

zimno, szła z pochyloną głową, nie rozglądała się. Szybko przeszła przez ulicę do sklepu i stanęła tam zdezorientowana, rozglądając się z poczuciem zagubienia. Było ciemniej niż zwykle, ciszej i zimniej, na ulicy brakowało czegoś istotnego, jakby umierała i nie miała już pulsu. Szła szybciej, nikt za nią nie podążał. W końcu stanęła przed sklepem Irfana. Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że nie zapalił światła. Wpatrywała się w czarne okna, wreszcie dostrzegła tablicę z informacją.

ZAMKNIĘTE Z POWODU WYPROWADZKI.

Tablica, którą sam zrobił, była kawałkiem kartonu z nierównym napisem, przymocowanym do drzwi taśmą.

Ragna przytuliła do siebie torbę. W środku znajdował się jej portfel z pieniędzmi, które zamierzała przeznaczyć na zakup placków. Czowała się jak mała dziewczynka, która spóźniła się do kiosku, z monetą w piątce. Irfan Baris się wyprowadził. Nic jej nie mówiąc, nie przygotowując jej, nie wyjaśniając, nie dziękując za minione lata i dobre relacje. Tablica nie informowała też o tym, dokąd się udał. Mogło to nawet być miejsce po południowej stronie rzeki, gdzie bywała bardzo rzadko. Albo, co gorsza, inne miasto. To było prawie jak utrata ukochanego. Irfan był pięknym mężczyzną, miał oczy brązowe jak kasztany. Zawsze słuchał tego, co mówiła, od czasu do czasu rzucał troskliwy komentarz. Na przykład że powinna nosić odblaski. A co z tymi wszystkimi pochwałami i entuzjazmem, które wносиła do jego sklepu? Interesowała się jego samopoczuciem, rodziną, świętami Bożego Narodzenia i podobnymi rzeczami. A wszystkie pieniądze, które zostawiła tu przez lata, robiła tam zakupy cały czas, czy to nic nie znaczyło? Czy nie znaczyło to dla niego

wystarczająco dużo, by pofatygować się i poinformować ją o wyjeździe?

Mimowolnie rozejrzała się za Olafem, on pewnie wiedział więcej. Wpatrywała się w górę i w dół ulicy, a potem znów w czarne okna, za którymi półki stały puste. Jak to się mogło stać, i to w takim pośpiechu, przecież przeprowadzka trwa? Musiało być ich więcej, pomyślała, może zrobili to w nocy. Kiedy spała, spakowali wszystko do pudeł i załadowali na ciężarówkę. Ogarnął ją nagły żal, czuła się taka bezwartościowa, zapomniana i zignorowana. Stojąc samotnie i marznąc w ciemności, prawie jak ofiara napadu. Nie dostanie placków i szynki, jak planowała. Nie mogła już chodzić po swoim salonie i patrzeć na jego rozświetlone okna, na światła, które stały się częścią jej życia i ulicznej scenerii. Teraz kto inny założy sklep w tym samym lokalu, nie nadawał się do niczego innego. W tej chwili nie było tam nic, ani pysznych zapachów egzotycznych przypraw, ani owoców, które zawsze leżały trochę za długo, aż musiał je przecenić. Próbowała sobie przypomnieć, co ma w lodówce, nie było tego wiele. Mógł coś powiedzieć. Mógł ją przygotować. Szarpnęła mocno drzwiami kilka razy, chcąc dać upust złości. Rzuciła w ciemność przekleństwo, którego nikt nie usłyszał, coś paskudnego o obcokrajowcach, którzy nie mieli manier, nie potrafili wykazać się normalną norweską grzecznością. Odwróciła się i szybko przeszła na drugą stronę ulicy.

W skrzynce pocztowej nic nie było.

Za każdym razem, gdy wyglądała przez okno, czuła nieokreślony niepokój. Wydawało jej się, że zmieniała się cała sceneria uliczna, oświetlenie na zewnątrz było inne, rozprzestrzeniało się na jej salon. Wciąż podchodziła do okna, mając nadzieję, że się pomyliła, że nagle

sklep Irfana będzie oświetlony, jakby nic się nie stało. Na długo zanim Irfan przyjechał do Norwegii z rodziną, był tam kiosk ze słodyczami, a wcześniej skromny fryzjer męski z jednym fotelem. Jej ojciec bywał tam od czasu do czasu, chociaż najczęściej nosił długie włosy. Pamiętała jednak przyjemny zapach szamponu i lotionu do włosów. I zapach skóry tego dużego fotela, można go było podnosić i opuszczać oraz obracać. Czasami, jeśli ładnie poprosiła, pozwalano jej tam usiąść. Fryzjer udawał, że są w wesołym miasteczku, i robił jej kilka rundek we wszystkich kierunkach. Ale teraz... te czarne okna. Tablica, skąpa wiadomość, była ledwo widoczna jako blada plama na zamkniętych drzwiach.

Nagle zauważyła mężczyznę. Nie rozumiała, skąd się wziął ani jak długo tam stał, tak bardzo była zajęta zamkniętym sklepem. Tkwił na jej podjeździe, tuż pod latarnią. Uderzyło ją, jak nieruchomo stoi. Był ubrany w coś długiego i czarnego, nie nosił czapki i wpatrywał się w jej dom. Głowę miał dużą i okrągłą, ciało długie i wąskie. Ponieważ stał dokładnie pod latarnią, widziała go całkiem wyraźnie, mimo ciemności. Wycofała się do pokoju. To tylko jakiś przechodzień. Akurat gdy podeszła do okna, zatrzymał się, by podziwiać jej dom, przytulny, z ciepłym światłem w oknach. Teraz podejdzie i wyjrzy ponownie, już go tam nie będzie, może zmierza w stronę kościoła. A jednak nie, wciąż stał. Jego ramiona, tak długie, nie zwisały luźno w dół, przyciskał je do ciała, jakby był wyrzeźbiony w kamieniu. Może powinna zaciągnąć zasłonę i wyłączyć wszystkie światła. Nie zrobiła tego. Opadła na fotel i siedziała tak przez dłuższą chwilę, wpatrzona w zegar na ścianie. Wskazówka minutowa poruszała się krótkimi szarpnięciami, Ragna słyszała tykanie. Czuła w całym ciele, że on tam stoi, czuła jego spojrzenie. Musiała wstać i wyjrzeć jeszcze

raz. Nie poruszył się. Było zimno, a on był źle ubrany, bez czapki i rękawiczek. Można było odnieść wrażenie, że nic mu nie przeszkadza, ani zimno, ani ciemność, stał tam niemal demonstracyjnie, jakby miał do kogoś pretensje albo na coś czekał, nie rozumiała na co. Stała po prawej stronie okna, chowając się za zasłoną. Na pewno widział jej sylwetkę za szybą. A gdyby do niego pomachała, czy odpowiedziałby? Czy jej ręka zadziałałaby jak sygnał i wprowadziła w ruch coś, nad czym nie miałyby już kontroli? Przykucnęła za zasłoną, zbierając w dłonie gruby materiał. Oświetlony przez jadący powoli samochód mężczyzna się nie poruszył. Myślała, jak do niego dotrzeć, nie mogła go zignorować, stał na jej podjeździe, wpatrywał się w jej dom. Prawdopodobnie powinna przejść te czterdzieści osiem kroków wzdłuż ulicy i zapytać, czego chce, czy może czeka na kogoś, szuka kogoś, nie może znaleźć jakiegoś adresu. Nie, mógłby wtedy odpowiedzieć, będąc stał tak długo, jak zechcę. Mam do tego prawo. I miał. Mimo wszystko starała się go ignorować, nie wychylać się, uderzyła pięścią w ścianę, żeby wyrzucić z siebie złość. Przecież nie byłaby w stanie nic zrobić, mogłaby tylko wypuścić z ust kłęb pary, słowa, których nie mógł usłyszeć. A jeśli nagle już tam nie stał, czy to oznaczało, że podszedł do jej drzwi i czekał teraz na najwyższym stopniu, szczerząc się do rottweilera na tabliczce, najwyraźniej domyślał się, że ona nie ma takiego psa, nie, wiedział to na pewno, bo ją obserwował, i to od dłuższego czasu. Włączyła telewizor i usiadła w fotelu, wpatrując się niewzruszenie w migoczący ekran. Oparła się pokusie zaciągnięcia zasłony. Wtedy pewnie pomyślałaby „zobaczyła mnie, przestraszyłem ją”, nie chciała dawać mu tej satysfakcji, jeśli tego właśnie szukał. Wydawało jej się, że słyszy go teraz, że stoi pod latarnią i warczy. Słyszała go przez dźwięk telewizora, jakby był tuż

za ścianą. A może to Olaf używał w domu jakiegoś narzędzia elektrycznego, może wiertarki? Postanowiła poczekać pół godziny, a jeśli nadal będzie tam stał, zadzwoni na policję. Nadszedł czas, aby ktoś się do tego włączył. Wskazówka na zegarze przesunęła się do przodu, słyszała to wyraźnie. Podkreśliła więc głośność w telewizorze, ale nic to nie dało. Kiedy minęło pół godziny, szybko zerknęła na zewnątrz – wciąż tam stał. Dała mu więc kolejne pół godziny. Ze strachem przeszła do kuchni, odwróciła się plecami do okna i nalała herbaty do kubka, dodała cukier. Wślizgnęła się z powrotem do środka z przygarbionymi plecami, obserwując zegar ścienny minuta po minucie. Wciąż stał.

Zadzwoniła na policję z telefonu stacjonarnego. Odebrała funkcjonariuszka, dosyć uprzejma, ale nieszczególnie zainteresowana.

– Dyżurny policji. W czym mogę pomóc?

Ragna dołożyła wszelkich starań, by usłyszała ją dokładnie.

– Jakiś mężczyzna obserwuje mój dom – wyszeptała. – Od dłuższego czasu stoi przy skrzynce pocztowej i wpatruje się w budynek.

Cisza. Może policjantka zanotowała jej słowa, a może przewróciła oczami w kierunku kolegi.

– Czyli nie jest w pani domu?

– Nie – szepnęła Ragna.

– Stoi przy drodze?

– Tak, stoi.

– Dlaczego pani szepcze? Bardzo trudno jest usłyszeć, co pani mówi, czy mogłaby pani mówić głośniej?

Słyszała to, tę małą irytację wywołaną jej innością. Przełknęła ślinę i próbowała wyjaśnić, udało jej się wymamrotać, że nie ma już głosu z powodu urazu. Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Zrobił pani krzywdę?

– Nie!

Znowu cisza. W głowie Ragny wrzało, miała przytkane gardło.

– Stoi tam od ponad godziny – szepnęła – nie rusza się, tylko stoi i patrzy.

– Może pani powtórzyć? – usłyszała.

– Stoi tam już ponad godzinę!

– Jaki jest pani adres?

– Kirkelina siedem. Riegel.

– Nie wie pani, kim on jest? To nieznajomy?

– Wysłał mi kilka listów.

– Naprawdę?

Ponownie pauza.

– Ale to pani wnioski, tak? Dostała pani jakieś listy, a teraz jakiś mężczyzna patrzy w stronę pani domu. Czy to na pewno ta sama osoba?

– Tak myślę.

– Domyśla się pani?

Policjantka znów zamilkła na dłuższą chwilę. Ragna usłyszała jakieś mamrotanie, jakby naradzała się z innymi. Mamrotanie trwało jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym głos w słuchawce wrócił.

– Może w pobliżu jest przystanek autobusowy? – zapytała.

– Nie, jest dalej, w dół ulicy.

– Jest pani pewna, że patrzy w stronę pani domu? Że nie stoi odwrócony plecami? Jest ciemno.

– Jego twarz jest oświetlona – wyjaśniła Ragna. – Na moim podjeździe jest latarnia, a on stoi pod nią. Chce, żebym go widziała.

– Czy robi coś, czy tylko stoi?

– Tylko stoi.

– Przeżyła pani niedawno rozstanie?

Ragna była całkowicie oszołomiona. Ale zrozumiała sposób myślenia policjantki.

– O nie, nic z tych rzeczy.

– Żadnego byłego męża, byłego chłopaka?

Pomyślała o Waltherze, który pojawił się nagle po wielu latach, ale odepchnęła tę myśl natychmiast.

– Nie – odpowiedziała stanowczo.

Policjantka nie pytała o listy. Ragna zdawała sobie sprawę, że jest postrzegana jako niepełnosprawna i że z tego powodu ludzie podchodzą do niej w szczególny sposób. Policja ma na pewno mnóstwo telefonów od chorych i zaburzonych ludzi, prawdopodobnie centralka telefoniczna była stale podświetlona na czerwono, wieczny, migający zgiełk.

– Ale nic pani nie zrobił?

– Tylko tam stoi.

– Nie groził ani nie krzyczał?

– Nie.

– W takim razie niewiele możemy zrobić – wyjaśniła policjantka. – Co innego, gdyby był na pani posesji, ale mówi pani, że

stoi przy drodze. Jeśli nie zagraża pani w żaden sposób, ma prawo tam stać.

Ragna zaczęła mieć poważne problemy. Coraz trudniej było jej wyrażać się jasno. Miała już odłożyć słuchawkę, ale spróbowała jeszcze raz.

– Jak długo będę musiała czekać? – wyszeptała zrozpaczona. – Może będzie tam stał całą noc.

– Może pani powtórzyć?

– Może będzie stał całą noc!

– To mało prawdopodobne – odparła policjantka – nie mamy też żadnego samochodu w pani okolicy. Musi pani po prostu spróbować go zignorować. Jest zimno – dodała. – Prędzej czy później zmarznie, ale to już jego problem.

Ragna wyczuła, że policjantka się uśmiecha. Zadowolona z siebie i swojego eleganckiego sposobu radzenia sobie z ludźmi, sama używała takiego uśmiechu, gdy chciała zakończyć rozmowę. Ta policjantka na pewno umie odróżnić bzdurę od poważnej sprawy. Ludzie nieustannie potrzebowali uwagi. Starsze panie były najgorsze.

– Ale te listy – szepnęła Ragna z rozpaczą. – One coś znaczą. Dostałam ich już trzy. On mi groził!

– W takim razie proszę je nam przynieść. Przyjrzymy się im.

Ragna trzasnęła słuchawką. Nie mogła się przyznać, że je spaliła.

Nie spoglądając za okno, weszła do łazienki i napuściła wody do wanny. Nie mogła krzyczeć, musiała więc hałasować w inny sposób. Wsypała na dno wanny garść brzoskwiniowej soli do kąpieli, która miała mieć działanie uspokajające. „Relaksujące i rewitalizujące”.

Nie żeby w to wierzyła, ale nie miała pod ręką nic innego, nawet łyka czerwonego wina. Woda trysnęła z kranu, w starych rurach było dobre ciśnienie, wanna szybko wypełniła się kaskadami uspokajającej piany. Zrzuciła z siebie ubranie, leżało teraz na podłodze jak opuszczone gniazdo. Dzięki pianie nie musiała widzieć chudego ciała, leżała całkowicie nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Oddychała miarowo i spokojnie. Wiedziała przecież, że właściwe oddychanie jest bardzo ważne. Słyszała nawet o specjalnych kursach, gdzie ludzie uczyli się tej sztuki. Prawidłowe oddychanie miało łagodzić wiele dolegliwości, takich jak niepokój i stres. Postanowiła leżeć, aż woda całkiem wystygnie. Do tej pory mężczyzna musi odejść. Zmęczony i przemarznięty w końcu się podda. Uspokoila się wreszcie, rozkoszowała się przyjemnym zapachem pomieszczenia i własnego ciała. Słyszała, że można się naćpać solami do kąpieli, że powodują silny i destrukcyjny haj, zastanawiała się nad tym teraz. Sole do kąpieli były dostępne wszędzie, każdy dzieciak mógł je kupić, starsze panie dostawały je na Boże Narodzenie. Stała się wiotka i ciężka w gorącej wodzie, chwiejnie wyszła z wanny i stanęła na podłodze. Była gładka i różowa jak łosoś, lustro zaparowało, więc widziała tylko sylwetkę. Zawsze byłam niewyraźna, pomyślała, to nic nowego. Przed wyjściem z pokoju otworzyła okno, by wypuścić parę. Następnie udała się prosto do okna w salonie. Mężczyzny już nie było. Naprawdę zniknął! Spojrzała w górę i w dół ulicy, nikt nie stał pod latarnią. Pomyślała, że może przeszedł do kolejnego domu, aby terroryzować następną osobę, Olafa, rodzinę Soi lub kogoś innego. A policjantka, z którą rozmawiała, wciąż siedziała na komisariacie i odbierała telefony. Centrala migiała na czerwono przez całą noc i cały następny dzień, ona też była tylko małą czerwoną lampką, którą mogli wyłą-

czyć, gdy uznali, że przesadza. Jedną z siedmiu miliardów. Upierdliwą petentką.

Ubranie przylegało do ciała, było jej ciepło jak w rękawiczce. Sprawdziła jeszcze raz, czy mężczyzny nie ma, oparła się o okno tak, że pokryło się parą, narysowała na niej uśmiechniętą buźkę. Usiadła przy komputerze i weszła na YouTube, by znaleźć The Jumper. Nigdy nie znudziło jej się oglądanie postaci lecącej w powietrzu z wysokiego budynku aż na asfalt. Nie miała dość zamieszania, gdy wstał i podszedł do kamery. Jego spojrzenie, to czarne, nieodgadnione spojrzenie, mówiło tak wiele. Nie spodziewałaś się tego, prawda? Spojrzenie triumfu. Jego oczy były wyzywające, jakby chciał jej coś powiedzieć lub w coś wciągnąć, jakby widział tylko ją, Ragnę Riegel w domu pod adresem Kirkelina 7. Podeszła ponownie do okna, mężczyzny nie było, a w sklepie Irfana wciąż było ciemno. Ostrożnie wyszła za dom i wzięła kilka polan ze stosu pod oknem łazienki, starannie ułożyła plandekę. Listopadowe powietrze było rześkie i zimne, ale jej wciąż było ciepło po kąpieli, szeroko otwarte naczynia krwionośne kurczyły się z taką prędkością, że aż policzki mrowiły. Nie była już ciężka i powolna, była zwarta i gotowa. Następnie weszła do środka i rozpałała w kominku, klęcząc przed szklanymi drzwiczkami. Przyciszyła telewizor i usiadła, wpatrując się w płomienie. Drzwi miały piękną kratę z kutego żelaza, więc mogła zobaczyć płomienie przez wiele małych, zakrzywionych przestrzni, jak w kościele z witrażowymi oknami. Dlaczego płomienie miały tak silny wpływ na ludzi, niemal hipnotyzujący? Dla niej były wystarczające same w sobie, nie potrzebowała nic więcej. Nad morzem było podobnie: gdy fale, gwałtowne lub powolne, obmywały plażę, można się było w nich zupełnie zatracić. To musiało mieć coś wspólnego z powtarzalnością,

tańcem płomieni, rykiem fal, poczuciem czegoś, co zawsze było i zawsze będzie. Wieczności. Pomyślała, że powinna pomedytować, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Chodziło chyba o odcięcie się od świata i zamknięcie się w małej przestrzeni, na przykład tej najbardziej niebieskiej części płomienia, gdzie podobno jest zupełnie zimno. Gdyby wybrała jedną z małych kratek w drzwiach kominka i po prostu obserwowała przez nią płomień, wszystko wokół, przestrzeń, dom, ulica i miasto zniknęłyby, a jej prześladowana dusza odnalazłaby spokój. Ale tak się nie stało.

Przed snem wzięła cztery tabletki nasenne. W ogóle na nią nie działały, niezależnie od dawki, ale i tak je połknęła, trzeba było korzystać z tego, co się miało do dyspozycji, wiedziała sporo o tym, jak dużo może dać wmawianie sobie, że coś pomaga. Zamknęła okno w łazience. Z roku na rok zawiasy stawały się coraz wolniejsze, bo drewno pęczniało pod wpływem wilgoci. Z lustra zniknęła para, przejrzała się w nim i natychmiast pożałowała, bo nie znalazła tam nic, co mogłoby jej pomóc. W domu było tak cicho, że cisza miała swój własny ton, jednostajny szum. Nie, stwierdziła, nie był on całkiem jednostajny, wznosił się i opadał, wznosił się i opadał. Kiedy ułożyła się w łóżku, szmer przybrał na sile. Stuknęła lekko knykiem w ścianę, siedem razy. Zatrzymała się i zapukała ponownie. Ale nikt nie odpowiedział. Szum wciąż tam był. Skojarzył jej się z wyciekaniem. Toksyczny gaz wyciekający z dużego pojemnika.

*

W dniu, w którym Ragna opowiedziała Sejerowi o mężczyźnie stojącym pod latarnią uliczną i rozmowie z lekceważącą policjantką z jego własnego wydziału, wrócił wieczorem do domu, pełen zmar-

twień. Chciał stać po stronie swoich koleżanek i kolegów opierających się całodobowej burzy zgłoszeń, z których zdecydowana większość była bzdurą, od dzieci, szaleńców lub pijaków.

Siedział samotnie w półmroku i rozmyślał, przysunąwszy krzesło do okna. Z trzynastego piętra spoglądał na miasto, na światła odbijające się w rzece, ulice przypominające długie rzędy lampek choinkowych. Najważniejsze budynki były oświetlone: teatr, stara remiza strażacka i browar. Lubił patrzeć na miasto z góry, dawało mu to poczucie dystansu i kontroli. Jak ciemne musiało być wszystko przed wynalezieniem elektryczności, pomyślał, nieme i przytłaczające. Tylko księżyc ze swoim zimnym światłem nad wodą rzeki. Popijał jak zwykle whisky, a Frank spał u jego stóp. Sejer od czasu do czasu zaciągał się jedynym, wieczornym papierosem, tytoń był suchy i mocny, przyprawiał go o zawroty głowy. Próbował sobie wyobrazić przerażenie, jakie musiała poczuć Ragna, gdy dostrzegła mężczyznę pod latarnią. Ubranego na czarno i nieruchomego, wpatrującego się w jej dom. Jeśli chodzi o komunikację między ludźmi, istniały jasne zasady, gapienie się było stanowczo niemile widziane. Kontakt wzrokowy mógł szybko przejść od czegoś otwartego i zachęcającego, flirtu, wyrazu zainteresowania, do poważnego zagrożenia i agresji. Mężczyzna stał jak posąg. To było demonstracyjne samo w sobie, niepokojące i niezrozumiałe. Gdyby zamiast tego przeszedł kilka kroków w tę i z powrotem, zerkając tylko na chwilę w stronę domu, mogłoby to oznaczać, że czeka na kogoś właśnie tutaj, pod tą latarnią. Kogoś, kto ostatecznie nie przyszedł. Oderwał się od swoich rozmyślań i zabrał Franka na spacer, jego kroki były lekkie, gdy szedł w świeżym śniegu. Nikogo nie spotkali, drogi były opustoszałe, ale we wszystkich oknach panował ciepły blask. Pomyślał, że to właśnie

w czterech ścianach tych domów dochodzi do nadużyć i zdrad, gróźb i przemocy. Często trwało to latami i nikt o niczym nie wiedział. Ludzie odruchowo unikali dyskomfortu, ten sam instynkt utrzymywał ich przy życiu. Ten paradoks nie dawał mu spokoju. Przyglądał się oknom, jednemu po drugim, zauważając od czasu do czasu poruszającą się postać w środku. Niektórzy mogli wyglądać na zewnątrz, tak jak on sam często to robił. Ale teraz, w gęstej ciemności, rozświetlone okna wyglądały zachęcająco. Wkrótce za prawie każdą szybą pojawi się błyszcząca gwiazda lub wieniec, wyraźny znak oczekiwania na nadchodzący okres świąteczny. Szedł jak zawsze niewzruszenie spokojny. Inne psy zostawiły ślady na poboczu. Frank znał je wszystkie, co noc przemierzali ten sam teren, tę samą pętlę między blokami. Nigdy nie szli zbyt daleko, bo gruby pies dyszał ciężko. Sejer był twardy i wytrzymały, szczupły, nawet na granicy niedowagi. Lubił to, był czujny, bystry i gotowy. Zawsze żądny wyzwania.

Lubił ciemności. Ostre podmuchy na policzkach, zimno, od którego łzawiły mu oczy, chrzęst śniegu pod podeszwami, czystego i zimnego, na którym każdy zostawiał swój ślad. Wróbel ważył zaledwie kilka gramów, ale można było śledzić jego trop. Na innych kontynentach, daleko stąd, słońce paliło krajobraz, wrzosowiska i lasy, wysuszało koryta rzek, niszczyło uprawy i sprawiało, że ludzie uciekali w cień, gdzie siedzieli i błagali o litość, marząc o chłodnym raju i tęskniąc za orzeźwiającym deszczem i lśniącymi rzekami. Życ w tym upale, pomyślał, pracować w nim, spać w nim, walczyć. On nie dałby rady.

Spojrzał w górę na gwiazdy, wyraźnie widoczne w ten zimny wieczór. Rozpoznał najważniejsze konstelacje, takie jak Wielki Wóz i Pas Oriona. Zwykle szukał Psiej Gwiazdy, podziwiając jej niezrównaną

jasność. Była tak wyjątkowa, że mogła prowadzić statki. Wiedział, że to tak naprawdę dwie gwiazdy blisko siebie i dlatego tak jaśnieją. Gdy tylko ją znalazł i potwierdził, że jest na swoim miejscu, ponownie spojrzął w dół. W końcu był człowiekiem, którego interesowało głównie to, co działo się na Ziemi. Tu było wiele do zrobienia. A gwiazd nie potrafił ani zrozumieć, ani poruszyć, a lubił poruszać.

Frank znalazł w śniegu plastikowy kubek, w którym znajdował się kiedyś czekoladowy koktajl mleczny, i było oczywiste, że zabierze go ze sobą do domu, na co miał pozwolenie. W końcu instynktem psa było wracanie do domu ze zdobyczą. Po powrocie do domu wciągał swój ciężki tyłek na kanapę, co udawało mu się zazwyczaj przy trzeciej próbie, a następnie zakopywał zdobycz pod poduszkami, aby ukryć ją przed innymi drapieżnikami i zjeść w późniejszym terminie. Coś w tym prostym przedsięwzięciu poruszyło Sejera. Frank nadal był Frankiem, starym chińskim psem bojowym, mimo że dwa razy dziennie otrzymywał miskę karmy, a czasem nawet bułkę z kiełbasą lub ciastko. Mimo wątpliwości opiekuna. Dwa razy podczas krótkiej podróży pies załatwił swoje potrzeby, efekt zakopując w śniegu. W drodze do domu był bardzo powolny, brakowało mu tchu. To wszystko moja wina, pomyślał Sejer, skubiąc smycz. Musisz przestać ślinić się przed lodówką, Frank, nie możesz patrzeć na mnie tymi czarnymi oczami, jestem stary i słaby.

Kiedy wieczorem zgasił lampę, Frank zakopał kubek pod poduszkami kanapy, a potem zasnął. Sejer jeszcze długo czekał na sen, myśląc o Ragnie. I o tym, że leżała sama w celi na wąskiej pryczy. Z kratą w oknie i sedesem w rogu. Było w niej coś pociągającego, co powoli do niego docierało. Drobna kobieta z małymi, cynamono-

wymi piegami na dłoniach i mieszanką nieśmiałości i dumy. Często spuszczała wzrok, wyglądała jednak na zdeterminowaną. Była smutna, ale nie zawstydzona. Była cierpliwa i wdzięczna za to, co jej dano, nie narzekała i nie marudziła. Nie wiedział jeszcze, w jakim stopniu uznaje winę za to, co się stało, nie zaszli tak daleko. Wydawało mu się wręcz, że jest zadowolona z tego, jak się sprawy mają. Nie z tego, co zrobiła, ale z sytuacji, w której była teraz, z tego, że katastrofą w końcu zajęli się inni. Że ona sama jest pod opieką. Jakby jej zdaniem coś się skończyło, rozwiązała problem. Problem, który już nigdy jej nie dotknie. Nie widział w niej rozpacz, buntu. Nie wiedział, czy ona zdaje sobie sprawę z rozmiaru swojej zbrodni, czy przejmuje się przebaczeniem, czy myśli o takich rzeczach, o tym też nie rozmawiali. Jeśli miał być ze sobą szczery, nigdy nie zrozumiał w pełni, czym tak naprawdę jest przebaczenie. Co oznacza, co może oznaczać dla różnych osób. Czy można wybaczyć, a potem tego żałować, jak wtedy, gdy kupujesz prezent, na który tak naprawdę cię nie stać? Wyobrażał sobie, że ci, którzy wybaczyli, mieli ku temu własne motywy, podobnie jak winowajca miał swoje motywy popełnienia przestępstwa. Czy ofiara lub jej krewni przebaczała z czystej hojności o niemal boskiej naturze, czy też był to samolubny gest wobec sprawcy? Widzę tę niemożliwą do pokonania przepaść między nami. Teraz ją jeszcze powiększam. Nigdy nie osiągniesz mojego poziomu, to będzie twoja kara, nigdy nie zasłużysz na przebaczenie, więc będziesz je nosił przez całe życie i będzie ono tak ciężkie jak zbrodnia, którą popełniłeś. Będzie cię trzymać na uwięzi przez całą wieczność. Jeśli złamiesz przymierze, które zawarliśmy poprzez przebaczenie, na zawsze będziesz potępiony. Uderzyło go, że myślał niegodziwie. To właśnie nie pozwalało mu spać. Co on wiedział o przebaczeniu

i nieziemskiej dobroci, oczywiście, że istniały. I Ragna Riegel będzie ich potrzebować.

*

– Rzadko o coś proszę – wyjaśniła swoim cichym głosem. – To za dużo kosztuje. Zawsze muszę coś wytłumaczyć, a nienawidzę tłumaczyć się obcym.

– Ale mnie tłumaczy się pani chętnie – zauważył Sejer.

– Muszę.

– Nie musi pani, to pani wybór. Wiele osób siedzących tutaj odmawia składania wyjaśnień, często za radą obrońcy. Tego, czego pani nie powie, jeśli zdecyduje się pani milczeć, nie możemy wykorzystać przeciwko pani. A sprawa i tak będzie toczyć się dalej. Wtedy prawdopodobnie wiele pani straci, na przykład przychyłność tych, którzy będą panią sądzić.

– Więc zasłużyłam na przychyłność? Bo składam wyjaśnienia?

Przytaknął.

– Przychyłność jest warta więcej, niż ludzie sądzą, może nas zaprowadzić bardzo daleko. Proszę mi powiedzieć o tym wieczorze, kiedy zauważyła pani mężczyznę pod latarnią. Czy w ogóle pani spała?

– Zasypiałam na krótko. Miałam bardzo nieprzyjemne sny, budziłam się i spałam dalej. Czasami byłam oszołomiona, w takim stanie pośrednim między snem a jawą. Nie lubię tej szarej strefy – przyznała – nic wtedy nie jest pewne. Słyszę coś na zewnątrz, może to rzeczywistość, a może nie, dźwięki przesuwają się tam i z powrotem przez granicę między jawą a snem i powodują całkowite zamieszanie. Nad ranem zasnęłam na godzinę. Śniło mi się wtedy, że wrócił.

Przeszedł przez podjazd aż do otwartego okna mojej sypialni. Stał tam i sapał. Słyszałam ten oddech tak wyraźnie, był ciężki, powolny, jak oddech bardzo dużego zwierzęcia. Ale kiedy się obudziłam, zdałam sobie sprawę, że to był wiatr, kołysał dużymi drzewami za domem. Bałam się podejść do okna w salonie, ale w końcu się przemo-
głam. Mężczyzny nie było. Godzinę później, po drodze na autobus sprawdziłam skrzynkę pocztową, była pusta. Nie mogłam tego zrozu-
mieć. Stał pod latarnią, byłam tak pewna, że zostawił jakąś wiado-
mość, coś bardzo dramatycznego, co chciał podkreślić swoją obec-
nością. Jakby chciał powiedzieć: jestem tutaj. Czekaając na autobus,
zerknęłam na zamknięty sklep. Wciąż byłam rozgoryczona, że Irfan
mi nie powiedział, byłam dobrą klientką, jedną z najlepszych.
Kupowałam w tym sklepie różne rzeczy, nawet te, których nie po-
trzebowałam, bo lubiłam tam być i przechadzać się między półkami.
Pewnego razu kupiłam butelkę płynu do kąpieli, zawierał małe
błyszczące drobinki, które przykleiły się do mojej skóry. W Remie
nie kupuję takich rzeczy. Jestem dziecinna. Przez Irfana musiałam
znaleźć inne rozwiązanie kwestii zakupów spożywczych, to było ta-
kie uciążliwe, wciąganie ciężkich toreb do autobusu. Zrobić zakupy
na tydzień, a nie tylko przebiec przez ulicę pod wpływem impulsu.
Nie jestem dobra w długoterminowym planowaniu. – Spojrzała na
niego żałośnie. – Czy mogę napisać do Rikarda Josefa? Jeśli spraw-
dzicie list?

– Co chciałyby pani napisać? – zapytał Sejer.

– Tylko kilka słów. Że myślę o nim i nie osądzam go, i że prawdo-
podobnie znalazł się w trudnej sytuacji, jak ja. Człowiek już tak ma,
że trafiają mu się trudne sytuacje. Bóg jeden wie, jak to jest z ludźmi,
którzy nigdy nie popełniają błędów.

– Nie istnieją tacy – stwierdził Sejer. – Proszę mi powiedzieć więcej o swoim synu.

– To dobry chłopak. Ale tak mówią wszystkie mamy. Zastanawiam się, czy przyjdzie na mój pogrzeb. To może nie potrwać długo.

– Dlaczego tak pani mówi?

– Nigdy nie wiemy takich rzeczy. Nigdzie nie jest napisane, że jutro się obudzę, to nie jest oczywiste. Czy pan bierze te rzeczy za pewnik?

– Zakładam, że będzie dobrze.

– Tak? – Uśmiechnęła się lekko. – Jeśli Rikard umrze, gdy będę w więzieniu, czy ktoś da mi znać?

– Oczywiście, że tak.

– Czy będę mogła pojechać na jego pogrzeb?

– Dlaczego mówi pani o jego pogrzebie? Myśli pani, że jest chory?

– Może jest. Nie mogę się do niego dodzwonić, a kiedy pan dzwonił, nie chciał z panem rozmawiać.

– To nie zależy tylko ode mnie – wyjaśnił Sejer. – Jestem tylko małą częścią dużej struktury.

– Nie – powiedziała. – Jest pan ważną częścią małej struktury. Jeśli umrze, chcę go pochować tutaj. Będzie z mamą i tatą, zrobiłam miejsce dla nas obojga. O ile wiem, nie ma nikogo innego, a przynajmniej nigdy o tym nie wspominał. Jeśli oszukał hotel, jak mówisz, to jego koledzy również się od niego odwrócili. Jest bardzo źle, nie mogę tego znieść. Nie mogę nawet o tym myśleć. Myślałam, że odniósł wielki sukces.

Sięgnęła po karafkę z wodą, która zawsze była pod ręką, zobaczyła, że trochę rozlała.

- Ale myślę, że w więzieniu też nawiązuje się przyjaźnie - pocieszała się. - Może współwięźniowie stają się twoimi najlepszymi przyjaciółmi. W więzieniu nie można się ukrywać, ludzie wiedzą o tobie wszystko, co najgorsze.

- Co myślała pani w następnych dniach po doświadczeniu z mężczyzną?

- Staralam się zachować kontrolę. To tak, jakby wyjść na zewnątrz w nocy, słyszysz, że ktoś za tobą idzie, słyszysz kroki. I wiesz, że jeśli pierwszy rzucisz się do biegu, wzmocnisz strach. Jeśli uda ci się zachować spokój, uda ci się również zachować świadomość, że to tylko spacerowicz, taki jak ty. Czasami jednak przysuwałam fotel do okna, by mieć widok na drogę. Potem siedziałam tam godzinę po godzinie, wpatrując się w górę i w dół ulicy, obserwując każdy samochód. Czułam, że mam ogłęd sytuacji i że jestem przygotowana. Ale to było żałosne życie. Ciągłe gapienie się w okno było przymusem. Chciałam odzyskać stare, ciche i proste życie bez intruzów, ale ono przepadło na zawsze, ponieważ ktoś postanowił mnie zniszczyć. Powoli.

- Minęło dużo czasu - zauważył Sejer - i nic się nie działo. Żadnych listów, nikogo, kto miałby na panią oko.

- To było dziwne... Cały czas byłam czujna, nasłuchiwałam i wypatrywałam. Dobrze było być w pracy, to dawało mi spokój. Mogłam pracować na dwie zmiany, ale mamy dobrą obsadę, nie było takiej potrzeby. Cały czas obserwowałam jednak ludzi i zauważyłam, że jeśli ja się gapię, oni też. To dziwne, że wszystkie te małe mechanizmy potrzebują zaledwie trzech sekund, by coś zasygnalizować. Strach, sceptycyzm lub zainteresowanie.

– Nie spałaś zbyt dużo – stwierdził Sejer. – Czy to miało jakieś skutki?

– Oczywiście, stałam się drażliwa. Nigdy nie byłam porywcza, ale nie miałam już takiej cierpliwości jak wcześniej. Potrzebowałam komfortu i bezpieczeństwa, ale jednocześnie odpychałam od siebie ludzi. Tylko Gunnhild była taka sama. Tylko ją miałam i czułam, że mnie obserwuje. Ona też na coś czekała. Żebym się załamała i przewróciła, żeby musieli mnie wynieść.

– Czy tego właśnie pani chciała?

– Tak, chciałam.

– Ale dobrze się tu śpi?

– To jak powrót do domu. Jakbym znów była mała. Ja kładę się spać, ale dorośli nie śpią i czuwają nade mną, słyszę, jak się kręcą. Wie pan, jakieś drzwi, kroki i odległe głosy. Pamięta pan to uczucie z dzieciństwa?

– Tak. Pamiętam też uczucie, gdy leżałem, nie śpiąc, a dorośli się już położyli. Nie było żadnych dźwięków, tylko mój własny oddech. Nie podobało mi się to.

– Pewnego wieczoru, kiedy wracałam do domu z pracy – kontynuowała – wysiadłam z autobusu w centrum miasta. Miałam plecak i zamierzałam kupić trochę jedzenia, a potem pojechać kolejnym autobusem do Kirkeliny. Spacerowałam wzdłuż deptaka, chciałam obejrzeć wystawy sklepowe przed pójściem do Kiwi, ale zatrzymałam się przed sklepem z sukienkami. To drogi sklep, w którym nigdy nie bywam, ceny są zdecydowanie za wysokie, a ja przecież najlepiej czuję się w tym starym fartuchu. – Skubnęła go i uśmiechnęła się z rezygnacją. – Pewnie nie zna pan tego sklepu, nazywa się Ladies Choice.

- Znam - odpowiedział Sejer.

- Mają wspaniałe sukienki, mogę przynajmniej pomarzyć. Stałam tam jak mała dziewczynka, podziwiając je, ale w końcu zaśmiałam się sama z siebie. I tak nigdy nie jestem zapraszana na imprezy. Co ja zrobię z perłami i cekinami?

- A gdyby została pani zaproszona?

- Odmówiłabym. Nie wiem, czy chodzi pan na imprezy, ale dla mnie to niemożliwe. Są tam głosy, muzyka, śmiech, brzęk kieliszków i szuranie krzeseł. Jak może pan sobie wyobrazić, jestem bezradna w takiej sytuacji.

- Ja również - przyznał Sejer.

- Potem chciałam iść dalej - kontynuowała. - Skończyłam marzyć. Oderwałam się od drogich sukienek, odwróciłam się trochę zbyt gwałtownie i wyszłam na ulicę. Nagle zostałam potrącona przez przechodzącego mężczyznę, tak mocno, że poczułam się jak uderzona jakimś narzędziem i byłam kompletnie oszołomiona. Podskoczył tak samo jak ja, biedak, mężczyzna w moim wieku lub trochę starszy, bardzo ładnie ubrany i bardzo przestraszony. Położył ręce na moich ramionach i zdołał wymamrotać kilka słów po angielsku. „Tak mi przykro, kochanie! Tak mi przykro!” - Spojrzała na Sejera, by sprawdzić, czy jej słucha. Widziała drobne niuanse na jego twarzy i w oczach, w których migąły opowiadane przez nią obrazy. - Stał i patrzył na mnie przez kilka sekund - wyszeptała. - Nie mogłam się powstrzymać, zaczęłam płakać. W mój własny, niezdarny sposób. Wyobrażasz sobie?

- Jak myślisz, dlaczego tak się stało?

- Nikt nigdy nie nazwał mnie kochaniem. Nikt, ani mama, ani tata, ani Walther, ani Rikard Josef, ani przyjaciele. Nikt nie patrzył

na mnie takim wzrokiem, nikt nie kładł mi tak delikatnie rąk na ramionach ani nie mówił do mnie z taką troską. Zapytał mnie, czy nic mi nie jest, czy się zraniłam i czy chcę coś powiedzieć. Ale ja wydusiłam z siebie tylko żalospny uśmieszek, cóż, delikatnie mówiąc, niezbyt uroczy. Jego dłonie na moich ramionach stały się cięższe, mimo że miałam na sobie płaszcz, czułam, że są ciepłe. Bardzo ciepłe. A on spojrzał na mnie uważniej.

„Czy mogę coś zrobić?” – zapytał. Ale ja po prostu oderwałam się od niego i chciałam uciec. Gdybym oprócz tego żalospnego płaczu wyjawiała, że nie mam głosu, zmartwiłby się jeszcze bardziej, a tego nie mogłam znieść. Nadszedł czas, by poddać się bezradności. Zdobyłam się na przepaszający uśmiech i odeszłam tak szybko, jak tylko mogłam, przez ulicę i dalej na plac, a kiedy w końcu skręciłam za róg i wiedziałam, że już mnie nie widzi, uwolniłam łzy. I tak nikt mnie nie słyszał. Miałam szczęście i dość szybko złapałam autobus, usiadłam na swoim miejscu. Potem przyszedł młody chłopak i usiadł obok mnie. Troska, pomyślałam, od zupełnie obcej osoby. „Kochanie”, te ciepłe dłonie, ich ciężar na moich ramionach, wciąż je czułam. Moje życie się zmieniło. Było coś, czego nie wiedziałam, a teraz w końcu stało się jasne. Gdy autobus skręcił z placu, zdałam sobie sprawę, że zapomniałam kupić jedzenie. Plecak był pusty, nie miałam nic w domu. Uśmiechnęłam się jeszcze bardziej, a potem zaśmiałam się na swój żalospny sposób i nie obchodziło mnie już, co pomyślą ludzie. Facet siedzący obok mnie musiał mnie wziąć za dziwaczkę.

Pozwolono jej trochę odpocząć w celi, na piankowym materacu z plastikowym pokrowcem. Znów była małym chłopcem leżącym na torach kolejowych. Szyny grały, czuła przyjemne wibracje w całym

ciele, drżała jak struna. Lubiła to uczucie, ktoś ją dotknął tamtego wieczoru pod Ladies Choice. Anglik. W domu na Kirkelinie często siadała przed kominkiem i wpatrywała się w płomienie, próbując oderwać się od jałowej egzystencji. Zatrzymać czas, ukryć się w małej przestrzeni. Ale nie udało jej się to. W tej ciasnej celi mogła wślizgnąć się niemal we wszystko. To pewnie przez grube ściany, nikt nie mógł jej tu dosięgnąć. Pomieszczenie było bezpieczne, stało się więc też duże, znacznie większe niż osiem metrów kwadratowych, jak rzęście oświetlona sala balowa z dużymi, łukowatymi oknami. Takie miała wrażenie, ale wiedziała, że to nieprawda. Po chwili odwróciła się w stronę ściany. Przypomniała sobie zderzenie na deptaku, raz po raz powtarzała je w myślach. Dopiero gdy wróciła do ciepłego domu, zdjęła pusty plecak i gruby płaszcz, zaczęła zadawać sobie pytania. Potrafiła odtworzyć w pamięci wszystko, mimo krótkiego ciągu zdarzeń, siłę jego ciała, która natychmiast zamieniła się w delikatną troskę. Może to jednak nie był przypadek, pomyślała. Jego dobroć, troska w jego oczach były przytłaczające. Mógł na nią czekać, mógł czekać długo, mógł stać za rogiem. Nikt też tak się nie ubierał, nie w listopadzie w zwykły dzień powszedni, nie w jej mieście. Mężczyzna miał na sobie ciemne spodnie i elegancki zimowy płaszcz, chyba wełniany. Widziała białą koszulę i wąski krawat. Miał gołą, gładko ostrzyżoną głowę. Nie zdążyła zwrócić uwagi na jego obuwie. Ale był znakiem. Ktoś przysłał jej coś dobrego. Powinna była odpowiedzieć na jego pytanie.

„Czy mogę coś zrobić?”

O co powinna była poprosić? Czy powinna była rzucić się na niego i błagać o pomoc? Kulejąc i ciągnąc za ten drogi wełniany płaszcz, prosić: czy możesz nauczyć mnie krzyczeć?

Obudziło ją małe pstryknięcie i zdała sobie sprawę, że to strażniczka patrzy na nią przez wizjer. Potem kolejny trzask, gdy klapka ponownie się zamknęła. To Louise wyciągnęła ją z fantazji. Uchyliła drzwi i zwróciła się do niej przyjaznym głosem, tak jak dorosły mówi do osoby ze specjalnymi potrzebami. Ragna wyraźnie odbierała tego typu sygnały, była do nich przyzwyczajona. Mimo że Louise musiała być dwadzieścia lat młodsza od niej, mówiła do niej z góry, wyraźnie artykułując słowa. Wpłynął na to jej skromny wygląd, fakt, że siedziała w celi i była mała jak ptaszek i wreszcie też to, że nie miała głosu. Louise chciała wiedzieć, czy wszystko jest w porządku. Ragna nagle poczuła potrzebę zaznaczenia swojej obecności. Zrobiła to samo co strażniczka – szeptała do niej z góry. Nic nie było w porządku. Miała przed sobą sprawę sądową, która prawdopodobnie kompletnie ją wykończy, potem czekał ją wieloletni wyrok. A potem reszta życia, z brzemieniem tak ciężkim, że niemożliwym do udźwignięcia. Jak cokolwiek mogło być w porządku?

– Znasz zarzuty? – wyszeptała. – Wiesz, ile mi grozi?

Louise musiała odpowiedzieć twierdząco.

– Więc nie zadawaj takich głupich pytań.

Louise zareagowała na porażkę w ten sam sposób co inni pracownicy, brzęcząc kluczami i odwracając się na pięcie. Ale jedno jej się udało. Żaden z pozostałych strażników nie zamykał drzwi celi tak cicho. Nie było potrzeby podkreślać dzielącej ich przepaści.

Pamiętała, że była noc, w pokoju ciemno, tylko budzik świecił na zielono. Podskoczyła na dźwięk dzwonka do drzwi. Ku swojemu przerażeniu zdała sobie sprawę, że jest trzecia. Ktoś stał na jej progu i chciał wejść. Ktoś, kogo nie onieśmielał warczący rottweiler. Nie

zapaliła światła. Serce jej waliło, oddychała szybko. Czy nie było tam czegoś jeszcze, jakiegoś szelestu za drzwiami, słabego pukania w ścianę domu? Trudno było rozszyfrować, co się dzieje. Czy było ich więcej? Czego chcieli? Nie posiadała niczego na tym świecie, niczego też nie chciała posiadać, jedyną wartością w jej życiu był syn. Usiadła wyprostowana w łóżku, starała się nie zaszeleścić kołdrą, on by to usłyszał, ten, kto stał przy drzwiach, dysząc. Szelest kołdry oznaczałby ujawnienie się, zachęciłby go do działania. Nie wiedziała, po co mógł przyjść, ale musiało to być coś strasznego, spokojny człowiek z dobrymi intencjami nie dzwoniłby do drzwi w środku nocy. Położyła się ponownie, jak najdelikatniej, by nie usłyszał ani jej oddechu, ani bicia serca. Weszła w stan przerażającego odrętwienia, osiągnęła punkt, który wyobrażała sobie od dawna. Teraz był ten moment, teraz miała się wydarzyć straszna rzecz, oto przyszedł. Po pogrózkach, staniu pod latarnią i obserwowaniu domu. Skuliła się i zmalęła, wyobrażając sobie, że znajduje się wewnątrz skorupy, nieprzeniknionej, ochronnej membrany. Wewnątrz nic się nie działo, nikt nie mógł jej dosięgnąć, tak naprawdę nie istniała. Sięgnęła po róg kołdry i zacisnęła na nim dłonie, z całych sił, by nie odpłynąć. W myślach przeanalizowała kondycję drzwi wejściowych, chyba łatwo byłoby je otworzyć, na przykład łomem, drewno było stare i spróchniałe. Łańcuszek zabezpieczający był najmniejszym z problemów, nie grubszy niż taki, na którym zawiesza się wisiołek. A może sobie to wszystko wyobraziła, była w tej chwili tak napięta, że niczego nie mogła być pewna. Czy przenikliwy dźwięk w domu był tylko pozostałością snu? Nie odważyła się zaryzykować, nie ufała głosowi rozsądku, najlepiej było leżeć bez ruchu i czekać, aż ten człowiek na zewnątrz zrezygnuje, wróci na ulicę i zniknie w ciemno-

ści. Jeśli działo się coś katastrofalnego, jeśli na przykład jej dom płonie, a ona nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, zadzwoni ponownie. Nie, wtedy krzyczałby i pukał ile sił, skoro tego nie robił, chodziło o coś innego. Ale to nie mogła być jej wyobraźnia, dzwonek do drzwi był głośny, nie dało się go z niczym pomylić, przenikliwy sygnał, że ktoś tam stoi. To jej mama wybrała ten konkretny dzwonek, miała wadę słuchu.

Minęła minuta, dwie i trzy. W cichej nocy nic więcej nie było słychać. Wciąż leżała skulona w swojej skorupie, która z czasem stawała się coraz twardsza, twarda jak kość, twarda jak kamień. Była nie do złamania, nikt nie mógł dostać się do jej rdzenia. Tutaj nie potrzebowała niczego, nawet pożywienia. Jak blisko podszedł, jakie miał zadanie? Minęło sporo czasu, odkąd wysłał pierwszą wiadomość. Nie wysłał, nigdy przecież nie przeszła przez pocztę. Od pierwszej chwili przebywał w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Czekala na kolejny sygnał. Kolejny dzwonek byłby ostatecznym ciosem, katastrofa stałaby się faktem. Nikt by jej nie usłyszał. Ale teraz było cicho jak w grobie. Oczywiście mogło to oznaczać, że czai się pod ścianami domu, zaglądnąc przez okna. Oddychała powoli, jak umierająca. Skarciła się. Cały dom był zamknięty. Nie miał jak się tu dostać. Delikatnie poruszyła ręką, a potem nogą. Chciała wydostać się ze skorupy.

Czuła, że jej głowa jest rozgrzana, jak to często bywało w ostatnim czasie. Policzki paliły ją jak w gorączce, czoło i dłonie miała wilgotne. Nie pomagało nawet zimne nocne powietrze wpadające do pokoju przez otwarte okno, robiło jej się coraz goręcej, na szyi i w brzuchu, paliło niczym rozprzestrzeniający się ogień. Pociła się jak w saunie, czyżby dom jednak się palił? Nie czuła dymu, nie słyszała trzasku ognia ani pikania czujników. Zrzuciła z siebie kołdrę.

Jej ciało stopniowo zaczęło wrzeć, bulgotać i kipieć, coś straszego stało się z jej mózgiem, zaczął się topić, czuła to. Stopił się i uciekł, spływając w dół pnia mózgu i do rdzenia kręgowego, wszystkie jej wspomnienia zniknęły. Jej mama, tata i Rikard Josef, wszyscy zostali porwani przez wrzącą materię mózgową niczym rwąca rzeka. Co mogło wywołać takie uczucia, intensywne ciepło, strużki cieczy w jej głowie i dalej w dół szyi? Krwotok mózgowy, pomyślała, masywny wylew. Wyjaśnienie było oczywiste, słyszała przecież takie historie. To na pewno krew, jasne, wypływała na zewnątrz i nieodwracalnie niszczyła duże obszary. Panika ogarnęła ją z pełną siłą. Czy to naprawdę miało się z nią stać, nigdy tak nie myślała, nigdy się nie bała. Chciała wstać z łóżka, ale nie mogła się ruszyć, straciła prawie całą mobilność. Kiedy z wielkim trudem udało jej się sięgnąć po komórkę na stoliku nocnym, aby wezwać pomoc, poczuła, że jej usta drętwieją, i zdała sobie sprawę, że nie będzie w stanie mówić, ledwo zdoła złapać oddech. Jej palce też nie słuchały, nie mogła wybrać numeru do służb ratunkowych. Teraz całe jej ciało płonęło. Starła się ograniczyć ruchy jak tylko się dało i nagle zdała sobie sprawę, że jest w pełni ubrana, w jakiś sposób szczelnie owinięta grubymi ubraniami. Jakby znajdowała się w kokonie. Nie pamiętała już poprzedniej nocy. Spotkało ją coś straszego, z czego nie zdawała sobie sprawy, nikt jej tu nie znajdzie, przez długi czas. Leżąc w rozgrzanym do czerwoności uścisku jak żelazo w ogniu, trzymana przez coś, od czego nie mogła się uwolnić, nagle przypomniała sobie Anglika na deptaku. Teraz mogła go sobie wyobrazić. Podszedł do niej jak ratownik z troską, kochanie, wyszeptał, kochanie, czy coś mogę dla ciebie zrobić? Chciała po niego sięgnąć, ale nie mogła podnieść ręki, była ciężka, sparaliżowana i bezużyteczna, jej ręka była nierucho-

mym kikutem. Dlaczego pamiętała jego i nikogo innego, może dlatego, że inni uciekli z jej głowy. W jej czaszce nie było już nic, tylko ciemna, dudniąca pustka, jak w sklepie Irfana. Leżała nieruchomo, sparaliżowana i ciepła. Nie wiedziała jak długo.

Po pewnym czasie nastąpiła zmiana. Ustąpiło wrażenie, że mózg jej topnieje, pojawiło się inne. Jakby mózg stężał, powędrował z powrotem w górę rdzenia kręgowego i znalazł swoje pierwotne miejsce na oponach mózgowych. Gdy przyjął poprzedni kształt, usłyszała trzeszczący dźwięk, coś bezpiecznego i znajomego, jak odgłos kroków na śniegu. Myśl o śniegu zdawała się ją orzeźwiać, śnieg leżał tuż przed jej domem w pięknych białych zaspach. Odzyskała pewną mobilność, mogła formułować słowa i nie było jej już gorąco. Leżała nieruchomo i oddychała, powoli wdech i powoli wydech. Kiedy w końcu była w stanie usiąść, zaskoczona zdała sobie sprawę, że wcale nie poszła spać w ubraniu. Miała na sobie tylko sweter. Dotknęła głowy, czuła ją przyjemnie i mocno. Może był to koszmar, jeden z najgorszych, a teraz się skończył. Wtedy przypomniała sobie dzwonek do drzwi. Dzwonek do drzwi był prawdziwy, od niego wszystko się zaczęło. Budzik pokazywał pięć po czwartej, minęła godzina.

Leżała bezsennie do rana. Nie odważyła się już zasnąć, czuła tylko radość, że jej mózg jest jednak cały i że może się poruszać, ruszać palcami, ustami i wszystkim innym. Mogę, wyszeptwała w ciemność, mogę! Delikatnie postawiła stopy na podłodze i powoli wstała, chcąc się upewnić, że nic jej nie jest i że się nie przewróci. Wszystko było w porządku, po prostu w porządku, jej ciało miękkie i ruchliwe jak u dziecka. Kiedy się ubrała, z wahaniem wyszła na korytarz,

długo stała przed drzwiami wyjściowymi, nie mogła się zdobyć na to, by je otworzyć. Ktoś tam był o trzeciej nad ranem, ktoś czegoś od niej chciał. Była pewna, że zostawił wiadomość, białą kopertę, prawdopodobnie na wycieracze. Jej serce biło szybko, jej oczy szukały znaków. Ale gdy otworzyła drzwi, nie zobaczyła nic i wszystko uci-
chło.

Miała wolne, nie spieszyła się więc, zjadła śniadanie, usiadła przy oknie w kuchni, spojrzała na dom Soi, okna były oświetlone. Wyglądał przytulnie, może był wypełniony śmiechem i miłością, mieli dzieci. Jeszcze z nimi nie rozmawiała, widziała ich tylko z daleka. Pewnego dnia pan Soi podjechał vanem i zatrzymał się przy swej skrzynce pocztowej. Przyjrzała się uważnie tej ciemnej i schludnej postaci z krótko przyciętymi włosami. Odbiera pocztę, pomyślała, zupełnie bez niepokoju. Przynajmniej tak to wyglądało. Nikt nie ści-
gał Soi i jego uroczej rodziny, nikt nie przypominał im o śmierci. Z jej mózgiem nadal nie działo się nic złego, wszystko było na swoim miejscu. Wspomnienia zapracowanych rąk matki i spustoszonego ciała ojca, okrągłe policzki Rikarda Josefa, wszystko na swoim miejscu. Mogła je podnieść i odłożyć, kiedy tylko chciała. Znow pomy-
ślała o Angliku, który jej nie opuścił. Może nadal był w mieście, może przechodził przez deptak o tej samej porze każdego wieczoru, w drodze na jakieś wydarzenie lub spotkanie, które wymagało ład-
nego stroju. A gdyby tak pojechała autobusem na plac i weszła na deptak dokładnie o tej samej porze co ostatnio, chyba o siódmej? Mogłaby stanąć znow przed Ladies Choice i gdyby przyszedł, w swym ładnym płaszczu, wykonać ten sam manewr co ostatnio, gwałtownie skręcić, wybiec na ulicę i znow się z nim zderzyć. Ma-

rzyła o tym, by choć raz go zobaczyć, by objął ją delikatnymi dłońmi, by mówił do niej z taką troską. Nazwałby ją kochaniem, zmartwiony. Zapytałby, czy może coś zrobić. Żuła powoli krakersa, chrupanie wypełniało jej głowę. Kiedy to zauważyła, dźwięk stał się głośniejszy, mogła tylko odłożyć jedzenie. Co tak często powtarzała jej mama, gdy była mała i bolał ją brzuch lub ząb? Nie musisz tak mocno wczuwać się w siebie. Podniosła talerz, kubek i nóż ze stołu, przeniosła je na blat kuchenny, brzęknęły i zagrzechotały gwałtownie, gdy włożyła je do zlewu. Lodówka też grzechotała, zwykle nie słyszała tego dźwięku, może była zepsuta. Drogą przejechała ciężka ciężarówka, wibracje przeniknęły aż do kuchni, poczuła je pod stopami. To chyba takie właśnie uczucie, przeżyć całe życie z poważnie uszkodzonym słuchem, a potem nagle go odzyskać. Hałas świata. Zdenerwowana stanęła przy blacie i przyłożyła dłonie do uszu. Wtedy usłyszała krew, głęboko za błoną bębenkową, pędzącą jak wodospad. Nie wiedziała, czy zniesie życie w tym szumie.

Było wpół do siódmej, kiedy zajęła pozycję na deptaku. Uszmińkowała usta i ułożyła włosy, spryskała je lakierem, aby pozostały na swoim miejscu. Marzły jej uszy. Za nią znajdował się oświetlony plac z kasztanowcami, a przed nią wszystkie sklepy. Schowała się pod daszkiem i wypatrywała Anglika. Istniało prawdopodobieństwo, że się pojawi, że ma jakąś trasę, ustaloną sprawę do załatwienia o tej konkretnej porze, przecież mogło tak być. Wysoki, szczupły i zajęty, szedł dobrym tempem. Z miejsca, w którym stała, widziała wszystko wokół, rzekę i promenadę, remizę strażacką i kościół. Widziała też sklep erotyczny z dziwnymi rzeczami w oświetlonej witrynie. I oczywiście miała widok na Ladies Choice. Wtedy powoli to do niej do-

tarło. Oczywiście, że została wymazana z pamięci Anglika dawno temu. To, co powiedział, było tylko frazesem, czymś, co powtarzał zawsze, gdy na kogoś wpadł. Mówił „kochanie” każdemu, przecież wiedziała o tym, tacy byli Anglicy. Czuła się jak idiotka, stojąc tam i marznąc, ale wgapiała się w zegar, wypatrując go minuta po minucie. Za dziesięć siódma przeszła kilka ostatnich kroków do sklepu z sukienkami, stanęła i przestudiowała kosztowną wystawę, od czasu do czasu odwracała się i spoglądała na ulicę. Stała tam przez długi czas bez ruchu, nigdy wcześniej nie czuła się tak samotna, mimo że po ruchliwym deptaku spacerowało wiele osób. Stopy jej zmarzły, policzki i palce też, ale czekała. Kiedy zegar pokazał kwadrans po siódmej, dostrzegła w pełni, jak żalosny był ten pomysł. Co sobie myślała, jak naiwna była, jak mogła być tak żalosna? Włóczyć się po ulicach w listopadowych ciemnościach, przemarznięta do szpiku kości, licząc na zderzenie z zupełnie obcą osobą?

Wracała do autobusu, stopy miała ciężkie. Przyjechał po dwudziestu minutach, a kiedy usiadła na swoim miejscu, próbowała się skulić, zając jak najmniej przestrzeni, nie chciała się do nikogo zbliżać, nie chciała ich widzieć ani słyszeć i nie chciała, żeby ktokolwiek ją widział. W ten sposób próbowała się ukarać za własną głupotę. Boże, gdyby ludzie wiedzieli. Ale potem, gdy autobus ruszył, ostatni raz spojrzała na ulicę, mógł się przecież spóźnić. Powinna była stać trochę dłużej, teraz było za późno. Wyjechali z miasta, odzyskała ciepło w ciele, nadal była wobec siebie łagodna. Trzeba było pozwolić sobie marzyć, tęsknić, pragnąć i mieć nadzieję. Każdy to robił od czasu do czasu, może nawet nieustannie, jeśli bardzo tego potrzebował. Marzyli o zderzeniu. Oparła policzek o szybę, jak to miała w zwyczaju, zamknęła oczy i odpłynęła. „Gdzie on teraz jest?”, zasta-

nawiała się. „Pewnie w wesołym towarzystwie. Jest wśród przyjaciół, dobrze ubrany, tak jak wtedy, gdy spotkaliśmy się przed sklepem. Gdzie mieszkał w Anglii, może w Oxfordzie, nie, oczywiście w Londynie, to na pewno. Może w dzielnicy Mayfair albo Kensington, miał tam ładne mieszkanie. Chciałaby wiedzieć, jak ma na imię, George, Michael albo William. Zdecydowała się na Williama, pasowało do Walthera. Dwóch mężczyzn w jej życiu, dwa krótkie spotkania. Zachowała Williama w myślach razem z Waltherem. W mózgu, który był teraz twardy i kruchy jak trufla.

*

Noc za nocą nie spała, pomimo tabletek nasennych. Gdyby tylko jej głowa nie była tak gorąca, jej ramiona tak ciężkie, jak dwa kije, które ledwo mogła podnieść. Co ten Naper jej dał, to pewnie jakaś homeopatia, pomyślała, wzięła cztery, sześć i osiem, ale nie spała. Na prawym boku, na lewym boku i na plecach, skulona czy wyprostowana. O trzeciej nerwy sięgały zenitu, leżała, zastanawiając się, czy ktoś zadzwoni do drzwi, ale słyszała tylko szum, który wznosił się i opadał. Zarezerwowała kolejną wizytę u lekarza, usiadła w poczekalni i przygotowała się. Ukłonił się, gdy weszła, ale nie wstał z krzesła. Jego pożądana waga sprawiała, że był nie tylko nieruchliwy, ale i wyrozumiały dla wszystkich pacjentów, którzy prosili go o ulgę, nawet jeśli sami byli sobie winni, on też miał przecież swoje za uszami. Ragna go za to lubiła. Był po jej stronie. Powiedziała mu, że wciąż nie śpi. I że czasami, kiedy w końcu zasypia we wczesnych godzinach porannych, miewa straszne sny. Powiedziała mu, że jej mózg się stopił, że zawartość wylała się do jej czaszki i do rdzenia kręgowego, że nie

była w stanie się poruszyć, leżała jak w okopie, że nie była w stanie dosięgnąć telefonu na stoliku nocnym.

Naper patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Znacznie dłużej i z większą powagą niż zwykle.

– Miałaś gorączkę?

– Absolutnie nie.

– To był bardzo zły sen.

– To nie był sen – szepnęła Ragna. – Wszystko działo się fizycznie w moim ciele. To nie były migające przed oczami obrazy jak w snach.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, aby wziąć dwie tabletki – wyjaśnił.

– Biorę cztery – odpowiedziała Ragna. – I dalej nie śpię. Wieczorem potrafię wziąć sześć lub osiem, to też nie pomaga. Co jest w tych tabletkach? Są podejrzenie małe.

Zamrugnął powiekami, jakby został przyłapany na oszustwie, i odwrócił się do ekranu komputera, gdzie wyświetlił jej dokumentację ze wszystkimi drobiazgami, które wydarzyły się w jej życiu.

– Nie jesteś uzależniona – powiedział – dostaniesz coś mocniejszego. Ale musisz pamiętać, że się starzejesz. Z biegiem lat wiele rzeczy zostaje nam odebranych. Zdolność do relaksu. Uroda, blask i sprawność fizyczna. Tego typu rzeczy.

– Uroda? – Ragna nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Nigdy nie miałam czegoś takiego, nie boję się tej straty.

Milczała, a on siedział i pisał. Bała się tylko własnych lęków, kiedy leżała bezsennie godzina po godzinie, a jej umysł pędził w ciemności do strasznych miejsc. Bała się ludzi dzwoniących w nocy do drzwi, chcących wejść. Może Naper też nie spał. Zastana-

wiała się, czy miał dokąd pójść ze swoimi skargami, może siedział po południu w gabinecie i przepisywał sobie leki.

– Dam ci apodorm – powiedział. – Ale po zażyciu tabletki należy natychmiast się położyć. Są silne i mogą powodować utratę pamięci. Wszystko, co zrobisz po połknięciu tabletki, będzie stracone.

Ragna uśmiechnęła się.

– Mnie to nie przeszkadza – szepnęła. – I tak niewiele robię wieczorem. Nic wartego zapamiętania.

– Teraz pójdziesz spać – obiecał – ale po obudzeniu możesz czuć się nieco oszołomiona.

– Na pewno nie bardziej, niż kiedy nie mogę spać – wyszeptała. – Dziękuję.

Ponownie rzucił jej długie spojrzenie.

– A poza tym? – zapytał nagle.

Wzruszyła ramionami. Poza czym, czy chodziło mu o jej sekrety? Wiedziała, że to pytanie było zaproszeniem, otwartymi drzwiami, ale nie mogła wejść do środka.

– Musi być jakiś powód nieprzyjemnych snów – kontynuował, patrząc na nią życzliwie.

– Dużo jestem sama – przyznała. – To powoduje galopadę myśli. Kłębiam się.

– Potrzebujesz kogoś, kto to przerwie – powiedział.

– Nie masz na myśli mężczyzny, prawda? – Uśmiechnęła się lekko.

– Może mam.

Pomyślała o listach. O ciemnej postaci, która stała pod latarnią. O dzwonku do drzwi, który zaskoczył ją o trzeciej. Mogłaby wyjaśnić,

że ktoś ją prześladowa, może wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby dopuściła go do tajemnicy, może mogliby się z tego razem pośmiać. Ale coś ją powstrzymywało, strach przed tym, co mógłby zrobić, gdyby przyznała, że się boi. Nie chciała tego w swojej dokumentacji, chociaż pewnie już tam było.

- Nie wolno łączyć alkoholu z apodormem – upomniał.
- Co się wtedy stanie? – dopytywała.
- To cię całkowicie znokautuje.
- Tego właśnie chcę – odpowiedziała. – Dlatego tu siedzę.

Przez długi czas panowała między nimi cisza.

- Próbujesz od czegoś uciec – zauważył.
- Myślę, że każdy to robi – odparła Ragna.
- Nie – odparł stanowczo.

Nie powiedział nic więcej. Wstała, by pokazać mu, że to koniec wizyty.

- Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować – powiedział.

Sam też się podniósł, choć niezgrabnie. Odepchnął się rękami od podłokietników i wstał. Już od tego prostego ruchu zabrakło mu tchu. Spojrzenie, które rzucił jej na pożegnanie, przypomniało jej oczy Williama.

Wykupiła tabletki w aptece Svanen i pojechała autobusem do domu. Ze śmiertelną pogardą otworzyła skrzynkę pocztową, w której nic nie było. Nagle ogarnęła ją wściekłość. Wpadała w panikę, znajdując list, ale gdy skrzynka była pusta, czuła się niepewnie. Gdy znalazła się na korytarzu, jej wzrok spoczął na przewodzie zasilającym dzwonek do drzwi. Wchodził przez dziurę w ścianie, biegł wzdłuż listwy

sufitowej i ponownie zniknął w ścianie. Zdała sobie sprawę, że był tam również przewód od światła zewnętrznego, ważne było, aby nie popełnić błędu. Za żadne skarby świata nie chciała tracić światła na zewnątrz, ważne było, aby rottweiler był dobrze widoczny. Zdecydowanym krokiem weszła do kuchni i znalazła ostry nóż, szybko zeszła po schodach do piwnicy i wyłączyła główny bezpiecznik, przysunęła krzesło do ściany i wspięła się na górę. Zawahała się i zeszła z powrotem, otworzyła drzwi na zewnątrz, zbadła dzwonek i światło. Wróciła do środka i wspięła się na krzesło. Jeden przewód był cieńszy, ten właśnie musiała przeciąć. Zrobiła to szybko, z zaciśniętymi zębami i sercem w gardle. Zeszła na dół, włączyła bezpiecznik i wyjrzała. Światło działało, dzwonek nie. To było przyjemne uczucie, uświadomić sobie, że połączenie zostało zerwane na dobre. Kilukrotnie nacisnęła przycisk dzwonka i cieszyła się jak dziecko, gdy ostry sygnał nie rozbrzmiał. Teraz mógł sobie pukać. Aż rozboleła go knykcie. I tak nie miewała innych gości; jeśli ktoś podchodził do drzwi, był to on. Prześladowca. Zamknęła drzwi, zapięła łańcuch i poszła do kuchni, otworzyła pudełko apodormu, usiadła i uważnie przeczytała ulotkę. Naper dał jej środek hipnotyczny. Podobało jej się to słowo, „hipnotyczny”, czuła, że tego właśnie potrzebuje. Długa lista możliwych skutków ubocznych również wywołała uśmiech na jej twarzy, zdawała się nie mieć końca. Zawroty głowy. Bóle głowy. Koszmary. Utrata pamięci. Agresja i dezorientacja, duszności. A ostatnia ze wszystkich senność. Wyobraźcie to sobie, dostała tabletki nasenne i mogła po nich zasnąć! Roześmiałyby się w głos, gdyby tylko było to możliwe.

Chodząc po domu, wyglądała raz po raz za okno i w dół na drogę, aby sprawdzić, czy ktoś tam stoi i wpatruje się w dom. Jej umysł nie-

ustannie się zmieniał, myślała, że to już koniec, i myślała, że oczywiście się nie podda. Pewnie siedział gdzieś i planował następny ruch. Czego od niej chciał? Żeby uciekła z domu i zwróciła na siebie uwagę w desperacji? Przecież próbowała. Zadzwoiła na policję. Nikt nie chciał pomóc.

Poszła do łazienki i położyła pudełko apodormu na półce pod lustrem. Apodorm, pomyślała, dormero, jak to się wszystko łączy. Kiedy zapadnie noc, ukryje się w jaskini, w której nikt nie będzie mógł jej dosięgnąć. Dzwonek do drzwi został odłączony. Zyskała obronę chemiczną i groźnego psa.

Zasunęła czerwoną zasłonę i zgasiła lampę. Skuliła się pod kołdrą, połknęła dwie tabletki zamiast zalecanej w ulotce jednej, pomyślała o Rikardzie Josefie i o tym, co mogło się wydarzyć. Kiedy chemikalia przejęły kontrolę i uspiły ją, śniła o nim. Zaczęło się od dziwnych dźwięków ciągnących się jakby po podłodze sypialni. Nie rozumiała, co to było, nigdy nie słyszała czegoś takiego, nie mogła pojąć, jakie stworzenie się tak porusza. Chciała wstać z łóżka i spojrzeć, ale znowu miała trudności z poruszaniem się, jej ręce, nogi i głowa były ciężkie jak ołów. Czuła, że na czole ma ciasną opaskę, metalową obręcz. W końcu jej się udało, podniosła się do połowy i oparła na łokciu. Kiedy dostrzegła swojego syna nieco dalej, na podłodze, próbowała wyartykułować jego imię, ale nie wydała dźwięku. Mimo to powoli, niezgrabnie zbliżył się do niej. Zobaczyła, że stracił jedną nogę i opiera się na dwóch kulach, starych, jak z czasów wojny. Drewnianych, wykończonych grubymi poduszkami. Poruszał też ustami, ale nic nie słyszała, zdała sobie sprawę, że cierpi na to samo co ona. Nie miał głosu. Nie mogła nawet go zapytać, co się z nim stało, czemu zniknął. Potem rozpląnął się w ciemności. Ale przez całą noc sły-

szala kule. Stukały o deski podłogi jak dwa kije. Słyszała też stopy, tę, która mu została, jeden ciężki krok w twardym bucie, słyszała jego trudności, jego zmęczenie, słyszała jego oddech. Niepokojny jak u niej. Kiedy obudziła się po długiej nocy, głowę miała ociężałą i zmęczoną, tak jak uprzedził Naper. Była trochę chwiejna i roztrzęsiona, jak po uderzeniu. Metalowa opaska na głowie wciąż trzymała, dość ciasna. Przypomniała sobie sen. Była pewna, że jej synowi przydarzyło się coś strasznego, a ona nie może mu pomóc. Odsunęła kołdrę i wstała, bojąc się przewrócić, opierając się najpierw o szafkę nocną, a potem o ścianę. Miała nadzieję, że jej prześladowca był pod drzwiami, że musiał odejść w gniewie, bo nie usłyszał dzwonka. Sztywność utrzymywała się przez długi czas, ale kiedy i ona ustąpiła, w końcu poczuła się wyspana.

*

– Tata zawsze kładł się spać pierwszy – wyjaśniła – bardzo wcześnie. Latem kładł się w pełnym słońcu, nawet nie zaciągał zasłon. Lubił, gdy słońce świeciło na niego, traktował to jako znak. Myślał, że gdy zgromadzi wystarczającą ilość energii słonecznej, będzie mógł świecić wszystkim innym. Lamy w sypialni były włączone niezależnie od pory roku, latem i zimą, klosz na suficie, kinkiet nad łóżkiem i mała lampka nocna, muchomor z czerwonym kloszem, wciąż go mam. Tata leżał pod przeciwległą ścianą, mama szła spać kilka godzin później, zawsze z przepaską na oczach. W suficie sześćdziesiąt watów, czterdzieści na ścianie i dwadzieścia pięć w grzybie na stoliku nocnym. To było jak pokój przesłuchań.

Uśmiechnęła się do inspektora.

- Tata często pukał w ścianę - mówiła dalej - knykciem palca. Jakby wysyłał tajne wiadomości do pokoju obok, do mnie, a później także do Rikarda Josefa. Moje łóżko też stało blisko ściany, dzielił nas tylko karton-gips. W nocy leżałam bezsennie, nasłuchując, coś chciał mi powiedzieć, wydawało mu się, że potrafię rozszyfrować jego tajny kod. Który tylko myśmy rozumieli. Stukał lekko i z długimi przerwami albo mocno i szybko w stałym rytmie, albo w ogóle bez rytmu. Czasami znajdował motyw, który powtarzał w kółko. Nawet jeśli nic nie rozumiałam, pukanie było ważnym znakiem. Oznaczało, że należę do wybrańców. Mieliśmy swój własny język. Tata starał się mnie go nauczyć, to było to, co robiliśmy wieczorami. Z biegiem czasu zauważyłam sygnały, które się powtarzały, wtedy szybko odpowiadałam tym samym. Niektóre były bardzo krótkie, inne składały się z kilku sekwencji. Ale za każdym razem, gdy nauczyłam się jakiegoś schematu, on znajdował nowy. Często nie spałam, rozmyślając o tym wszystkim, zastanawiając się, co to może oznaczać. Tak bardzo chciałam, żebyśmy mieli z tatą własny język, którego nikt inny nie rozumiał. Wyjątkową komunikację. Czasami, gdy nudziłam się w szkole, delikatnie pukałam w biurko, by sprawdzić, czy ktoś zareaguje. Gdyby ktoś rozpoznał specjalny kod, spojrział w górę i skinął głową, byłby to znak, że może należeć do tajnego stowarzyszenia. Dzieci mają bujną wyobraźnię. Ale nikt się nie zgłosił.

- Czy nigdy nie znalazła pani żadnego wyjaśnienia? Nie rozumiała pani żadnego z sygnałów? - zapytał Sejer.

- Ależ tak, tak mi się przynajmniej wydaje. Każdej nocy, gdy pukaliśmy przez długi czas, zawsze kończył tym samym krótkim sygnałem. Sześć krótkich puknięć, przerwa i cztery. DOBREJ NOCY. Prawda?

- Wciąż puka pani w ścianę?

- Przed snem pukam w ścianę celi. Z przyzwyczajenia. To trochę tak jak ludzie, którzy przez całe życie odmawiali wieczorne modlitwy, ale nagle tracą swojego Boga i postanawiają przestać. Wtedy nie mogą zasnąć. To pukanie jest dla mnie sygnałem, że jest noc.

Inspektor patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- A jego układ odpornościowy?

Wzdrygnęła się, jakby żałując swojego wyznania o tajnych sygnałach.

- Tak, to infekcje go zabijały, szybko zdał sobie z tego sprawę. Łatwo sobie wyobrazić, jak to jest chodzić przez cały czas z wrogimi mikroorganizmami w ciele, można oszaleć.

- Mówi pani, że oszalał?

Spojrzała na niego z nutą irytacji.

- Nie znałam nikogo tak mądrego jak mój tata.

Widział, że jej umysł szuka innego miejsca, poza tym pokojem, poza miastem i czasem, czegoś, czego już nie ma, do czego nie może wrócić, ale wciąż wyraźnie to pamięta.

- Pod koniec tata był tylko skórą i kośćmi - kontynuowała - ważył ledwie pięćdziesiąt kilogramów. Jakby wszystko, co było w jego ciele, zgromadziło się w stopach. Słoniowych stopach, jak je nazywał. Zwykł wciskać kciuki w skórę, tworzyły się wtedy wgłębienia, które nie chciały zniknąć. Można było w nich chować szklane kulki.

Sejer wyraźnie widział chorego mężczyznę.

- Na pogrzebie, kiedy wszystko się skończyło - kontynuowała - kiedy każdy powiedział swoje i osuszyliśmy łzy, podeszłam i stanęłam obok trumny. Musiałam przesunąć wielki wieniec, by się do niej

dostać. I kiedy w kościele panowała cisza, wystukałam znajomy sygnał na pokrywie trumny i życzyłam mu dobrej nocy.

– Jak pani myśli, co ludzie pomyśleli? – zapytał Sejer z uśmiechem.

– Nikt nie odważył się zapytać.

Historia ojca i stukania zrobiła na nim wrażenie. Chory człowiek śpiący przy zapalonym świetle. Który czekał, aż słońce napełni go energią, i miał nadzieję, że inni na tym skorzystają. Wzruszyło go, że Ragna chciała się z nim podzielić tym wszystkim, bez wstydu, ale słowa o ojcu nasunęły mu też inne myśli, które postanowił na razie zachować dla siebie. Nie chciał, by się wycofała, by cenzurowała swoje wyjaśnienia. Do tej pory nie próbowała niczego upiększać. Nigdy nie podejrzewał, że unika odpowiedzi, ukrywa coś lub wyolbrzymia. Jeśli nie uzyskał jakichś informacji, to dlatego, że o nich zapomniała lub źle zapamiętała, mógł się tego dowiedzieć później. Był przyzwyczajony do wykrętów oskarżonych. Niektórzy lubili być w świetle reflektorów, uwaga i zainteresowanie ze strony śledczego sprawiały, że rozkwitali. Jedni próbowali grać z nim w gierki, inni unikali kontaktu wzrokowego, oszukiwali i kłamali. Obwiniali swoje geny lub brakujące wsparcie; nigdy nie otrzymali tego, czego potrzebowali, nigdy nie zostali zauważeni ani zrozumiani. Mieli brutalnego ojca, zimną matkę. Byli duszami, które upadły na kamienisty grunt. Czasem była to prawda. Ale teraz siedziała przed nim Ragna Riegel. Nagle przypomniał sobie o zbrodni, którą popełniła. Ta myśl przerażała go niezmiennie. Szept czasami podążał za nim do snu.

Od czasu do czasu, gdy był sam w swoim biurze, studiował zdjęcia z miejsca zbrodni. W pewnym sensie nie pasowały do tego, co

działo się w jego własnym biurze. Zdjęcia z Kirkeliny, podjazd ze skrzynką pocztową i koszami na śmieci. Żwirowa ścieżka do domu, wejście z tablicą „Uwaga pies”. Mały salon ze spartańskimi meblami, telewizorem i kominkiem opalanym drewnem. I to, co znaleźli w kuchni Ragny, czego miał już nigdy nie wymazać z pamięci.

– Jeśli wybiorę numer więzienia w Berlinie – zaczął – a Rikard Josef zgodzi się podejść do telefonu, czy wtedy z nim pani porozmawia?

Ragna zakryła usta dłonią.

– Ale ja nie mam głosu – odparła zrozpaczona. – Przez telefon nie jest łatwo. Przynajmniej musi mu pan wyjaśnić, co się stało. O operacji i tym wszystkim. Żeby się przygotował.

– Oczywiście, zrobię to.

Stała się niespokojna, zmieniła pozycję na krześle.

– Proszę mu powiedzieć, że niczego nie oczekuję, żadnych wyjaśnień, przeprosin ani niczego podobnego. Nie chcę, by prosił o przebaczenie. Nigdy nie wyrządził mi żadnej niesprawiedliwości. Jeśli może pan do niego zadzwonić, żebym mogła usłyszeć jego głos, będę dozgonnie wdzięczna.

– Może odmówić – zastrzegł Sejer.

– Prawdopodobnie odmówi.

Nie zapytała, kiedy zadzwoni. Ani kiedy skończy się jego zmiana. Mogła więc tylko czekać, sama w celi. Wciąż sprawdzała zegarek, zdając sobie sprawę, że czas ucieka, że nie jest po jej stronie. Powoli docierało do niej, co może się wydarzyć. Głos syna w słuchawce po wielu długich latach. Zaparło jej dech w piersiach, ogarnął ją strach. Co jeśli spotka się z goryczą i oskarżeniami, co wtedy zrobi, jak sobie z tym poradzi? Przygotowała kilka krótkich zdań, coś przyjaznego

i neutralnego, na wypadek gdyby to była ich ostatnia rozmowa. O ile w ogóle do niej dojdzie. Jaki jest sens przygotowywania się, skoro i tak prawdopodobnie odrzuci prośbę? Któryś z funkcjonariuszy, na przykład Adde z martwym okiem, otworzy wizjer z hukiem i krótko oznajmi, że jej syn odmówił. Niech tak będzie. Wtedy nie będzie już między nimi żadnej więzi, nici ich łączącej. Żałowała wszystkiego. Dano jej nadzieję, jeśli teraz zostanie zawiedziona, rana otworzy się na nowo. Straciłaby go po raz drugi. A co, jeśli nagle stanie tam policjant z bezprzewodową słuchawką w ręku i powie jej, że musi przysłuchiwać się ich rozmowie? I jeszcze że ona musi się streszczać? Co by było, gdyby wydarzyła się tak cudowna rzecz? Położyła się na pryczy i czekała, z rękami złożonymi pod głową i wzrokiem błędzącym po ścianach i suficie. Wsłuchiwała się w korytarz z intensywnością zająca nasłuchującego lisa. Co teraz robisz, Rikard? Czy stoi przed tobą strażnik i mówi, że twoja stara mama jest w areszcie, że dzwoni i błaga o kontakt? Że cierpi również na niepełnosprawność, przez którą rozmowa będzie niezwykle trudna? W sumie to wcale nie jestem taka stara, pomyślała Ragna. Nigdy o nic nie prosiłam. Ale dzięki temu, co nas teraz spotkało, należymy do siebie. To wszystko, co chcę powiedzieć.

Czy Sejer o niej zapomniał? Znowu spojrzała na zegarek, czas leciał tak szybko, pomyślała, że jego zmiana pewnie niedługo się skończy. A może zapomniał o obietnicy, zajęty innymi sprawami, to trwało tak długo. Miał przecież inne sprawy, o których nic nie wiedziała. Być może ktoś popełnił przestępstwo znacznie gorsze niż ona, takie, które zajmie go na długi czas. Inne i bardziej ekscytujące przesłuchania, śledztwa, konferencje prasowe, spotkania.

Przysypiała. Ale wciąż nasłuchiwała, niestrudzenie i z bólem serca, kroków na korytarzu. W ciągu zaledwie kilku dni, zamknięta na ośmiu metrach kwadratowych, dopracowała w głowie obraz tego, co działo się na zewnątrz. Wszystko za drzwiami jej celi było „na zewnątrz”. Korytarz, wartownia, toalety, kuchnia i podwórko. A jeszcze dalej była ruchliwa ulica, po której nie wolno jej było chodzić, nie będzie jej wolno jeszcze przez wiele lat. Słyszała często, jak ważne jest świeże powietrze, ale jej wystarczało to, którym oddychała w celi. Plac ćwiczeń, światło, ruch, tak, to była zmiana, poszła na kilka spacerów, ale tak niewiele mogła tam zrobić, chodząc w dużych kręgach pod ogrodzeniem z drutu kolczastego, pod obiektywami kamer, pod czujnym spojrzeniem strażnika, pod wieżą, pod bladym niebem. W końcu jednak zasnęła i znów śniła. Pojawił się ten sam stukot kul o podłogę i szurająca stopa. Syn stanął przed jej łóżkiem, by pokazać, że stracił nogę. Podniosła się i spojrzała w dół na stopę, teraz jedyną, w brązowym bucie. Zauważyła, że sznurowała są rozwiązane, chciała mu pomóc. Ale kiedy ruszyła w jego stronę, powoli się oddalił, cały czas wpatrując się w jej twarz, jakby chciał powiedzieć: widzisz, że jestem złamany?

– Ragna – usłyszała – Ragna!

Tuż obok jej łóżka stał ktoś ze słuchawką telefonu bezprzewodowego. Strażnik, którego nie znała, wszedł tu bez jej wiedzy, co było niezwykle.

– Berlin – powiedział. – Masz kilka minut.

Wstała tak gwałtownie, że zakreśliło jej się w głowie. Słuchawka była zaskakująco ciężka, znów dyszała jak ścigany zając, wiedziała, że jej syn usłyszy to aż w Berlinie. Na początku na linii zabrzmiało trochę trzasków, może była podsłuchiwana, ale nie obchodziło jej to.

Miała wystarczająco dużo kłopotów ze swoim oddechem i bijącym głośno sercem.

– Mutti? – usłyszała. – Mamo? Jak tam?

Och, ten głos! To był głos Rikarda, dochodził przez kable jak ciepły uścisk, o wiele głębszy, niż go zapamiętała, o wiele mądrzejszy i cieplejszy. Ostatnim razem, gdy słyszała ten głos, Rikard był zbuntowanym nastolatkiem, który chciał polecieć daleko w świat, teraz stał się dorosłym mężczyzną, postawnym, tak go sobie wyobrażała, z większą ilością mięśni, z większym doświadczeniem, dobrym i złym. Coś do niej dotarło, gdy mijały sekundy bez tchu. Że na pewno wygląda teraz jak Walther. Ten sam głos, tak, to był ten sam głos, głęboki, rozważny, z dobrodusznym tonem, było w nim coś zachęcającego, wzbudzającego zaufanie. Mocno ścisnęła słuchawkę, przycisnęła ją do ucha, by go do siebie zbliżyć. Przypomniała sobie dzień, w którym się urodził, jak trzymała go w ramionach, z takim samym uczuciem jak teraz, że nigdy go nie puści.

– Wszystko w porządku – szepnęła. – Wszystko jest w porządku. – Była głęboko zażenowana doborem słów i brakiem mocy. Cicho i delikatnie spytała: – Czy masz wszystko, czego potrzebujesz?

Przez długi czas panowała cisza. Po raz pierwszy usłyszał jej szept, musiał rozszyfrować słowa.

– Tak, tak – zapewnił. – Wkrótce Boże Narodzenie. Mam tu przyjaciół. Można powiedzieć, że jedziemy na tym samym wózku.

Tak, na tym samym wózku albo w jednej łajbie. Jak w tej starej łodzi rybackiej w przedszkolu, gdzie tak lubił się bawić. Tam czuł się bezpiecznie. Kryjówka, z której mógł patrzeć na świat przez okno. Uderzyło ją, że nie wydaje się zdruzgotany, zakłopotany czy zawstydzony. Mówił głosem człowieka szczęśliwego, a przynajmniej zado-

wolonego. Wypełniła ją iskrząca radość. Ciepło podniosło się od jej stóp do policzków, spojrzała gorączkowo na strażnika, który za kilka minut wyrwie jej telefon z ręki. Siedziała teraz wyprostowana, na krawędzi łóżka, pochylona do przodu, jak podekscytowana nastolatka.

– Tak – potwierdziła – jest nas wielu na tym wózku, Rikard. Pisałam do ciebie. Na Landsberger Allé. Wszystko wróciło.

Syn długo się wahał. Może jednak się wstydził, może szukał wyjaśnienia. Nie zamierzała też na niego naciskać.

– Nie usłyszałem cię – powiedział. – Powtórzysz?

Coś znowu trzasnęło, ku jej irytacji, to była najważniejsza rozmowa na świecie, między matką a synem.

– Mój list – spróbowała znowu. – Wrócił.

Znowu przerwa, a potem ciężkie westchnienie.

– Nie mam już tego mieszkania.

No tak, zdawała sobie z tego sprawę. Że stracił wszystko, pracę, pozycję i mieszkanie. I szacunek innych.

Nie chciała płakać, ale i tak cicho chlipnęła.

– Czy mogę coś zrobić? – zapytał nagle.

Wróciła myślami do deptaka i Ladies Choice, gdzie Anglik William zapytał dokładnie o to samo. Jakie to było dziwne, wszystko do siebie pasowało, wszystko miało znaczenie. Tak, z pewnością wyglądał jak Walther, to było to samo ciepło, ta mądra troska, w której się zakochała, która sprawiła, że poczuła się bezpiecznie.

– Napisz do mnie! – Artykułowała słowa z całej siły. Użyła wszystkiego, czego nauczył ją logopeda, każdego mięśnia, każdego oddechu. – Będę tu przez długi czas – dodała. – Słyszysz, co mówię?

- Słyszę. Będę pisał – obiecał.
- Napisz, co chcesz! Nie musisz się tłumaczyć.
- Ty też nie – odrzekł.

W gardle miała gułę, a w oczach łzy, cieszyła się, że syn jej nie widzi. Strażnik stojący przy oknie chrząknął znacząco. Ragna nadal mocno trzymała telefon, nadal przyciskała go do ucha, aż zaboląo.

- Pamiętaj, że przeczytają wszystko – zdołała wyartykułować.

- Tak to już jest – odpowiedział syn. Cudowna chwila dobiegła końca.

- Mówią, że muszę kończyć. Będę pisać!

To były jego ostatnie słowa. Tak bardzo chciała mu podziękować. Ale teraz była bliska płaczu i nie mogła nic wydusić. Mogła tylko cicho załkać na pożegnanie. Potem kilka razy skinęła głową, tak jak miała w zwyczaju, gdy chciała zakończyć rozmowę, choć przecież nie mógł tego zobaczyć. Połączenie zostało przerwane.

- Obiecał, że napisze! – wyszeptała, uśmiechając się szczerze. Niechętnie oddała telefon, jakby jej syn nadal znajdował się wewnątrz urządzenia, zamieszkał w nim, a teraz niosły go obce ręce. Ale pokój był wypełniony brokatem. Kapał z sufitu, złoty brokat, który pamiętała z dzieciństwa, sprzedawany w cienkich plastikowych tubkach, lubiła nim pokrywać rysunki i kartki, ozdoby choinkowe, a czasem włosy.

- Przeczytasz go – powiedziała do funkcjonariusza. – List.

- Nie przejmuj się tym – odrzekł spokojnie. – Nie myślimy zbyt wiele o tym, co tam jest napisane. Szczerze mówiąc, we wszystkich listach jest to samo – dodał.

Ragna patrzyła za nim szeroko otwartymi oczami. To samo w każdym liście? Co to za bzdura? Każdy list był unikalnym doku-

mentem o unikalnych ludziach w unikalnych sytuacjach. Nikt inny nie doświadczył dokładnie tego co ona, w dokładnie taki sposób, i nikt inny nie czuł dokładnie takiej miłości, jaką ona czuła do swojego syna, bo miała tylko jego. Głupcze, pomyślała o strażniku. Oczywiście nie masz dzieci.

Dopiero po kilku minutach zdała sobie sprawę, że kiedy ostatni raz słyszała głos syna, miał siedemnaście lat. Dobrowolnie podszedł do telefonu, pozdrowił ją przyjaźnie. Zaczęła drzeć na całym ciele. Zastanawiała się, co powiedział Sejer, kiedy zadzwonił, na pewno nic niewłaściwego, wiedział, jak dotrzeć do ludzi. Ale nie wspomniał o przestępstwach, ani jego, ani jej. Znów ogarnęła ją radość, aż w dłoniach i stopach poczuła mrowienie. Musiała wstać i przejść się, potrucztać wokół celi, ledwie kilka kroków. Jego głos, dorosły, spokojny, nasuwał jej na myśl wyraźne obrazy. Z pewnością nie poruszał się o kulach. Miał obie nogi. „Co z chłopcem?”, zapytał Walther, w ciemności, przed sklepem. Chłopiec, pomyślała z dumą, stojąc przed oknem celi, twarzą do światła. Chłopiec jest absolutnie cudowny, właśnie z nim rozmawiałam.

*

Lars wybrał sześć cyfr – 007007 – aby wyłączyć alarm, sam wybrał ten kod. Czerwone światelko zgasło, otworzył drzwi do sklepu.

Lubił być pierwszy. Dzięki temu czuł się jak szef, chociaż formalnie nim nie był, ale nie dało się ukryć, że inni traktowali go jak przełożonego. Był silny, pewny siebie, elokwentny i o głowę wyższy od kobiet – oczywiste zalety bycia mężczyzną. Włączył światła i uruchomił kasę, a następnie sprawdził cały lokal, najpierw sklep, między dobrze zaopatrzonymi półkami, potem magazyn. Kilka pułapek na

myszy stało tam przez cały czas, sprawdził je, tym razem nie znalazł żadnych martwych zwierząt. Od czasu do czasu jednak coś się łąpało, kładli na przynętę herbatniki i czekoladę. Uruchomił ekspres do kawy i przejrzał nieotwarte pudła i skrzynie, które stały w dużych stosach od podłogi do sufitu. Sprawdził metkownice, aby upewnić się, że mają wystarczającą ilość naklejek, a jeśli znalazł coś leżącego na podłodze, podnosił to i wrzucał do jednego z pojemników. Ale na podłogach zwykle niczego nie było. Zarówno Ragna, jak i Gunnhild sprzątały porządnie, po kobiecemu. Audun również wpadł w pewną rutynę. Chodził spokojnie i przyczesywał cienką brodę. Ragna weszła ukradkiem. Widział, że się nie uczesała, suche kosmyki nieokreślonego koloru sterczały na wszystkie strony, a jej fartuch był poplamiony. Lars tego nie skomentował, ale zrobiła to Gunnhild, gdy przyszła do pracy jako kolejna.

– W szafie jest czysty fartuch – powiedziała, patrząc Ragnie w oczy. – Przyniosę ci. – A potem dodała ostro: – Zaspałaś dzisiaj?

– I tak siedzę dziś na kasie – mruknęła zirytowana Ragna. – Nikt nie widzi tych plam, kiedy siedzę. To chyba kawa.

Odwróciła się i przeczesła dłonią włosy, co tylko pogorszyło sytuację. Była wyczerpana, kompletnie nie czuła się na siłach, oszołomiona jak po kilku kieliszkach wina. Mimo to przyjęła czysty fartuch i usiadła na miejscu. Brała apodorm już od kilku dni, wcale nie był dość silny. Po sześciu tabletkach poprzedniego wieczoru wciąż nie spała, leżała w zimnym powiewie z okna, nasłuchując kroków. A jeśli udawało jej się przespać całą noc, budziła się jak po długiej podróży do obcego kraju, ledwo rozpoznawała pokój i trudno jej było się ruszyć.

Mężczyzna, który ją nachodził, ten, którego nazywała prześladowcą, milczał. Nie wiedziała, o czym myśli ani co planuje. To ją złościło i frustrowało; chodziła stale z zaciśniętymi pięściami. Przypomniła sobie, że agresja jest możliwym skutkiem ubocznym tabletek, i jeszcze bardziej się rozgniewała. Zdała sobie sprawę, że Gunnhild coraz bardziej ją obserwuje; podobało jej się to i jednocześnie nie podobało. Nikogo innego nie obchodziła, ale jednocześnie czuła się kontrolowana, praca była do tej pory jej sanktuarium. W sklepie oddychała swobodnie i czuła się bezpiecznie. Fakt, że duże i jasno oświetlone pomieszczenie było wyposażone w sześć kamer monitorujących, nigdy jej nie przeszkadzał. Obiektyw był tylko martwym okiem, tak naprawdę jej nie widział, po prostu rejestrował ruchy, nie wyciągając żadnych wniosków. Ale Gunnhild wyciągała.

Przez wszystkie lata pracy w Europris Ragna Riegel nigdy nie ukradła nawet spinacza do papieru. Nie była osobą, która zabiera cudze rzeczy, nie była chciwa, zadowalała się byle czym. Ale inni kradli, była tego pewna. I kryli się nawzajem. Nie miała pewności co do Auduna, ale czuła się z nim związana, łączyła ich małomówność, więc myślała o nim raczej dobrze. A Rikard Josef, czy nie odziedziczył po niej introwertyzmu i dlatego się nie odezwał? Ale w końcu był już grudzień! Kartka świąteczna z Berlina mogła przyjść w każdej chwili. Może z jego nowego adresu. Fantazjowała o kartce świątecznej z Johannesburga, ze zdjęciem hotelu, z basenem na pierwszym planie i mnóstwem bujnych roślin przed wejściem. Kiedyś zdarzyło się, że kartka nie dotarła do niej aż do samych świąt Bożego Narodzenia, ale zamiast denerwować się opóźnieniem, ucieszyła się, ponieważ obrazek był wyjątkowo ładny. Anioł z błyszczącymi skrzydłami.

Nie siedziała długo przy kasie, a już pierwszy klient wszedł przez drzwi. Był to agent w czarnym garniturze. Dziś wyglądał na bardzo zajętego, nie patrzył ani w lewo, ani w prawo i przemieszczał się pośpiesznie. Chwycił duży wózek na zakupy, pchnął go mocno i pospieszył między półkami w swoich schludnych butach. Oczywiście miał plan, nie wahał się, nie ociągał. Szybko kupił proszek do prania i worek piasku do posypywania dróg. Ragna wyobrażała sobie, że piasek jest dla starszej matki, którą się opiekuje. Za mnie nikt nie posypie, pomyślała, muszę się trzymać. Czuła się taka zmęczona i ciężka. Wszystko ją bolało i pulsowało, oczy miała wysuszone. Usta też miała suche, tak jak policzki i dłonie. W wolnej chwili sięgała po kubek z wodą i piła bez przerwy, inaczej nie byłaby w stanie formułować słów w tych nielicznych sytuacjach, w których musiała to zrobić. To tabletki powodowały suchość w ustach, kolejne skutki uboczne. Do sklepu napływało coraz więcej klientów, grudzień był pracowitym okresem. Kupowali elfy, anioły, światełka i wszystko inne, co kojarzyło się z Bożym Narodzeniem. Agent przez długi czas był poza zasięgiem wzroku. W krótkich chwilach, gdy nikt nie stał przed nią, by zapłacić, jej myśli biegły jak zwykle, ale napotykały opór. Jakby szła długim korytarzem i ciągle trafiała na zamknięte drzwi, musiała szukać innej drogi, z jeszcze większą liczbą zamkniętych drzwi. Ledwo widziała innych, tylko ich plecy, zapelniali półki z zawrotną prędkością, wyceniając i układając. Gunnhild miała cierpiętniczy wyraz twarzy, zawsze przybierała taki, gdy przychodził adwent, była zajęta, źle opłacana i zmęczona. Stała na samym dole drabiny społecznej, ledwo miała prawo do strajku. Jej metkownica trzaskała jak broń automatyczna.

Agent wszedł w pole widzenia Ragny. W czarnym garniturze był doskonale widoczny na tle kołder. Zatrzymał się przy stojaku z zegarkami casio, zaledwie kilka metrów od kasy. Teraz powoli obrócił go i studiował zegarki, jeden po drugim. Przez cały czas mijały ją towary na taśmie. Tego dnia widziała klientów niewyraźnie, była tak zmęczona i otępiała, ale agent przykuł jej uwagę. Stał tam, przymierzając coraz to nowe zegarki, zakładał je nieśmiało na nadgarstek, odkładał i sięgał po kolejny, nie zdając sobie sprawy, że jest obserwowany. Zobaczyła, że jego wózek jest pełny, kupił różne towary. Ale żadnych aniołów czy elfów, żadnej świecy. Może nie obchodził Bożego Narodzenia, nie wszyscy to robili. Gunnhild nagle stanęła przed nią z kubkiem kawy.

– Starczy mi woda – szepnęła Ragna. Gunnhild spojrzała na nią surowo.

– Wyglądasz na zmęczoną – stwierdziła – potrzebujesz czegoś na poprawę nastroju. Powiem Audunowi, żeby kupił ci mineralną, tujejsza woda jest obrzydliwa. W międzyczasie napij się kawy.

Zniknęła ponownie, a Ragna zdała sobie sprawę, że agent dokonał wyboru. Podszedł do kasy z zegarkiem w ręku, pchnął przed sobą pełny wózek i dołączył do kolejki. Cały czas wpatrywał się z podziwem w zegarek, wyglądał imponująco, miał wiele funkcji. Sama koperta była duża i bogata, a pasek miał eleganckie zdobienia. Wyłożył zakupy na taśmę, wciąż jednak trzymał zegarek, dopiero kiedy wszystko skasowała, podał go jej. Zauważyła, że ma bardzo ciemne oczy, głęboko osadzone. W ciemności widać było błysk, światła sklepowe odbijały się od mokrych gałek ocznych. Ragna sięgnęła na półkę pod kasą i podniosła białe pudełko z pokrywką. Wewnątrz było wyłożone niebieskim aksamitem, zawierało też składaną ulotkę od

Casio. Starannie włożyła zegarek na miejsce, zatrzasnęła wieczko i położyła to na taśmie. Przeciągnął kartę i otrzymał paragon.

– Gwarancja. – Wskazała na paragon. – Trzeba zachować.

Podniósł głowę, zaskoczony, nie zrozumiał jej. Automatycznie pochylił się do przodu, w sklepie było dużo szumu.

– Gwarancja – powtórzyła Ragna. – Rok. – Ponownie wskazała na paragon, który trzymał w dłoni, a następnie białe pudełko przesuwające się powoli na taśmie. Kiedy upewniła się, że w końcu zrozumiał, ponownie przyciągnęła jego uwagę. To jego zdziwienie, zdumienie i ciekawość... nie mogła tego znieść, widywała je u wielu ludzi. Zaskoczenie i niepewność. Zamknęła się w sobie jak małża. Szybki rzut oka na jego stos towarów, który leżał teraz na końcu kasy, wyciągnęła trzy duże torby, a on szybko zaczął pakować, by zrobić miejsce dla następnej osoby.

Potem już go nie było. Drzwi się zamknęły, a Ragna o nim zapomniała. Słuchała White Christmas i Helganatt, rozbrzmiewały z systemu nagłośnieniowego. Po kilku minutach jeden z klientów, starszy mężczyzna, zauważył białe pudełko Casio na końcu przestrzeni do pakowania towarów. Agent pakował się w pośpiechu, musiał go przeoczyć. Ragna otworzyła wieko i spojrzała na zegarek, który kupił i za który zapłacił. Może jeszcze nie zdał sobie sprawy ze zguby, miał pewnie wiele spraw do załatwienia i dźwigał trzy torby. Dopiero w domu, po ich opróżnieniu, zauważył brak zegarka. Przez chwilę spanikuje. Ale potem pomyśli, że zostawił go w sklepie Europris i że na pewno się nim zajęto. Ragna odłożyła pudełko na półkę pod kasą i poinformowała pozostałych. Dokładnie opisała agenta, było to proste.

– Garnitur? Nie nosi go przecież cały czas, prawda?

– Właśnie że tak – stwierdziła Ragna. – Robił tu zakupy już wcześniej, zawsze przychodzi w czarnym garniturze. Uwierz mi na słowo. Powiedziałam mu, żeby zachował paragon.

Wyczekiwała go przez resztę zmiany. Jej oczy błędziły w kierunku wejścia, które otwierało się i zamykało. Ale nie pokazał się więcej. Obawiała się, że nie zdawał sobie sprawy, gdzie zostawił zegarek, może szukał go w samochodzie, o ile przyjechał samochodem. A może jechał autobusem i teraz dzwoni do przewoźnika. Jeśli jednak potrzebował zegarka, to na pewno wróci po kolejny. Tylko Europris mógł sprzedawać je tak tanio. Zanim wyszła na autobus, spojrzała jeszcze raz na półkę i upewniła się, że zegarek wciąż tam jest.

Żadnych gróźb w skrzynce pocztowej. Żadnych kartek od Rikarda Josefa. W sklepie Irfana wciąż ciemno. Skromna, zwieszona tabliczka wciąż tam wisiała. Ale kartka świąteczna nadejdzie. Był adwent, musiał być zajęty w hotelu, dawała mu czas. Wyraźnie go widziała, w schludnych czarnych butach spieszył przez wyłożone dywanem korytarze, nieustannie odpowiadając na pytania gości i personelu. Zniosła gazetę do domu i przez chwilę stała na schodach, spoglądając w dół, na drogę. Nagle coś do niej dotarło. Wbiło się w jej umysł jak igła. Nie przeszła czterdziestu ośmiu kroków, jak kiedyś, a jedynie około trzydziestu.

Rozejrzała się zdezorientowana, spoglądając w dół na swoje stopy, czy mogły się jakoś zmienić? To nie mogła być prawda. Spojrzała na skrzynkę pocztową, wydawała się bliżej niż zwykle. Widziała własne ślady na śniegu, wąską, dobrze wydeptaną ścieżkę. Problem, niepewność, można było je oczywiście rozwiązać. Mogłaby wrócić

na drogę i policzyć jeszcze raz. Postanowiła jednak tego nie robić. Po prostu robiłam nieco dłuższe kroki niż zwykle, pomyślała, bo jestem zmęczona. Chciałam szybko znaleźć się w ciepłe. Jakby krok mógł być zawsze taki sam, co za nonsens. Zdecydowanie weszła na korytarz i z hukiem zamknęła drzwi. Trzydzieści kilka kroków, w porządku. Jutro będzie pięćdziesiąt, co z tego. Była zmęczona i szła tak, jak szła, czasem powoli, czasem szybko, to miało wpływ na długość jej kroku. Znów przekleła Irfana Barisa. Nie mogła znieść myśli o wyprawie do sklepu Kiwi, więc musiała zajrzeć na dno lodówki. Znalazła przeterminowane jajka, ale jajka trzymały się przecież miesiącami, roztrzepała je, wylała na patelnię, położyła na wierzchu suche resztki sera, posoliła i dodała pieprzu. Zjadła kromkę chleba i wypila espresso, żeby nie zasnąć. Na litość boską, nie zasypiaj na fotelu, noce i tak są wystarczająco trudne.

Nikt nie stał pod latarnią wgapiony w dom. W telewizji nie było nic interesującego; czytała gazetę, ale tylko nagłówki. Przez długi czas siedziała w swoim wygodnym fotelu, wpatrując się w ciemne szyby, próbując uporządkować wydarzenia dnia, myśli, rozmowy i obserwacje. Czy którakolwiek z tych rzeczy miała znaczenie. Na arenę wkroczył Agent, w jakiś sposób się liczył. Teraz już na pewno odkrył, że zegarek casio zniknął. Był zirytowany. W myślach analizował cały dzień, przeszukał kieszenie i samochód. Snuł plany na następny dzień, planował zajechać do sklepu i zapytać o zegarek. Wtedy ona uśmiechnie się uprzejmie i wyciągnie białe pudełko spod kasy, da mu je z radosną miną. To będzie cudowna chwila. Nie miała ich zbyt wiele.

Zasnęła jednak w fotelu, z brodą na piersi i bladą, piegowatą dłonią na każdym z podłokietników, wciąż ubrana w swój zielony fartuch. Samotna, skromna. Z beznadziejną fryzurą z suchych, potrzebujących odżywienia włosów. Nawet wróbel nie zamieszkałby w tak obskurnym gnieździe, myślała często, gdy odważyła się spojrzeć na siebie w lustrze. Czas mijał i nikt jej nie budził, nikt nie dzwonił i nikt nie pukał do drzwi, przy których nie było już dzwonka, tylko przerażający rottweiler gotowy do ataku.

Kiedy się obudziła, miała sucho w ustach i była tak zła, że miała ochotę się rozpłakać. Zdała sobie sprawę, że jest późny wieczór, kiedy zwykle kładła się spać. Była zdrętwiała po godzinach spędzonych na fotelu, w krzywej, niewygodnej pozycji, bolał ją kark. Zapaliła więcej lamp. Starła się oczyścić głowę. Szukała czegoś w telewizji, znów była głodna. Wstała, zdjęła fartuch, poszła do łazienki i odkręciła kran. Trysnęła woda. Rozebrała się do naga. Przyszło jej do głowy, że zapomniała zamknąć drzwi wyjściowe, ktoś mógłby wejść do środka, szarpnąć drzwi łazienki i znaleźć ją taką, nagą, w całej brzydocie. Wzruszyła ramionami, znów obojętna. Oczywiście, że zamknęła drzwi. Ten drobny ruch, przekręcanie klucza za każdym razem, gdy przekraczała próg, należał do jej odruchów. Napełniła wannę po brzegi, zanurzyła się w ciepłej wodzie, pozwoliła dłoniom unieść się do góry. Zdała sobie sprawę, jakie są małe, jak u dziecka. Jak cicho było dziś na Kirkelinie. Słyszała tylko krople skapujące z kranu. Zamknęła oczy i oddychała cicho, czuła się nieważka. Pomysłała, że powinna być rybą albo ukwiałem, a może meduzą z długimi nitkami, jak cudowne byłoby wtedy życie. Przez długi czas unosiła się w wodzie. Ale potem nagle przyszła do siebie, bo coś przerwało ciszę. Usłyszała kilka głośnych uderzeń, jakby ktoś próbował

dostać się do środka. Szamotała się w namydlonej wannie, podniosła się do pozycji siedzącej, ale znów się ześlizgnęła. W panice wciągnęła wodę i mydło do ust i dalej, aż przypomniała sobie, że na dno wanny wsypała dwie duże garści soli do kąpieli i że ta substancja, którą odurzała się amerykańska młodzież, przeniknie teraz do jej ciała i głowy, gdzie spowoduje spustoszenie. Straci kontrolę nad rzeczywistością, może będzie miała halucynacje, może zacznie gryźć, słyszała o takich rzeczach. Przytrzymała się krawędzi wanny i nasłuchiwała. Gdzieś w domu znowu rozległo się walenie, w drzwi, jak sądziła, nie w okno. Ktoś używał dużej siły. To nie było delikatne pukanie knykciem w okno. Mieszkała w tym domu przez całe swoje życie, nigdy nie słyszała takich odgłosów, nawet w rzadkich momentach, kiedy jej ojciec czuł się lepiej i coś naprawiał. Wieształ obrazy, remontował, przesuwiał meble, zgodnie z instrukcjami mamy. Ciepła woda w wannie, która teraz spływała po jej oskrzelach, pozostawiła w ustach obrzydliwy smak. Chciała ją wykrztusić, ale zeszła za głęboko. Znów walnięcie, z taką samą siłą. Z przerażeniem wpatrywała się w drzwi łazienki; nie zamknęła ich na klucz, nie robiła tego nawet jako ciężarna nastolatka. Ani mama, ani tata nigdy nie nachodzili jej w tak intymnych chwilach, gdy siedziała naga w wannie z rosnącym brzuchem. Wpatrywała się w klucz, którego nie pofatygowała się przekręcić, kaszląc gwałtownie wodą z mydłem, wciąż czuła jej smak w ustach. Siedzi pochylona w gorącej wodzie i kaszle jak starzec stojący nad grobem. Pukanie rozległo się na nowo, ale jego intensywność zmaląła. Kiedy w końcu ustało, przemówiła do siebie surowym głosem rozsądku. Do drzwi pukał pewnie jakiś akwizytor, który najpierw na próżno próbował użyć odłączonego dzwonka. To mógł być sprzedawca ryb, pomyślała, przyjeżdżał co cztery tygodnie

i parkował swoją białą mobilną chłodnię na podjeździe. Chciał sprzedać jej karton krewetek, halibuta, dorsza albo kotleciki z czarniaka. Ale wszystko było w dużych paczkach, a ona mieszkała sama. Kiedyś próbowała wytłumaczyć mu, że po pierwsze nie ma zamrażarki, tylko mały zamrażalnik nad lodówką z miejscem na może jeden bochenek chleba. Po drugie nie byłaby w stanie zjeść pięciu kilogramów krewetek, nawet gdyby jadła je przez rok, ale byłoby miło, gdyby mógł zrobić to, co kiedyś van Gogh, gdy potrzebował pieniędzy na absynt. Namalował kilka pięknych różowych krewetek i natknął się na kupca, który pożył wizerunku świeżych skorupiaków z całego serca, ale nie mógł zapłacić za cały obraz. Van Gogh zgodził się sprzedać mu połowę, wyciął dwie krewetki z płótna ostrym nożem, wziął swoje monety i kupił absynt, a kupiec dostał tyle krewetek, na ile było go stać. Czy było to dla niego możliwe rozwiązanie? Ale sprzedawca ryb nie słyszał o krewetkach van Gogha i nie był skłonny złamać pieczęci i sprzedać jej pół kilo. Mimo to uśmiechnął się, wrócił do furgonetki i pojechał do domu Olafa.

Zrobiło się cicho jak w grobie, stary dom spoczywał nienaruszony na swoich fundamentach. Nie słyszała odpalanego samochodu ani trzaskania drzwiami. Udało jej się odkaszlnąć większość wody z mydlinami, ale gardło nadal ją paliło. Teraz zaczynała żałować, że przecięła kabel. Biedak, pewnie sprzedawca mrożonek, maluch zbierający pieniądze na szkolną orkiestrę lub głuchoniemy student z Litwy z kilkoma niezdarnymi rysunkami, już dawno poszedł dalej. Pozwoliła sobie zanurzyć się z powrotem w wodzie. Nie wiedziała, która jest godzina, była zmęczona, ale nie senna. Zdała sobie sprawę, że jest grudzień. Ludzie będą dobijać się do drzwi aż do Bożego Narodzenia, z wędzonym łososiem i ciastkami w kształcie wień-

ców. Uwaga, zły pies, pomyślała. Osoba, która dobijała się do drzwi, nie bała się psów.

Woda stała się zimna i mleczna, jak ścieki. Wypuściła parę przez okno, ubrała się i wymknęła na korytarz, ostrożnie przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Lodowate powietrze natychmiast ją otrzeźwiło. Na schodach szukała ulotki lub broszury: „Byliśmy tutaj, ale nie było cię w domu. Przypominamy o naszych wspaniałych ofertach i mamy nadzieję, że zastaniemy cię w domu podczas następnej wizyty. Pozdrawiamy serdecznie”. Nie znalazła jednak nic takiego. Spojrzała w dół, na drogę. Może ten, kto stał przy drzwiach, zostawił coś w skrzynce na listy.

Wróciła do środka, zamknęła i zaryglowała drzwi, założyła łańcuch. Powinna być zrelaksowana po gorącej kąpieli, ale czuła się wyczerpana. Teraz szybko przeszukała dom, wyłączyła telewizor, komputer i wszystkie światła, zerknęła na latarnię przy drodze, czy nikt nie gapi się na jej dom. Wycisnęła cztery apodormy z blistra i włożyła je do ust, potem jeszcze cztery, nie miało znaczenia, czy jest przytomna, czy śpiąca, czy coś pomiędzy, wszystko było takie samo, tylko czas mijał, dni, tygodnie i lata, aż w końcu dołączy do rodziców. Właściwie to tęskniła za tym. Popijając tabletki wodą, zaśmiała się cicho z siebie i własnej obojętności. Śmiała się też ze wszystkich innych, z całego tego pędu, by stać się kimś, zdobyć sławę i, na litość boską, żyć jak najdłużej. Gdyby tylko mogła choć raz narobić hałasu. Wyjść na werandę i otoczyć usta dłońmi, obudzić całą Kirkelinę, krzyknąć tak głośno, że pękłyby szyby w oknach. Ale gdyby spróbowała, jej głos przypominałby syk węża. Rozebrała się ponownie i położyła do łóżka. Tabletki zadziałały natychmiast, ledwo zdążyła znaleźć dobrą

pozycję i poczuła, że wpada do głębokiego szybu, spada i spada, rozłożyła ręce i nogi jak kot, musiała za wszelką cenę wylądować na łapach. Spadając, bała się momentu, w którym dotrze na dno, nigdy wcześniej nie leciała z taką prędkością, z tak dużej wysokości, ani przez chwilę nie wierzyła, że ktokolwiek ją złapie.

W szybie nic się nie działo. Było ciemno, trudno było myśleć, robił się coraz węższy, jak lejek. Teraz nie miała już miejsca, by się poruszać, musiała przyciskać ręce do ciała, coś trzymało ją mocno, jej prędkość spadała, szyb się zwężał. W końcu się zatrzymała. Nie docierał do niej żaden dźwięk ani promień światła. Ciemność była mokra i zielona jak w studni, nie miała poczucia czasu, nie czuła własnego ciała, jedyną rzeczą, którą wyczuwała, było to coś, co uniemożliwiała jej ruch, ten zacisk czy obręcz. Minał tydzień, miesiąc i rok. Minęło całe życie. W końcu jednak wzniosła się powoli, stopniowo zyskując więcej przestrzeni. Nie było już cicho, słyszała coraz więcej. W jej głowie grzechotało, huczało i trzaskało, a ona wznosiła się i wznosiła. Wreszcie wzleciała nad powierzchnię, ale nie przestała się wznosić, kontynuowała podróż, teraz w wysokiej wieży, na nowe zawrotne wysokości, a dźwięki, które do niej docierały, nie były w jej głowie, pochodziły z zewnątrz. To był ruch na Kirkelinie. Autobus, ktoś trąbił. Było już późno.

Zauważyła, że dochodzi jedenasta, a na wyświetlaczu jej telefonu widnieje napis „trzy nieodebrane połączenia”. Dzwoniła Gunnhild. Powoli przypominała sobie wszystko, co się wydarzyło. Był nowy dzień, wszyscy ją wyprzedzili w codziennych zajęciach. Zdała sobie sprawę, że w ciągu najbliższych godzin będzie musiała zapłacić za nocne spadanie i wznoszenie. Zapłaci za to ciężką głową i ciałem, które ledwo będzie w stanie ciągnąć po podłodze. Nie mogła wiecz-

nie tkwić w ciszy i ciemności, chroniona, bo nikt nie był w stanie do niej dotrzeć, ani budzik ze swoim wrzaskliwym tonem, ani symfonia dzwonka telefonu. Nie otworzyła też okna w sypialni, powietrze w małym pokoju było gęste od jej własnego oddechu i strachu. Przewróciła się na bok i zawisała na chwilę nad krawędzią łóżka, wpatrując się w syntetyczny dywan w perskie wzory. Trzeba było podjąć decyzje. Trzeba było odpowiedzieć na wiadomości, zapalić lampy. W jakiś sposób jej stopy musiały dotknąć podłogi, musiała przejść te kilka ciężkich kroków do łazienki. Jej waga nigdy nie przekraczała pięćdziesięciu kilogramów, ale teraz ważyła ponad sto. Większość tego ciężaru znajdowała się w jej głowie, pomyślała; jej mózg był blokiem cementu, bez krążenia. Nawet jej płyn mózgowo-rdzeniowy stał się gęsty i zamglony, jak woda w wannie poprzedniej nocy, nie było już żadnego kontaktu między jej mózgiem a ciałem. Nic dziwnego, że stopy jej nie słuchały. Nie było powodu, by wstawać z łóżka. Wszystko, co przyniosłby dzień, to albo pusta skrzynka pocztowa bez kartki od Rikarda Josefa, albo ta sama skrzynka z groźbą w środku. Odwróciła się więc do ściany i zamknęła oczy.

W głowie słyszała pogardliwy śmiech, który obejmował ją całą, Ragnę Riegel, brzydką, nieszczęśliwą i prześladowaną. Samotną, porzuconą, żalowaną. Tchórz, nie mogła nawet wstać z łóżka, przemykała po okolicy jak złodziej. Poza tym chciało jej się pić. Jak nigdy w życiu. Od tabletek wyschły jej usta i język, nie byłaby w stanie wypowiedzieć słowa, gdyby musiała. Włączyła lampkę na stoliku nocnym, trujący czerwony grzyb świecił z mocą dwudziestu pięciu watów. Gdy podniosła się na łokciu, zobaczyła złożoną kartkę. Właśnie tu, u podstawy lampy pod muchomorem, ktoś zostawił wiadomość. List. Leżała, długo wpatrując się w biały arkusz. Zamknęła oczy

i otworzyła je, a list wciąż tam był. Nie dotknęła go. Próbowwała sobie przypomnieć, co się wydarzyło poprzedniej nocy. Zamarła w tej niewygodnej pozycji, opierając się na łokciu. Wpatrywała się w pokój, aby sprawdzić, czy ktoś tam jest, czy są otwarte drzwi na korytarz, a może coś innego. Ale nic nie widziała i nic nie słyszała, ani jednego oddechu. Przez całą tę długą noc była w studni, do której nie docierał żaden dźwięk, ani budzik, ani telefon. Komuś udało się dostać do domu, aż do sypialni, podczas gdy ona sama leżała na dnie szybu, ślepa i głucha. Stał przy łóżku i obserwował ją w ciemności, słuchał jej oddechu. Mógł zauważyć, że jest ciężki.

Połączenia w jej ciele znów zostały przerwane. Polecenia mózgu nie docierały do ręki. Minęło sporo czasu, zanim w końcu zdołała podnieść kartkę i przeczytać wiadomość.

JESTEM BLIŻEJ NIŻ MYŚLISZ.

Nawet gdyby mogła krzyczeć, nie odważyłaby się teraz na to, chciała nasłuchiwać, wyjść do pokoju, przez drzwi i na korytarz.

A jeśli wciąż tam był? Dotarł do niej szum Kirkeliny, słyszała tylko nieustanny pisk samochodów zdążających w kierunku centrum, od czasu do czasu szorstki grzmot ciężarówki czy autobusu. Błądziła wzrokiem, rozgorączkowana zauważyła, że nic nie zostało poruszone, nikt nie dotknął zasłon, drzwi do sypialni były należycie zamknięte. Nie miała pojęcia, jak się tu dostał. Oczywiście, że go nie słyszała, wzięła osiem apodormów. Ale jednak. Wyłamanie drzwi lub rozbicie okna spowodowałoby znaczny hałas, niezależnie od tego, czy miał dobre narzędzia. Była pewna, że zamknęła drzwi, że łańcuch zapięła jak zawsze. Może wciąż był w domu, może czekał w kącie, w salonie lub piwnicy. Uderzyło ją też coś innego, coś ważnego. Rozmowa telefoniczna z nieufną policjantką. Kartka, odręcznie na-

pisana wiadomość, którą teraz trzymała w dłoni, była niepodważalnym dowodem. Że ktoś ją śledzi. I że staje się niebezpieczny. Cienki papier był prawdopodobnie pokryty odciskami jego palców, unikalnych łuków i pęteli. Jeśli określone punkty w odciskach pasowały do kogoś, kogo już mieli w aktach, mogli go złapać. Skonfrontować, ukarać. Trzymała teraz kartkę ostrożnie, nie po to, by ją zniszczyć lub spalić, ale by ją zachować.. Wejść na posterunek policji i położyć ją na blacie.

To było jej zadanie na dziś. Kolejnym było powiedzenie Gunnhild, że jest chora, że wzięła jakieś tabletki nasenne i dlatego nie usłyszała dzwonka telefonu. Wstała, ostrożnie przeszła przez pokój i otworzyła drzwi na korytarz przed łazienką. Stała tam i nasłuchiwała. Nic, tylko jej własny oddech, jej serce. Otworzyła drzwi do łazienki i zajrzała do środka, od razu coś ją uderzyło. Lodowaty ziąb, powoli zrozumiała dlaczego. Kąpała się, jak zwykle otworzyła okno, aby wypuścić parę, ale zapomniała je zamknąć, było otwarte przez całą noc, przytrzymywane przez haczyk, który łatwo było poluzować. Pukanie do drzwi, gdy leżała w gorącej wodzie, zaniepokoiło ją. Podeszła do okna i wyjrzała. Oczywiście, wspiał się na stertę drewna, skąd łatwo było prześlizgnąć się przez parapet i zejść na podłogę. Stał tam i nasłuchiwał, podczas gdy w pomieszczeniu unosił się zapach soli do kąpieli. Z wielką ostrożnością otworzył drzwi do jej sypialni, stał tam przez chwilę i obserwował tyle, ile mógł dostrzec w ciemności.

List napisał i złożył z wyprzedzeniem; jego zadanie zostało wykonane w jednej chwili. Potem znów wydostał się przez otwarte okno, stawiając stopy na stosie drewna. Skok w śnieg i już go nie było.

Przez chwilę zmagala się z zawiasami, stawiały wyjątkowo wielki opór. Nie miała siły w palcach i była roztrzęsiona. W końcu udało jej się zamknąć okno, po czym chwiejnym krokiem weszła do salonu, a następnie do kuchni, tam przyjrzała się oknom. Były nienaruszone, wszystko było na swoim miejscu. Wyjrzała na korytarz, upewniła się, że drzwi wejściowe są nietknięte, że łańcuch wisi. Następnie zebrała ubrania, założyła je i zamówiła taksówkę przez esemesa. Szybko zeszła na ulicę, by tam zaczekać, stała zmarznięta ze złożonym listem w dłoni i torebką przewieszoną przez ramię. Nie otworzyła skrzynki pocztowej, zostawił przecież wiadomość na jej stoliku nocnym. Czekala w bezruchu. Zakładała, że taksówka nadjedzie z lewej strony, z postoju na placu. Zimno otrzeźwiło ją, a wraz z trzeźwością przyszła wściekłość. Teraz położy kres tym prześladowaniom. Chciała odzyskać swoją codzienność, bezpieczeństwo i spokój, dobre życie, nad którym miała kontrolę. Zauważyła samochód daleko na ulicy, jechał powoli. Szybko wyszła na drogę i pomachała mu, widząc, że się zatrzymuje. Wsiadła do tyłu, wciąż trzymając w dłoni złożony list. Kierowca odwrócił się i spojrzał na nią, znajoma twarz. Irfan Baris. Chciała się uśmiechnąć, ale zdała sobie sprawę, że jest na niego wściekła za to, że przeniósł sklep bez słowa. Pochyliła się więc między siedzeniami i zbliżyła twarz do jego twarzy.

– Twój sklep – szepnęła – ten nowy. Założę się, że jest o wiele większy i ładniejszy niż ten tutaj.

– Tak, zdecydowanie – powiedział.

– Ale teraz go zamknęłaś, żeby jeździć taksówką?

– Mój kuzyn jest w sklepie. Prowadzimy go razem.

Odchyliła się gwałtownie do tyłu.

– A kiedy masz wolne?

- Nie mam. Dokąd jedziemy?

- Na policję.

- Tak? - zdziwił się.

Obserwował ją w lusterku, rozpoznała w nim zwykłą ruchliwość i nerwowość, oczy błędzące dookoła, palce tańczące na kierownicy.

- Dlaczego musiałeś zamknąć sklep na Kirkelinie? - zapytała surowo. - Nie opłacał się?

Zawahał się trochę, odnajdując jej oczy w lustrze.

- Przyszedł ktoś z urzędu skarbowego - wyjaśnił. - Chcieli przyjrzeć się rachunkom.

- I nie były w porządku?

Nie odpowiedział, tylko spojrzał na nią, bardziej na nią niż na drogę.

- Ktoś musiał zadzwonić - powiedział.

- Zadzwonić? Czyli że ktoś doniósł?

- Dlaczego przyszli tak nagle? - spytał z goryczą. - Nigdy wcześniej nie przychodzili.

Przez dłuższą chwilę panowała między nimi cisza.

- Ktoś okradł twój dom? - dopytywał.

Zdała sobie sprawę, że wcale tak nie było. Nie ukradł nawet roweru. Nie miała zresztą roweru, ruch na Kirkelinie był zbyt duży, nie było ścieżki rowerowej. Zamknęła oczy i zamarła, próbując zaplanować wejście na komisariat, swoje podejście i to, co miała powiedzieć. W jakiś sposób musiała sprawiać wrażenie autorytatywnej.

Ponownie pochyliła się do przodu i szepnęła mu do ucha:

- Możesz poczekać na zewnątrz? Odwieszysz mnie potem do domu?

Skinął głową, kilkakrotnie, jego wzrok nieustannie kierował się w stronę lusterka lub taksometru, który świecił czerwonymi cyframi sto czterdzieści dziewięć i pięćdziesiąt.

– Zimno dzisiaj – zauważył. – Bardzo zimno.

Zadrżał całym swoim smukłym ciałem. Przycisnął jakieś przełączniki na desce rozdzielczej, usłyszała, jak uruchamia się wentylator, a strumień gorącego powietrza uderzył ją w twarz. Zamknęła oczy, wsłuchiwała się w pracę silnika, cieszyła się jazdą, energią. W końcu coś się działo. Nie była już jedną z tych osób, które chowały się po kątach. Znała swoje prawa, domagała się pomocy.

Irfan nadal obserwował ją w lusterku swoimi bystrzymi brązowymi oczami. Przez całą drogę na plac, przez most miejski na południe i dalej wzdłuż rzeki. Po piętnastu minutach skręcił w ulicę, przy której znajdował się komisariat policji, ogromny, czerwono-brązowy budynek z mnóstwem przeszkleń. Łuk z dużych kamieni stał jak rząd zębów przed głównym wejściem; nie dało się podjechać pod same drzwi. Zatrzymał się więc w pewnej odległości, tłumacząc, że ostatnie kilka metrów będzie musiała przejść pieszo. Wskazał na ulicę, gdzie znajdował się kiosk z kawą i gazetami.

– Poczekam tam – wyjaśnił.

Ruszyła w kierunku wejścia, zdecydowanym krokiem, z uniesionym podbródkiem. Czowała na sobie jego wzrok. Czyżby jak wielu innych szukał schronienia w Norwegii, korzystał z dobrych programów społecznych, ale i tak nienawidził Norwegów? Jej gniew ostatecznie ustąpił miejsca strachowi; może nie będzie w stanie przedstawić swojej sprawy w autorytatywny sposób, jak zamierzała. Kiedy dotarła do głównego wejścia, podwójnych szklanych drzwi, zauważyła kamery wysoko na ścianie. Czyli w środku już ją widzieli. Stała

przez chwilę, wpatrując się w kamery, jedną po lewej stronie drzwi i jedną po prawej. Nie było tu nikogo innego, przestrzeń przed budynkiem była pusta. Pochłonął ją łuk wysokich kamieni, była w środku. Ku jej zaskoczeniu drzwi otworzyły się same, weszła do ogromnej recepcji z kilkoma ladami i poczekalnią z ulotkami i broszurami. Po lewej stronie znajdowało się stanowisko do wydawania paszportów, obok niej winda, a po prawej pokój dyżurnego, zamknięte pomieszczenie z przeszklonymi ścianami, dzięki którym mogła zajrzeć do środka. Umundurowany funkcjonariusz podniósł wzrok, a ona zebrała się na odwagę. Na wszelki wypadek rozejrzała się, szukając automatu do numerków. Był tam jeden, ale z tego co widziała, dotyczył tylko osób, które potrzebowały paszportu. Weszła do małego, przeszklonego pomieszczenia, ściskając w ręku swoją kartkę. Policjant nie był szczególnie przyjazny, mężczyzna nieco starszy od niej, mocno zbudowany, łysy, na pewno silny. Fizycznie silny, pomyślała, miał szerokie barki i umięśnione ramiona. Ale też silny, ponieważ reprezentował władzę. Wszystko, co zobaczyła, to obojętność i brak zainteresowania, jakby przeszkodziła mu w czymś ważnym. Mimo że nie było tam nikogo innego, mimo że byli tylko we dwoje, zamknięci w szklanym pokoju, siedział skulony nad jakimś papierami, a sekundy mijały. Stwierdziła, że jej kolana zrobiły się słabe i galaretowate, nie była pewna, jak zacząć. Jak zacząć, czy nie powinien pomóc jej zacząć, czy nie powinien być pomocny, czy nie uczyli tego w akademii policyjnej? W końcu podniósł wzrok. Jego spojrzenie wciąż było ulotne, była tylko czymś, co przypadkiem zauważył, jak owad przelatujący obok. Położyła przed nim na blacie złożoną kartkę.

– Ta wiadomość – powiedziała. – Była na moim stoliku nocnym, kiedy się dziś obudziłam. Ktoś był w moim domu, kiedy spałam.

Potem znowu mijały sekundy, mój Boże, jak one mijały, tykały jak cyfry na taksometrze Irfana. Oficer nie spieszył się, jego oczy nic nie wyrażały, nie dotykał kartki. Musiał się dowiedzieć, kim ona jest i dlaczego szepcze. Odważnie wyprostowała plecy, chcąc mu pokazać, że jest przytomna, trzeźwa i pod każdym możliwym względem zdrowa.

– Czy jest jakiś powód, dla którego mówi pani szeptem? – zapytał.

Przełknęła głośno ślinę. Szarpnęła kołnierzyk koszuli i wskazała na czerwoną, postrzępioną bliznę.

– Była pani ofiarą napaści? – zapytał.

– O nie, nie. To był błąd lekarski.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się z zaciekawieniem jej białej szyi.

– Ma pani jakiś dowód tożsamości? – zapytał.

Przytaknęła kilka razy. Pogrzebała w torebce i znalazła kartę Visa z brzydkim zdjęciem. Z pewnością nie zrobił go Walther Eriksson, tylko fotobudka w DnB. Przyjrzał się jej uważnie, obracając ją w kółko, zerkając na nią dla porównania.

– Kto u pani był? – dopytał.

– Nie wiem.

– Czy sforsowano drzwi?

Potrząsnęła głową.

– Wszedł przez okno. Zeszłej nocy było otwarte.

– Otwarte? W środku zimy? – Zadrzał. – Wie pani, jak zimno było zeszłej nocy? Minus dziesięć albo nawet zimniej.

- Okno w łazience - zająknęła się. - Zapomniałam je zamknąć, kiedy kładłam się spać.

Nie dotknął listu. Nie rozumiała, dlaczego go nie przeczytał. Usłyszała miarowy, potężny dźwięk w tle i zdała sobie sprawę, że to ruszająca winda. Odwróciła się i spojrzała przez szybę, przyszli jacyś ludzie. Niektórzy potrzebowali paszportu, ale byli też tacy, którzy chcieli zwrócić na siebie uwagę policjanta, podczas gdy ona stała tu i czekała.

- Czy coś zginęło z posesji? Jakież kosztowności?

- Nie przyglądałam się zbyt uważnie - musiała przyznać - ale nie o to mu chodzi.

- Naprawdę?

- On mnie prześladowuje.

Brak odpowiedzi, tylko uniesione brwi.

- Już od dłuższego czasu - dodała, pochylając się nad ladą, aby podkreślić swoją powagę, ale ledwo mogła jej sięgnąć łokciami.

- Więc zna pani sprawcę?

- Nie bardzo - zająknęła się.

Znowu się załamała. Słyszała, że jej słowa brzmią nieskładnie, widziała to w jego oczach. Poza tym mówił niezwykle głośno, automatycznie pomyślał, jak wielu innych, że pewnie Ragna niedosłyszy. Szukała lepszego sposobu wyjaśnienia sprawy.

- Wrzuca różne rzeczy do mojej skrzynki pocztowej - dodała - groźby i wiadomości. Robił to przez całą jesień.

Policjant milczał przez długi czas. Patrzył na nią tak, że budziło to jej niepokój, jej serce biło szybko, a policzki były ciepłe, mimo mrozu.

– Czy ma pani przy sobie te listy?

– Spaliłam je – przyznała żałośnie. – Mam tylko ten, który dostałam zeszłej nocy.

Położyła palec na kartce przed nim. W końcu podniósł ją i uważnie przestudiował.

– Na stoliku nocnym? – upewnił się.

– Tak.

Czy nie dostrzegła uśmiešku w kąciku jego ust?

– Może ktoś spędził u pani noc? A potem wyszedł, zanim się pani obudziła?

Ragna była tak spięta, że prawie zaczęła płakać. Wiedziała, że musi zachować spokój, że musi sprawić, by ten odziany w koszulę, arogancki dupek zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Jeśli zacznie płakać, prawdopodobnie skieruje ją do lekarza rodzinnego i założy, że cierpi na stany lękowe i depresję. To zresztą nie było do końca nieprawdą.

Wychyliła się nad ladą tak daleko, jak tylko mogła, i uderzyła knykciem w drewno.

– Proszę przeczytać wiadomość! – poprosiła.

Przeczytał ją.

– Zgłaszam to – zapowiedziała stanowczo.

– Chce pani to zgłosić? To? – Pomachał kartką.

– Włamanie – szepnęła. – Nękanie.

Zawahał się i wzruszył ramionami. Ale i tak się odwrócił i znalazł formularz na półce, położył go przed nią i podał jej długopis.

Przestudiowała pytania w formularzu, było ich wiele, niekończąca się seria. Winda znów ruszyła. Ragna szybko obejrzała się

przez ramię, niektórzy wychodzili, a inni wchodzili. Recepcja roiała się od ludzi, wszędzie brzęczały głosy. Ale teraz była jej kolej. Pisała najdokładniej jak potrafiła. Jej gniew narastał, a dłonie były spocone, ale pisała. Skończyła i podsunęła mu kartkę przez biurko.

– Wyślecie kogoś, prawda? – dopytywała.

Uważnie przestudiował zgłoszenie. Przeczytał od góry do dołu.

– Czyli niczego w domu nie brakuje i nie ma śladów włamania.

Czy okno było rozbite?

– Mówiłam, że było otwarte.

Przytaknął.

– Czy na terenie posesji znalazła pani inne uszkodzone przedmioty, przewrócone meble lub coś podobnego?

– Nie.

– W takim razie nie możemy tu za dużo zrobić – stwierdził. – Na razie.

– Ale zostawił tę wiadomość! To dowód! Był w moim domu zeszłej nocy, to włamanie, prawda?

– Kto był w pani domu? – zapytał spokojnie, patrząc wprost na nią.

– Nie wiem. Dlatego tu teraz stoję!

Przestudiował odręczną wiadomość po raz trzeci.

Znowu zobaczyła ten uśmiezek.

– Załączę to do zgłoszenia – wyjaśnił. – Dobrze by było, gdyby pojechała pani teraz do domu i wszystko dokładnie przejrzała. Proszę skontaktować się z nami, jeśli sprawa się rozwinie. Wtedy przyjrzymy się temu bliżej.

– Blżej? Nie może być już bliżej. Był w mojej sypialni! – Starła się opanować czkawkę. – Stał obok mojego łóżka – dodała.

Policjant nie powiedział nic więcej. Krótco skinął głową, chciał już skończyć rozmowę, dokładnie tak, jak ona miała w zwyczaju. Ragna patrzyła, jak zgłoszenie i złożony list znikają na półce.

Mimo to nadal stała. Pomyślała najpierw, że będzie tu stać, dopóki nie poproszą jej o opuszczenie komisariatu. Szybko jednak się załamała, całkowicie pozbawiona sił. Oni widzą w swojej codziennej pracy policyjnej gnijące zwłoki i zgwałcone kobiety, maltretowane dzieci, wypadki samochodowe i zwęglone ciała. A tu stoi Ragna Riegel. Nikt nie podniósł na mnie ręki, to tylko okrutna gra, której nie mogę znieść. Odwróciła się i wymknęła jak zawstydzony pies, przeszła powoli przez wielki hol. Ale potem i tak wyprostowała plecy, w gruncie rzeczy zadowolona. Zgłosiła sprawę. Przestrzegała zasad, a policjant jej nie wyrzucił. Jej sprawa znalazła miejsce na półce.

Znalazła taksówkę Irfana kawałek dalej. Był pochylony nad gazetą, a w samochodzie pachniało kawą. Wsiadła na swoje miejsce, samochód powoli sunął przez miasto, a rzeka po ich lewej stronie płynęła teraz silnie wzburzona, z wirami i falami. Irfan znów patrzył na nią w lusterku.

– Mam włączone ogrzewanie – zapewnił.

Przytaknęła. Przeczesała dłonią włosy. Wiedziała, jak wygląda, jak jest ubrana, dlaczego tak się na nią gapił?

– Nie dzwoniłam do urzędu skarbowego – szepnęła – nie wiem nic o twoich rachunkach. Ale jedzenie mi smakowało. Teraz muszę chodzić do Kiwi.

Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią. Widziała jego dłonie, były złotobrazowe, prawa uderzała w kierownicę w irytacji, cokolwiek to

znaczyło.

– Więc teraz jest was dwóch do prowadzenia rachunków – dodała. – I do podziału kasy.

– Co powiedziała policja? – zapytał zadowolony.

– Papiery – mruknęła. – Musiałam wypełnić papiery. Nie byli zbyt zainteresowani, ale odłożyli je na półkę. Zawsze ładuję na jakiejś półce – dodała. – Po prostu zabierz mnie do domu.

*

Zakład karny Plötzensee.

Friedrich-Olbricht-Damm 16

13627 Berlin

Liebe Mutti!

Piszę do Ciebie, tak jak obiecałem.

Nie pisałem po norwesku od wielu lat, więc musisz być wyrozumiała. Mówię po niemiecku, myślę po niemiecku i marzę po niemiecku. Nie zajęło mi dużo czasu, aby stać się częścią tego kraju i miasta, Berlina, który tak bardzo kocham.

Inspektor opowiedział mi o Twojej operacji gardła i tragicznych skutkach, powiedział, że muszę uważnie Cię słuchać przez telefon, i tak zrobiłem. Nie jest to łatwe, ale mogę się nauczyć. Tak mi przykro, że musisz żyć z tą niepełnosprawnością, pamiętam, kiedy mówiłaś do mnie w dzieciństwie, głosem jak u małej dziewczynki, tak lekkim i swobodnym. Kiedy tylko chcę, mogę przywołać ten głos i pamiętam też Twój śmiech, jak cukierki wysypujące się z torebki. Teraz zniknął na zawsze. Ale słuchałem uważnie i rozumiałem.

Łączy nas teraz wspólna tragedia. Po tylu latach milczenia. Cisza z mojej strony była celowa. Tak, siedzę w więzieniu. Sprawy potoczyły się tak źle, a wcale tego nie chciałem. Zdefraudowałem dużo pieniędzy, przez dłuższy czas. To było całkiem łatwe, nikt niczego nie zauważył, konta w Dormero są ogromne, więc kontynuowałem miesiąc po miesiącu, zamykając oczy i uszy na zbliżające się nieuchronnie zagrożenie, sumka tu, sumka tam i szybko zrobił się milion, dwa, trzy i cztery. To jak lawina, zsuwa się w dół, najpierw powoli, a potem coraz szybciej i wiesz, że skończy się dopiero na dnie. Nie ma usprawiedliwienia dla mojego występku, nie ma. Na początku miałem zamiar wszystko zwrócić, wiesz, tak to się zaczyna. Chciałem tylko rozwiązać tymczasowy problem, zaraz potem wszystko naprawić. Ale sumy rosły i rosły, aż w końcu poszedłem na dno. Uciekłem i ukryłem się po drugiej stronie miasta, w dość złej dzielnicy, myślałem, że mnie nie znajdą. Siedziałem w ukryciu i czekałem. Nie wiem, za co siedzisz w więzieniu, inspektor nie chciał o tym mówić bez Twojej zgody, ale powiedział, że to coś poważnego. Nie rozumiem, mam, naprawdę nie rozumiem. Czy prowadziłaś samochód i kogoś potrąciłaś? Może z małpą? Tak mówimy tutaj w Berlinie, to oznacza jazdę pod wpływem alkoholu. Czy powiesz mi, co zrobiłaś albo czego nie zrobiłaś? Może jesteś niewinna? Ja nie jestem niewinny.

Wszystko zaczęło się dobrze w Berlinie. Najpierw pracowałem w pensjonacie jako stróż nocny, kiedy miałem siedemnaście lat. Ludzie przychodzili późno w nocy, pijani, gubili klucze i nie mogli ustać na nogach. Wtedy pomagałem im, wiesz, dawałem zapasowy klucz, a oni zostawiali mi duże napiwki, szczęśliwi, że w końcu znaleźli się pod dachem. Nie zarabiałem dużo, ale miałem własny pokój

i wyżywienie. Spędzałem całe noce na nauce hotelarstwa. Siedziałem sam w recepcji, rzadko mi przerywano, tylko od czasu do czasu przychodzili goście po zapalki, piwo lub sznapsa. Byłem jedyną osobą w wielkim budynku, która nie spała, w świetle samotnej lampy, podążając za wskazówkami zegara godzina po godzinie w kierunku poranka i światła, czułem się władcą nocy. Oni spali. A ja ich pilnowałem. Oni marnowali czas, ja go dobrze wykorzystywałem. Po jakimś czasie dostałem pracę w Dormero, najpierw jako portier. Żebyś widziała ten uniform! Często stałem przed lustrem i salutowałem, musiałem być do usług wszystkich. Kiedy teraz o tym myślę, uśmiecham się jak starzec wspominający młodość. Był jaskrawoczerwony ze złotymi guzikami i sznurówkami, buty polerowałem każdego ranka. Płaca też nie była dobra, ale dużo napiwków, rozumiesz, sporo bogatych gości. Nie tylko monety, ale i banknoty. Brali to, co znaleźli w kieszeniach, i dawali mi, nie patrząc uważnie, często światło było słabe. Zwłaszcza w nocy, kiedy przychodzili z restauracji, a ja zabierałem ich windą, odblokowywałem dla nich drzwi i odprowadzałem do łóżka, tak jak robiłem to w poprzedniej pracy. Cały czas czytałem i robiłem dobre wrażenie. Kiedy w końcu zostałem recepcjonistą, po ukończeniu studiów z zarządzania hotelami, wzięłem dużą pożyczkę i kupiłem mieszkanie przy Landsberger Allé. Gdybyś je widziała, Mutti. Z dwoma dużymi balkonami i widokiem na Berlin. I bmw w garażu.

Trudno wyjaśnić, dlaczego to mi nie wystarczało. Chciałem więcej, zawsze więcej, to było takie proste. Wszyscy lubili blond Norwega, uprzejmego, ciężko pracującego recepcjonistę, byli jak ślepi i nie chcieli uwierzyć w moją wielką zdradę. Więc odszedłem. Pracowałem w małym hostelu po drugiej stronie miasta, gdzie również

miałem pokój i bardzo skromną pensję. Gośćmi były w większości biedne kobiety i mężczyźni, backpackerzy, a nawet bezdomni. Spędzałem tam całe dwadzieścia cztery godziny na dobę i nigdy nie wychodziłem na ulicę. Ścieliłem łóżka, czyściłem toalety, nie zadawałem żadnych pytań. Och, upadłem tak nisko! Cały dzień i całą noc czekałem na nich, na policję. Wiedziałem, że przyjdą. Dlatego nie spałem i prawie nie jadłem. Za każdym razem, gdy drzwi się otwierały i ktoś wchodził, zamierałem z przerażenia. Za każdym razem, gdy mijałem okno, wpatrywałem się w nie, nie masz pojęcia, jakie to uczucie być śledzonym, jak to jest, gdy wszyscy cię ścigają, to nie do zniesienia. Więc kiedy samochody w końcu wjechały na ulicę i zobaczyłem ciemnoniebieskie mundury, poczułem ulgę. Wreszcie mogłem się wyprostować i oddychać spokojnie, gdy wychodziłem przez drzwi, by wsiąść do radiowozu. Chyba nawet się uśmiechnąłem, choć nie jestem tego do końca pewien. Możesz pomyśleć, że to dziwne, pewnie uważasz, że powinienem czołgać się jak pies. Ale tak nie było. Wejście do tej celi było jak wyjście na światło dzienne po długim czasie spędzonym w ciemności. Rozumiesz?

Na oddziale jest nas dwudziestu, ale w całym zakładzie siedzi pięćset siedemdziesięciu. Wszyscy na moim oddziale, który nazywa się Erstemal, są w więzieniu po raz pierwszy. Wiesz, co to oznacza. Wszyscy popełnili błędy, tak jak ja. Peter jest młody, ma tylko osiemnaście lat. Wiele razy latał do Kolumbii po kokainę. Potem to już mu nie wystarczyło. To oczywiście dar niebios, że nie został tam złapany, możesz sobie wyobrazić warunki odsiadki, prawda? Erstemal to coś zupełnie innego, tutaj mamy dobrze. Helmut ma sześćdziesiąt dziewięć lat, lubił małe dzieci, złapali go. Nie ruszamy go za to, ale trzyma się na uboczu. Oczywiście pełen wstydu, tak to już jest z tymi

draniami. Ja zresztą też trzymam się na uboczu. Pracowałem na wielu nocnych zmianach, podczas gdy wszyscy inni spali. Więc godziny i dni są długie, ale dobre, bez strachu i prześladowań, i z perspektywą, że za kilka lat wyjdę. Wszyscy tutaj, strażnicy, kobiety i mężczyźni, uśmiechają się i mówią uprzejmie. Pytają o Norwegię, wiesz, każdy słyszał, że jest piękna, z wodospadami i górami. Ale zwiedzanie to już nie dla mnie, mam muzykę. I mój komputer, i trochę ćwiczeń. Mutti, wypracowałem sobie mięśnie, gdybyś tylko mogła je zobaczyć. Chudy chłopak, który wyjechał z Kirkeliny, już nie istnieje, mięśnie są nie tylko praktyczne, gdy trzeba podnieść coś ciężkiego, ale także pomagają mi znosić to wszystko, co teraz muszę znosić. Czasami pojawia się też ksiądz Wilfred. Podejrzewamy, że jest gejem, zakochanym w młodym Peterze. Często przychodzi do jego celi i przebywa tam długo, naprawdę bardzo długo. Słyszymy stłumione głosy, a czasami jest dziwnie cicho. Wtedy nasza wyobraźnia szaleje, ale nie mówimy tego głośno. Myślimy swoje, zarówno Helmut, ja, jak i inni, że ksiądz też jest zamknięty, w szafie, z której nie ma odwagi wyjść. Peter jest całkiem uroczy, prawie jak dziewczynka, a oczy księdza błyszczą jak iskry, kiedy wychodzi z celi. Jeśli chcę, mogę pracować w pralni, kuchni lub w jednym z kilku warsztatów. Nie jestem nierobem, Mutti. Ale z drugiej strony, moja cela to mój azyl, jest tu cicho. Mam porządek i kontrolę, nikt nie chce mnie dopaść. Dużo miejsca na myśli, z których wiele trafia teraz do Ciebie. Nie mam wiele żalu, nie mogę znaleźć skruchy, po prostu skorzystałem z okazji, dobrej okazji. Ale może jestem złym człowiekiem? Nie myślę zbyt wiele o przyszłości. Ale chyba powinienem, trzeba znaleźć sobie miejsce. Nie powinienem był Cię okłamywać, sprawiać wrażenia, że to ja prowadzę hotel. Ale chciałem, żebyś była

dumna i pewna, że dobrze sobie radzę, że jestem szefem i dobrze zarabiam. Na stanowisku recepcjonisty i w czarnym garniturze byłem dumny jak paw. Podobało mi się przebywanie w centrum uwagi, podobało mi się, że wiele osób było pode mną, ci, którzy prali, ścielili łóżka i nosili bagaże. Kłamstwo, w którym trwamy, rośnie i rośnie z każdym mijającym rokiem, w końcu jest jak czarna skrzynka w samolotach, ta, której szukają, gdy samolot się rozbija, i która ujawnia prawdę, niezależnie od tego, czy winny jest pijany pilot, czy burza. Piszę teraz do Ciebie, a twój inspektor to przeczyta. Ale zapomnimy o tym, Mutti, jesteśmy tylko ty i ja. Wyobraź sobie, że siedzimy tak teraz, w oddzielnych celach, w różnych miastach. Ja mam dwanaście metrów. A Ty ile?

Twój syn Rikard.

Oszust. Syn marnotrawny.

Ragna nie przejmowała się, że obce ręce otworzyły list od jej syna. Że zostawiły ślady tłustych palców, że ktoś wzruszył ramionami lub ziewnął ze znudzenia albo był na to wszystko zupełnie obojętny. Przeczytała list z szacunkiem, serce jej waliło, przeczytała go jeszcze raz i jeszcze raz. I znowu, jak najwolniej, słowo po słowie i zdanie po zdaniu. Przyjrzała się każdej literze, zwróciła uwagę na każdą linijkę. W niektórych miejscach wyczuwała drżenie, wibracje w pętlach i łukach, albo widziała, że nacisk pióra zmieniał się, że w niektórych miejscach litery były jaśniejsze, jakby niepewne, by nagle stać się ciemnymi i mocnymi, gdy pisał z pewnością siebie. Chociaż mogło to być spowodowane słabą jakością długopisu, może kończył się w nim tusz. Długo wahała papier. Coś tam było, coś ledwo wyczuwalnego, kartka gdzieś leżała i przyciągnęła zapachy otoczenia, szu-

flady czy półki. Jej syn trzymał go i składał kilka razy, po czym ostrożnie włożył do koperty. Ale przede wszystkim uderzyło ją samo pismo. Rozpoznała je z jego szkolnych prac, teraz było jeszcze bardziej artystyczne. Niewielu mężczyzn pisało w ten sposób, tak równo i ozdobnie. Była pewna, że miał to po Waltherze. Po artyście.

Mutti, napisał, Mutti! To słowo było takie miłe, wyrażało czułość. Co najmniej tak piękne jak „kochanie”. Nie płakała, ale czuła ścisk w gardle, była tak przepełniona szczęściem i radością, że mogłaby podnieść się z podłogi i wzlecieć pod sufit, skąd patrzyłaby na wszystko z góry, na oszałamiający nowy widok. A funkcjonariusze weszliby i jej nie zauważyli, pomyśleliby, że uciekła. Złożyła kartki, włożyła list do koperty i siedziała z nim na kolanach przez dłuższą chwilę. Potem rozejrzała się po celi w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na jego przechowanie. Nie miała zbyt wielu opcji. Przy oknie stało proste biurko z jedną pustą szufladą, do której ostrożnie włożyła list od syna. Zamknęła ją i natychmiast otworzyła ponownie, list wciąż tam był, nie śniła. Należał do niej. Osobisty i prywatny dokument, którego nikt nie mógł jej odebrać. W miarę upływu czasu przyjdą kolejne listy, wyobrażała sobie cały stos. Dopiero gdy radość z wiadomości od syna i morze ciepłych uczuć opadły, stanęła przed oknem i z zamkniętymi oczami uniosła twarz do światła. Nadal było wyraźnie widoczne przez cienką skórę jej powiek, migoczące czerwone światło. Chciała otworzyć się na coś, chciała się do czegoś przyznać. Zdała sobie sprawę, że stoi tutaj w swoim zielonym fartuchu Europris, prawdopodobnie kompletnie zaplamionym. Tej jesieni była tak zmęczona, że nie była w stanie zadbać o siebie. A co, gdyby syn zobaczył ją w takim stanie! Siedział w swojej celi, czysty i schludny, była tego pewna. Chciała go o to zapytać. Chciała odpi-

sać, chciała to zrobić natychmiast. Chciała wiedzieć, co jada, jak umeblowana jest jego cela, te dwanaście metrów kwadratowych. O czym śni w nocy, za czym tęskni, czego mu brakuje. Wiedziała, że za nią nie tęskni, nie przyszło jej do głowy, by o cokolwiek prosić lub czegokolwiek żądać. Dziękowała mu za każde słowo, każdą linijkę, każde wyznanie, ale ani przez chwilę nie uważała, że jej się to należy. Po raz pierwszy od lat poczuła między nimi połączenie, czynną linię. Wciąż stała w świetle przed oknem celi. Wdzięczność, którą czuła, była tak głęboka, że musiała otworzyć oczy na niebo na zewnątrz, mimo że światło ją raziło. Nie może teraz niczego zepsuć, pomyślała, musi trzymać tę nić między nimi napiętą, skradać się powoli do przodu i szeptać odpowiedzi.

*

Jego żona Elise często mówiła, że tylko małe dzieci mają takie oczy jak Sejer. Wszystkie dramaty życiowe, zwłaszcza te największe, zapisywały się w oczach jako kropki lub plamki, tęczęwki od nich pło-
wiały. On jednak zbliżał się do wieku emerytalnego i widział w życiu najgorsze, nawet więcej, a jego oczy zachowały czyste tęczęwki, nie-
naruszone przez choroby, przerażenie i zniszczenia czasu.

Patrzył teraz na Ragnę tymi właśnie czystymi oczami.

– Powiedziałaś, że ktoś włamał się do twojego domu. Obserwował cię, gdy spałaś, zostawił wiadomość z pogróżkami, pokazał, jak bardzo może się zbliżyć, jeśli chce, udowodnił, jak jesteś bezbronna. Co pomyślałaś, gdy wróciłaś do domu z komisariatu policji po zgłoszeniu incydentu?

Ragna po raz pierwszy przysłała na rozmowę bez swojego europri-
sowego fartucha, wykręciła się z niego jak wąż z wylinki i w ten spo-

sób zmieniała kolor. Miała na sobie sweter z luźnymi brzegami i kilka guzikami przy szyi; był czarny, co podkreślało jej bladość. Mimo wszystko była to zmiana na lepsze; wyglądała jak nowa. Zauważył błysk w jej oczach; przeczytała list od syna.

– Nic nie myślałam – odparła. – Wszystko w domu było nie-
tknięte. Nie przyszedł przecież kraść. Nie chodziło mu o nic warto-
ściowego, tylko o mnie.

Uśmiechnął się delikatnie.

– Nie uważa się pani za wartościową?

– Proszę się nie wygłupiać – zachnęła się.

Sejer zastanowił się chwilę nad czymś i zanotował swoje wnioski.

– Ale pan – dodała szybko – pan na pewno jest wartościowy.

– Zgadzam się – odrzekł spokojnie.

– Skąd pan to wie?

– Ludzie wokół mi to mówią. Moja rodzina. Współpracownicy. Trudno jest czuć się wartościowym, gdy siedzi się samotnie w ja-
skini.

Spojrzała na niego z czymś w rodzaju buntu w oczach.

– Chodzę do pracy – przypomniała mu. – Każdego dnia przeby-
wam z ludźmi. Klientami i współpracownikami.

Zrobił kolejną notatkę.

– Ale chwali się pani czasem?

– Nie mam czym – odrzekła ze smutkiem. – Żadnej urody. Żadnej
mądrości. Żadnego doświadczenia.

– A może... jest pani niedostępna? – zasugerował. – Nie daje pani
nic innym?

Była tak zaskoczona tym stwierdzeniem, że oniemiała.

– Nie jestem niedostępna – mruknęła. – Po prostu nie mam nic do dania.

– Ale odpiszesz synowi? – kontynuował.

– O tak, natychmiast, odpiszę. Napiszę tysiąc stron.

– Więc jednak masz coś, czym chciałabyś się pochwalić? Coś do rozdania tylko wybranym osobom?

Uśmiechnęła się nieco zawstydzona, ale humor jej się wyraźnie poprawił.

– Tak, kilku wybranym. Chyba mam prawo wyboru. Jak udało się panu sprawić, że zadzwonił? – zapytała. – Co mu pan powiedział?

– Głos to potężne narzędzie – stwierdził Sejer. – Pani go straciła. Dlatego ja wykorzystałem swój w maksymalnym stopniu.

– I nikt nie odważy się panu odmówić?

– Ależ oczywiście.

– Zawsze jest pan taki przyjazny. Czy kiedykolwiek sprawił pan, że ktoś poczuł się niekomfortowo?

– Ciągle to robię. Wprawianie ludzi w zakłopotanie jest częścią tej pracy.

– Proszę mi o tym opowiedzieć – poprosiła.

– Gdyby pani wiedziała, ile razy musiałem wzywać ludzi na przesłuchania w związku ze sprawą o morderstwo. Ile razy siedziałem przy tym stole i patrzyłem tej osobie w oczy, wiedząc, że może być całkowicie niewinna. A jednak muszę zadawać te wszystkie pytania. Gdzie byłeś, co robiłeś tamtej nocy? Następnie wypuszczam ich, oczywiście, jeśli widzę, że na nic mi się nie przydadzą, jednak są wściekli, żyją potem całe życie z tym oskarżeniem. Przesłuchiwani w związku ze sprawą o morderstwo. Takie podejrzenie musi wiązać się z dyskomfortem.

Przez długi czas panowała cisza, uśmiechali się do siebie. Frank był trzecią żywą istotą w pokoju, wprowadzał tu harmonię. Cisza mogła trwać i trwać, nie powodując dyskomfortu, ponieważ słyszeli jego oddech, a czasem niskie chrapnięcie, znak, że śni.

– Co pani pomyślała, kiedy przeczytała pani wszystkie wiadomości? – zapytał Sejer. – Co myślała pani o głosie, który za nimi stoi? Że nigdy go pani nie słyszała?

Obciągnęła sweter, był trochę za krótki.

– Myślałam o wielu rzeczach. Że nie chciał używać swojego głosu, bo mogłabym go rozpoznać, jeśli był znajomym z dawnych lat. Nie bez powodu nie groził mi przez telefon. Wyobrażałam sobie, że może w ogóle nie mieć głosu i dlatego wybrał mnie. Że jest niepełnosprawny i wyładowywał swoje rozgoryczenie na kimś podobnym.

Sejer szybko zanotował coś, jedno słowo, zacięła się. Była pełna radości po liście z Berlina, to dodało jej odwagi, dlatego pochyliła się do przodu, jakby zyskała nowe prawa.

– Co pan napisał? – chciała wiedzieć.

– Tylko słowo klucz.

– Ale co! – nalegała. – Proszę mi powiedzieć. Siedzi pan tu i pisze, dzień w dzień, a ja niczego się nie dowiaduję.

– Nie zrozumie pani tego... To taki sposób myślenia, technika skojarzeń. Dzięki temu przypominam sobie, o czym rozmawialiśmy.

– Proszę mi powiedzieć! – powtórzyła.

Poddał się i przesunął podkładkę po stole, pozwalając jej przeczytać jedno słowo: Żywica.

– Żywica? – Jej mina wyrażała zdumienie. – To dość dziwne.

– Przecież powiedziałem. To tylko technika zapamiętywania. Jest ich wiele i można się ich nauczyć.

– Więc robi pan to, aby zapamiętać naszą rozmowę?

Przytaknął.

– Ale żywica? Jak słowo żywica może sprawić, że cokolwiek sobie pan przypomni?

Sejer odłożył pióro i notes.

– Rozmawialiśmy o poczuciu wartości – wyjaśnił – uzyskiwanym poprzez bycie postrzeganym przez innych. To sprawiło, że pomyślałem o wielkich nieodkrytych wartościach. Przypomniałem sobie historię z Pretorii z tysiąc dziewięćset piątego roku.

Ragna lubiła, gdy mówił tym głębokim głosem, jakby była dzieckiem, a on opowiadał bajki.

– Pewien górnik spacerował późną nocą, niosąc ze sobą latarnię. Dla zabawy wszedł do jaskini. Na skalnej ścianie wewnątrz jaskini odkrył dużą, brudną, szarżółtą bryłę. Nie przypominała niczego innego, co zwykł znajdować podczas codziennych spacerów, wydawało mu się, że to żywica. A żywicy można użyć do różnych rzeczy. Próbował odciąć ją nożem, ale była zbyt twarda, więc musiał użyć kilofa. Okazało się, że jest to diament o masie trzech tysięcy karatów.

Oczy Ragny rozszerzyły się.

– Trzy tysiące karatów?

– Albo sześćset gramów, jeśli ma to dla pani większy sens.

– Diamenty wyglądają jak żywica?

– Tak, jeśli nie są oszlifowane.

– W takim razie miał dobre oko.

– Był ciekawy – odrzekł Sejer. – Wszedł do jaskini.

– Gdzie jest teraz ten diament? – dopytywała.

– Został podzielony i oszlifowany. Największy kamień znajduje się w klejnotach koronnych królowej Elżbiety.

– Tak, tak – westchnęła Ragna – nie jestem nieoszlifowanym diamentem. Nie potrzebuje pan też kilofa, by mnie uwolnić.

– To prawda, uwolniła się pani własnymi siłami. Ale ta historia mówi coś o przypadkowości życia. I że chowanie się w jaskini nie jest dobrym pomysłem. A bycie ciekawskim może się opłacić.

*

Drogi Rikardzie Josefie!

Nie mogę uwierzyć, że w końcu napisałeś! Prawdziwy list, taki długi. Po tych wszystkich latach krótkich pozdrowień drukowanych na gotowych kartkach. Nie zdajesz sobie sprawy, ile to znaczy. Mogłabym napisać tysiąc stron o tym, co teraz czuję, kiedy piszę, nie potrzebuję przecież głosu, staję się silna i odważna. Wtedy dobrze mnie słyszysz. Wreszcie mam w głowie nowy obraz Ciebie. Twój głos, teraz tak głęboki, i oddech, który słyszałam przez telefon, wyraźnie, jakbyś był w tym pomieszczeniu, jakbym mogła wyciągnąć rękę i dotknąć Twojej twarzy, pomogły uczynić ten obraz silnym i wyraźnym. Nie noszę Cię już w ramionach, nie pcham w wózku, ale teraz jesteś tak blisko mnie. Stałeś się dorosłym mężczyzną, widzę to w liście. Opowiadasz mi o księdzu, o Peterze i Helmucie, i robisz to z szacunkiem, co oznacza, że udało mi się nauczyć Cię ważnych rzeczy, że ludziom należy pozwolić żyć w spokoju i być tym, kim są. Chociaż jestem pewna, że są też takie rzeczy, z którymi sobie nie poradziłam.

Odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, prowadziłeś osobne życie, podobnie jak ja. Mówisz mi, że chciałeś być kimś, że pracowałeś nocami i studiowałeś, że chciałeś mnie zadowolić i sprawić, bym była dumna. Dlatego przesadziłeś i powiedziałeś, że jesteś kierownikiem hotelu Dormero. Byłam szczęśliwa, powiedziałam wszystkim w pracy, mojemu sąsiadowi Olafowi i sklepikarzowi po drugiej stronie ulicy, chwaliłam się Tobą. Ale nie powinieneś o tym myśleć. Byłabym tak samo dumna, gdybyś nadal był portierem w czerwonym mundurze. Jestem teraz taka szczęśliwa! Nawet jeśli jesteś na marginesie społeczeństwa, tak jak ja. Jakie ma znaczenie defraudacja, nie popełniłeś większego przestępstwa, to tylko przeniesienie kilku liczb z jednej do drugiej kolumny, co kogoś zirytowało i zdezorientowało. Poczuli się oszukani, ale nikogo przecież nie skrzywdziłeś, nikomu Twój czyn nie spędza snu z oczu. Tobie też nie powinien, ani mnie. Możesz łatwo odpokutować za to, o tym przestępstwie wszyscy zapomną, jest nieistotne. Ale ja będę musiała pokutować do końca życia, do ostatniego uderzenia serca. Tego, co zrobiłam, nikt nie będzie w stanie zapomnieć, całe pokolenia będą o tym mówić.

Tak, powiedziałam wszystkim, że jesteś kierownikiem hotelu. Larsowi i Gunnhild w pracy i każdemu, kto chciał słuchać. Wszyscy mówią o swoich dzieciach, o tym, jakie są dobre, gdzie pracują, gdzie się uczą i ile zarabiają. Chciałam się Tobą pochwalić, przedstawić Cię w dobrym świetle. W moim świecie nadal jesteś szefem i nadal jestem z Ciebie dumna. Nigdy nie powinieneś myśleć inaczej.

Nie prowadziłam z małpą. W ogóle nie prowadzę samochodu, nigdy nie trzymałam kierownicy. Codziennie jeżdżę autobusem do pracy, mam tam swoje stałe miejsce na trzecim siedzeniu po lewej stronie, ale poza tym nie mieszkam zbyt wielu interakcji z ludźmi.

Wiesz, jaka jestem. To, co się teraz stało, jest o wiele gorsze niż jazda pod wpływem. Opowiem Ci później, kiedy zbiorę się na odwagę. Nie możesz martwić się o mnie, tam w więzieniu w Berlinie, ja sobie poradzę.

Wszyscy tutaj dobrze się mną opiekują, zwłaszcza inspektor, jak go nazywasz. Nie wykonuje żadnych wielkich gestów, a kiedy siedzimy naprzeciwko siebie, jego dłonie są zawsze nieruchome, duże i ciężkie. Nigdy się też nie złości. Nie przebywam tu z innymi i dobrze mi z tym, lepiej mi się myśli w samotności, a mam sporo do przemyślenia. Ty pewnie też, a może już wszystko przemyślałeś i po prostu chcesz odbyć karę, a potem wyjść z podniesioną głową? Co sądzisz o pracownikach więzienia, lubisz ich? Czy spotykasz się z życzliwością i szacunkiem? Tutaj są w porządku, nigdy nie przekraczają żadnych granic, nie są niegrzeczni ani protekcyjalni. Kiedy stoją w celi, poświęcają mi swoją życzliwą uwagę, ale zauważyłam też, że kiedy drzwi się zatraskują, opuszczam ich umysł jako coś nieistotnego. Zdmuchują mnie jak płonąca świeczkę i idą do celi obok, jest nas wielu. Ale jest wyjątek. Nazywa się Adde, ma ślepe, szklane oko, tak mówimy, chociaż może jest zrobione z plastiku lub akrylu, nie wiem. Często siedzę i patrzę na to konkretne oko, które mnie nie widzi. Dla mnie jest piękniejsze niż żywe, większe, o wyraźniejszym kolorze, z cienkimi jak brzytwa czerwonymi żyłkami w białku, wyglądają na ręcznie malowane. Czasami fantazjuję, że to właśnie tym okiem mnie widzi, a drugie jest ślepe.

Nie ma w moim życiu mężczyzny, Rikardzie. Po Twoim wyjeździe do Berlina, po śmierci mamy i taty żyłam sama i chciałam żyć sama. Jestem jednak trochę zakochana, poznałam go niedawno, ma na imię William i pochodzi z Mayfair w Londynie. Ale prawdopodobnie

nigdy nic między nami nie będzie, bo teraz siedzę tutaj. Nie pytaj mnie więcej o Williama, bo się wkurzę.

Być może słyszałeś mój szept przez telefon i zastanawiałeś się nad tym. Pewnie wiesz, że w takich wypadkach można mówić, korzystając z technologii, zniekształconym, mechanicznym głosem. Taki głos przeraża małe dzieci, może prześladować je nocami, także w snach. Inni uczą się techniki połykania powietrza, a następnie wydalania go z powrotem i przekształcania dźwięku w słowa. Nie chcę tak mówić. Nawet jeśli lekarze by mi to umożliwili. Nigdy nie byłam piękna i nie chcę pogarszać tego obrazu jeszcze brzydszym głosem. Gdy mówisz w ten sposób, używając połkniętego powietrza lub generatora mowy, ludzie cofają się z przerażeniem. Ale gdy mówisz szepcem, podchodzą bliżej, żeby usłyszeć. Pisałam o Addem. Tak więc widzi mnie tylko jednym okiem, ale widzi. Nie wiem, czy mi się to podoba. Nie wiem, co widzi ani co myśli, nic o tym nie mówi. Ale widzę, że wyciąga wnioski, mimo że w ogóle mnie nie zna. Mogę z całą pewnością powiedzieć, że zdołam go zaskoczyć.

Mówisz, że odsiadujesz wyrok w dużym więzieniu z prawie sześciuset więźniami. Wiem, że Stasi miało wiele więzień w Berlinie, czy jesteś w jednym z nich? Musisz mi opowiedzieć wszystko o swoich dniach i nocach. Napisz mi, co jesz, napisz mi o Peterze i księdzu. Musisz być dla nich miły. Bądź miły i życz im dobrze, może odnajdą się nawzajem. Wiem, że jesteś miły, Rikardzie. List, który napisałeś, leży bezpiecznie w mojej szufladzie. Często podchodzę i tam zaglądam, żeby się upewnić, że wciąż tam jest. Czasem trzymam kopertę pod światło, widzę przez nią litery. Będę strzegła Twoich słów jak skarbu i zabiorę je ze sobą wszędzie. Nie żebym się gdzieś wybierała w najbliższym czasie, minie jeszcze wiele lat, zanim będę mogła

chodząc po ulicach lub wsiąść do autobusu, ale Twoje słowa będą towarzyszyć mi we śnie. Odtąd będziemy myśleć o sobie każdego dnia, o poranku i wieczorem. A, mój drogi, mam tylko osiem metrów kwadratowych, ale czego człowiek potrzebuje więcej? Biurka, łóżka i okna, przez które w dobre dni wpada światło słoneczne. Cela zapewnia mi bezpieczeństwo. Wiem, z czym muszę się zmierzyć. Nie da się zgubić na ośmiu metrach kwadratowych, oczywiście nie da się też ukryć. Teraz siedzę w świetle, tak jak ty. Napisz mi, co widzisz przez okno swojej celi. Jeśli widzisz kawałek nieba, pamiętaj, że ja odsiaduję wyrok pod tym samym.

Całusy

Twoja mama

*

Gunnhild nie miała litości, gdy Lars nagle i niespodziewanie zaproponował wieczór w Kongens Våpen.

– W sobotę o szóstej? Tylko nasza czwórka. Zarezerwuję stolik.

Audun uśmiechnął się uprzejmie, Ragna odwróciła wzrok.

– To twoje urodziny – przypomniała Gunnhild.

Tak, Lars musiał to przyznać. Skończył czterdzieści lat, a świętowanie z rodziną przy czerwonym winie, przemówieniach i tapas nie było tym, czego pragnął.

– Zapłacę za wszystkich – zapewnił szybko. – Za rybę z frytkami.

W sobotę sklep zamykano o szóstej, więc mogli się spotkać o siódmej. Pub Kongens Våpen po południowej stronie rzeki był bardzo uczęszczany, zapełniał się co wieczór i cieszył się dobrą reputacją, nigdy nie było tam żadnych kłopotów, bójek czy upijania się na umór. Nigdy nie zatrudnili ochroniarza, nie było takiej potrzeby, ni-

gdy nawet nie była tam wzywana policja. Lars poprosił o cichy kącik, zapewnił, rzucając szybkie spojrzenie na Ragnę. Uśmiechnęła się, nie patrząc na niego, dostosowanie, zawsze musieli się do niej dostosowywać. Była utrudnieniem. Z łatwością mogła sobie wyobrazić poziom hałasu w pubie w sobotni wieczór, prawdopodobnie z meczem piłki nożnej na dużym ekranie, to było tego rodzaju miejsce. Nie miała szans. Więc odmówiła.

– Tak! – powiedział stanowczo Lars.

– Nie!

– Tak! – upomniała Gunnhild.

Audun nic nie powiedział. Zgodził się krótkim skinieniem głowy, ale Ragna nie wiedziała, co zrobić. Na zewnątrz nie było jej słychać, w pubie puszczali muzykę, może irlandzkie piosenki pijackie. Ale gdyby powiedziała „nie”, też by się wystawiła. Odmowa podsyciłaby niepokój kolegów, a tego nie chciała. Mogła się zgodzić i pokręcić w pobliżu przez jakiś czas, a potem zmyć się szybko. Zaakceptują to.

W drodze na południową stronę rzeki prowadziła ze sobą długie monologi, wymyślała, co powie podczas wieczoru. Rzuci sporadyczny komentarz w tych momentach, kiedy łatwo będzie przyciągnąć ich uwagę. Oczywiście, z Rikardem Josefem wszystko w porządku. Ma dużo roboty w hotelu, tuż przed świętami. Nie, nie przyjedzie do domu, to po prostu niemożliwe, zajmuje wysokie stanowisko, wiążące się z dużą odpowiedzialnością. Czy ma dziewczynę? Czy będą jakieś wnuki? Nic mi o tym nie wiadomo.

I wpatrzy się nieśmiało w stół.

Prawdopodobnie nie ma czasu na takie rzeczy, spędza wieczory, ślęcząc nad księgowością i płacami, kontaktując się z wysoko posta-

wionymi osobami.

Tak właśnie powie, słowa padną, lekkie jak śnieg, bo tego wieczoru padał śnieg, duże, piękne płatki. Zorganizowała też prezent dla Larsa, wstąpiła do centrum handlowego i kupiła mu książkę Tysiąc przysłów i powiedzonek. Na stronie tytułowej napisała dedykację. MASZ GŁOS. OTO SŁOWA.

Obawiała się tego przez cały dzień. Chodziła w kółko, wzdychając jak męczennica przed wielką próbą. Wszystko, przez co musiała przejść, martwiło ją, próbowała przyjąć to z uśmiechem, ale nie mogła, czy jej głowa nie była trochę gorąca, czy jej mózg znów się topił, czy wypłynie i znów straci to, co w nim miała? Czy ktoś włamie się do domu pod jej nieobecność? Nawet gdyby zamknęła i zaryglowała drzwi, jej prześladowca znalazłby gdzieś otwór, szparę lub szczelinę, przez którą mógłby wnikać do środka niczym trujący gaz. Policja się nie odezwała. Sama też do nich nie dzwoniła, jej zgłoszenie zostało oczywiście pozostawione na półce wraz z wiadomością z pogrozkami, mieli mnóstwo innych rzeczy, ważniejszych rzeczy. Chciały im coś takiego dać. Coś spektakularnego, coś, czego nigdy wcześniej nie widzieli, ale przecież ona nie była spektakularna.

Gunnhild wyszła po nią na przystanek tuż za mostem i powitała jak bliską przyjaciółkę, choć nią nie była. Ragna i tak poczuła się poruszona. Duże płatki śniegu osiadły na jej ramionach; nie strzepnęła ich, pozwoliła im tam leżeć, a później wtopić się w płaszcz. Wyobrażała sobie, że kryształki śniegu działają jak ozdoba lub brokat na tle czarnego materiału, a ona potrzebowała ozdoby. Lubiła ciszę, która zapadała, gdy padał śnieg, gęstą, otulającą i przytulną. Lepiej wtedy słyszała i sama była lepiej słyszana.

– Nigdy nie jadłam ryby z frytkami – wyznała do ucha Gunnhild.

– Jest dobra – zapewniła koleżanka. – Szef kuchni w Kongens Våpen jest Anglikiem, więc wie, jak ją przyrzadzić.

Gunnhild chwyciła ją za ramię i pociągnęła za sobą. Ragna nigdy nie była tak blisko koleżanki. Nigdy nie czuła jej ciała w ten sposób, szły ramię w ramię, blisko siebie, ulicami, mijając stare drewniane budynki po południowej stronie, niskie, krzywe domy, nie wszystkie były dobrze utrzymane, ale nie traciły przez to na uroku. Ragna wiedziała, że tutaj mieszka Irfan, było tu taniej niż po drugiej stronie rzeki. Pamiętała, że jego nowy sklep również znajduje się w pobliżu, ten, który otworzył ze swoim kuzynem, po tym, jak urząd skarbowy zorientował się, że w jego księgach nie wszystko się zgadza. Teraz musieli tego pilnować we dwóch. Przechodząc przez dzielnicę, w której bywała rzadko, może nigdy, zrozumiała jego wybór. Tutaj mieszkali sami imigranci, przecież to głównie oni chcieli robić zakupy u Irfana. Tęskniła za świeżymi plackami, które parowały wewnątrz torby, i za ostrymi sosami w słoikach. Gunnhild trzymała ją, jakby była za nią odpowiedzialna. Ragna chciała jej ulec i dać się poprowadzić jak dziecko, ale jednocześnie się martwiła. Mogę przecież chodzić, pomyślała, widzę, słyszę. Potem znów tego pożałowała i uśmiechnęła się uprzejmie, strzepnęła trochę kłaczków z ramienia Gunnhild, pomyślała o tym jak o pieszczocie, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz obdarzyła kogoś taką czułością. Dlaczego nie skorzystała z okazji, by obdarzyć nią Williama z Londynu, położyć dłoń na jego ramieniu, kiedy stali blisko siebie na deptaku? Miała przecież okazję.

Pub znajdował się w rogu jednego ze starych i pięknych placów, hałas docierał do nich z daleka, zwykły, falujący pomruk głosów, wznoszący się i opadający, czasem kulminujący w gwałtownych ry-

kach. Ragna nagle zapragnęła się odwrócić i uciec. Gunnhild wyczuła jej opór, szarpnięcie za ramię, jej uścisk się zacieśnił.

– Może nie będzie dziś meczu – powiedziała zachęcająco.

– Zawsze jest jakiś mecz – odparła Ragna – słyhać, że to piłka nożna. Nie bądź głupia.

– To trwa tylko dziewięćdziesiąt minut. Usiądę obok ciebie – obiecała Gunnhild. – Nie musisz też nic mówić, nie musisz paplać jak nąjęta, w sobotni wieczór w pubie jest mnóstwo głośnych ludzi. Możesz słuchać i patrzeć, a i tak coś zyskasz, co zabierzesz ze sobą do domu, jakieś doświadczenie. Niektórzy z nas mogliby się nauczyć co nieco, jeśli chodzi o trzymanie języka za zębami.

– Ale nigdy nie dostaniesz moich myśli – rzuciła Ragna, a potem obie się roześmiały.

Naprawdę znaleźli cichy kąt.

Stolik w głębi pomieszczenia, z dwiema kanapami naprzeciwko siebie, tworzącymi łożę, i rustykalny stół z nacięciami i napisami, niektóre litery można było odcyfrować, A, R i K, a nawet „kocham cię”, nikt nie próbował szlifować stołu ani go lakierować. Ragna usiadła pod ścianą, stamtąd mogła widzieć całą salę, na dużym ekranie, gdzie transmitowali mecz, tak jak przewidziała, migwały czerwone i żółte stroje, jasnozielona trawa z białymi kredowymi paskami. Za każdym razem, gdy jedna z drużyn zdobywała bramkę, słyszeli podniekcytowany ryk pozostałych gości, roznoszący się niczym fale na plaży. Przez cały czas trwania meczu nie grała żadna muzyka, Ragna czuła się zaskakująco dobrze, wysokie oparcia stanowiły barierę dla hałasu. Siedzieli tylko we czwórkę, Lars i Gunnhild, Audun i ona, a ich twarze łagodniały w blasku świec. Panował półmrok, było przy-

jemnie i ciepło, odważyła się wyjść. Pochylała się, cofała, robiła kilka krótkich przerw, patrząc na każdego z nich uważnie, tak jak oni obserwowali ją, pamiętali, że ich potrzebuje, bardziej niż oni jej. Znają mnie, pomyślała, słuchają i czytają z ruchu warg, czekają cierpliwie, aż starannie sformułuję słowa, kiwają głowami, gdy zrozumieją, proszą, bym powtórzyła, jakbym była ważna. A ryba była dobra, gorąca i biała, w złocistej skórce, z gęstą, domową remuladą, grubymi kostkami ziemniaków posypanymi dużymi kryształkami soli. Jadła łapczywie, nasyciła się, miała tłuszcz wokół ust, piła zimne piwo. Nieźle, pomyślała, nigdy wcześniej tak nie siedzieliśmy.

Gunnhild podarowała Larsowi koszulkę z nadrukiem. Zamówiła ją przez Internet, na piersi widniało jego zdjęcie na ogromnym wózku widłowym, a pod nim napisano wielkimi literami: Lars jest najlepszy. Audun siedział, ściskając białą kopertę, jakby nie chciał jej oddać, ale w końcu pchnął ją przez stół, a Lars otworzył. Był to kupon upominkowy od Pauls Tattoo, gdzie mógł ozdobić swoje ciało tak, jak chciał. Posypały się dobre propozycje.

Audun cicho wskazał, że może również zdecydować się na piercing, jeśli woli.

- Kółko w nosie - szepnęła nieśmiało Ragna. - Bo z ciebie niezły byczek.

Lars obiecał, że pójdzie do tatuażysty. Miał się dobrze zastanowić nad wyborem, bo taka zmiana jest na całe życie. Gunnhild powiedziała mu, że widziała kiedyś film dokumentalny o nosicielach wirusa HIV w Los Angeles. Pewna kobieta zrobiła sobie duży tatuaż na klatce piersiowej: „Jestem nosicielką wirusa HIV”. W ten sposób była w stanie powiedzieć o tym bez jąkania się.

Wzniesli za to toast.

W końcu Lars otworzył książkę od Ragny i losowo przeczytał kilka przysłów i cytatów dramatycznym głosem.

„Najtrudniej jest w nocy – powiedział niewidomy – ponieważ jest tak ciemno”.

Ragna trzymała pokal obiema rękami. Piła od czasu do czasu, śmiała się, gdy inni się śmiali, zwracała uwagę na wszystko. Obserwowała innych gości na sali, zastanawiając się, jaki dom opuścili i co czeka ich po powrocie. Tak, w nocy było najtrudniej. W ciemności nigdy nie można było być niczego pewnym, rządził słuch, węch, ale przede wszystkim strach i zdradzieckie fantazje. Niezależnie od tego, czy ktoś widział, czy nie.

– Ten, kto mówi źle o kimkolwiek, połknie własny język – zacytował Lars. – Czy ty mówisz o mnie źle, Ragna? – Mrugnął do niej przez stół. – Cóż – dodał – możesz mówić, co chcesz. I tak nikt cię nie usłyszy.

Próbowała uznać ten tekst za wyzwalamąco bezczelny, tak jak robiła to, gdy Lars się z nią droczył, tylko on ośmielał się zwrócić uwagę na to, co oczywiste. Ale gdzieś, być może w jej głowie lub w jednym z ciemnych zakamarków sali, rozbrzmiał dzwonek czegoś znajomego.

Przez chwilę siedziała w ciszy i przyglądała się okazom starej broni. Nie była pewna, czy rzeczywiście kiedykolwiek należały do króla, jak sugerowała nazwa lokalu. Ale wyglądały na prawdziwe, być może rzeczywiście brały udział w wojnie, może nawet w wielu wojnach. Może na drewnie i zardzewiałym żelazie zostały ślady krwi. Czy ktoś używał tego miecza, tego noża, tego topora? Czy głowy się potoczyły, czy kończyny zostały odrąbane? Niedaleko ich stolika wisiał groźny topór. Trzonek był niezwykle długi, a ostrze obosieczne.

To chyba topór katowski, pomyślała. Chciałaby mieć taki, może pod łóżkiem. Chociaż nie byłaby w stanie go podnieść. Zastanawiała się, ile siły potrzeba, by oddzielić głowę od ciała. Niewątpliwie dużo. I dużo woli i determinacji.

Wtedy zdała sobie sprawę, że inni o niej zapomnieli. Milczała przez kilka minut, pogrążona we własnych myślach. Zapomnieli o niej, już się nie odzywała i nie patrzyła na nich błagalnym wzrokiem, zobacz mnie i usłysz! Zresztą nie było już możliwe usłyszenie jej przez coraz większy hałas. Ponieważ mecz się skończył i ktoś włączył muzykę, odurzenie rosło, zebrani wrzeszczeli. Wiedziała, że tak to się skończy. Czowała, że nie wytrzyma zbyt długo, bała się momentu, w którym będzie musiała podnieść rękę i powiedzieć: „Ja już wracam do domu”. Przede wszystkim bała się wstydu, który będzie widoczny w oczach innych, ponieważ o niej zapomnieli. Jakby w ogóle byli jej coś winni. Na wózku inwalidzkim byłoby łatwiej, pomyślała, walczyliby o możliwość wożenia jej. Popychanie kogoś do przodu, wymagające po prostu pracy mięśni, tak, to było godne zajęcie.

Gunnhild wyszła za nią na ulicę. Stały blisko siebie w zaspie i czekały na taksówkę.

– Tak, tak – powiedziała w końcu Gunnhild, odwracając twarz. – Takie jest życie. Zrobiło się dużo hałasu, wiesz, jak to jest, gdy ludzie piją. Czy wiesz, że alkohol we krwi pogarsza słuch?

Spojrzała na Ragnę, pochodnie przed wejściem rzucały migotliwe światło na jej twarz.

– Ale coś ci zostało po tym spotkaniu, coś, co możesz zabrać ze sobą do domu, prawda? Zawsze dobrze jest wrócić do domu – do-

dała – kiedy się było poza nim. Niezależnie od tego, czy ktoś czeka, czy nie.

Jej usta drgnęły, zamrugała, jakby tęskniła za czymś odległym, nieosiągalnym, utraconym. Ragna zdała sobie z czegoś sprawę: uznała za oczywiste, że Gunnhild świetnie się bawi, że zawsze świetnie się bawiła, że niczego jej nie brakuje i nie czuje się inna ani pominięta. Że w domu czekają ją na pewno same wspaniałe i dobre rzeczy. Co tak naprawdę wiedziała o Gunnhild? Znała tylko jedną jej stronę, którą widziała w sklepie, wydajną i energiczną. Teraz wypatrywała samochodu w ciemności. Mimo że dopiero co zadzwoniły i mógł być jeszcze daleko, wydawała się zniecierpliwiona. Hałas z wnętrza był odległy, wypuścił je na chwilę, ale sporadyczne wybuchy śmiechu docierały tam, gdzie one stały, zwłaszcza gdy ktoś wychodził na papierosa. Ragna ścisnęła ramię Gunnhild i oparła się o nią.

– Wracasz do środka, prawda? – szepnęła.

Były teraz tylko we dwie, razem w ciemności i śniegu, nikt ich nie słyszał.

– Trzeba grać w tę grę – odpowiedziała Gunnhild. – Nie mam wymówki. Ciebie nikt nie pyta, dlaczego chcesz wcześniej wrócić do domu. Mnie by nie puścili bez wyjaśnienia.

Gunnhild wypięła kilka piw, była bardziej otwarta niż zwykle.

Do Ragny dotarło wiele nieprzyjemnych rzeczy. A jeśli Gunnhild naprawdę była głęboko nieszczęśliwa, a jeśli mąż już jej nie kochał, a jeśli cierpiała na jakąś nieuleczalną i bolesną chorobę, której nie było widać na zewnątrz, stwardnienie rozsiane, artretyzm lub coś innego, trudnego do zniesienia? Jestem tak zajęta trzymaniem ludzi na dystans, pomyślała, że ich nie dostrzegam.

– Musisz sama zdecydować – szepnęła. – Może wolisz wrócić do domu?

– Są pewne zasady, których należy przestrzegać – odparła Gunnhild. – To gra. Ja mam swoje pionki, a ty swoje. Została nam jedna runda.

Nie powiedziała już nic więcej. Odwróciła się i podziwiała stare zabudowania, jakby nagle stały się niezwykle interesujące, jakby nigdy wcześniej ich nie widziała. Kiedy zza zakrętu wyłoniła się takśówka i zaraz stanęła, Gunnhild otworzyła drzwi, pomogła Ragnie usiąść na miejscu, wepchnęła płaszcz do środka, żeby się nie zaczepił, spojrzała władczo na kierowcę i powiedziała: Kirkelina siedem. Ragna nie musiała już nic mówić. Długo patrzyła na Gunnhild przez szybę, na machającą białą dłoń. Śledziła wzrokiem koleżankę, która wracała właśnie do środka. Miała nadzieję, że to Irfan po nią przyjedzie, ale za kierownicą siedział starszy mężczyzna w czerwonym turbanie. W głowie jej szumiało od nadmiaru piwa. Moje pionki, powiedziała Gunnhild. I twoje. Gra między ludźmi, zasady. Bycie wewnątrz. Albo na zewnątrz. Wciąż mocno padał śnieg. Śnieg jej sprzyjał. Gdyby ktoś przeszedł czterdzieści osiem kroków do jej drzwi, gdy była w Kongens Våpen, zobaczyłaby ślady. Miała ochotę pochylić się między siedzeniami i zapytać kierowcę w czerwonym turbanie, który mógł pochodzić z Indii, dlaczego dobrowolnie opuścił krainę pełną słońca, ciepła, piękna i egzotyki, by zamieszkać w tym zimnym mieście. Mogłaby mu powiedzieć, że chciałyby mieć taki turban, takie piękne, bordowe nakrycie głowy. Miała takie brzydkie włosy, podczas gdy Hindus pewnie ukrywał pod turbanem długą, czarną czuprynę, choć wcale nie powinien. Ale nic nie powiedziała.

Coś małego połaskotało ją w policzek. To nie mogła być mucha, była przecież zima. Ściągnęła rękawiczkę i zbadała twarz dłonią.

Może jakieś małe zwierzę zamieszkało pod jej skórą, na przykład pchła piaskowa. Zakopała się głębiej i zainfekowała ją, powodując otwartą, ropiejącą ranę. Hindus z przodu mówił coś do niej, ale nie słuchała. Gdyby odpowiedziała, on też by jej nie usłyszał. Równie dobrze mogła trzymać gębę na kłódkę. Wyobraziła sobie, że mówi coś pięknego o padającym śniegu.

Nie przeszedł tędy przed nią nawet kot. Tylko ona zostawiła ślady, a kiedy się odwróciła i zobaczyła odciski butów, poczuła się znów widoczna, po godzinach spędzonych w pubie, gdzie została przeoczona i zapomniana. Jej ślady, z charakterystycznym zygzakowatym wzorem podeszew, wyraźne w świetle ulicznej latarni. Było w nich coś wyjątkowego. Każdy, kto by ją śledził, zauważyłby to. Później rozpoznalby ślady wszędzie, znalazłby ją wszędzie. Śnieg nie był już po jej stronie. Padał cicho i był piękny, ale zdradziłby ją.

To tylko pchła piaskowa, pomyślała, gdy później usiadła na fotelu pod lampą, a coś małego wciąż łaskotało ją w policzek. Czowała się tak, jakby ktoś głąskał ją piórkiem; tylko po prawej stronie. Uświadomiła sobie, że odczuwa też w tym miejscu ciepło. Wypiła piwo, więc trochę kręciło jej się w głowie, ale to coś należało dokładniej zbadać. Nie była to pieszczota, tylko niepokojące i dziwne drażnienie. Poszła do łazienki. Stała przed lustrem i pochyliła się, mimo że Walther Eriksson kazał jej uważać i nie patrzeć na siebie krytycznym wzrokiem. Spojrzała na siebie teraz, z twarzą opartą o szkło, i natychmiast zauważyła coś, czego wcześniej nie było. Wyglądało jak mały biały robak. Miał się zaraz wyczołgać przez jej skórę. Cofnęła się

z przerażeniem i natychmiast znów pochyliła do przodu. To nie pełzało, w ogóle się nie ruszało, zdała sobie sprawę, że wcale nie jest żywe, to tylko jakaś nitka. Ledwo udało jej się ją chwycić kciukiem i palcem wskazującym. Była biała i gładka jak kluska, wyślizgiwała się raz za razem, ale Ragna nie poddawała się, próbowała dalej. W końcu chwyciła ją paznokciami i z szeroko otwartymi oczami zaczęła delikatnie ciągnąć. Na początku dziura była nie większa niż główka zapalki, ale w miarę jak ciągnęła, stawała się coraz większa. Nie mogła przerwać tej czynności, była całkowicie pochłonięta tym, co widziała w lustrze, nie zdając sobie już sprawy z otaczającej ją przestrzeni, była tylko ona i biała nić. Dziura powoli się rozszerzała, była już tak duża jak ziarno kukurydzy, jak winogrono, jak śliwka, nić stawała się coraz dłuższa, bez końca. Oczywiście musiała kontynuować tak długo, aż cała nić się skończy, może do północy albo nawet do rana. Nić w końcu zaczęła się zwijać, zdała sobie sprawę, że przypomina włóczkę. Jej mama często robiła na drutach nowe ubrania ze starych, więc Ragna zajmowała się pruciem. Jej twarz zaczynała znikać jak spruty sweter. Widziała czerwone mięśnie. Widziała też białe ścięgna i rzadkie warstwy żółtego tłuszczu. Po prostu rozpadała się. Na dnie zlewu długa biała nić leżała jak wielkie gniazdo. Jeśli będę ciągnąć dalej, pomyślała Ragna, dotrę do kości, a w końcu zostanie tylko szkielet. Co da ratowanie szczątków, nawet Rikard Josef zniknął, czy jest ktoś poza mną, kto o nim myśli? Czy on w ogóle istnieje?

Opuściła ręce. Nie było już nici. Dziura zrobiła się tak duża, że mogła wbić w nią całą pięść.

Leżała w łóżku jak trup. Nie wzięła tabletek nasennych, nie zgasiła światła ani nie otworzyła okna. Do rana leżała, wpatrując się

w sufit. Widziała każdą najmniejszą szczelinę w starym drewnie i ślady odchodów much, nigdy nie zadała sobie trudu, by je zmyć. Wstała o wpół do szóstej, zdała sobie sprawę, że jest niedziela. Wiele osób się z tego cieszyło, może Irfan, Soi albo Olaf. Ona sama uważała niedziele za martwe dni, były jak brudny pokój z jaskrawym oświetleniem. Wszystko działało się tak wolno, zarówno na zewnątrz, na drodze, jak i wewnątrz jej ciała. Na Kirkelinie ruch uliczny był znikomy, ludzie wychodzili z innymi zamiarami niż zwykle. Znalazła swoje ubrania w łazience, ale unikała lustra, nie mając odwagi sprawdzić, czy wielka dziura wciąż tam jest, czy kość lśni bielą w czerwieni. To, czego nie widzę, nie istnieje, pomyślała i ponownie wymknęła się z łazienki. Kiedy weszła do salonu, stwierdziła, że okna są dość brudne, a światło w pokoju szare. Wcześniej tego nie zauważyła. Spojrzała na drogę, nikt tam nie stał i się nie gapił. Podeszła do okna w kuchni, spojrzała na iglicę kościoła, w domu Soi było ciemno. Wyobraziła sobie śpiące ciała zwinięte jak szczeniaki. Nadal nie odważyła się dotknąć policzka, ale miała nadzieję, że dziura zagoiła się w nocy. Nieśmiało wykonała kilka niepewnych grymasów, wyobrażając sobie, że poczuje, jeśli jest nadal otwarta. Nic nie poczuła. Jest adwent, uświadomiła sobie. Nie zapaliła fioletowych świec ze sklepu, były w szufladzie. Zastanawiała się, kto wprowadził się do mieszkania przy Landsberger Allé. Ludzie nie znikają tak po prostu, nie rozumiała tego.

Postanowiła przejść się Kirkeliną. Rzadko to robiła, ale całą tę noc leżała przy zamkniętym oknie i potrzebowała powietrza. Może Olaf wyjdzie z Dolly, miała taką nadzieję. Gdy stanęła u podnóża schodów i już miała wyjść na śnieg, ogarnęła ją niepewność. Ile kroków było

dziś do drogi, czy uda jej się przejść bez liczenia? W jej systemie ważne było mierzenie odległości do skrzynki na listy, musiała zbadać przestrzeń i potwierdzić jej dokładną wielkość. Nie była w stanie przełamać tego schematu. Zrobiła kilka chwiejnych kroków. Cholerny licznik natychmiast zaczął tykać, a po dziesięciu krokach odwróciła się i zrobiła cztery kroki do tyłu. Potem osiem kroków do przodu i pięć do tyłu, a następnie trzynaście do przodu i trzy do tyłu. Kiedy całkowicie straciła rachubę, przyspieszyła, do drogi było już tylko kilka metrów. Przechytrzyła swój wewnętrzny system. Triumfalnie obejrzała się za siebie, śnieg był stratowany, jakby horda ludzi bawiła się na jej podjeździe.

Ruszyła w stronę kościoła, z rękami głęboko w kieszeniach płaszcza, nie spotkała nikogo. Od czasu do czasu przejeżdżały samochody, nawet one poruszały się wolniej niż zwykle, w końcu w niedzielę nie ma pośpiechu. Zimne powietrze muskało jej twarz, czy nie było jej szczególnie zimno w prawy policzek? Chyba dziura jednak się nie zagoiła, bo czuła zimno aż w kościach. Mocno tupnęła nogami o śnieg, chcąc odcisnąć swoje piętno. Oczywiście, że zimno przeniknęło do kości, nie miała tłuszczu na ciele, po prostu zimny wiatr wiał z prawej strony, rzeka płynęła dalej w dole, śnieg sięgał aż do Kirkeliny. Podjechała taksówka, lampa na dachu świeciła, może to był Irfan. Sklep pewnie był dziś zamknięty, miał nadzieję na przejazd z niedzielną taryfą. Ale to nie był Irfan, kierowca spojrział na nią uważnie, gdy przejeżdżał, jakby miał nadzieję, że machnie na niego.

Przyspieszyła kroku. Wzdrygnęła się, bo zaczęło jej się robić naprawdę zimno, ale podobało jej się też to szusowanie szybko w górę kompletnie opustoszałej ulicy. Po chwili podniosła głowę i rozejrzała

się. Pomyśleć, że przeszła tak daleko, czas stanął w miejscu, nie było tykania ani na zewnątrz, ani wewnątrz niej.

Przy kuchennym stole wypija herbatę z wielkiego kubka z dwoma uchwytyami. Okno tutaj również było brudne, pokryte szarą warstwą kurzu. Nie byłoby łatwo umyć je teraz, w czasie mrozu. Nie pamiętała, żeby było takie wczoraj, ale tak jest ze wszystkim, co dzieje się powoli, pomyślała, jak podział komórek w ciele, też nie były takie same jak wcześniej. Czy w ogóle coś się tam działo, zastanawiała się, czy może jej organy się wyłączały? Jeden po drugim, aż cała biochemiczna fabryka stanie się zimna i opustoszała? Nachyliła się do okna i zauważyła plamę, której początkowo nie rozpoznała. Zobaczyła małe piórko wibrujące na wietrze. Ptak wbił się w szybę, być może leżał martwy w śniegu pod oknem. Wstała, poluzowała stare zatrzaśki, otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz. Ale nie zobaczyła martwego ptaka. Może został zjedzony przez kota, a może jednak nie zginął i poleciał dalej. Zamknęła brudne okno, podeszła do biurka, włączyła komputer, usiadła i wpatrywała się w świecący ekran. Weszła na YouTube i znalazła The Jumper. Zanim włączyła film, coś przyszło jej do głowy. Młody mężczyzna, który skoczył z budynku, a potem wstał i zniknął z obrazu, wydawał się dziwnie znajomy. Widziała go wcześniej, nie tylko widziała, czuła się, jakby go znała albo znała go kiedyś dawno temu, bo jakieś struny w jej wnętrzu poruszały się za każdym razem, gdy patrzyła mu w oczy. To była oczywiście niedorzeczna myśl, wideo nie było norweskie, a ona nie znała żadnych młodych mężczyzn poza Audunem. W niczym nie przypominał Auduna. Filmik trwał minutę. Ale te sześćdziesiąt sekund zawsze wydawało się długie. Stał na dachu budynku, kilka kroków od krawędzi.

Był szczupły i ubrany w ciemny strój. Rozpięta czarna marynarka sięgała mu do bioder. Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, przygotowując się do wielkiego upadku, po czym wyszedł na krawędź. Nie było słycać żadnego dźwięku. Żadnej muzyki, żadnego ruchu z ulicy poniżej, żadnych wrzasków. Może dlatego obrazy wywarły tak silne wrażenie, że wszystko było tak ciche, że wszystko się zatrzymało, że wszyscy wstrzymali oddech, tak jak ona. Potem rozłożył ręce, tworząc krzyż, przypominał świętą figurę, pomyślała. W rzeczywistości wcale nie skoczył, po prostu opadł do przodu w pięknym jaskółczym locie. Jego rozpięta kurtka trzepotała, wyglądał jak latająca wiewiórka. Odgłos ciała uderzającego o asfalt w dole był pierwszym dźwiękiem w filmie. Z jego głowy, uszu i ust natychmiast zaczęła wypływać krew. Operator z ręczną kamerą rzucił się przez ulicę, by sfilmować go z bliska, teraz słyszała jego oddech i kroki, a czas znów zaczął płynąć. Ragna odetchnęła i czekała. Za chwilę skoczek miał delikatnie poruszyć jedną ręką i podnieść głowę, zebrać ciało do kupy, podnieść się do pozycji stojącej, wstać i odejść, wpatrując się w kamerę, w nią, w Ragnę Riegel, swoim nieodgadniwym spojrzeniem. Ale tak się nie stało. Pozostał w pozycji leżącej. Krew nadal wypływała z jego głowy, kałuża krwi stawała się coraz większa, jakby całe jego nieruchome ciało w końcu się opróżniło. Nie poruszył nawet palcem, sekundy mijały, a ona czekała. Dotknęła ekranu palcem, szturchając go. Mijała minuta i kolejna, czy komputer się zawiesił?

Stuknęła w ekran, by go uruchomić, ale nic się nie stało. Cztery przecinek siedem milionów ludzi obejrzało ten konkretny klip, a teraz było już po wszystkim. Ekran stał się czarny. Ale i tak czekała, wiedząc, że wideo automatycznie uruchomi się ponownie, że będzie

trwać i trwać, dopóki ona nie zdecyduje, że trzeba wybrać coś innego. Ale ekran pozostał czarny. Choć niebieskie światło nadal świeciło, wskazując, że komputer jest włączony, nie widziała już skoczka. Oczywiście to był kolejny podstęp, pomyślała, znowu ją oszukali. Nie mogła już w nic uwierzyć, wszystko było zorganizowane, wszystko było oszustwem. Wszystko, co działo się za oknami, wszystko, co działo się w środku. Uniosła dłoń i przyjrzała się jej uważnie, pomyślała o krwi, która płynęła w małych naczyniach i zabarwiła opuszki jej palców na różowo, pomyślała o komórkach, które nieustannie się odnawiały i sprawiały, że jej palce były tak wrażliwe. Podziel się, do cholery, podziel się, pomyślała. Ocknęła się nagle, gdy ktoś mocno zapukał do drzwi.

*

Nastrój między nimi uległ zmianie, Ragna nie potrafiła określić, kiedy to się stało. Nawet Frank przy oknie był czujny, pomyślała; nadstawił uszu, gdy weszła do pokoju, i zawahał się, nim podszedł się z nią przywitać. Obserwowała Sejera ostrzejszym spojrzeniem, widziała każdą bruzdę i każdą zmarszczkę na jego poważnej twarzy. Był nie mniej gościnny, a jednak wydawało jej się, że widzi coś nowego w tych łupkowoszarych oczach, wątpliwość, której wcześniej tam nie było, inne nastawienie. Nie powiedziała o tym ani słowa. Siedziała jak zawsze podczas przesłuchań, niczym pensjonarka, z rękami na kolanach.

Teraz cisza wydawała się jej niepokojąca, ale była też czymś nowym.

- Czy przyszedł jakiś nowy list z Berlina? - zapytała.

Sejer zawahał się przed odpowiedzią. Nie rozumiała, dlaczego jest taki zdystansowany, dezorientowało ją to. Minęło dziesięć sekund i dwadzieścia.

– Tak – odpowiedział niechętnie.

– Czytał go pan?

– Tak.

– Ale jeszcze go nie mam!

– Wkrótce go pani dostanie.

Natychmiast coś zanotował. Tym razem nie tylko słowo-klucz, ale kilka długich zdań. Nie chciała pytać, co napisał, na tym też jej nie zależało, tylko na liście, który czekał na nią w szufladzie, być może w biurku inspektora. Zacisnęła więc zęby. Miała ograniczone prawa, a on nic nie mówił o zatrzymaniu listu.

Odłożył pióro i spojrział na nią uważnie. Uważniej niż zwykle, Ragna czuła, że nie będą już miło spędzać czasu, teraz zaczęła się powaga. Nagle postanowił być powściągliwy. Siedzieli w nowym pomieszczeniu, w ostrzejszym świetle. Był gotów wyrzucić za burtę całe zaufanie, jakie u niej zbudował, nadszedł moment przyparcia jej do muru. Nie miał już czasu, być może chciał doprowadzić to do końca, chciał, żeby przeszła dalej w systemie. Zresztą nigdy nie myślała przecież, że jej się upiecze. Nie chciała uciec, chciała się tylko dokładnie wytłumaczyć.

Nie mogła dłużej znieść ciszy.

– Czy myśli pan, że Rikard Josef będzie mógł otrzymać przepustkę? – szepnęła z nadzieją. – Żeby mógł mnie odwiedzić?

– Bardzo w to wątpię – odrzekł krótko Sejer. – Pomimo zakazu kontaktów otrzymała pani list, pozwolono pani go przeczytać. Po-

traktowaliśmy panią szczególnie. Nie znam zasad dotyczących przepustek w więzieniu Plötzensee.

– Więc nie będzie już więcej szczególnego traktowania?

Kiedy nie odpowiedział, podjęła kolejną próbę.

– Patrzy pan na mnie w jakiś taki sposób. O co chodzi?

– Właśnie tego próbuję się dowiedzieć – odrzekł. – Próbuję się dowiedzieć, co tak naprawdę się dzieje.

– Z kim rozmawialiście? – zapytała nerwowo. – Co mówili?

Ściągnęła rękawy swetra, jakby chciała ukryć dłonie.

– Czego się pani obawia? – zapytał Sejer. – Nieprzyjemnej prawdy?

Ragna położyła dłoń na gardle, jakby blizna mogła ją zdradzić, jakby musiała temu zapobiec za wszelką cenę. Nie podobał jej się kierunek, w którym zmierzała rozmowa, nie mogła nadażyć. Była też zmęczona, inaczej niż wcześniej. Ale powiedziała prawdę, od pierwszego dnia mówiła prawdę. Miała wrażenie, że o czymś zapomniała, że jej silna wola współpracy nie jest już doceniana. Jaki był sens kontynuowania? Może powinna zamknąć gębę na dobre i pozwolić mu samemu wszystko rozwiązać. Wiele osób tak robiło, milczeli za radą swojego obrońcy. Ona też otrzymała taką radę, ale się do niej nie zastosowała. Skrzyżowała ręce na klatce piersiowej i spojrzała na niego urażonym wzrokiem. Najwyraźniej mieli inne cele. Zdała sobie sprawę, że dotąd w ogóle nie walczyli, nie sięgnęli po broń, słowa płynęły cichym strumieniem od niej do niego, a potem z powrotem. Pomyślała o swoim synu i zmartwiła się. A co jeśli ukarzą ją, zatrzymując jego list, niezależnie od tego, czy ona jest winna? Teraz liczył się tylko Rikard, wszystko, o czym w końcu będą rozmawiać lub pisać. Na myśl o tym, że siedzi teraz w więzieniu w Berlinie i myśli

o matce, nazywając ją „Liebe Mutti”, ogarnęła ją radość. Chciała tego więcej.

– Zdaję sobie sprawę, że nie chodzi nam o to samo – powiedziała. Sejer skinął głową.

– Rozmawiałem ze wszystkimi w pani otoczeniu – wyjaśnił. – Z tymi, których naturalnie należało przesłuchać. Z tymi, którzy znają panią od dawna i coś o pani wiedzą.

– Wszyscy w moim otoczeniu? To nie było trudne.

– Jest ich więcej, niż pani myśli.

Sięgnęła po karafkę z wodą, ale on ją uprzedził i nalał jej szklanek, przesunął ją po stole, był znów bardziej pobłażliwy. Została szklanek, za bardzo się trzęsła, chciała, żeby to widział.

– Nie mogli mieć wiele do powiedzenia – szepnęła cicho. – Nigdy, ze zrozumiałych względów, nie byłam zbyt rozmowna.

– Wiele można też zobaczyć, nie trzeba słuchać – odrzekł. – Pewnie pani wie, co mam na myśli. Ponieważ jest pani małowówna, zakładam, że dobrze posługuje się pani wzrokiem w kontaktach towarzyskich.

– Co zauważyli? – zapytała wyzywająco.

Postanowiła być wyzywająca, przestała drzeć, uniosła szklanek i napiła się łąpczywie, po czym z hukiem ją odstawiła.

– Co boi się pani usłyszeć, Ragno?

– Nikt nic o mnie nie wie – stwierdziła – to tylko przypuszczenia i domysły. Wszystko, co myślimy o sobie nawzajem, jest błędne. Nie rozumiem, dokąd pan zmierza, nie rozumiem, czego pan szuka, wyłożyłam karty na stół. Nie ukryłam ani jednej. To pan coś ukrywa.

– Czasami tak musimy.

– My? – Rozejrzała się po pokoju. – Jesteśmy tu tylko pan i ja. Od teraz będzie pan stosował jakieś taktyki?

– Taki mam plan – odrzekł spokojnie.

– Chcę list od Rikarda – oznajmiła stanowczo. – Nie powiem ani słowa, dopóki nie dostanę listu, mam do niego prawo.

– Ściśle rzecz biorąc, nie ma pani.

Potem patrzyli na siebie przez długi czas, aż w końcu musiała ustąpić.

Wtedy Sejer i tak wstał i znalazł list do Ragny na półce. Podsunął go jej przez stół.

– Rozerwano go palcami – narzekała – jakby to była jakaś reklama.

Podniosła rozdartą kopertę, by mu ją pokazać.

– Mógł pan użyć noża do listów – narzekała. – Ten papier jest dla mnie wiele wart.

Nie mogąc usiedzieć w miejscu, machała gniewnie kopertą, tak starała się wyrazić swoje uczucia.

– Powinniśmy byli tak zrobić – przyznał Sejer. – Ma pani rację.

– My? – powtórzyła Ragna z rozgoryczeniem.

– Ja – podkreślił Sejer. – To ja otworzyłem list, rozerwałem go palcem wskazującym. Bardzo przepraszam, że nie okazałem pani więcej szacunku. – Mówiąc to, patrzył jej prosto w oczy.

– Chcę to przeczytać w celi – zażądała – chcę to przeczytać natychmiast. Odprowadźcie mnie.

*

Liebe Mutti!

Przez okno widzę tylko mur więzienia. Ma osiem metrów wysokości. Na szczycie są pętle z drutu kolczastego, przypominają ogromne gniazda, w których żaden ptak się nie osiedli. Widzę też oczywiście wieżę, z której strażnicy obserwują nas przez całą dobę. Jej szczyt przypomina duży sześciokątny diament, jest tam dużo szkła. Funkcjonariusze poruszają się powoli, spoglądają na rozległy teren więzienia sokolim wzrokiem. Często wyobrażam sobie, o czym myślą, gdy tak krążą przez całe swoje niespokojne zmiany, zawsze w kółko, jak chomiki w klatce. Widzę też kawałek nieba, choć niezbyt duży, ledwo pozwalający się zorientować, jaka jest pogoda. W ciągu dnia wychodzimy na spacer, jestem tam codziennie, zwykle po południu. Nie przejmuję się jednak szczególnie pogodą, nie jestem przecież rolnikiem ani rybakiem.

Z pewnością jesteśmy pod tym samym niebem! Chociaż czasami, jako chłopiec, nie byłem pewien, czy żyjemy w tym samym świecie. Teraz oczywiście mamy coś wspólnego, może to nas łączy, może to będzie miłe, może to doprowadzi do nowego porozumienia. Nowej otwartości. Ale nie oczekuję zbyt wiele, jestem zmęczony wszystkim, co się wydarzyło, wszystkim, co było w domu i od czego uciekłem. Mimo wszystko miło jest pisać, to dla mnie coś nowego. Kiedy Helmut przechodzi przez korytarz z pocztą, wychodzę i wołam do niego, bo może w tym wielkim stosie jest pozdrowienie od Ciebie. Inni dostają listy, teraz niczym się od nich nie różnię.

Mamy tu w więzieniu małą kawiarnię o nazwie Plötzen, jest otwarta przez kilka godzin wieczorem. Nieczęsto tam przesiaduję, ale czasami idę po filiżankę kawy lub coś innego, co mogę zabrać do celi. Kawiarnię prowadzi dziewczyna, nie ma tu zbyt wielu dziewczyn. Nie przejmuję się tym jakoś bardzo, ale czasem miło jest usły-

szeć jej głos, taki lekki i swobodny. Pamiętam, że twój głos też taki był. Nawiasem mówiąc, Petera też brzmi jak dziewczyny. Podobnie jak inni więźniowie, znalazł swoją strategię przetrwania. Jest tu najmłodszy, najszczuplejszy i najbardziej bezbronny, waży słowa. Zachowuje się jak aniołek, zawsze patrzy w podłogę. Nikt go nie krzywdzi. Zresztą prawie nie miewamy starć, tylko sporadyczne kłótnie, które potrafią wybuchnąć gwałtownie, ale są szybko wygaszane, zanim dojdzie do rękoczynów. Na moim oddziale nie ma prawie żadnych agresywnych przestępców. Ale większość ludzi coś w sobie nosi, ma tajemnice, wszyscy je mamy. Ty też, mamó. To ludzkie prawo – mieć sekrety. Większość z nich, te najskrytsze, zabieramy ze sobą do grobu i tak powinno być.

Nie wiem, co sobie myślisz, kiedy to czytasz. Może myślisz, że pewnego dnia wrócę do domu lub odwiedzę Cię w więzieniu, jeśli wyjdę przed Tobą. Ale nigdy nie wrócę na Kirkelinę, musisz zrozumieć, że nie mam do czego wracać. Jeśli chodzi o Ciebie i mnie, wymyślimy naszą przyszłość, ale nie spędzimy jej razem. Czy właśnie o tym marzysz w swojej celi, czy teraz niszczyć twoje marzenia?

Za chwilę będzie kolacja. Tutejszy kucharz jest dobry, to Chińczyk, ale nie przebije szefa kuchni w Dormero. My, pracownicy, jadaliśmy w kuchni, kiedy tylko mieliśmy okazję, opieraliśmy się o lśniące stalowe blaty i zajadaliśmy się pysznościami. Te czasy już dawno minęły. Wiele rzeczy się skończyło. Pójdę teraz do stołówki, by znaleźć sobie miejsce do siedzenia. Ty może będziesz jadła sama, w swojej celi, w całkowitej samotności. Z tego co pamiętam, tak właśnie wolisz.

Pozdrowienia

Twój syn

Rikard Josef

Ragna złożyła kartki i przyłożyła je do klatki piersiowej, w miejscu, gdzie biło jej serce. Próbowała wyczuć puls syna przez cienki papier, nasłuchiwała jego oddechu.

Pewien obraz stał się dla niej jasny. Wyobraziła go sobie w celi, siedzącego przy biurku, które mogło znajdować się pod oknem, piszącego do niej. Ale patrzyła tylko na jego szyję i plecy, nie mogła dostrzec twarzy, nie widziała go przecież nigdy dorosłego, nawet na zdjęciu. Kiedy próbowała użyć wyobraźni, widziała jakby przebłyśki własnego ojca, wysoki grzbiet nosa i grube, mocne brwi. Innym razem wizualizowała sobie szeroką szczękę i wysokie czoło Walthera. Wiedziała, że miał piękne włosy, nie odziedziczył jej rzadkich kosmyków. W końcu był mężczyzną, wysokim, o szerokich ramionach i mięśniach, których nabył dzięki ciężkiemu treningowi. Boże, jaki on musi być przystojny. Przez długi czas siedziała tak z dwiema kartkami, było w nich coś odżywczego. Energia przenikała przez jej skórę i mostek, płynęła dalej z krwiobiegiem do jej serca, mogłaby żyć na tym przez długi, długi czas! Ale po chwili przyszły inne myśli. Jego słowa odbijały się echem w jej głowie.

„Nie byłem pewien, czy żyjemy w tym samym świecie. Większość ludzi ma tajemnice. Z tego co pamiętam, tak właśnie wolisz”.

Odepchnęła myśli, które przyszły jej do głowy, złożyła list i schowała go z powrotem do podartej koperty. Podeszła do biurka przy oknie i włożyła list do szuflady, razem z tym pierwszym. Żałowała, że nie ma przy sobie wstążki lub sznurka, by je obwiązać, tak się przecież zawsze robiło. Cenne listy wiązało się wstążką, najlepiej jedwabną, gdyby tylko miała coś takiego pod ręką.

Kiedy kilka godzin później otrzymała kolację, pomyślała o chińskim kucharzu w więzieniu Plötzensee. Wyobrażała sobie, że jest niski i okrągły, z małymi, uśmiechniętymi oczami i drobnymi, pulchnymi dłońmi.

Na jej talerzu leżały blade klopsiki w gęstym sosie śmietanowym, gotowane warzywa i tłuczone ziemniaki. Żurawina w misce i dzbanek wody.

– Kto przygotowuje jedzenie? – zapytała.

Funkcjonariusz zastanowił się przez chwilę, przypomniał sobie, że to kobieta, ma na imię Gerd.

– Jak ci smakuje? – zapytał.

– Jest w porządku – szepnęła i podniosła wzrok. – Ale jedyną rzeczą, która ma jakiś smak, jest żurawina.

Pozwoliła sobie na żartobliwy uśmiech, po liście od syna miała lepszy humor.

– Nie wszyscy są zadowoleni – stwierdził strażnik. Pomyślał o czymś i uśmiechnął się wesoło. – Mielіśmy tu ludzi, którzy rzucali tacą o ścianę – dodał – mieliśmy tu takich, którzy nie odważyli się jeść, obawiali się, że jedzenie może być zatrute. Albo pełne tłuczonego szkła. – Zaśmiał się hałaśliwie. – Niektórzy z nich mogli nawet mieć podstawy, by tak sądzić. – Mrugnął do Ragny i ruszył do drzwi. – Ale ciebie raczej nikt nie chce dopaść, więc jedz śmiało.

Usłyszała ironię w jego głosie i poczerwieniała ze złości. Drzwi zatrzęsnęły się głośno, jego kroki zabrzmiały w oddali.

Nabiła klopsa na widelec i zastanowiła się nad słowami strażnika. Prędzej czy później ona też będzie musiała wyjść na oddział. I jeść z innymi więźniami przy długich stołach. Nie wyobrażała sobie tego, poziom hałasu jest tam na pewno wysoki, brzęk szklanek i sztućców,

wiele głosów. Nikt by jej nie usłyszał. Nie żeby miała coś do powiedzenia, zdecydowanie chciała zostać w celi i jeść przy biurku. Tak właśnie wolała.

*

Pukanie nie ustawało. Na początku tylko knykciem, ale w końcu ktoś zaczął używać pięści. Był wytrwały, nie poddawał się. Dlaczego nie pomyślał po prostu, że nie ma jej w domu? Fakt, że wszystkie światła były włączone, prawdopodobnie widział je z drogi, ale nikt mu nie otwierał. To na pewno nie sprzedawca, nie w niedzielę. Pomyślała, że może stoi tam jakieś małe dziecko sprzedające losy na loterię, było prawie Boże Narodzenie. Mogła wygrać babkę albo wędzonego łososa. Nie, dziecko nie pukałoby z taką siłą, to musiał być dorosły. Mężczyzna. Który się nie poddawał. Co jakiś czas zatrzymywał się na kilka sekund, po czym zaczynał od nowa. Oczywiście ignorowała go. To był jej dom, jej zamek, a ten na zewnątrz nie był przyjacielem, nie miała przecież przyjaciół. Ci, których znała, w życiu nie przyszliby bez zapowiedzi w niedzielę. A on wciąż pukał. Zdała sobie sprawę, że to może być ksiądz. A co, jeśli Rikard Josef zginął, może w wypadku samochodowym w Berlinie, i dlatego nie mogła się z nim skontaktować? Że też nie pomyślała o tym od razu! Zimno chwyciło ją za serce, oddech uwiązł jej w gardle. Wymknęła się na korytarz, nie chciała, żeby ją usłyszał, nie chciała, żeby usłyszał jej serce bijące z taką samą siłą jak jego zaciśnięta pięść. Za nieprzejrzystą szybą drzwi zobaczyła ciemny cień. Kiedy zapukał ponownie, zauważyła, że stracił trochę sił, może miał się poddać. Ale jeśli nie otworzy teraz drzwi, on wróci, była tego pewna, może później albo jutro, albo następnej nocy, prześladował ją. No i jeśli był to ksiądz z poważną wiadomo-

ścią, musiała go przyjąć. Strach i gniew mieszały się w jej głowie. Mogła otworzyć drzwi i spojrzeć mu prosto w oczy, zapytać, czego chce, ostro, z zabójczą precyzją. Zaśmiała się z siebie. Nie potrafiła być ani ostra, ani zabójcza. Położyła dłoń na klamce. Zastanawiała się, czy widział jej cień przez szybę, tak jak ona widziała jego. Chyba tak, bo przestał pukać, stał i czekał. Znów pomyślała o księdzu. Może przyszedł jej powiedzieć, że jej syn miał atak serca i znajduje się na oddziale intensywnej terapii. Z tak odpowiedzialną pracą w hotelu nie byłoby to zaskakujące. Otworzyła drzwi. Ledwo odważyła się wyjrzeć; łańcuch zabezpieczający dawał jej dziesięć do piętnastu centymetrów przestrzeni. Najpierw pozwoli mu powiedzieć, co go sprowadza, potem będzie mogła potrząsnąć głową i odprawić go. Zamknięcie drzwi z hukiem, to będzie wyraźny sygnał. Mężczyzna na zewnątrz przysunął się bliżej, aby nawiązać kontakt wzrokowy przez wąską szczelinę. Na jego szyi nie widziała nic białego, po tym przecież poznawało się księdza. Ale na pewno był ubrany na czarno, młody mężczyzna w eleganckim garniturze, o bladej zimowej cerze i krótko przystrzyżonych włosach. To był agent.

– Ten pies – powiedział, uśmiechając się nerwowo i wskazując na rottweilera. – Czy zaraz zatopi we mnie swoje zęby?

W jej głowie kłębiły się myśli i podejrzenia. Pamięć pracowała na pełnych obrotach, próbując ułożyć wszystko w obraz, logiczne wyjaśnienie tego, co się dzieje, wszystkiego, co wydarzyło się do tej pory. Na pewno istniało logiczne wyjaśnienie. Ta twarz, pomyślała, to czarne spojrzenie, widziała je już wcześniej. Nie tylko między półkami w Europris, wpadła na niego również w innym kontekście. Jej dłoń mocno trzymała klamkę. Zdała sobie sprawę, że pod pachą ma teczkę, tam na pewno znajdowało się wyjaśnienie. Odpięła łańcuch

i otworzyła drzwi szerzej, a agent cofnął się o krok. Nagle zrozumiała, po co przyszedł. Zostawił zegarek casio w sklepie, czy myślał, że zabrała go ze sobą do domu, czy przyszedł go odebrać? Jeśli tak, to skąd wiedział, gdzie ona mieszka? Ciągłe zwiększała szparę, drzwi były teraz na wpół otwarte. Znów podszedł krok bliżej, spojrzał na nią i na korytarz, w poszukiwaniu rottweilera. Chciała mu wyjaśnić, że zegarek jest w sklepie, w białym pudełku, ale ją ubiegł.

– Mam dla pani wiadomość – powiedział.

Zdała sobie sprawę, że jest bardzo podekscytowany, na wpół otwarte drzwi wywołały dreszcz w jego młodym ciele i zapaliły światło w oczach.

Wiadomość? Zmarszczyła brwi. Czy coś się stało Rikardowi Josefowi? Jej listy wróciły przecież, była przekonana, że w Berlinie coś się dzieje. Nie otworzyła ust, tylko stała i patrzyła, pozwalając mu mówić.

– Ma pani wolną chwilę? – kontynuował. – Muszę pani opowiedzieć o czymś ważnym. Ale ten pies... – Wzdrygnął się z przestraszeniem. – Czy to jeden z tych, które skaczą ludziom do gardeł? – Ponownie wskazał na rottweilera na ścianie i zaśmiał się nerwowo, na co ona odpowiedziała chłodem.

– Tylko jeśli go o to poproszę – odrzekła.

Policzki zaczęły jej marznąć. Śnieg wpadał do domu, do korytarza, w którym stała, wciągała go do płuc, lód w każdej komórce. Była pewna, że jemu też jest zimno, nie miał na sobie zimowej kurtki, tylko marynarkę, która, nawiasem mówiąc, z bliska wyglądała całkiem zwyczajnie. Tkanina miejscami błyszczała ze zużycia. Była też na niego za duża, miała za długie rękawy i nie była zapięta. Nie miał mięśni, nie był dużo wyższy od niej. Ale te źrenice, pomyślała po-

nownie, w głębokich oczodołach, czegoś od niej chciały. To samo niezgłębione spojrzenie, które tak wiele razy kierował na nią skoczek z filmu na YouTube, za każdym razem, gdy wstawał po upadku. Zdała sobie sprawę, że już nigdy nie wstanie, nie mógł wykonać tego ostatniego skoku. Przyjrzała się agentowi uważniej. Miał intensywny głos, lekko drżący, a jego niespokojne dłonie mocno ścisnęły brązową teczkę. Paznokcie miał niewiarygodnie długie, nigdy nie widziała mężczyzny z takimi szponami, były grube, żółte i spiczaste. Teraz ujawniła swoją wielką słabość. Nie była pewna, czy on pamięta ich spotkanie w sklepie, kiedy dała mu paragon za zegarek i szepnęła, że jest potrzebny do gwarancji. Prawdopodobnie jak większość ludzi kontynuowałby nerwową wypowiedź, gdyby nie otrzymał odpowiedzi. Jest coś groźnego w tych, którzy milczą. W tych, którzy tylko czekają i obserwują. Zdała sobie sprawę, że ma na sobie zielony fartuch z Europris, zwykle przerzucała go przez oparcie fotela i zakładała ponownie, nie zwracając sobie głowy szukaniem czegokolwiek innego. Jej uścisk na kłameczce był tak mocny, że czuła prąd wędrujący w górę ramienia.

– Wiadomość? – spytała w końcu. – Jaką wiadomość?

Szybko pochylił się do przodu, by lepiej słyszeć, był zaledwie dwadzieścia centymetrów od jej twarzy. Zapytała o coś, to było zaproszenie, mógł kontynuować.

– Jest zimno – powiedział i zmarszczył brwi.

Było jasne, że chce się ogrzać. Ragna wpatrywała się w jego długie paznokcie i rozpiętą marynarkę. Gdyby skoczył z dużej wysokości, zatrzepotałaby jak ptasie skrzydła.

– Pański zegarek... – szepnęła – zajęliśmy się nim.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Zegarek?

– Zegarek casio, który kupił pan w Europris. Zostawił go pan na kasie.

Pomyślał chwilę i uśmiechnął się.

– Tak! – wykrzyknął. – Zegarek!

Przytaknął energicznie i nagle stał się zupełnie normalnym, uprzejmym młodym mężczyzną bez ukrytych motywów.

– Ten zegarek to prezent świąteczny dla mojego brata – wyjaśnił. – Szukałem go od dłuższego czasu. Przyjdę po niego jutro.

Natychmiast pożałowała, że o tym wspomniała. Teraz mieli coś wspólnego, zaczęła się rozmowa. Trudno było to przerwać. Powinna była natychmiast zamknąć drzwi albo w ogóle ich nie otwierać.

– Pani dzwonek do drzwi nie działa – zauważył, ruchem głowy wskazując przycisk, który najwyraźniej nacisnął kilka razy. – Coś się tam stało. Przerwany przewód czy coś takiego. A może jest na baterie?

– Nie – odparła. Stała na progu i czekała.

– Byłem tu już kilka razy – kontynuował – i wtedy działał. Ale nie otwierała pani.

– Wiem, że już pan tu był – wyszeptała.

– Więc mnie pani słyszała? Tak, tak, oczywiście. Nie musi pani otwierać byle komu.

Zastanawiała się, czy uważa się za kogoś wyjątkowego pośród innych, którzy dzwoniли do jej drzwi.

– Jaką ma pan wiadomość? – powtórzyła.

Zmniejszyła szparę drzwi, pomyślała, że ociąga się z załatwieniem sprawy.

– Może mógłbym wejść na chwilę do środka – spróbował ponownie. – Jest bardzo zimno. Papiery mam tutaj – wskazał na teczkę. – Czy możemy je obejrzyć w środku?

– Papiery?

Drżał demonstracyjnie, a jego policzki były białe z zimna. Tak, to możliwe, że Rikard Josef nie żyje, pomyślała ponownie. Agent był pewnie prawnikiem; przyszedł powiedzieć jej o spadku. O mieszkaniu w Landsberger Allé i może o innych rzeczach, o których nie wiedziała.

– Co jest w tej teczce? – dopytywała.

Nie usłyszał, więc musiała powtórzyć.

– Pańska teczka – powtórzyła i wskazała. – Co w niej jest?

– Jedyna taka okazja w życiu – odrzekł entuzjastycznie. – Fantastyczna okazja!

– Okazja? Pan coś sprzedaje?

– Nie, nie, nie, nie, nie! – potrząsnął stanowczo głową. – Dam to pani za darmo.

Boże, jak on ją przygwoździł tymi czarnymi oczami. Ragna mocno otuliła się fartuchem, zaciskając dłonie na gładkim, zielonym materiale. Postawiła jedną stopę na schodach, tak że musiał się cofnąć, po czym spojrzała w dół, na drogę.

– Nie ma pan samochodu? – dopytywała.

– Mam, zostawiłem go na parkingu w dolnej części Kirkeliny. Tu nie jest przecież odśnieżone.

Pomyślała chwilę i jeszcze raz spojrzała na drogę. Żadnych samochodów, żadnych ludzi, nikogo, kto mógłby zobaczyć go stojącego przed jej drzwiami. Fantastyczna okazja, powiedział, szansa jedna na całe życie. Całkowicie za darmo.

Wszedł za nią. Przez korytarz i do kuchni, był nadmiernie uprzejmy, widziała, że kłania się i korzy jak sługa. Powiedział, że nie jest sprzedawcą, ale zachowywał się jak sprzedawca. Miał coś do zaoferowania, dobre rozwiązania, sugestie dotyczące zmian w jej życiu, możliwości zysku, mądre inwestycje lub produkt, który wspomaga zdrowie, być może subskrypcję suplementu diety lub ofertę zakupu domu w Hiszpanii, jej wyobrażenia szalała. Fakt, że zaprosiła go do środka, dał mu energię, ubrana na czarno postać wrzuciła wyższy bieg, jego ruchy przyspieszyły. Zdała sobie sprawę, że przez cały czas miał wobec niej plan, a teraz naprawdę dążył do jego realizacji.

– A pies? – zapytał ponownie, jego spojrzenie nerwowo omiatało salon.

– Śpi – odparła Ragna. – Przyjdzie, jeśli zagwizdzę.

– W takim razie mam nadzieję, że pani nie zagwizdże – powiedział.

– Zobaczymy. Jest dobrze wyszkolony.

– Mógłbym usiąść?

Wyciągnął już krzesło. Wciąż stał i trzymał mocno brązową teczkę, w której miał schowaną tę jedną jedyną szansę. Nagle zdała sobie sprawę, że tylko na prawej dłoni ma długie paznokcie, na lewej krótkie. Pomyślała, że może gra na gitarze.

– Jak się pani nazywa? – zapytał.

– Przecież pan wie.

Uśmiechnął się przepaszająco.

– Tak, oczywiście. Riegel. Zapomniałem na chwilę o tabliczce na drzwiach. Ragna Riegel. Proszę, niech pani usiądzie. – Skinął w stronę wolnego krzesła po drugiej stronie stołu, tak jakby była go-

ściem we własnym domu. Stała więc ostentacyjnie kilka kroków dalej, opierając się o blat i nie spuszczać z niego wzroku.

– A więc – kontynuował śmiało, szarpiąc krzesło, które szurnęło ciężko po podłodze. Teczka wylądowała na stole, położył na niej dłoń, jakby chciał podkreślić jej, jak ważna jest jej zawartość. – Więc, pani Riegel. Wie pani, w jakich czasach żyjemy?

Jej cienkie brwi uniosły się wysoko.

– Znaki – kontynuował, patrząc na nią. – Czy widziała pani znaki?

Znaki? Pomyślała o wiadomościach, które otrzymała. Listy bez nadawcy, kartka na stoliku nocnym.

– Jak się pan nazywa? – spytała, wpatrując się w niego.

– Bennet – odpowiedział szybko.

– Tak, panie Bennet. – Przytaknęła. – Widziałam znaki.

Wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią. Kiwnął kilka razy głową, jakby do siebie, jakby potwierdziła coś ważnego, jego znaczenie, być może wartość tego, co przyszedł jej pokazać.

Teraz jest tutaj, pomyślała Ragna, w mojej kuchni, zaledwie kilka metrów ode mnie. Zdała sobie sprawę, że jej usta kompletnie zdrętwiały, tak się działo, gdy czasami wypijała za dużo alkoholu, jak tamtej nocy z Waltherem Erikssonem, kiedy piła wino brzoskwiniowe.

– Więc wie pani, o czym chcę porozmawiać – mówił Bennet. – Więc wie pani, dlaczego tu jestem.

Teraz to Ragna skinęła głową. Poczula uchwyt szuflady na plecach, ocierał się o cienki materiał fartucha niczym ostra krawędź.

– Jestem pewien, że chce pani poznać prawdę – ciągnął. – Po tak długim błędzeniu w ciemności ma pani prawo do odpowiedzi. Dobrych wiadomości.

– Mam – wyszeptała.

Była czujna jak pies. Przyłgnęła do szuflad, jej serce biło szybko, krew krążyła wszędzie, każdy organ pracował na pełnych obrotach.

– Przynoszę pani prawdę – powiedział Bennet. – Widzę, że jej pani potrzebuje. Dlatego mnie pani wpuściła. Mogę założyć, że czekała pani na mnie?

Prawda, pomyślała Ragna. Wszyscy jej szukają. Ale czy ona jej chciała? Nie była pewna. Nie kiwała już głową, nie uśmiechała się, słyszała jego oddech, który współgrał z jej własnym. Słyszała szelest materiału garnituru, gdy agent przesuwiał się na krześle, szeleścił podobnie jak jej nylonowy fartuch.

Pochylił się nad stołem.

– Musimy zacząć od nieprzyjemnego faktu – powiedział – ale widzę, że jest pani dobrze przygotowana. Przemyślała pani wiele rzeczy. – Złożył ręce na stole.

– Jakiego? – wyszeptała.

– Umrzesz, Ragno – rzekł poważnie.

Znów poczuła uchwyt szuflady, stał się ostrzejszy, wbijał się w jej plecy jak pazur. Czowała też adrenalinę i wściekłość, oto wtargnął do jej wnętrza, zniszczył jej mózg i stopił go, to przez niego mózg spłynął do rdzenia kręgowego. Pozbawił ją snu, sprawił, że jej twarz rozpruła się jak stary sweter.

– I ty też umrzesz – wyszeptała. – Umrzesz. I to niedługo.

Jej odpowiedź go zaskoczyła. Nie tego się spodziewał, nie do tego był przyzwyczajony. Przez chwilę brakowało mu słów, planował następny ruch. Wybrał uśmiech. W ich części świata dzięki uśmiechowi wróg mógł rzucić broń.

Ale nie dała mu kolejnej szansy. Odwróciła się do niego plecami i szarpnęła górną szufladę, studiując jej zawartość, grzechoczący plastik i metal. Odrzuciła chochlę. Zastanawiała się nad nożycami, ale wybrała nóż z długim, ząbkowanym ostrzem. Wyciągnęła go z szuflady, zacisnęła dłoń na rękojeści, odwróciła się i spojrzała na mężczyznę. Jego powieki zaczęły gwałtownie trzepotać na widok noża. W mgnieniu oka stracił siłę, nie miał planu, jak sobie z tym poradzić. Podobało jej się, że w końcu zamilkł. Znów grzebał w teczce prawą ręką, tą z paznokciami, jakby mogła go ochronić, trzymał ją przed sobą jak tarczę. Nie przyszło mu do głowy, żeby przebiec przez kuchnię na śnieg.

– Nazywam się Ragna Riegel – wyszeptała. – Nie grożę ludziom anonimowo. Słyszysz, co mówię?

Agent skinął głową. Z jakiegoś powodu wciąż się uśmiechał, wyglądał jak idiota. Podczas gdy jego mózg pracował nad rozszyfrowaniem sytuacji, po raz pierwszy spojrzał na nią tak naprawdę. Ale nie wstał i nie wyszedł.

– Wiadomość – mówiła dalej i podeszła do niego z nożem. – Przekaż mi ją, natychmiast.

Jego ręka uniosła się jakby w niechętnym powitaniu.

– Posłuchaj mnie przez chwilę – szepnął.

– O – odpowiedziała Ragna. – Teraz też straciłeś głos, to wiesz, jak to jest. Teraz to ja wysyłam wiadomości. Nikt cię nie usłyszy.

W końcu chyba chciał wstać i uciec. Ale taki manewr potwierdziłby powagę sytuacji, podejrzenie, że kobieta stojąca przed nim jest całkowicie nieobliczalna. Postanowił trzymać się roli. Wykonać zadanie, z którym przyszedł, zachować ostatnią resztkę kontroli. Ale moc go opuściła, Ragna usłyszała tylko słaby pomruk.

– Przyszedłem zaoferować ci miejsce w Tysiącletnim Królestwie – wyszeptał. – Zanim będzie za późno.

Tysiącletnie Królestwo? Trzymała nóż cały czas w tej samej pozycji, skierowany w jego stronę, czubek znajdował się zaledwie metr od jego torsu. Zrobiła krok do przodu, potem kolejny. To dziwne, że pozostał na swoim miejscu, że nie odsunął krzesła, by uciec. Trzymał teczkę jak koło ratunkowe. Kiedy nagle pochyliła się do przodu i wbiła ząbkowany nóż w jego brzuch, nadal wyglądał na zaskoczony. Wciąż chciał pozostać na krześle, jakby zejście z niego było ustępstwem, ostateczną porażką. Nie było to łatwe, nóż wszedł aż po rękojęść, a ona zaraz go wyciągnęła. Spojrzał na stół, jedną rękę trzymając na brązowej teście, a drugą na ranie. Wyglądało na to, że zupełnie o niej zapomniał. Odwrócił twarz do okna, przez które wpadało zimowe światło. Usłyszała cichy jęk, potem przez dłuższą chwilę panowała cisza. Nie podobało jej się, że on siedzi na krześle. Oznaczało to, że nie wyraziła się wystarczająco jasno, chciała przecież, żeby się przewrócił. Więc dźgała go raz za razem, na oślep. Rozległ się przeciągły, syczący dźwięk, zdała sobie sprawę, że przebiła płuco. Musiało w nim być dużo powietrza, syk nie ustawał. Agent zaczął osuwać się na bok, cofnęła się, czekając, aż uderzy o podłogę. Zaczął krwawić dość obficie na kremowobiałą, syntetyczną wykładzinę podłogową, Ragna wciąż zastanawiała się, dlaczego jest tak cicho. W końcu upadł. Z ciężkim westchnieniem znieruchomiał zwinięty wokół nogi stołu. Wciąż trzymała nóż, wciąż z taką siłą, że czuła ją aż w barku. Potem odwróciła się od niego i podeszła do blatu, wrzuciła nóż do umywalki, odkręciła kran. Woda z krwią zniknęła w odpływie, opłukała dłonie, już po chwili stały się czyste i białe. Odwróciła się i znów na niego spojrzała, na agenta. Bennet. Teraz wszystko było

takie oczywiste. To on skoczył z dachu wysokiego budynku. To on był skoczkiem. Teraz widziała, że to był on, ubrany tak samo, z rozpiętą czarną marynarką. Już nigdy nie wstanie, nigdy nie spojrzy na nią tym niezgłębionym wzrokiem. Ten znak dotarł do niej tak wyraźnie zaledwie kilka chwil temu. Skoczył po raz ostatni i już nie wstał z ziemi. Ale najpierw zapomniał zegarka. Trzymała jego czas w swoich rękach. Wiedziała, że zegarek również się zatrzymał, w białym pudełku, wiedziała to na pewno. Nieustannie kiwała do siebie głową, gdy myślała o tym wszystkim, gdy widziała te wszystkie wyraźne znaki. Ewidentnie istniał jakiś wzór, porządek. Wytarła ręce ręcznikiem kuchennym i stanęła, patrząc na zwiniętą postać pod kuchennym stołem. Jarzeniówki na suficie odbijały się w krwi, była błyszcząca i oleista. Jego ciało nie otrzymywało już wiadomości z mózgu, był jak poplamiona lalka, którą ktoś wyrzucił. W milczeniu stała i patrzyła na niego, na wszystko, co wypływało z jego połamanego ciała, rozlewając się w dużą kałużę. Zdała sobie sprawę, że musi coś zrobić. Znalazła tymczasowe rozwiązanie. Z determinacją wyszła do przedpokoju, wsunęła stopy w buty i przeszła na tyły domu, do stosu drewna pod oknem łazienki. Zerwała zieloną plandekę, chwyciła ją w ramiona, poczuła zimno przez fartuch. Płachta była pokryta szronem. Zniosła ją do kuchni i zaczęła rozkładać, chwytając za rogi. Przykryła go najlepiej jak potrafiła, układając plandekę tak, by zakryć wszystko, głowę, dłonie i stopy. Nie musiała go już widzieć. To, czego nie było widać, nie istniało, czasem trzeba było kupić trochę czasu. Kiedy skończyła, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest spragniona. Odwróciła się do niego plecami i otworzyła lodówkę, znalazła butelkę Uludaj Frutti, którą kupiła od Irfana, zanim zamknął sklep. Zignorowała agenta i zniosła butelkę do salonu, otworzyła ją

i przyłożyła do ust. Cytrynowy napój był zimny i kwaśny, tak jak lubiła. Wypiła go małymi łykami, przełknęła i zamknęła oczy. Och, była taka zmęczona, taka zmęczona tym wszystkim. Nie myślała zbyt wiele. Ani o tym, co się stało, ani o tym, co się stanie. Chociaż w kuchni coś się wydarzyło, była względnie spokojna, nastąpił wybuch, a teraz była kupką popiołu. Ciężka maszyna, która szalała w jej głowie przez całą jesień, w końcu się uspokoiła. Dobrze było siedzieć cicho w fotelu z rękami na kolanach. I pić zimną turecką lemoniadę prosto z butelki.

Kiedy się ocknęła, głowę miała ciężką, a stopy jej kompletnie zdrętwiały. Być może spała, a może tylko drzemała, nie wiedziała na pewno, wiedziała tylko, że była daleko i że teraz wróciła. Gwałtownie. Ostrożnie otworzyła oczy, a niejasne przeczucie, że stało się coś strasznego, przeraziło ją. Już wcześniej miewała przecież sny, które ją przerażały. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był zegar na ścianie. Przypomniała sobie coś, ale odepchnęła to od siebie, co zrobiła, zanim usiadła w fotelu? Pochyliła się do przodu i zobaczyła własne kolana, jej ciało było dziwnie luźne, jakby nie trzymało się już razem. Kiedy próbowała wstać, nogi nie chciały jej utrzymać, biodra wydawały się zwichnięte, ale zmusiła się do pozycji stojącej, odepchnęła się rękami i zatoczyła kilka chwiejnych kroków, aż złapała równowagę. Zobaczyła pustą butelkę po napoju na stole. Dlaczego tak bardzo chciało jej się pić, czy zrobiła coś wyczerpującego, a może się bała? Może to ze złości albo zdenerwowania, adrenalina sprawiła, że zaschło jej w ustach. Przeszła przez salon i weszła do kuchni, jarzeńcówki na suficie były zapalone, wszystko było czyste i jasne. Coś się tam wydarzyło, uświadomiła sobie, ale jej mózg tego nie zapamiętał, często dokonywał takich dziwnych wyborów. Zauważyła zieloną

plandekę. Można by pomyśleć, że przyniosła całe drewno na opał do domu i ułożyła na podłodze w kuchni. Ale pod plandeką rozpoznała sylwetkę człowieka. A więc to się stało. Agent zapukał do drzwi, a ona zaprosiła go do środka. Bennet, powiedział, czy to było imię, czy nazwisko? To nie miało znaczenia. Położyła dłoń na sercu i stała, patrząc na kształt na podłodze. Nie czuła zbyt wiele. Głównie zdziwienie, że znalazła się w takiej sytuacji. Myślenie nie było łatwe, ale patrzyła pilnie. Wyciągnęła rękę i oparła się o blat. Czy pod plandeką nie dostrzegła lekkiego ruchu? Nie spodziewała się tego, zrobiła kilka kroków w bok, poczuła luźne stawy biodrowe i ponownie chwyciła się oburącz blatu. Mężczyzna się poruszył. Dobrze widziała. Może to była ręka, tam, gdzie musiały leżeć stopy, nie widziała żadnego ruchu; jak pamiętała, ręce były pod stołem. Nie słyszała też żadnych dźwięków, nie mogło w nim pozostać wiele życia, ale znowu zobaczyła ten ruch, teraz był wyraźny, mężczyzna jakby drapał podłogę długimi paznokciami, to była prawa ręka. Ale przecież słyszała, jak z jego płuc uchodzi powietrze. Nie rozumiała, jak to możliwe, czy to tylko jakaś pośmiertna konwulsja? Słyszała o takich rzeczach. Bezgłowe kurczaki biegające dookoła i różne takie rzeczy. Denerwowało ją, że nie może leżeć spokojnie. Oznaczało to, że było w nim życie, a jeśli było w nim życie, wszystko inne stawało się trudne. Musiałaby wtedy podjąć jakieś decyzje i przemyśleć wszystko, co się wydarzyło. Nie mogła znieść myślenia. Skończyła coś, nie zamierzała zaczynać od nowa, wreszcie zrobiło się tak rozkosznie cicho. Odwróciła się i znalazła nóż w umywalce, tam gdzie go zostawiła, ostry i czysty. Pochyliła się nad plandeką i wbiła nóż w zieloną tkaninę, w przypadkowe miejsce. Ruch ustał, stanęła jeszcze na chwilę, by się upewnić. Następnie ponownie wrzuciła nóż do

umywalki, stal brzęknęła ciężko o stal. Odkręciła kran. Więcej krwistej wody zniknęło w odpływie. Obejrzała się przez ramię, teraz nie zobaczyła nawet drgnięcia. Krążyła po kuchni, tupiała mocno jak dziecko, musiała doprowadzić do porządku stawy biodrowe, kości musiały wskoczyć w panewki. Wydawało jej się, że usłyszała trzask i jeszcze jeden, kiedy opadły na swoje miejsce i znów mogła się swobodnie poruszać. Wyczyściła nóż szczotką i płynem i włożyła go do szuflady, to był dobry nóż, przydatny do wielu rzeczy. Zauważyła teczkę na stole. Nie zdążył jej otworzyć. W środku była prawda, powiedział, dobre wieści, wyjątkowa oferta. Teczka była z brązowej skóry, nie, nie ze skóry, zbliżyła do niej nos, pachniała plastikiem. Wróciła do salonu i usiadła z teczką na kolanach, czuła, że trochę waży. Teraz należała do niej, miała prawo do jej zawartości. Właśnie wygrała długą wojnę, to był łup. Teczka była zamknięta na gruby zamek błyskawiczny, otworzyła ją i sięgnęła po zawartość, wyciągnęła wszystko i położyła na kolanach. Pustą teczkę rzuciła na podłogę. Zobaczyła stos czasopism, wiele egzemplarzy, może nawet dwadzieścia, wszystkie takie same. Na okładce kolorowe zdjęcie kobiety i małego chłopca. Matka i syn, pomyślała Ragna, matka i syn! Wyglądali podobnie, oboje mieli ciemne włosy i skórę, a także ciemne oczy. Matka miała piękną chustę na głowie, syn niebieską włóczkową czapkę. Zdjęcie nie zostało zrobione tutaj, ale na targu w obcym kraju, widziała stragany z kolorowymi owocami, stosy koszy i barwne tkaniny. Chłopiec trzymał w ręku pomarańczę, uciekał, by ratować życie. Za nim biegł wściekły mężczyzna potrząsający pięścią, a kobieta, jego matka, podniosła ręce do głowy. Ragna rozszyfrowała obraz w jednej chwili. Chłopiec ukradł pomarańczę z wa-

rzywniaka i próbował uciec. Dopiero teraz, po przestudiowaniu kolorowego zdjęcia, przeczytała tytuł magazynu.

OBUDŹ SIĘ!

Otworzyła magazyn na pierwszej stronie. Wydali go Świadkowie Jehowy, był to numer grudniowy. Tematem miesiąca było wychowanie dzieci i przestępczość. Powoli przewracała strony i czytała fragmenty, tu i tam, przebiegała strony wzrokiem. Jeden fragment dotyczył Czasów Ostatecznych i Dnia Sądu, inny Tysiąclecia i stu czterdziestu czterech tysięcy wybrańców. Wszystkie znaki. Prawda. Mężczyzna leżący w kuchni, ten z długimi paznokciami, należał do Świadków Jehowy. Była taka ociężała i zmęczona. Czegoś nie rozumiała. Upuściła papiery na podłogę, było ich wiele, rozsunęły się, tworząc kolorowy wachlarz. Miała tak dużo do zrobienia, tak wiele musiała zorganizować. Mogła gdzieś zadzwonić i się wytłumaczyć, ale nie miała już siły, przez telefon nikt jej nie słyszał, chciała tylko spać. Tak mówili wszyscy, gdy burza była najgorsza, po prostu musimy to przespać. Mężczyzna w kuchni nie zniknie. Poszła więc do sypialni i przewróciła się na łóżko. Po uprzednim otwarciu okna na zimne powietrze. Och, to powietrze było dobre, ochłodziło ją całkowicie. Muszę po prostu poczekać, pomyślała, może ktoś zadzwoni. Może ktoś przyjdzie. Będą wiedzieć, co trzeba zrobić. Nie muszę robić wszystkiego sama, nie mam przecież głosu. Muszę teraz odpocząć. Musisz odpocząć, Ragna.

Zamknęła oczy. Jej serce biło lekko i cicho, nie wiedziało, co robiła, dlatego ciężko pracowało, by utrzymać ją przy życiu, bez osądzania. Chłopiec ukradł pomarańczę. Czy to znaczyło, że jego matka zawiodła, czy to znaczyło, że w tej dziwnej krainie, o której Ragna nic nie wiedziała, dojrzała pomarańcza była taką pokusą dla bied-

nego chłopca, że nie był w stanie się jej oprzeć? Czy odciąłiby mu rękę, czy żył w takim reżimie? Długo leżała, myśląc o tym obrazku. W wyobraźni zajęła miejsce kobiety, a chłopcem był Rikard Josef. Kiedyś, gdy miał jedenaście lat, ukradł duży nóż myśliwski ze sklepu sportowego, obsługa przyłapała go na gorącym uczynku. Musiała go odebrać i przeprosić, pamiętała ten wstyd. Musiała obiecać pracownikom, że poważnie z nim porozmawia, a teraz próbowała sobie przypomnieć, co powiedziała. Że to się nigdy nie powtórzy, że on nie jest takim chłopcem, a ona nie jest taką mamą. A kiedy zapytała go, dlaczego ukradł, odparł: „To był ładny nóż. Chciałem go mieć”. Czy agent o tym wiedział, czy zdjęcie było kolejnym znakiem? W tym miesiącu tematem przewodnim było rodzicielstwo i przestępczość.

Kilka razy zmieniała pozycję, aż w końcu zasnęła. Śniło jej się, że chodzi po egzotycznym targu w obcym kraju i wybiera owoce. Właścicielem straganów był Irfan. Stał tam w białej szacie, zatrzymała się i rozmawiała z nim przez długi czas, miała głos, był jasny i lekki jak dzwonki, a Irfan klaskał z podekscytowania. Dał jej koszyk, do którego miała włożyć owoce, wybrała wszystkie najbardziej kuszące, śliwki, morele, daktyle i inne pyszności. Zapłaciła za dodatkową pomarańczę, którą ukradł jej syn, włożyła Irfanowi monety do ręki.

Nie wiedziała, jak długo spała, skulona w ciemnym pokoju. Może godzinę, może cztery, bo kiedy się śpi, czas stoi w miejscu. Ale wydawało jej się, że dalej jest niedziela, przez okna widziała, że wciąż jest jasno. Dom był tak śmiertelnie cichy, nie słyszała żadnego ruchu na ulicy, gdzie byli inni, czy wszystko się zatrzymało? Wstała i chwiejnie, jakby źle się czuła, przeszła przez pokój i otworzyła drzwi do łazienki. Nawet Walther Eriksson nie uchwyciłby niczego z twarzy,

która się w nią wpatrywała, choćby miał najlepszy na świecie aparat z najlepszym na świecie filtrem. Jej oczy pociemniały, pomyślała, jak oczy kobiety na targu, matki złodzieja pomarańczy, matki, która być może nie wypełniła swoich obowiązków rodzicielskich. Ona sama też nie była w stanie tego zrobić, jej syn przecież zniknął. Rozejrzała się w poszukiwaniu ubrań, nie znalazła nic poza starą koszulą nocną leżącą na podłodze. Miała cienkie ramiączka i koronkę na dekolcie. Naciągnęła ją przez głowę, po czym poszła do kuchni, gdzie leżał agent. Westchnęła, gdy zobaczyła plandekę, przesunęła się. Była tego absolutnie pewna. Kiedy spała, on znów się przemieścił, przybrał inny kształt. Tym razem bez wątpienia poruszył rękami i nogami, próbując przesunąć się do przodu, a może nawet wstać. Podeszła do niego i pochyliła się, nasłuchując oddechu. Delikatnie kopnęła jego ciało stopą, raz, dwa razy, bezskutecznie. Chwiejny ruch stopy zamienił się w mocne kopnięcia, musiała mieć pewność. Leżał, ale i tak go kopnęła, ludzie zawsze tak robili, nie różniła się od innych, nie była lepsza, kiedy ktoś stał, trudno było sięgnąć go nogą. Zdała sobie sprawę, że potrzebuje więcej ubrań, było zimno, powinna dołożyć do kominka. Stos drewna pod oknem za domem nie był chroniony przed pogodą, plandeka leżała na podłodze przed nią. Spojrzała na zegar ścienny i uświadomiła sobie, że spała wiele godzin. Dzianinowy sweter wisiał na krześle przed komputerem, założyła go, owinęła się, włączyła telewizor i znalazła kanał informacyjny. Usiadła na brzegu fotela i wpatrywała się w migoczące obrazy. Może już coś wiedzą. Może zaginięcie agenta Benneta zostało już zgłoszone. Czy potrafiłaby wbić komuś nóż tak, by nikt tego nie zauważył, czy mogłaby przeciąć sznur na zawsze, nie zerwać cienką nić, jaką była rozmowa, ale wyłączyć całą machinerię ciała, nie wywołując żad-

nego dźwięku? Oczywiście, że nie mogła. Na ulicach wszędzie były kamery, może nawet w jej domu, ktoś musiał to zauważyć. Rozejrzała się i dostrzegła dwa czujniki dymu na suficie w salonie. Miały kształt pięknych, niezidentyfikowanych latających spodków, z małą kratką, która wyglądała jak okno. Mogli ją oszukać i zamiast czujników zainstalować kamery, takie stało się społeczeństwo, każdy musi być monitorowany. Zauważyła małe czerwone migające światło w obu urządzeniach, nigdy wcześniej nie zwróciła na nie uwagi. Latające spodki w jakiś sposób ożyły, jakby miały załogę. Uświadomiła sobie, że podobny czujnik zamontowany jest również na suficie w kuchni, a jeśli to kamera, to cały incydent został sfilmowany. Wyszła do kuchni i spojrzała na sufit, tam również migało na czerwono. To mógł być znak, że ktoś siedzi teraz w centrali i obserwuje ją na ekranie. Mała Ragna Riegel, w koszuli nocnej i swetrze. Podniosła rękę i pomachała. Spojrzała w dół na zieloną plandekę, znów uśmiechnęła się do kamery, pomachała i wskazała, pomachała i wskazała. Następnie wsunęła bose stopy w buty, wyszła na tyły domu po kilka drewnianych polan. Były pokryte cienką warstwą szronu, pięknymi małymi kryształkami. Jeśli miała poradzić sobie z tym, co ją czeka, potrzebowała przynajmniej trochę ciepła i może nawet jedzenia. Nie chciała też przyjmować ludzi w samej koszuli nocnej, nawet jeśli miała ładną koronkę, gdy przyjdą, wszystko musi być w porządku. Wiedziała, że będzie ich kilku. Ale przecież już tyle razy prosiła ich o pomoc i nikt nie przyszedł. Znów się zezłościła. Ułożyła na ramieniu tyle drewna, ile mogła unieść, weszła do środka i wrzuciła je do kominka. Kiedy już dobrze się rozpałiło, usiadła na podłodze i wpatrywała się w płomienie. Jej policzki wreszcie były ciepłe, podobnie jak klatka piersiowa i ramiona. Kto miał kominek,

nie potrzebował niczego więcej, języki ognia hipnotyzowały ją i zabierały daleko, trzaskały i tańczyły, stawały się żywym stworzeniem, które musiała karmić, a to utrzymywało również ją przy życiu. Dopóki się paliło, czas stał w miejscu. Po chwili dołożyła kolejne polano, a potem jeszcze jedno. Błyszczące kryształki śniegu już dawno się roztopiły, w salonie zrobiło się gorąco jak w piekarniku, musiała zdjąć sweter. Nie chciała teraz słyszeć o Bennecie, ale na wszelki wypadek i tak zapuściła się do kuchni, ostrożnie podkradając się bliżej. Po raz kolejny odkryła, że kształt się zmienił. Być może życie Benneta zamieszkało w zielonej plandece, która unosiła się teraz po podłodze niczym ogromny, bezkształtny, jednokomórkowy organizm, przerośnięta ameba. Ojciec powiedział jej, gdy była mała, że tak dzieje się z każdym życiem. Jej też się to przytrafi, przybierze inną formę. Umrze i powróci jako coś innego.

– Na przykład co? – zapytała. Z małą dłonią w jego dużej.

– Może jakieś zwierzątko – odrzekł ojciec.

– Och! Czy mogę wybrać jakie?

– Myślę, że tak.

Ścisnęła mocno jego dłoń i powiedziała, że ma nadzieję zmienić się w małą wiewiórkę, a on odparł, że już ją widzi. Jasna, delikatna i lśniąca, w swoim ciepłym futerku, zawsze taka była. Mrugnął do niej wtedy, a ona chciała wiedzieć, jak długo trwa zmiana kształtu i powrót do życia. O, stwierdził, to zajmuje dużo czasu. Tysiąc lat. Ale drzewa nadal tu będą, a ty będziesz mogła się na nich bawić i znajdować orzechy.

– A co z tobą, tato? – zapytała. – Kim chcesz zostać po powrocie?

– Wtedy znów będę twoim tatą – odpowiedział. – Będę twoim tatą po wsze czasy.

- Tata małej wiewiórki?

- Mogę nosić cię w kieszeni - zasugerował. - Kieszeni tutaj, nad sercem.

Potem już nigdy nie bała się śmierci.

Otworzyła lodówkę i zajrzała do środka, aby sprawdzić, czy jest tam coś do zjedzenia na szybko, ale nie znalazła zbyt wiele. Wyjęła jednak paczkę salami i zjadła kilka plasterków, przez co oczywiście zachciało jej się pić. Nie miała już żadnego uludaja, tylko butelkę soku z futrzanymi kulkami pleśni. Nie rozumiała, dlaczego jej lodówka jest w tak złym stanie. Podeszła do zlewu i napiła się wody prosto z kranu, mimo że matka tak często powtarzała jej, gdy była mała, że ryzykuje w ten sposób połknięcie tasiemca, który może urosnąć w jej żołądku na kilka metrów i ukraść całe jedzenie. Wtedy byłaby chuda jak szkapa. „I zawsze taka byłam - uświadomiła sobie - więc myślę, że ten tasiemiec jest tam od zawsze”. Kiedy znów znalazła się przed kominkiem, wydawało jej się, że go czuje, jak wpełza w nią i osiada, wijąc się i skręcając jak spaghetti o długości kilku metrów. Ale miała teraz gorsze rzeczy na głowie niż robaki w brzuchu.

Kilka razy przyniosła drewno na opał. Wchodziła i wychodziła w samej koszuli nocnej, po pewnym czasie nawet nie zawracała sobie głowy zakładaniem butów. Miło było chodzić boso po śniegu, nigdy wcześniej tego nie robiła. Ułożyła polana na podłodze w duży stos, poświęciła czas i troskę na tę konstrukcję, może minąć dużo czasu, zanim ktoś przyjdzie jej na ratunek. Nie chciała przynosić drewna na opał w nocy, więc przechowywała je tak, by wystarczyło do następnego ranka. Od czasu do czasu spoglądała na ekran telewizora, który wciąż był włączony. Domyślała się, że prędzej czy później twarz agenta się tam pojawi, ktoś zgłosi jego zaginięcie. Albo co gor-

sza, pokaże się tam jej twarz. Nie, jak to miałoby się stać, nikt nie miał jej zdjąć, tylko Walther. Ale trzeba było uważać, musiała być przygotowana. Rozpaliła w kominku, aż szkło pokryło się sadzą i ledwo widziała płomienie, tylko kilka żarzących się punktów w głębi. Musiała znów odpocząć. Ściszyła telewizor i skuliła się na sofie, okryła kocem, nasłuchiwała głosów i kroków, samochodów zwalniających na zewnątrz i trzaskających drzwi. Spojrzała w górę na czerwone oko UFO.

Ogień już dawno wygasł. W czarnych kostkach zostało tylko kilka iskierek. Zauważyła papiery agenta rozsypane na podłodze, dobrze by się paliły. Uklękła więc przed kominkiem i wrywała kartki jedna po drugiej, obserwując, jak małego złodzieja pomarańczy pochłaniają płomienie. Ciało chłopca skuliło się jak w krematorium. Kiedy siedziała wpatrzona w ogień, zdała sobie sprawę, że pewnie minie teraz dużo czasu, zanim będzie miała okazję odwiedzić grób rodziców. Zawsze chętnie to robiła, nikt nie mógł powiedzieć, że jest zaniedbany. Gorzej będzie z jej własnym, gdy nadejdzie czas, być może wkrótce. Jest przecież niedziela, przypomniała sobie, nie może nic kupić, ani kwiatów, ani zniczy, a nie poszłaby na grób bez niczego, tak jak nie idzie się na przyjęcie bez prezentu. Zamknęła drzwiczki kominka i ostrożnie przeszukała kuchnię, omijając agenta wzrokiem. Może znajdzie coś, co będzie mogła im podarować, coś, co będzie ładnie wyglądało na białym śniegu. Przetrasnęła szuflady i szafki. Znalazła spiralne świece adwentowe, których jeszcze nigdy nie zapaliła, ale na dworze natychmiast zgasiłby je wiatr. W końcu znalazła paczkę serwetek, były kremowożółte z różowymi różami i zielonymi, postrzępionymi liśćmi, wyjątkowo piękne, musiała to

przyznać. Włożyła całe foliowe opakowanie do torebki. Następnie naciągnęła płaszcz na koszulę nocną i znalazła rękawiczki, wsunęła stopy w kalosze, które stały w korytarzu, nie były ciepłe, ale stały pierwsze z brzegu. Kiedy otworzyła drzwi, zdała sobie sprawę, że robi się ciemno. Może będzie potrzebować latarki, nie, na cmentarzu było kilka latarni, jedna niedaleko grobu rodziców. Wyszła, nie zamykając za sobą drzwi, nie wiedziała, czy jest wieczór, czy noc, nie spojrzała na zegarek. Ale w domu Olafa paliło się światło. Gdy tylko wyszła na drogę, zdała sobie sprawę, jak śliskie są jej buty i jak zimno się zrobiło. Jej płaszcz był krótki, miała gołe łydki i nie włożyła rajstop. Z trudem utrzymywała się na nogach, lód był wszędzie, słabo posypany. Rozejrzała się w lewo i w prawo, przeszła przez ulicę, szybko minęła zamknięty sklep Irfana i po raz kolejny uświadomiła sobie, że jest niedziela i autobusy nie jeżdżą zbyt często. W niedzielę nie jeździła autobusem, prawdopodobnie był tylko jeden na godzinę, może dwa, jeśli miała szczęście, ale raczej go nie miała. Czekala i nasłuchiwała. Autobus miał swój własny pomruk, który dobrze znała, słyszała go na długo przed tym, jak wyłonił się zza zakrętu. Teraz patrzyła wciąż w przeciwnym kierunku, wiedziała, że policja nadjedzie stamtąd, gdy zostanie powiadomiona. Ale nie dostrzegła żadnych niebieskich świateł. Próbowwała podkurczyć palce w butach, stąpając tam i z powrotem po oblodzonej drodze, starając się pobudzić przepływ krwi. Z domu Olafa rozplýwała się ciepła poświata. Oczami wyobraźni widziała Dolly skuloną przed kominkiem. W końcu autobus podjechał pod Kirkelinę, był prawie pusty, a jej stałe miejsce wolne. Gdy autobus mijał jej podjazd, wpatrywała się w niego uważnie.

Spojrzała w stronę oświetlonych okien, mimowolnie zdała sobie sprawę, że wygląda jak zwykły dom. Nikt nie wiedział nic o agencie pod zieloną plandeką, widzieli tylko światło, myśleli tylko o ciepłe. Otworzyła torebkę i wyjęła paczkę serwetek, podziwiając je przez folię. Mama nauczyła ją niezliczonych sposobów ich składania, mogła złożyć wachlarz lub różę, kokardę lub serce, lilię lub piramidę. Zauważyła jednak, że serwetki są trójwarstwowe i dość miękkie; im droższe serwetki, tym trudniej było je złożyć.

Policzek przy szybie, torebka na kolanach. Nie widziała żadnych niebieskich świateł, nie słyszała syren. Spojrzała w czarne niebo nad miastem, to, które wszyscy uważali za tak wysokie, myśleli, że rozciąga się w nieskończoność. W rzeczywistości warstwa atmosfery była cienka jak ślubny welon, a niebo kończyło się tuż nad najwyższymi wieżowcami lub po dwudziestu minutach lotu promem kosmicznym. Dwadzieścia minut, pomyślała, i dalej nic. Na zewnątrz było tylko zimno i ciemność, a pod welonem żyli mali ludzie uwięzieni w zegarze.

Kilka razy poślizgnęła się na wąskiej, równej ścieżce prowadzącej do kościoła. Lód leżał przezroczystą warstwą na bruku, a ona potykała się, stąpając ostrożnie, pochylona jak stara kobieta. Ponieważ nie miała na sobie skarpet, buty były za duże, podeszwy miały rowki, ale niewiele jej to pomogło. Skręciła w lewo przy wejściu i podążyła dobrze wydeptaną ścieżką, kierując się na tyły budynku. Kiedy zauważyła grób swoich rodziców blisko ściany kościoła, dobrze oświetlony przez latarnię, żal przeszył ją od góry do dołu, jak strzała. Jakby ogromny kamień osiadł na samym jej dnie i pociągnął ją w dół. Strata była cięższa do zniesienia niż zwykle. Tutaj leżeli, blisko siebie

po śmierci, tylko ona o nich pamiętała, tylko ona przychodziła z dobrymi myślami. Gdybym była Bogiem, pomyślała Ragna, tchnęłabym w nich życie. Ale Boga nie było, ani tam, ani tutaj. Upadła na kolana, nie przejmując się już zimnem, śnieg na jej nagiej skórze nic nie znaczył. Szybko obejrzała się przez ramię, czy nikt jej nie widzi, ale w tę zimną niedzielę nikogo tam nie było, była sama ze zmarłymi. Wyjęła paczkę serwetek, poczuła miękki papier, rozważyła za i przeciw. Co można osiągnąć za pomocą miękkiej, trzywarstwowej serwetki? Szybko przeanalizowała w myślach wzory, wszystko, czego nauczyła się w dzieciństwie, po czym zabrała się za składanie łabędzia z rozpostartymi skrzydłami. Nie zapomniała, rutynę miała w palcach. Pomimo miękkiego papieru, piękny ptak z długą szyją stanął wyprostowany. Złożyła kolejnego, dokładnie tak samo. Położyła je przed nagrobkiem, naprzeciwko siebie, jak dwoje kochanków, bo byli kochankami, na dobre i na złe, a wiele było złych chwil. Nie, nie złych, po prostu trudnych. Co się z nami dzieje, pomyślała z przygnębieniem, dlaczego nie możemy sobie poradzić? Jaki jest sens tego wszystkiego? Długo klęczała na śniegu i patrzyła na łabędzie, dumne i piękne jak jej rodzice. Wiatr wkrótce je porwie, a śnieg rozmoczy, być może już tej nocy będą trzepotać między grobami, aż zauważy je pracownik cmentarza i zabierze, uznając za śmieci, tylko mokry papier, a nie wyznanie miłości. Przez długi czas klęczała na śniegu i patrzyła na nie. Czekwała, aż ten widok wypali się w jej umyśle, musiała mieć pewność, że zdoła go przywołać w potrzebie.

W końcu zrobiła się sztywna i obolała od tej klęczącej pozycji. Wstała i już miała wychodzić, gdy nad cmentarzem przetoczył się silny podmuch wiatru, który poderwał jednego z łabędzi do lotu. Najpierw przeleciał kilka metrów, a ona pobiegła za nim, ale gdy już

miała go podnieść, nadszedł kolejny podmuch, znacznie silniejszy. Zrozpaczona zobaczyła, że zniknął między grobami, tam światło latarni nie mogło go dosięgnąć, papierowy ptak był ukryty gdzieś w ciemności. Poszła go szukać. Zaglądała za każdy pomnik, idąc najpierw w prawo, potem w lewo, coraz dalej w głąb cmentarza. Nie mógł tak po prostu zniknąć! Szukała więc dalej, kierując się teraz w inną stronę, ku frontowi budynku kościoła, mimo że ptak nie leciał w tę stronę. Nikt jej nie widział, gdy kręciła się tu z gołymi nogami, nikt nie zdawał sobie sprawy z jej rozpacz, to była tylko serwetka. Aż nagle go znalazła, osiadł przy koszu na śmieci pod ścianą. Z ulgą wróciła i odłożyła łabędzia na miejsce, nasłuchując wiatru. Gdy wyszła na śliską ścieżkę prowadzącą na plac, straciła równowagę i upadła do przodu, z dużą siłą uderzając prawym kolaniem o ziemię. Oczy wypełniły jej się łzami, ból przeszył głowę, wydała z siebie rozpaczliwy szloch, którego nikt nie usłyszał. Przez chwilę leżała na ziemi, próbując poruszyć nogą. Może miała złamaną rzepkę, może nigdy nie uda jej się zejść na plac, a wówczas zamarzenie na śmierć. Nikt nie przyjdzie do kościoła aż do następnego ranka. Sięgnęła po torebkę, chwyciła ją i przyciągnęła do siebie, wstała, delikatnie oparła się na prawej nodze, czując, jak ją obciąża. Strasznie bolała. Chwiejnym krokiem Ragna ruszyła na autobus, ciągnąc za sobą uszkodzoną nogę. Teraz nadszedł czas, by wrócić do domu, usiąść na krześle przed kominkiem. Może ktoś w końcu dostał się do jej domu i wszystko uporządkował, drzwi były otwarte. Czekaając na autobus, oparła cały ciężar ciała na zdrowej nodze. Druga pulsowała i bolała jak szalona, bała się, że nie będzie w stanie wsiąść do autobusu, schody były tak strome. Kiedy w końcu nadjechał autobus i drzwi się otworzyły, złapała za uchwyt i podciągnęła

się z całej siły. W jasnym i ciepłym wnętrzu autobusu podciągnęła płaszcz i przyjrzała się swojemu kolanu. Było czerwone i znacznie większe niż lewe.

Ze zdziwieniem otworzyła niezamknięte na klucz drzwi i weszła do domu, kulejąc w ciężkich butach. Wydało jej się dziwne, że nikt nie przyszedł, że znów znalazła się w tej samej niezrozumiałej sytuacji. Tutaj była w swoim własnym małym świecie, inni byli gdzie indziej. Mimo to była zadowolona. Uważała te dwa łabędzie za kawał dobrej roboty. Matka nauczyła ją wiele o obowiązkach, o godności, cierpliwości i pokorze. Ojciec uczył ją innych rzeczy, ale tej lekcji nie potrafiła nazwać. Myślała, że chodzi o chwilę, zmysły i wizję. Obejmowanie sekund, a nie odpychanie ich. Bycie teraz, w tym momencie. Jej gołe nogi posiniały z zimna, kolano było czerwone i spuchnięte, ale trzymała się w kupie. Słyszała, że jej szkielet trochę grzechocze, przynajmniej jednak tu doszła. W kominku nie było już żaru, tylko sadza na szybie. Stała w drzwiach do kuchni, by sprawdzić plandekę. Kształt nie zmienił się zbyt wiele, ale zielony materiał wibrował życiem, pomyślała, że ciepło wytworzone w ciele agenta zostało przeniesione na syntetyczną materię, gdzie ożywiło tysiące mikroorganizmów. Być może zjadłyby go, gdyby tylko miały czas. W myślach podpaliła wszystko, wszystko miało spłonąć. Bennet ze swoimi długimi paznokciami i przepowiedniami śmierci. Zdała sobie sprawę, że plandeka może wcale nie spłonąć, była syntetyczna, prawdopodobnie stopiłaby się z jego prostym garniturem, może osadziłaby się na jego bladej skórze. Może będą musieli pochować go z plandeką, syntetyczną, utwardzoną powłoką, której nie będzie można usunąć.

Dołożyła drewna do kominka. Za oknami jeszcze panowały ciemności, na drodze nie było żadnych samochodów. Myślała o nadchodzącej nocy i następnym dniu, poniedziałku. Bo jutro był poniedziałek, a może coś pokręciła? Miała wczesną zmianę, pomyślała, jeśli się nie pojawi, Gunnhild zadzwoni po pracy.

Jestem taka ociężała, pomyślała Ragna Riegel, moje stawy są takie luźne, tak bardzo boli mnie kolano. Na dnie mam ogromny kamień, jest mi zimno, nie jadłam i nie jestem pewna, dlaczego tak się stało. Wiem tylko, że zaczęło się to dawno temu. W tym stanie nie dałabym rady wędrować między półkami w Europris z metkownicą. To nie kości same w sobie, uświadomiła sobie, to więzadła, które trzymają je razem, twarde więzadła, zaraz pękną. Rozpadnę się jak marionetka na sznurku. Wkrótce kominek wesoło zapłonął, a jej zrobiło się ciepło i spokojnie. Na ekranie telewizora zobaczyła białe litery, nie wyłączyła go, gdy wychodziła. Nie było już obrazu, tylko komunikat, który pojawiał się, gdy urządzenie było włączone zbyt długo.

BRAK SYGNAŁU.

Wyłączyła go, a potem włączyła ponownie i odzyskała obraz. Dobrze było oglądać wiadomości, patrzeć, jak wszyscy inni żyją swoim życiem. Siedem miliardów pod welonem, ci, od których zostanie odcięta na długi czas. Od teraz musiała żyć każdą minutą we własnej głowie. Jakby nie robiła tego od zawsze.

*

Spędziła noc na kanapie. Ból w kolanie nie pozwalał jej zasnąć, ale nie przeszkadzało jej to; wołała być przytomna, gdy tamci tu dotrą. Kiedy nad ranem zrobiło się jasno, otrzymała wiadomość od Gunnhild z pytaniem, czy czegoś nie potrzebuje.

Ragna zastanawiała się nad agentem w kuchni. Nie chciała, żeby to Gunnhild tu przyszła. Musiał przyjść ktoś inny, mężczyzna, kilku mężczyzn, ludzie, którzy nie straciliby panowania nad sobą, którzy działaliby zgodnie z ustaloną rutyną, którzy już wiele razy trafiali do takich kuchni. Odpisała, że ma to, czego potrzebuje, że chce tylko leżeć spokojnie i odpoczywać. W końcu i tak wstała, ciągnąc za sobą obolałą nogę, a potem znów przyszło jej czekać. Przesunęła fotel do okna, by od razu ich zobaczyć. Czasami płakała trochę na myśl o tym wszystkim, co ją czeka, o tym wszystkim, co będzie musiała wyjaśnić bez głosu. Innym razem ogarniało ją zmęczenie, wtedy kuśtykała z powrotem na kanapę, a kiedy zapadał zmierzch i nikt nie przychodził, kładła się spać. Chciała, żeby był już wtorek, wtedy na pewno przyjdą. Nie jadła i nie piła, stała się bezsilna w sposób, który przypominał jej upojenie alkoholowe. Unosiła się i opadała, unosiła się i unosiła, szumiało jej w uszach. Myślała o dwóch serwetkowych łańcuchach, widziała je tak wyraźnie w swoim umyśle i cieszyła się, że jej mózg zachował to ważne wspomnienie. Pomyślała o pustym mieszkaniu przy Landsberger Allé, gdzie Rikard Josef już nie mieszkał. Pomyślała o małym złodzieju pomarańczy, którego spaliła na stosie, spaliła wszystkie jego kopie. Kto był winny jego kradzieży, czy to w ogóle była czyjaś wina, kto był winny i co było winne, i co zrobić z poczuciem winy, czy można je zmyć lub wybaczyć, czy to tylko powłoka, która na zawsze do niej przylgnie? Po długich chwilach odpoczynku ponownie wstała i usiadła przy oknie, cierpliwa jak starszuszka, która nie ma na co czekać poza śmiercią. Ruch na zewnątrz płynął nieprzerwanym strumieniem, nikt nie zatrzymał się przed jej domem, zatrzymał się tylko agent, który nie miał dobrych zamiarów. Przez całe życie patrzyła na świat przez to okno. Kiedy była mała,

stawała na stołku, by sięgnąć w górę, obraz był zawsze taki sam. Tylko w innych kolorach. Latarnia na dole wciąż była zapalona; w ten sposób pomocnicy znajdą drogę do jej domu, pomyślała. Zada-
dzą jej różne pytania. Twoje pierwsze wspomnienie. Tata, odpowie. Widział mnie bardzo wyraźnie. Widział też wszystkich innych, sępy. Drapieżniki. Tata zawsze się bał. Umarł ze strachu. Ja też umrę ze strachu i to dobrze, bo wtedy skończę w kieszeni taty, nad jego ser-
cem, tam właśnie chcę iść. A mama? Co pamiętasz w związku z nią? Zawsze wstawiała wcześnie, na długo przed nami, musiała zacząć działać jak najwcześniej. Każdego ranka upinała swoje długie włosy, codziennie się ubierała, musiała zarządzać wieloma sprawami. Wszyscy ci, którzy przychodzili do naszych drzwi, ci, którzy konfron-
towali ją ze wszystkim, z czym nie mogliśmy sobie poradzić, ze wszystkim, z czym zmagala się nasza mała rodzina. Nasze zobowią-
zania, rachunki, podatki, które nie zawsze były płacone. Rikard Josef i jego wychowanie, choroba taty. Czasem przychodzili i zabierali go, zabierali go bez słowa. Nie był duży i silny, był chudy jak szkapa. Nie jadł dużo, miał ważniejsze rzeczy do zrobienia. Dlaczego po niego przychodzili? – zapytają. Ponieważ wiedział tak wiele i rozumiał tak wiele, miał swoje własne jasnowidzenie, widzenie, które reszta z nas odrzuca, ponieważ nie możemy przyjąć wszystkiego, musimy trochę oszukiwać, dla innych i dla siebie, dostosowywać się i kontynuować, pokój nie może być zbyt duży i zbyt jasny, wtedy tracimy kontrolę. Ale mój tata wyszedł na ulicę i wziął to wszystko na siebie, więc go zabrali. Widzieli tylko szalonego człowieka, który kręci się po dro-
dze, aby zatrzymać ruch.

To ja go znalazłam, powie. Powiesił się w pozycji siedzącej na uchwycie szafki, miał na sobie tylko stare majtki. Jego nogi były

czarne jak atrament, krew ściekła w dół. Siedział przygarbiony z brodą na piersi, wyglądał, jakby się modlił, ale wiem, że się nie modlił. O czym wtedy myślałaś? – zapytają. Że miał rację. Wszyscy mamy powody, by bać się życia. Każdego dnia. Tylko nie jego końca i nie tego, co będzie po nim.

Po tym długim ciągu myśli doszła do siebie. Wydawało jej się, że słyszy coś z kuchni. Dźwięki przypominały drapanie, które czasami słyszała w nocy, ze strychu, kiedy myszy szurały po podłodze. Gdyby tylko mógł tam zostać, nie miała już siły. Mimo to, kulejąc, przeszła kilka kroków do plandeki. Chwyciła jeden z rogów i uniosła go na bok. Agent miał otwarte oczy. Wpatrywał się w coś odległego, czego nie mogła dostrzec. Pomyślała, że to pewnie Tysiącletnie Królestwo, że w końcu znalazł miejsce, do którego chciał się udać. Ale jeśli tak było, jeśli wpatrywał się w Tysiącletnie Królestwo, to nie mogło to być piękne miejsce. Agent wyglądał na niemal przerażonego, rozczarowanego i przerażonego. Ostrożnie odłożyła plandekę, ponownie pomachała do kamery, aby zasygnalizować im, że wciąż czeka, wskazała na korytarz, aby pokazać im, że drzwi są otwarte. Potem znów odpoczęła chwilę na kanapie. Czowała, że jej ciało czegoś potrzebuje, jedzenia i wody, ale nie dała rady po to pójść. Unosiła się ku sufitowi, lekka jak piórko. Mogliby przyjść i ją zabrać, zamknąć, o ile zorganizowaliby to tak, aby znaleźć jej syna i przekazać mu wiadomość. Od czasu do czasu wychodziła na korytarz, by upewnić się, że drzwi nie są zamknięte na klucz, otwierała je i spoglądała na ulicę, po czym ponownie zamykała. Na jej telefonie pojawiła się wiadomość; to znowu Gunnhild. Tym razem nie zwracała sobie głowy odpowiedzią. Nie patrzyła już na zegarek, ale zdawała sobie sprawę, że światło słabnie i zapada ciemność, a potem znów robi się jasno, i tak

w kółko, dni mijają. Prawdopodobnie była środa albo czwartek. Język urósł jej w ustach, bolało ją nie tylko kolano, ale wszystko. Przed oczami migotało jej światło, jak jarzeniówka tuż przed zgaśnięciem. Poszła do łazienki i szukała paracetamolu, ale znalazła tylko apodorm. Jakie to miało znaczenie, że będzie spała, kiedy przyjadą? Po prostu ją spakują i wyniosą. Tak bardzo chciała być wyniesiona. Wycisnęła tabletki z folii, znalazła kolejny blister, kontynuowała w ten sam sposób, aż miała całą garść.

Zdała sobie sprawę, że leży na dnie łodzi, wokół było tylko morze. Kołysała się w przód i w tył w długich, powolnych falach, jej ciało uderzało o zakrzywione ściany łodzi, czasem delikatnie, czasem mocno. Nie, to było coś innego. Ktoś krzyczał i potrząsał nią, chciała odpowiedzieć, ale jej usta były tak suche, że nie mogła ułożyć słów. Emocje odpłynęły z niej jak krew.

Chciała po prostu zostać sama w tej kołyszącej się łodzi. Ale rozmówca nie przestawał, głos był blisko jej ucha, czuła też jego oddech, było jej gorąco.

– Ragna! Obudź się!

Próbowała otworzyć oczy. One też były suche. To były znajome słowa, pomyślała, obudź się! Słyszała je wcześniej, czytała je wcześniej. W końcu mogła coś zobaczyć, na razie tylko własną rękę, którą chwiejnie podniosła do twarzy.

– Uderzyłam się w kolano – wyszeptała.

– Zemdląłeś? – To był głos Gunnhild.

Ragna zdała sobie sprawę, że leży na podłodze i jest w samej koszuli nocnej.

– Jest w kuchni – wyszeptała.

– Co? Chyba trzeba wezwać lekarza.

– Nie, nie trzeba. On nie żyje.

Przez chwilę było cicho.

– Nie Rikard, prawda? – dopytywała Gunnhild. – Czy coś się stało Rikardowi, czy ktoś dzwonił z Berlina?

Ragna oddałaby rękę za krzyk. Krzyk z głębi jej ciała, krzyk, od którego pękałyby szyby. Ale mogła tylko powtarzać szeptem:

– Myślę, że nie żyje. Pewnie go czujesz.

Gunnhild z wahaniem poszła do kuchni i została tam przez dłuższą chwilę. Ragna sama przeczołgała się przez podłogę do sofy, chwyciła ją i podniosła się. Gunnhild wróciła, z ręką na ustach i oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

– Kto to zrobił? – zapytała.

– Ja.

– Nie – odpowiedziała przerażona Gunnhild.

– Tak. Musiałam.

– Zabiłaś go?

– Chyba tak.

Gunnhild opadła na fotel Ragny.

– Ale dlaczego?

Nie otrzymała odpowiedzi. Podeszła do telefonu stacjonarnego, by zadzwonić. Musiała podać swoje imię i nazwisko, wyjaśnić, że jest pod adresem Kirkelina 7 i że chodzi o morderstwo. Potem podeszła do okna i spojrzała na drogę, otworzyła drzwi werandy i wpuściła lodowate powietrze.

Ragna podniosła się na łokciu.

– Uwierzyli ci? – wyszeptała.

– Kto uwierzył?

– Policja.

– Oczywiście, że mi uwierzyli. – Gunnhild wyglądała na zdezorientowaną. – Dlaczego mieliby nie uwierzyć? Kim on jest? – zapytała.

Ragna usiadła wyprostowana na sofie, opierając się o poduszkę.

– W ogóle go nie znam.

– Ale... dlaczego on tu przyszedł?

– Nękał mnie przez całą jesień.

– Nękał cię? Dlaczego?

– Nie wiem.

Gunnhild ponownie spojrzała na drogę.

– Przyszedł tu po ciebie?

– Myślę, że tak – odparła Ragna. – Jak szybko tu przyjadą?

– Nie zajmie im to więcej niż dziesięć minut – powiedziała Gunnhild – pewnie właśnie przejeżdżają przez most. Nie wolno nam niczego dotykać – dodała. – Dotknęłaś czegoś?

– Mieszkam tutaj. Oczywiście, że dotknęłam.

Gunnhild podeszła do sofy, znalazła koc i ostrożnie rozłożyła go na kolanach Ragny.

– Ale dlaczego do nikogo nie zadzwoniłaś?

– Próbowałam kilka razy, ale nikt nie przychodził. Nie zdajesz sobie sprawy, jak to jest.

Gunnhild ponownie podeszła do okna, tak jak Ragna robiła to przez całą jesień.

– Nie mogę złapać Rikarda – poskarżyła się Ragna.

– Dlaczego?

– Nie mogę nikogo znaleźć. Wszyscy są dla mnie straceni.
– Chyba nie wszyscy, prawda?
– Walther – wyszeptała. – Mama i tata. Rikard Josef. William. I Irfan.

– Irfan?

Ragna wskazała na okno.

– Miał sklep po drugiej stronie ulicy. Każdego dnia chodziłam tam na zakupy.

– Brałaś coś? – zapytała Gunnhild. – Jakies leki? Dlaczego powiesiłaś ten znak przy drzwiach, przecież nigdy nie miałaś psa, prawda?

– Ale ty jesteś upierdliwa – odparła Ragna. A potem długo płakała. Czas znów zaczął płynąć, spojrzała na zegar ścienny i zobaczyła, że wskazówka sekundowa przesuwa się do przodu.

*

– Jeśli jest coś później – powiedziała Ragna Riegel. – Jak pan myśli, co to takiego?

– Po śmierci? Po śmierci nie ma nic – odparł Sejer.

– Ale jeśli – powtórzyła. – Tak hipotetycznie. Czego by pan chciał?

– Nie chcę niczego po śmierci – orzekł Sejer. Po tych słowach nastąpił uśmiech, który Ragna odwzajemniła.

– Musi być ktoś, za kim pan tęskni – nie ustępowała, spoglądając na portret Elise.

– Wiele jest takich osób. Nigdy więcej ich nie zobaczę.

– Ale gdyby ich pan zobaczył... czy nie byłby pan wtedy szczęśliwy?

– Nigdy nie byłem szczególnie zainteresowany szczęściem.

- Jest pan taki uparty.
- Pani również.
- Więc czym się pan teraz zajmuje? – dopytywała.
- W tej chwili panią.

Uśmiechnęli się do siebie ponownie. Zawarli tajny sojusz. Sejer był jak góra, nieporuszona skała. Ale widziała też coś innego, widziała to za każdym razem, gdy zerkał na Franka przy oknie. Widziała uczucie między wysokim policjantem i tym grubaskiem.

- Bardzo lubi pan Franka, bo nie może mówić?

- Może i tak – musiał przyznać Sejer. – Muszę użyć wszystkich zmysłów, by się dowiedzieć, czego chce i czego potrzebuje. Kiedy odejdzie, zapamiętam tylko jego oczy i zapach. Ale kiedy ludzie wokół nas umierają, pamiętamy głos.

- Za dużo jest gadania między ludźmi – rzuciła Ragna. – Słowo nabrało przesadnego znaczenia.

- W ten sposób rozwiązujemy problemy – wyjaśnił Sejer.

Ragna przypomniała sobie coś, co kiedyś widziała podczas spaceru.

- To było krótko po mojej pechowej operacji – wyjaśniła – szukałam sposobu na przetrwanie, musiałam pogodzić się z tym, co się stało. Wałęsałam się więc samotnie po ulicach w szary dzień, co mi nie pomogło, tylko pogłębiło żal. Za wszystko, co straciłam na zawsze. Spacerowałam ulicami, a odległość między domami stawała się coraz większa. W końcu znalazłam się na wiejskiej drodze, na której ruch był niewielki. Po chwili minęłam padok z dwoma końmi, brązowym i czarnym. I właśnie wtedy, gdy na nie patrzyłam, zaczęło padać. Nie był to przyjemny letni deszcz, ale ulewa, która przerozdziała się w oberwanie chmury. Skuliłam się przed ogrodzeniem elek-

trycznym. Deszcz padał tak gęsto i mocno, że smagał moje ramiona jak bat. Nie miałam nic, ani płaszcz przeciwdeszczowego, ani parasola, nie było gdzie się schronić, więc stałam nieruchomo, myśląc, że strasznie zmoknę. Ale wciąż patrzyłam na konie, bo coś się z nimi działo. Najpierw uniosły głowy, jakby w stronę deszczu. Potem powoli zbliżyły się do siebie, a brązowy położył swój ciężki łeb na grzbiecie czarnego. Następnie stanęły blisko siebie, tak blisko, jak tylko dwa duże, parujące zwierzęta mogą się zbliżyć. Było w nich coś tak prostego i szczerego, coś całkowicie naturalnego. Tak, pomyślałam, na świecie jest naprawdę za dużo gadania. Lepiej to pokazać. Odwróciłam się więc i wróciłam do domu, całkiem zadowolona.

– A co pani myśli o tym, co będzie dalej? – zapytał Sejer.

– Mam tak wiele myśli o śmierci – odpowiedziała. – Są ludzie, którzy postrzegają śmierć jako osobistą zniewagę.

Szybko uśmiechnęła się na myśl o czymś, co kiedyś przeczytała.

– Jeśli pewnego pięknego dnia, po długim życiu i wielu zmaganiach, w końcu stanę się nieważka i zawisnę w przestrzeni, nie wiedząc, gdzie jest góra, a gdzie dół, nie widząc ani nie słysząc, bez wiedzy, jak długo będę tam wisiała, i nie rozumiejąc, dlaczego tam wiszę, nie wiedząc już, kim jestem, wtedy chyba będę martwa. A ponieważ będę martwa, będę wolna. Ale potem, być może po kilku latach albo po tysiącach lat, jakaś arogancka siła twórcza przyjdzie i zabierze moją wolną duszę z wieczności i zmusi ją do przyjęcia nowego ciała z krwi i kości. I nie wiem, czy sobie z tym poradzę.

Znów stali się sojusznikami. Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił ten uśmiech.

– Ale dlaczego wiewiórka? – zapytał.

– Tak, wiewiórka – wyszeptała. – To piękna bajka. Taka, jaką ojciec powinien opowiedzieć swojemu dziecku. Co jest o mnie w gazetach? – zapytała nagle. – Czy sprawa ma swoją nazwę? Wszystkie duże sprawy mają nazwę. Może nadano mi pseudonim. Chcę wiedzieć jaki.

Sejer potrząsnął głową.

– Sprawa Riegel? – zasugerowała.

– Nie.

– W takim razie musi być coś związanego ze Świadkami – stwierdziła. – Sprawa Jehowy. Albo zabójstwo świadka Jehowy.

– W nadchodzących latach będzie pani mieć dużo czasu dla siebie – powiedział Sejer. – W końcu będzie pani miała dostęp do wiadomości. Teraz zadam pani ważne pytanie. To samo pytanie zostanie zadane w sądzie w czasie rozprawy. I będzie się pani długo zastanawiać, zanim pani na nie odpowie.

– Dobrze.

– Kiedy Bennet wszedł do kuchni i usiadł przy stole, a wkrótce potem zaczął swój wywód... Czy czuła pani, że pani życie jest zagrożone?

Myślała przez długi czas, tak jak ją o to poprosił.

– Chciałam tylko, żeby prześladowania się skończyły.

– Czy czuła pani, że pani życie jest zagrożone? Tak lub nie.

– Nie byłam pewna, czego się spodziewać.

– Więc chciała pani uprzedzić jego działania?

– Chciałam bezpieczeństwa.

– To zamierza pani powiedzieć przed sądem? Że zabiła pani Benneta dla poczucia bezpieczeństwa?

– Odpowiem najlepiej jak potrafię – jąkała się. – To było głupie z jego strony, że przyszedł sam. Jehowi nigdy nie chodzą sami.

– Ten drugi odwołał spotkanie – powiedział Sejer. – Bennet był sumienny.

– Mógł to powiedzieć – mruknęła. – Wszedł do mojej kuchni i powiedział, że umrę.

– A kiedy w końcu go pani powstrzymała, niezależnie od jego intencji. Co wtedy pani pomyślała?

– Myślałam o was – przyznała.

– O nas? O policji?

– Spojrzałam na to, co leżało na podłodze. I wiedziałam, że w końcu będziecie musieli przyjść.

*

Drogi Rikardzie Josefie!

Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, jak trudne może być ustalenie prawdy? Ostatecznej, całkowicie poprawnej i najdokładniejszej wersji jakiegoś wydarzenia? Albo jak trudno odpowiedzieć poprawnie na pytania lub wiedzieć coś na pewno? Czy w ogóle można być całkowicie prawdomównym? Oczywiście, że nie. W momencie, gdy myśl zostaje pomyślana, iskrzy w mózgu i sygnał przenosi się dalej, pojawia się jako słowa, zabarwione długą podróżą z głowy do ust. Zabarwione strachem i przypuszczeniami oraz chęcią pokazania się w dobrym świetle, gdy ktoś został o coś oskarżony. Czasami wydaje mi się, że wszystko, co przydarzyło mi się przez lata, miało miejsce pod wodą. Ilekroć myślę o ludziach, których znałam, ich twarze przypominają blade ukwiały unoszące się w prądach oceanu. Być może wciąż jestem pod wodą. Wszystko dzieje się tak po-

woli. Rzeczywistość jest widoczna tylko jako migotanie słońca, które nie przenika przez powierzchnię morza.

Sejer pyta, a ja odpowiadam najdokładniej, jak potrafię. Dokładnie tak było, mówię, oto moje myśli i obawy, teraz ubieram je w słowa i czuję się dobrze. Później, w celi, przy biurku pod oknem, myślę, że powinnam była odpowiedzieć inaczej. Prawdziwiej. Lepiej. Czy naprawdę tak było, ile w tym mojej własnej fikcji, moich żałośnych prób przypisania sobie winy? Ale mimo wszystko spróbuj wyobrazić sobie prawdę, Rikardzie, spróbuj znaleźć kształt lub dźwięk. Czy myślisz, że rozpoznamy ją, w ten sam sposób, w jaki rozpoznajemy kłamstwo? Kłamstwo brzmi jak gwoździe grzechoczące w pudełku. Ale prawda, jak sądzę, jest jak szum, jak fala oblewająca plażę. Prawda prowadzi nas do wysokiej bramy, a gdy przyznamy się do wszystkiego, gdy zaakceptujemy winę i wyłożymy wszystko na stół bez uchylenia się, brama otworzy się i będziemy mogli przejść do lśniącego światła. Po przejściu, po wyznaniu wszystkich win, jesteśmy nietykalni. Być może nadzy, ale nietykalni i czyści. Co odpowiedziałeś, gdy pytali cię podczas przesłuchania o wszystkie pieniądze, które zdefraudowałeś, czy długo opowiadałeś o tym, jak trudno ci było? Że czułeś, że musisz opuścić Kirkelinę, bo miałaś tak wielkie marzenia, że przyjechałeś do Berlina i nagle zostałeś sam w obcym świecie, gdzie byłeś narażony na pokusy, którym nie mogłeś się oprzeć, być może z powodu hazardu lub narkotyków? Nawet najlepsi ludzie o nieskazitelnej moralności marzą o szansie, która zmieni ich życie na zawsze, może błogosławieni są ci, którzy nigdy jej nie znajdują. Czy mówiłeś, że stałeś się niewolnikiem, że musiałeś służyć potężnemu panu, czy po prostu odpowiedziałeś, że znalazłeś się w sytuacji, którą można opisać tylko jako okazję nie do odrzucenia?

Można powiedzieć, że byłem chciwy, że jestem zwykłym złodziejem. Być może nie odpowiedziałeś w ten sposób. obrońca włożył słowa w twoje usta, doradził ci szczegóły, a ty go posłuchałeś. Ja wybrałam już sobie obrońcę. Oczywiście załatwimy najpierw wszystkie formalności, jest wiele informacji do przekazania, ale od początku jasno powiedziałam, że jestem winna. Że ani troszkę nie zależy mi na uniewinnieniu ani na tym, by wyrok był jak najniższy. Interesuje mnie tylko zrozumienie. Sąd powinien zobaczyć drogę, którą krok po kroku przeszłam, powinien zdać sobie sprawę, że nie było innego wyjścia. obrońca czuje się niedoceniany, jak mówi, niemal do granic możliwości. Ale ja nawet nie poprosiłam o obrońcę. Co prawda nie mam głosu, ale przez lata dobrze sobie radziłam. Patrzę na ludzi, wiesz, jestem jak pies, mam takie spojrzenie, a ci wrażliwi natychmiast odbierają moje sygnały. Inspektor też. Jedna osoba wystarczy, Rikardzie. Jeśli jest jedna osoba, która chce słuchać, tylko jedna osoba, która jest w stanie mnie zrozumieć bez osądzania, to uważam to za przywilej, którego prawie nikt nie dostaje. Wybrałam Sejera. Kiedy nadejdzie dzień i chwila, w której będę musiała wstać i wytłumaczyć się w pomieszczeniu, w którym prawie nikt nie usłyszy moich słów, więc będą musiały przejść przez system nagłośniający, wtedy będę zwięzła i przyjmę to, co dostanę. Tę celę o powierzchni ośmiu metrów kwadratowych, z której mogę obserwować niebo i wszystko, co się na nim dzieje. Od czasu do czasu suną po nim chmury lub przelatują ptaki. Chciałabym być częścią takiej formacji, na trzecim miejscu po lewej. Podążać za silnym liderem w drodze do cieplejszych miejsc. A deszcz, Rikardzie, niech pada, pamiętaj, że każda kropla, która spadnie, była pięknym kryształem śniegu kilka kilometrów wyżej, gdzie zawsze jest zimno.

Kiedyś, wiele lat temu, zanim się urodziłam, pojechaliśmy z mamą do Londynu. Tej wiosny tata był w szpitalu, mama była zmęczona. Kiedy był pod czyjąś opieką, mogła odpocząć i wziąć wolne, wiedziała, że zostawia go w dobrych rękach. Wtedy też stała się jak młoda dziewczyna, spacerowałyśmy ulicami i patrzyłyśmy na miasto i ludzi, ramię w ramię jak dobre przyjaciółki. Poszłyśmy do teatru, na targ i do gabinetu figur woskowych, mogłabym spacerować ulicami Londynu bez końca. Nie miałyśmy żadnych zmartwień, wszystko, co spadało z nieba, przyjmowałyśmy z dobrym humorem, a padało codziennie. Ale zamiast skulić się razem lub szukać schronienia, podnosiłyśmy twarze ku kroplom deszczu i delectowałyśmy się tym wszystkim. W dniu, w którym wracałyśmy do domu, pojechaliśmy pociągiem na Heathrow i stałyśmy do kontroli, grzebiąc przy naszych bagażach. Nagle i bez ostrzeżenia zostałyśmy wyciągnięte z kolejki i odsunięte na bok. Dwóch autorytatywnych celników chciało, abyśmy przeszły przez skaner. Mama i ja zachichotałyśmy nerwowo, ale nie miałyśmy nawet kostki cukru, tylko kilka rzeczy, które kupiłyśmy na Camden Market, plastikową i szklaną biżuterię i trochę używanych ubrań. Potem stałyśmy tam po kolei, skręcając się i obracając wewnątrz tej wielkiej maszyny, z wyciągniętymi ramionami, podniesioną głową i rozstawionymi nogami, i pamiętam, że widziałam dziwny obraz siebie na dużym ekranie, świecąca, pomarańczową postać, obcą wersję mojego własnego ciała, rozebrana i oświetlona w dziwny sposób. To było takie wyzwalające, gdy ktoś zobaczył, co mam w środku. Dobrze było tam stać, nie miałam nic nielegalnego, żadnych tajemnic. Kiedy mama również przeszła przez skaner i w końcu mogłyśmy iść ramię w ramię do samolotu, śmiałyśmy się jak dwie rozhisteryzowane nastolatki. Obie byłyśmy

w euforii. Nigdy nie zapomnę tej chwili, nauczyła mnie, że prawda świeci, szczerść emanuje własnym światłem. Ludzie widzą nas aż do kości i to jest wyzwalaające. Nic nas tak nie przeraża, ale też nic nie jest tak przyjemne, jak moment, gdy pozwalamy się zobaczyć. Stoję teraz w tym skanerze, jestem półprzezroczysta. Kręcę się i obracam tak, że wszystko jest widoczne, wszystko, co stało się jesienią. Wszystko, co wydarzyło się w domu na Kirkelinie, musi wyjść na jaw.

Wiesz, co mi się śniło zeszłej nocy? Że masz gdzieś małą dziewczynkę, o której nie wiesz. Że miałeś kiedyś dziewczynę, rozstaliście się, a potem urodziła dziecko, nie mówiąc ci o tym. Małe dziecko mieszkające gdzieś w Berlinie, bez ojca i bez babci, a jeśli tak jest? Niektórzy ludzie są prawdziwymi jasnowidzami, a ten sen był tak realny. Jak myślisz, jak ma na imię, Rikardzie, może coś popularnego w Niemczech? Helga, Hildegarda czy Heidi? Gdyby tak było i nagle byś się o tym dowiedział, byłbyś szczęśliwy?

*

Liebe Mutti!

Nie mam nigdzie żadnej dziewczynki. Ani chłopca, nie chcę, żebyś marzyła o takich rzeczach. Nie chcę, żeby moja krew płynęła w czyichś żyłach. A gdyby było tak jak w Twoim śnie, nie chciałbym, żeby ta dziewczynka wiedziała o Tobie lub o mnie. Oboje jesteśmy w więzieniu, na litość boską! Nasza gałąź zostanie odcięta, wszystko skończy się wraz z nami.

Walther prawdopodobnie żyje w Sztokholmie swoim życiem, o którym nic nie wiemy, może nie żyje, może już dawno go nie ma. Co mnie to obchodzi, nigdy nie miałem ojca.

Wczoraj przyszedł do mnie ksiądz i długo rozmawialiśmy o wielu sprawach. Uderzyło mnie, że księża przemyśleli większość rzeczy, mają odpowiedź na każdą okazję, a jeśli im jej zabraknie, mogą sięgnąć po Pismo Święte. Jeśli nawet tam nic nie znajdą, twierdzą, że nasze mózgi nie są wystarczające, aby zrozumieć długoterminowy plan Boga.

Nie myśl za dużo, napominają nieustannie, nie kwestionuj każdego wydarzenia. Rozkoszuj się tym, co masz teraz. Twoja cęła i światło wpadające przez okno. To, że twoje serce bije i jest pełne dobra. Wiem, że jest tam dobro.

Przez chwilę kusilo mnie, by wspomnieć o Peterze. Może powinienem spojrzeć w te kapłańskie oczy i powiedzieć mu wprost, że jedyna rzecz, której on sam nigdy nie był w stanie zrobić, to poddanie się. Peterowi, którego czci i przypuszczalnie pragnie. Tych dwóch nigdy się nie odnajdzie, ani tutaj w więzieniu, ani na wolności. Będą zamknięci do końca życia w osobnych szafach. Ale reszta z nas chodzi tu po korytarzu i patrzy na nich z krzywymi uśmiejami, myślę, że muszą czuć się widziani, przejrzeni i zagrożeni. Obaj płoną jak pochodnie, rozumiesz? Prawda, świetlista prawda, o której piszesz, wpada tutaj do korytarza jak promienie słońca, gdy idą obok siebie, dojrzały i młody człowiek, najwyraźniej w drodze na ważną rozmowę. Można to wyczytać na ich twarzach i w ich oczach, niebieskich księdza i brązowych Petera. Ale powinnaś też zdać sobie sprawę, że prawda zabija, tak jak robiła to od niepamiętnych czasów. Oczami wyobraźni widzę Petera padającego na kolana i wyznającego miłość księdzu, który czuje się zmuszony go odrzucić, ze względu na swój status. Jest katolikiem. Następnie funkcjonariusze znajdują Petera w celi. Powieszzonego. To się już zdarzało, to się zdarza cały czas,

wiesz, o czym mówię. Ale mam, nie mam małej dziewczynki. Powiedziałbym ci, gdybym miał. Czy sprawiłoby Ci to przyjemność? Czy dałoby Ci to poczucie celu w życiu, którego podobno Ci brakuje? Więc po raz kolejny głęboko Cię rozczaruję. Porzuciłem Cię i nigdy nie dam Ci wnuka.

Nadal nic nie wiem. Dlaczego cię zamknęli, obraziłaś kogoś, straciłaś panowanie nad sobą? Mieszkam tu w Berlinie od dwunastu lat i życzę Ci jak najlepiej. Ale jest wiele rzeczy, które teraz we mnie wybuchają, wspomnienia z czasów, gdy byłem małym, a potem nieco starszym chłopcem, który zaczął trochę rozumieć, a potem nastolatkiem, który zdecydował się uciec. Wybrałem najbardziej tchórzliwy sposób rozwiązania problemu i nie jestem z tego dumny. Może Ty też coś pamiętasz, a może próbujesz zapomnieć. Ale gdy zadzwonił inspektor i wyjaśnił, że zostałaś aresztowana za poważne przestępstwo, to było tak, jakby ktoś otworzył we mnie pokój, który był zamknięty od lat.

Chcę Cię zapytać o wiele rzeczy.

Czy pamiętasz, jak podrzucałaś mnie do przedszkola? To było latem, spędzałem tam pół dnia, byłem tam od pierwszej do piątej, gmina płaciła. Ale jednego dnia mnie nie odebrałaś. Musieli dzwonić, dzwonili kilka razy. Babcia była z dziadkiem w szpitalu, ze zrozumiałych względów nie mieliśmy kontaktu z sąsiadami. Kiedy czekałem, bawiłem się w dużej łodzi, pamiętasz, tej z piracką flagą i małą kabiną. Często siedziałem w tej kabinie i patrzyłem na świat przez okrągłe okno, czułem się tam tak bezpiecznie. Nie byłem duży, ale pamiętam wszystko tak wyraźnie, spojrzenia dorosłych, ich szepty, uniesione brwi. Często rozmawiali ze sobą w ten sposób, przyciszonymi głosami. Pozostałe dzieci zostały po kolei odebrane,

samochody wyjechały z parkingu i zniknęły, a na placu zabaw zapanaowała cisza. Dorośli zastanawiali się, co ze mną zrobić, z kim się skontaktować. A ja siedziałem cicho w kabinie i gdyby zapytali mnie, czego chcę, błagałbym ich, żeby pozwolili mi wrócić do domu z innym dzieckiem, na przykład z Britt, która była taka miła. Spać z nią w jej łóżku, w domu, który nie serwowałby żadnych nieprzyjemnych niespodzianek. Ale nie pytali mnie, czego chcę. Po prostu chcieli się mnie stamtąd pozbyć, wracali do domu, do swoich dzieci. Ale w końcu i tak przyszedł. Nagle stanęłaś w drzwiach oddziału i miałaś na sobie tylko bieliznę i stare kalosze. Wyszedłem z łodzi rybackiej i przeszedłem przez trawnik, a ty patrzyłaś na mnie szklanymi oczami, jakbym był obcy. „Kogo mam odebrać? – zapytałaś. – Czy ktoś pyta o mnie?”

Piszę to teraz ze łzami w oczach. Zadaję sobie pytanie, do czego to doprowadzi, gdy przypomnę Ci o wszystkich trudnych rzeczach, gdy jesteś teraz w tak okropnej sytuacji. I potrzebujesz czegoś zupełnie innego. Mimo to kontynuuję. Ten incydent wybrałem losowo, mam wiele takich historii, morze dziwnych wydarzeń, które sprawiły, że byłem przerażony i zdezorientowany. Tak jak Ty byłaś przerażona i zdezorientowana, podobnie jak dziadek. Dzieci w szkole pytały mnie, co się dzieje w domu wariatów na Kirkelinie. Albo krzyczały za mną, że widziały moją mamę nago. Albo wytykały palcami, śmiały się i krzyczały, bo widziały mojego dziadka w korku, jak tam stał, chodził i wariował, dopóki nie przyjechała policja i go nie zabrała. Wszyscy zgina, krzyczał, wszyscy zgina! Nie spałem dobrze, mam. Cały czas się bałem. Spodziewam się, że to rozumiesz.

Babcia zawsze była taka zmęczona. To był strach, że Ty i dziadek zostaniecie zamknięci, że opieka społeczna przyjdzie po mnie i zo-

stanę oddany do domu obcych ludzi, a ona znów zostanie sama. W swój heroiczny sposób udało jej się utrzymać rodzinę razem, udało jej się sprawić, byśmy wyglądali jak najlepiej, gdy przyszli z niezapowiedzianą wizytą, i zapewniła ich, że ma kontrolę nad wszystkim. Kiedy myślę o babci, czuję ciepło, ale też smutek. Nie miała własnego życia, miała z nami tyle problemów. Wstawałem z nią, wiesz, zawsze bardzo wcześnie, musiała mieć więcej czasu, zawsze zaczynać przed wszystkimi. Siadałem na progu łazienki i patrzyłem, jak układa swoje długie włosy, zapinając każdą spinkę z rutyną i perfekcją, aż jej srebrnoszare loki zostały zebrane w ciężki węzeł. Nigdy nie spieszyła się z ubieraniem, zawsze sukienka lub garsonka i zawsze schludne buty, gdy wchodziła do pokoju, od razu stała się autorytetem, było mi to bardzo potrzebne. Podobał mi się ten moment w łazience, był bezcenny. Byliśmy tylko ja i ona, a w domu było cicho i normalnie. Dziadek jeszcze nie wstał, Ty też nie, szaleństwo jeszcze się nie zaczęło, byliśmy tylko ja i babcia. Nasze oczy spotykały się w lustrze. Uśmiechaliśmy się i mrugaliśmy do siebie w bardzo szczególny sposób, były pewne sygnały, które znaliśmy tylko ona i ja, nasz własny język. Byliśmy jedynymi osobami na świecie, które cokolwiek rozumiały. Nigdy nie rozmawialiśmy podczas tych chwil w łazience. W naszym domu nie było zbyt wiele ciszy; tylko o piątej rano mogłem wsłuchać się we własne myśli. Ona była królową, mamó. Ona była królową.

Więc jesteś w areszcie, Mutti. Nie zatrzymałaś ruchu na Kirkelinie, nie wieszczyłaś śmierci i zniszczenia wszystkim ludziom, nie stałaś na placu i nie krzyczałaś. Nie włóczyłaś się po ulicach w samej bieliźnie. Unicestwiłaś coś lub kogoś. Tu w celi moja wyobraźnia jest dość szalona. Zawsze się tego bałem.

Pozdrowienia

Rikard Josef.

*

Drogi Rikardzie Josefie!

Co mogę Ci powiedzieć, poza tym, że jestem zdrowa! Byłam zdrowa przez długi czas, ale nie zostałeś ze mną, odszedłeś. Rok po roku radziłam sobie sama, pracując na cały etat, w dobrych stosunkach z kolegami i wszystkimi sąsiadami i sklepikarzem po drugiej stronie ulicy, chociaż teraz się wyprowadził. Ale tej jesieni byłam w stanie wojny. Padłam ofiarą zacieklego prześladowania i przez długi czas otrzymywałam anonimowe pogróżki. Kilka razy prosiłam policję o pomoc, ale nie zostałam wysłuchana, nikt się nie pofatygował w reakcji na moje zgłoszenie, nikt nie usłyszał tego, co powiedziałam. Teraz piszesz o wszystkim, co wydarzyło się dawno temu. To już przeszłość, nie ma sensu rozdrapywać starych ran, bo właśnie to teraz robisz. Chcę, żebyś pamiętał o wszystkim, z czym ja musiałam się zmagać, gdy byłam młoda. Twój dziadek i jego choroba, problemy finansowe, władze, które cały czas nas prześladowały. Panie z Urzędu do spraw Dzieci, które przychodziły niezapowiedziane do drzwi, które wchodziły do domu i zadawały dociekliwe pytania, sprawdzając, czy wszystko jest czyste, czy w szafkach jest jedzenie, a w szufladach ubrania. Zawsze były, nie zaprzeczysz. Nosłam Cię na rękach, nie pamiętasz? A wiesz, że byłam bardzo podatna na infekcje? W dniu, o którym wspominasz, kiedy odebrałam cię z przedszkola trochę za późno, miałam ponad czterdzieści stopni gorączki i byłam dezorientowana. To było obustronne zapalenie płuc i przez dwa tygodnie brałam silne antybiotyki. O tym też wiesz, że w naszej

rodzinie zdarzają się infekcje, że mamy kiepski układ odpornościowy, każda rodzina ma swoje słabości. Więc kiedy zadzwonili z przedszkola, szybko wyszłam, żeby zabrać Cię do domu, prawdopodobnie byłam zdezorientowana z powodu gorączki. Wiesz, jak bardzo miesza się w głowie, kiedy gorączka jest tak wysoka. Jedyną rzeczą, o której myślałam, było dotarcie tam przed urzędniczkami, wiedziałam, że obserwują nas sokolim wzrokiem, że zauważają każdy drobiazg i robią notatki. Wiesz, co często myślałam? Że pojechałeś do Berlina, bo się nas wstydziłeś. Wstydziłeś się mnie i dziadka, wstydziłeś się, bo nie było nas na wiele stać, chciałeś więcej. Byliśmy rodziną, którą nie chciałeś się chwalić. Jeśli tak myślałeś, chcę, żebyś to przyznał. Ta prawda mnie nie zabije, tak dla jasności. Najgorsza jest niewiedza. Ale teraz rozmawiamy, Ty i ja. Po prostu idźmy dalej i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

Twoja mama.

*

Mutti!

Uważnie przeczytałem Twoje słowa. Czytam je raz za razem i oczywiście mam nadzieję, że jesteś w dobrych rękach. Że widzą, czego potrzebujesz, i że masz zapewnione wsparcie, gdy Twoja sprawa zostanie rozpatrzona i zakończona, a wyrok wydany. I mam nadzieję, że go zaakceptujesz. Nie wstydziłem się, Mutti, ale byłem zmęczony i zdezorientowany. Szukałem roli w cyrku, jakim była nasza rodzina, ale nie mogłem jej znaleźć. Byłem na uboczu, dryfowałem, chowałem się po kątach. Dziadek był nieobliczalny, Ty żyłaś we własnym świecie, nigdy nie wiedziałem, czego się spodziewać. Skradałem się ostrożnie, wypatrując i nasłuchując, czy coś się nie dzieje,

silna burza, lawina czy trzęsienie ziemi. Dzwonek do drzwi zawsze mnie przerażał, wyobrażałem sobie, jak porywają mnie z domu silni mężczyźni i wrzucają do samochodu, a potem wiozą do obcych ludzi mieszkających w obcym domu, i że już nigdy nie zobaczę babci. A gdy był jeden z tych dobrych dni, dziadek biegał po ogrodzie, żeby zbierać promienie słońca, babcia zaś siedziała w cieniu i robiła na drutach. Podczas gdy Ty chłodziłaś się w plastikowym basenie, który zawsze mieliśmy pod ręką. Zawsze było ci tak ciepło. Ale nastrój mógł się nagle zmienić. Dziadek potrafił dostrzec zbliżający się z dużą prędkością układ chmur, który zacieniał ogród i obniżał temperaturę. Trzeba było podjąć środki zaradcze. Wszyscy musieli wejść do domu i schować się w łazience. Pamiętam wszystkie chwile, kiedy siedziałem na twardej podłodze, blisko babci, czekając, aż wszystko minie. Przedszkole, te kilka godzin, stało się moim azylem. Mała kabina w łodzi z okrągłym oknem, poczucie, że znalazłem swój własny świat, w którym byłem królem. Bezpieczni, przewidywalni dorośli, którzy nas widzieli i nam pomagali. To, co działo się w domu przy Kirkelinie, nie dotyczyło układu odpornościowego i wysokiej gorączki. Jako dziecko niewiele z tego rozumiałem, ale dorosłem. Teraz napiszę coś ważnego. Chcę, żebyś mi uwierzyła. Zawsze myślę o Tobie ciepło. O dziadku myślę ciepło, o babci też. Ale nie ja pierwszy opuściłem ukochaną osobę. To nieprzewidywalność stała się zbyt trudna, drwiący śmiech innych, życie z poczuciem, że wszystko może się zdarzyć, że może się zdarzyć w każdej chwili. Samotność i przewidywalność były lepszą alternatywą. Nawet jeśli dokonałem kilku złych wyborów. Tutejsi funkcjonariusze nigdy nie robią niczego pochopnie, mają swój własny sposób funkcjonowania i jest on taki sam z dnia na dzień. No i jest coś takiego w celi, że ściany trzy-

mają mnie w miejscu. Cela przypomina mi ciasną kabinę w łodzi rybackiej, gdzie byłem bezpieczny, patrząc na świat. Tak jak Ty patrzysz na świat przez okno swojej celi.

Ty również powinnaś czytać te słowa raz za razem.

Twój syn w Berlinie.

*

– To pani go znalazła, prawda? Pani tatę.

– Tak, to ja go znalazłam. Miał na sobie tylko stare majtki, nie były czyste. Spędzał dużo czasu w łóżku. Często słyszeliśmy jego głos jakby z radia w pokoju obok, leżał tam i czytał wiadomości. Wiadomości i alerty, które otrzymywał z zagranicznych kanałów, dla nas niedostępnych. Wiadomości od wroga. – Uśmiechnęła się krzywo. – Nie zawracał już sobie głowy porannym ubieraniem się i jedzeniem. Powiedział, że ma ważniejsze rzeczy do zrobienia i nie powinniśmy zawracać mu głowy drobiazgami.

– Ale pozwolono mu zostać w domu? – zapytał Sejer.

– Mama nalegała. Zdawała sobie sprawę, że nie zostało mu wiele czasu.

– Proszę mi opowiedzieć, jak to było – poprosił Sejer. – Jak umarł?

– Przeciągnął przewód lampy przez uchwyt szafki i powiesił się na siedząco. Musiało to trochę potrwać.

– Bała się pani? – zapytał Sejer.

– Byłam po prostu smutna. Wiedziałyśmy, dokąd to zmierza, mama i ja, byliśmy dobrze przygotowane. Ale powieszenie nie jest godną śmiercią, jeśli wie pan, co mam na myśli, nie jest to ładny wi-

dok. Na pewno pan rozumie, na pewno sam pan to widział. Nikt nie powinien tak wisieć, powinniśmy umierać na leżąco.

– Widziałem – przyznał. – Czy zostawił list?

– Nie list, tylko krótką wiadomość. „Feel free to laugh”.

Feel free to laugh? Sejer zdał sobie sprawę, że w głębi duszy żywi wielką sympatię do Hansa Riegla, ojca, którego nigdy nie poznał.

– Czy kiedykolwiek bała się pani, że odziedziczy pani chorobę ojca?

Ragna zmarszczyła brwi.

– Zauważyłam pewne objawy. Jest mi za gorąco, szczególnie w nocy. Może to coś z moją regulacją temperatury – dodała z uśmiechem – Jestem w tym wieku.

Sejer podjął kolejną próbę.

– Schizofrenia jest często dziedziczna. Pani ojciec cierpiał na schizofrenię paranoidalną. Czy to dziedziczne?

Odwróciła wzrok.

– Nie wiem zbyt wiele o takich rzeczach – mruknęła.

– Nie? Czy kiedykolwiek obawiała się pani, że choroba dotknie również panią?

W biurze Sejera zrobiło się tak cicho, jak nigdy wcześniej. Na drugiej linii telefonu zapaliła się lampka, drzwi zatrzasnęły się gdzieś dalej w korytarzu, samochód zatrafił na ulicy poniżej, dźwięki, które do tej pory nigdy do nich nie docierały.

– Nie jestem chora – powiedziała Ragna, nie patrząc na niego. Potrząsnęła głową. – Nie jestem chora – powtórzyła.

– Na początku było to tylko ostrożne podejrzenie – zaczął Sejer.

– Z kim pan rozmawiał? – zapytała szybko.

- Z pani lekarzem rodzinnym, Naperem. Ma pani długą historię, Ragno. Niektórzy powiedzieliby, że jest pani poważnie chora, od dłuższego czasu. Pani dokumentacja medyczna jest obszerna i sięga daleko wstecz. Aż do czasów nastoletnich.

- Nie chcę już z panem rozmawiać. - Przekręciła się na krześle. Podniosła prawą rękę, by go powstrzymać.

- Czy czuje się pani zagrożona?

- Mówię tylko, że się pan myli. Moja głowa - szepnęła, kładąc dłoń na czole - moja głowa jest czysta jak kryształ. Zawsze panował w niej porządek.

- Poza momentami, w których topił się pani mózg?

- To był koszmar. Nie można wykorzystywać moich snów przeciwko mnie!

- Proszę nie zapominać, że przeczytałem wszystkie listy z Berlina. Pani syn wyjechał nie bez powodu, prawda?

Znowu cisza. Nie byli już sojusznikami, nie nawiązywali kontaktu wzrokowego.

- Schizofrenicy często mają aparat sensoryczny, który wykracza poza to, z czym żyją inni ludzie - powiedział Sejer. - Zalew wrażeń, dźwięków, zapachów i obrazów może ich przytłoczyć. Ponieważ żaden filtr nie chroni ich przed światem, po prostu nie są w stanie uporządkować tego, co jest ważne. Co tak naprawdę wydarzyło się zeszłej jesieni, czy to panią przerosło, Ragno?

Wysunęła podbródek do przodu.

- Jestem zdrową osobą - stwierdziła. - Szczerze mówiąc, nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Coraz bardziej zamykała się pani w sobie. Zamknęła pani wszystkie drzwi i znalazła pani sobie ciemny kąt, gdzie nikt nie mógł

pani dosięgnąć. Bennet i tak dostał się do środka, aż do kuchni. Dobrze jest siedzieć w celi, tam jest pani bezpieczna. Nikt nie może pani tam dosięgnąć, nikt nie prosi o wyjście, a wrażeń jest niewiele. W takiej sytuacji wygląda pani na zdrową.

– Szczerze? – Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. – Co za wymysły!

– Musimy przez to przejść, Ragna. Najlepiej dla pani będzie, jeśli będzie pani grać zespołowo, proszę się teraz nie wycofywać. Zawsze starałem się podążać za panią, za tym, co pani myśli, jak działa i dlaczego. Musimy podążać tą ścieżką. Jeśli pani nie przekonam, wyciągniemy wnioski bez pani. Czy tego właśnie pani chce?

– Wyciągnąć wnioski?

Wypełniła płuca taką ilością powietrza i szamotała się tak energicznie, że pomyślał o rozdymce, tej rybie z trującymi kolcami. Mimo wszystko w tej wątlej kobiecie była siła, ale kontynuował.

– Czy to panią przeraża? – zapytał. – Że może pani być chora?

– Mówię tylko, że to nieprawda.

– Mogę pani pokazać, co znaleźliśmy – zaproponował.

– Odpowiedziałam na pana pytania. Zrobiłam to, co zrobiłam, z oczywistych powodów, o których mówiłam od dawna. Mówiłam. Możemy więc ustalić, że przez całą jesień żyłam w strachu i rozpacz. I że utkałam sieć, by złapać intruza. A kiedy przyleciała mucha i utknęła, wprawiając całą kruchą konstrukcję w drzenie, pomyślałam, że to jadowita osa, więc zmiażdżyłam ją stopą. Nie ma potrzeby nagle stawiać wszystkiego w innym świetle, jaki to ma sens?

– Wszystko trzeba wyjaśnić – odrzekł Sejer – tak działa nasz system.

– Nigdy w całym moim życiu nie tłumaczyłam się tak dokładnie z niczego ani nie byłam tak szczegółowa i prawdomówna, jak w tych rozmowach z panem. A pan wciąż nie jest zadowolony.

Szukał właściwych słów. Czego tak naprawdę się spodziewał? Że spojrzy na niego z szeroko otwartymi oczami jak dziecko i szepnie: „Ach, rzeczywiście tak jest. Nie wiedziałam o tym, ale to wszystko wyjaśnia”.

– Kiedyś w przyszłości – powiedział – spojrzy pani wstecz na wszystko, co się wydarzyło. Będzie pani miała do tego dystans, którego nie ma dzisiaj. Pani doświadczenia będą towarzyszyć pani przez resztę życia. Proszę się dobrze zastanowić, czy chce pani żyć w kłamstwie.

– Ale ja nie kłamię! Cały mój plan na te rozmowy polegał na mówieniu prawdy.

– Wybrała pani wersję, z którą może pani żyć. To całkowicie zrozumiałe, tacy już jesteśmy.

– Więc pan też żyje w kłamstwie – powiedziała.

– Tak – przyznał. – Ale nie jestem oskarżony o morderstwo.

To, co rosło w głowie Ragny, nie było guzem. Z twardymi, cienkimi gałęziami, które wyżerały tkankę mózgową i które można było zwalczyć chemią albo skalpelem. Ten intruz był innej natury. Urojenie. Być może był tam od zawsze, jak zarazek przekazany przez ojca. I rósł w siłę. Wróg wtargnął w jej życie. Wróg obserwował ją i terroryzował przez długi czas, pozbawił ją snu i rozumu, sprawił, że rozpruła się jak stary sweter. Spustoszył jej ciało i zajął pozycję przed domem. Ragna szukała go wszędzie, szukała znaków i znalazła je.

Sejer przeszedł przez kładkę nad rzeką i zatrzymał się w połowie, wpatrując się w wiry. Frank zauważył szczeniaka i szarpał smyczą, by podejść bliżej, ale Sejer powstrzymał go i szybko ruszył dalej. Ragna Riegel całkowicie wypełniła jego głowę i serce. Być może odbyli ostatnią poufną rozmowę. Wszystko zepsuł, stracił jej zaufanie. Zatakował ją tak samo jak choroba. Skonfrontował się z nią. Sugerując, że nie jest taka, jaka być powinna. Nie można było powiedzieć nic gorszego drugiemu człowiekowi. Mogła odmówić dalszych wyjaśnień, miała takie prawo. Wszystko, co widział i słyszał podczas swojej długiej służby, przeszło mu przez głowę. Ci, którzy przeprasali, ci, którzy negowali swą winę, i ci, którzy nie pamiętali. Wściekli, zdeprawowani i odurzeni, złośliwi, brutalni i bezduszni, cyniczni i mniej utalentowani, obojętni i tchórzliwi oraz ci, którzy obwiniali innych, a było ich wielu. Ragna do nich nie należała. Ze swoją niepełnosprawnością i historią była zarówno wyjątkowa, jak i bezbronna. Wróg wtargnął do jej kuchni i zapędził ją w kozi róg. Broniła się. Dla bezpieczeństwa. Ponieważ wiedziała, że ktoś w końcu ją wysłucha.

Sejer i Frank szli promenadą przy plaży w kierunku placu. Pomyślał, że na świecie nie ma zbyt wiele sprawiedliwości, nie ma też porządku, planu, celu. Żadnych bogactw w niebie, żadnych zielonych pól. Tylko niekończony trud, nielicznych obdarzano szczęściem, ale większości nie. Wierzący modlili się do swojego Boga, czasami ich modlitwy były wysłuchiwane, ale równie często pozostawały bez echa. Na niewiele pytań dało się jednoznacznie odpowiedzieć, a jeśli chodzi o prawdę, można ją było rozciągnąć jak gumę. Ragna Riegel stała się wrogiem, ponieważ przez lata żyła w strachu przed wrogiem. Ponieważ była dziedzicznie obciążona. Ponieważ była niepeł-

nosprawna. Ponieważ widziała własnego ojca śpiącego przy zapalonym świetle, z chudym ciałem przyciśniętym do ściany. Ponieważ władze nękały ich od lat. Jej ojciec wybrał śmierć. Ona wydawała mu się bezpieczniejszym miejscem. Prawdopodobnie słusznie.

Dotarli na plac. Na kasztanowcach tysiące światełek błyszczały jak diamenty. To jest światło, o którym wszyscy mówią, pomyślał, to jest miejsce, za którym tęsknią, to jest to, o czym marzą. Ale niektórzy chcą pozostać w ciemności. Tam znajdują bezpieczeństwo, w byciu niezauważonym. A ponieważ nie są widoczni, giną, wpadają we własne sidła. Gdzieś z oddali dobiegała muzyka, brzmiała jak dzwony kościelne i przypomniał sobie, że Boże Narodzenie jest już za kilka dni. Przeszedł przez most na południową stronę i udał się w długą drogę powrotną na komisariat policji, rzeka płynęła teraz po jego prawej stronie. Policzki miał lodowate, a gdy mijał remizę strażacką, ostry jak nóż północny wiatr przenikał go aż do kości, jego twarz stała się napięta i sztywna. Gdyby ktoś zobaczył go z bliska, pomyślałby, że jest zgorzkniałym człowiekiem. Szedł teraz szybciej, do domu miał jeszcze daleko. Idąc, zastanawiał się nad swoim losem. Mógł wybrać inną rolę w życiu, rolę obrońcy, a tymczasem stał się tym, który rzucał na ludzi światło, który drażył, nękał i konfrontował. Ludzie przyznawali się do winy, tłumaczyli się i okazywali skruchę. Jakże inaczej wyglądałoby jego życie, gdyby spędzał dni w sądzie, grząc i zaciskając pięści, walcząc jak lew, aby udowodnić, że jego klient, który był winny, nie miał innego wyjścia. Tego właśnie teraz pragnął. Stać po stronie Ragny Riegel. Być lwem.

Ale sędzią nigdy nie byłem, pomyślał Sejer, i nigdy nim też nie będę. Za dużo wiem o ludziach. Albo może jestem tchórzem.

Marzył i szedł, marzył i szedł. Jego oczy sztywno wpatrywały się w lodowaty chodnik.

*

Drogi Rikardzie Josefie!

Siedzę tu pod oknem celi i myślę o Tobie. I trochę też o sobie. Jak myślisz, jak daleko mogą nas zaprowadzić słowa, czy mogą nas do siebie zbliżyć, czy kiedykolwiek się jeszcze spotkamy? Nie proszę o wiele. Ale jeśli Cię zaniedbałam i nie dałam Ci tego, czego potrzebowałeś, tak że aż wypędziłam Cię z domu, to proszę najserdeczniej, abys mi wybaczył. Błagam na kolanach, bo przecież jestem teraz na kolanach. A jeśli mi nie wybaczysz, to też zniosę, nie spodziewałam się, że w ogóle nawiążemy jeszcze kontakt. I powinieneś wiedzieć, że nigdy Cię nie osądzę, chcę tylko zrozumieć, tak jak sama mam nadzieję zostać zrozumiana. Człowiek zawsze ma swoje powody, swoją rozpacz i swoje motywy. Całe to gadanie o tym, że ludzie zawsze mają wybór... Co ludzie rozumieją przez to stwierdzenie, czy chodzi im o to, że wszyscy ludzie, w każdym społeczeństwie i w każdej sytuacji, naprawdę mogą wybrać, co zrobią? Że mogą wybrać dobrze? Czy wówczas nie przestrzegaloby się prawa z łatwością, czy nie byłoby łatwo dokonywać osądów i wymierzać kary? Dlaczego w ogóle mamy pojęcie „okoliczności łagodzących”, które oznaczają, że każde przestępstwo jest karane inaczej, może nawet w ogóle nie dojść do skazania, tylko do uniewinnienia? Czy nie oznacza to, że wiele osób nie może dokonać wyboru?

Jeśli to jest życie, które mi przypadło, ta cela, wąski korytarz, małe biurko pod oknem, to przeżyję je bez narzekania. Nadal będzie jasno rano i ciemno wieczorem. Napełniam płuca powietrzem,

a serce, co też jest dobre, kurczy się. W końcu to życie. Ale nie robię planów, nie chcę myśleć z wyprzedzeniem. To przekleństwo ludzkości, że cały czas żyjemy w strachu. O to, co może nas spotkać jutro lub za rok, albo żyjemy w strachu przed starymi grzechami, kimś, kto zawsze depcze nam po piętach i prędzej czy później nas dopadnie. Zamiast wychodzić z domu, gdy słońce jest wysoko na niebie, podnosić twarz i czuć ciepło na policzkach. Twój dziadek często tak robił. To chyba wystarczająca radość na jeden dzień. Zawsze zadawałam się drobiazgami. Kiedy przyszedłeś na świat, było w tym coś wspaniałego, o czym nigdy nawet nie marzyłam, dlatego trzymałam Cię tak mocno, dlatego nosiłam Cię na rękach. Kiedy siedziałeś na trawniku i bawiłeś się, często stałam w oknie i patrzyłam na Ciebie przez długie godziny. Albo kiedy siedziałeś na śniegu z czapką na głowie i smarkami pod nosem. Obserwowałam wszystkie przejeżdżające samochody, bo może któryś z nich zwolni, śledziłam każdego, kto szedł drogą. A jeśli patrzyli na Ciebie zbyt długo lub zatrzymywali się, by powiedzieć kilka słów, jeśli na przykład ulepiłeś ładnego bałwana lub latarnię śnieżną, podchodziłam pospiesznie. Wpastrywałam się intensywnie w spacerowicza przy płocie, sygnalizując, że jesteś moją własnością i że jestem za Ciebie odpowiedzialna. Chyba dlatego w końcu musiałeś się uwolnić.

Może dostałam to, na co zasłużyłam.

Co powinnam powiedzieć na swoją obronę? Jeśli nigdy nie będziesz mieć własnego dziecka, nigdy nie zrozumiesz, jak trudno jest zrobić wszystko dobrze. Mam wielką nadzieję, że Twoje dni są przyjemne. Godziny, minuty i wszystkie czarne noce.

Mama

*

O dziwo, Ragna chciała mówić dalej. Ale nie w ten sam zdeterminowany sposób co wcześniej, teraz była bardziej czujna, obserwowała go, jej oczy były badawcze. Zdawała sobie sprawę, że czeka ją coś nieprzyjemnego, więc przygotowała się. W końcu zdecydowała się go uprzedzić.

– Wiem, co chce pan powiedzieć – zaczęła. – Więc proszę po prostu to powiedzieć.

Sejer ostrożnie ważył słowa, co zresztą zawsze robił w kontaktach ze skrzywdzonymi ludźmi.

– Po tych wszystkich dniach, po tych wszystkich rozmowach, które odbyliśmy. Nadal uważa pani, że to Bennet wysłał pani te anonimowe groźby?

– Nic dziwnego, że doszłam do takiego wniosku, prawda?

W oczach inspektora dostrzegła współczucie.

– Doszła pani do tego wniosku, gdy siedział w pani kuchni. Pytam, co myśli pani tu i teraz.

– Powiedział, że umrę – odparła szybko.

– Czy kiedykolwiek pomyślała pani, choć trochę, że zaatakowała pani niewłaściwego człowieka?

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Chce mi pan teraz powiedzieć, że znaleźliście jakiegoś bachora, kogoś, kto chodził od skrzynki do skrzynki? Że pół miasta otrzymało te same wiadomości? Nie wierzę w to.

– Nic takiego nie powiem – odparł – nie to ustaliliśmy. Nikt inny nie zgłosił groźb podobnych do tych, które pani otrzymała. Czy przed pierwszym listem, pierwszą wiadomością w skrzynce pocztowej

wej, coś się wydarzyło? Coś trudnego w pani życiu, coś, co mogło wprawić wszystko w ruch?

– Mówi pan, że to wszystko moja wina?

Ponownie spojrział na nią ze współczuciem.

– Dobrze mi było – kontynuowała cicho. – Lubię pracować w sklepie, lubię układać szczotki do paznokci z Tajwanu na półkach w odpowiedniej cenie. Czasami robię małe konstrukcje dla zabawy, małe piramidy. Inni bardzo się z tego śmieją, prawdopodobnie jestem dziecinna. Lubię też siedzieć przy kasie, więc nie muszę rozmawiać. Nikt mnie nie zauważa, zostawiają mnie w spokoju.

– Chciałaby pani, żeby ktoś panią zauważył?

Wyglądała na urażoną, ale nie odpowiedziała.

– Czy chciałaby pani być zauważona w sposób, w jaki zauważył panią Walther Eriksson? By ktoś widział panią w ten sposób?

Teraz jej policzki były czerwone.

– I tak, i nie.

– Ale tak się stało. Dostała pani wiadomość. Ktoś panią zauważył.

– Wiele wiadomości – uściśliła.

– Ale ich pani nie zachowała. Nigdy nie będzie pani mogła ich wyjąć i przeczytać ponownie. Ja też nigdy ich nie przeczytam i nie będą mogły być użyte w sądzie jako dowód prześladowania, którego podobno pani doświadczyła.

– Podobno? Co pan teraz sugeruje? – Wypuściła kilka nierównych oddechów, to było wszystko, na co było ją stać. – Też by ich pan nie zachował, nikt by tak nie zrobił. Spalenie ich sprawiło, że mogłam go zignorować. Niszcząc go. Zaprzeczając jego istnieniu. Zrobiłam, co mogłam. Zadzwoiłam tutaj i poprosiłam o pomoc, kiedy zobaczyłam go przy drodze, obserwującego dom. Rozmawiałam z funkcyjona-

riuszką, ale nie chciała nikogo wysłać. Nie jest mi łatwo czegokolwiek żądać – dodała – Nie mam zbyt dużej władzy. Nie mogę krzyknąć przez telefon. Prawie w ogóle nie mogę się złościć.

Sejer bazgrał coś zupełnie bez sensu.

– Nigdy pani nie dzwoniła, Ragno – powiedział cicho. – Zdaje pani sobie z tego sprawę? Nie otrzymaliśmy takiego zgłoszenia. Wszystkie połączenia przychodzące do nas są starannie nagrywane i przechowywane, nie możemy znaleźć pani. A słowo daję, że szukaliśmy.

Ragna wstrzymała oddech. Najpierw chciała się roześmiać, niedowierzającym i nerwowym śmiechem. Potem zobaczyła jego spojrzenie, jego szare oczy. Nigdy nie spotkała się z taką litością, nawet ze strony Anglika Williama.

– Właśnie że dzwoniłam!

– Nie.

– Odebrała policjantka. Dobrze ją pamiętam. Pamiętam, co powiedziała, słowo w słowo.

– Ale pani nikt nie pamięta.

W ustach miała teraz tak sucho, że z trudem formułowała słowa.

– Mówi pan tak, jakbym prawie nie istniała.

– O tak, istnieje pani, Ragno, widzę panią wyraźnie. Słyszę wszystko, co pani mówi, każde słowo. Ale rozmowy, o której mi pani mówiła, nie ma w naszych rejestrach.

Jej wzrok powędrował na psa leżącego przy oknie.

– Zapomina pan o jednej ważnej rzeczy – uświadomiła sobie. – Pojawiłam się tu osobiście i zgłosiłam sprawę. Wraz ze zgłoszeniem dostarczyłam też ostatnią wiadomość, tę, którą zostawił na moim

stoliku nocnym. Wzięłam taksówkę, już to wyjaśniałam, to Irfan po mnie przyjechał. Irfan Baris.

– Rozmawialiśmy z Barisem – przyznał Sejer. Znowu ten stały spokój.

– Więc mógł potwierdzić, że mnie podwiózł i że tu byłam. W recepcji na parterze.

– Tak też zrobił. Odebrał panią z Kirkeliny, staliście na drodze i czekaliście, potem podjechał tutaj na komisariat, ale zaparkował dalej i czytał gazetę. Nie wie więc nic o tym, co pani zrobiła po wyjściu z samochodu.

– To znajdźcie zgłoszenie. Znajdźcie je teraz!

– Nigdy nie otrzymaliśmy zgłoszenia o włamaniu przy Kirkelina siedem. Ani wiadomości, którą podobno znalazła pani na stoliku nocnym. Te dwa przedmioty nigdy nie zostały nam dostarczone.

– Ależ tak!

– Nie możemy ich znaleźć.

– Więc je zgubiliście – wyszeptała zrozpaczona. – Teraz, gdy efekt jest taki, jaki jest, zaprzeczacie, że prosiłam o pomoc, bo możecie zostać pociągnięci do odpowiedzialności za to, co się stało.

Sejerowi było naprawdę przykro. Jakby uderzył dziecko. Poprosił ją o szczerze wyjaśnienia, powiedział, że chętnie wysłucha, i słuchał przez wiele dni. Ragna zabrała go do swojego samotnego świata, a teraz on odrzucił jej wersję. Zakwestionował całe jej postrzeganie rzeczywistości, zdradził ją w najgorszy możliwy sposób. Wszystko się teraz między nimi rozpadnie, zaufanie, które tak pieczołowicie udało mu się zbudować.

– Wyglądała pani na zdezorientowaną – dodał spokojnie.

– Zdezorientowaną? Kto tak powiedział?

– Ludzie, z którymi rozmawialiśmy. Baris twierdzi, że stała pani przy drodze na mrozie, nie mając na sobie prawie żadnych ubrań. Sąsiad kilkakrotnie widział, jak grzebała pani w swoim koszu i wносиła śmieci z powrotem do domu. Ludzie widzieli również, jak maszeruje pani po swoim podjeździe, do ulicy i z powrotem, całkowicie roztrzęsiona.

– Ale już to wyjaśniłam! – szepnęła. – Próbowałam uwolnić się od liczenia. Chciałam odzyskać kontrolę.

– Była pani dezorientowana, Ragna. Co tak naprawdę było pierwsze? Dezorientacja czy groźby? Proszę pomyśleć.

– Nie jestem chora – powiedziała cicho. Zaczęła teraz płakać, bezgłośnie, łzy nie zostały też otarte, pozwoliła im płynąć.

– Nie do mnie należy ocena, jak bardzo jest pani chora – rzekł Sejer – zrobi to inna jednostka. Ale jeśli tak jest, to istnieje wyjaśnienie dla wszystkiego, co się wydarzyło. Dobre wyjaśnienie, w które sąd uwierzy. I które da pani inny wynik, da pani znacznie więcej niż to, co ma do zaoferowania więzienie. Będzie pani odbywała karę w innych warunkach, będzie pani inaczej traktowana i najprawdopodobniej zostanie pani zwolniona znacznie wcześniej. Dlatego pani o tym mówię, ponieważ chcę dla pani jak najlepiej. Ponieważ chcę, aby trafiła pani do miejsca, w którym nie zostanie pani potępiona, lecz do miejsca, w którym spotka się pani tylko z troską i zrozumieniem.

Nagle wydawało się, że znalazła coś, coś w swojej pamięci, co mogła wykorzystać.

– Są tu kamery monitoringu – szepnęła – przy głównym wejściu na dole. I przy recepcji.

Informacja ta nie spowodowała żadnej zmiany na twarzy Sejera.

– Oglądaliśmy wszystkie nagrania – odrzekł – oglądaliśmy je kilka razy.

– Więc wiecie, że tu byłam. Widział pan dowody.

– Nie – powiedział – nie widzieliśmy dowodów.

Sięgnął po komputer i obrócił ekran w jej kierunku.

– Może pani sama obejrzeć nagranie – powiedział. – Chce pani?

Przytaknęła, chociaż nie zdawała sobie sprawy, dokąd zmierza. Gdy na ekranie pojawił się obraz wejścia do komisariatu, pochyliła się niecierpliwie. Były szerokie szklane drzwi, był duży wybrukowany plac i znak na ścianie, wizerunek lwa z toporem w dłoni. Poza tym żadnego ruchu, żadnej osoby. Wszystko było filmowane z góry, patrzyła na wszystko z góry, tak jak kamera patrzyła na nią. Ale wtedy na obrazie pojawiła się postać.

– Tam! – Wskazała triumfalnie. – Nawet macham. Widzi pan to?

Sejer milczał. Nie patrzył na ekran, tylko na nią.

– Już jestem – wyszeptała. – Widzi pan, że jestem w recepcji, prawda?

Zobaczyła siebie stojącą w zakłopotaniu, z torebką przyciśniętą do ciała, ubraną tylko w rajstopy i cienką bluzkę z krótkim rękawem.

– Proszę mi powiedzieć, co pani widzi – zapytał Sejer.

– Jestem trochę za lekko ubrana – przyznała. – Wszystko wydarzyło się dość szybko, wyruszyłam nagle, więc nic dziwnego, że byłam zestresowana.

Uważnie obserwowała ekran. Kobieta, która była nią samą, wyszła na prawo od kamery, w kierunku małej poczekalni przy ścianie, znalazła krzesło i usiadła, kładąc torebkę na siedzeniu obok. Siedziała tak przez długi czas. Z rękami na kolanach i wzrokiem sztywno utkwionym w szklanych drzwiach do pokoju oficera dyżur-

nego. W tej samotnej postaci było coś niezręcznego, sama to wyraźnie widziała. Czy naprawdę tak wyglądała, taka biedna i skrępowana, czy tak widzieli ją inni? Mijały minuty, widziała cyfry w prawym dolnym rogu zdjęcia, dwie, trzy i cztery minuty. W końcu wyciągnęła rękę i podniosła broszurę ze stosu na stole. Przez chwilę siedziała i czytała broszurę, od czasu do czasu rozglądając się po pokoju, znów trochę czytając.

– Co było napisane w broszurze, Ragno? – zapytał Sejer. – Pamięta pani?

Zastanowiła się przez dłuższą chwilę i ponownie spojrzała na ekran.

– Chyba coś o miłości.

Przytaknął.

– Co tam było o miłości, Ragno?

Usiłowała znaleźć tę informację w pamięci.

– Coś o przemocy.

– To prawda – mówi Sejer. – Prawdziwa miłość jest wolna od przemocy. Czytała pani broszurę z centrum kryzysowego.

– Ale zaraz porozmawiam z policjantem – zapowiedziała niecierpliwie. – Zapomniałam, jaka byłam zdenerwowana, zapomniałam, że tak długo siedziałam i zbierałam się na odwagę.

Podniosła się gwałtownie, ponieważ teraz postać wstała, ta postać w cienkiej bluzce, która była nią samą. Teraz zamierzała złożyć zawiadomienie i załączyć wiadomość jako dowód. Zdała sobie sprawę, że jedyną rzeczą, którą miała w ręku, była broszura z centrum kryzysowego, którą właśnie przeczytała. Przeszła przez pomieszczenie i przez szklane drzwi do biura oficera, gdzie filmowała ją kolejna kamera, tym razem pod innym kątem. Bez słowa położyła

broszurę na blacie. Prawdziwa miłość jest wolna od przemocy. Następnie skinęła stanowczo głową funkcjonariuszowi i wyszła.

Kamera na zewnątrz uchwyciła ją, gdy pojawiła się przed wejściem. Szła w kierunku łuku kamieni, ale stopniowo zwiększała prędkość, w końcu biegnąc tak szybko, jak tylko mogła, ulicą do takśówki Irfana. Ekran zrobił się czarny. W ciszy, która nastąpiła, Sejer szukał słów. Ragna pochyliła głowę, nie chcąc patrzeć mu w oczy. Ręce położyła na kolanach. Jej wąskie ramiona opadły z rezygnacją i choć nie mógł tego zobaczyć, był pewien, że zarumieniła się ze wstydu.

– To musiały być te czaszki z Malezji – wyszeptała. – To one wprawiły wszystko w ruch. Te, które Lars przywiózł do sklepu. Włożyłam dwie baterie, a kiedy ich oczy zaczęły się świecić, wyglądało to tak, jakby patrzyły na mnie i chciały mi coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Że umrę.

*

Żeglowała po morzu. Łódź była nie większa niż brodzik, w którym Rikard Josef taplał się jako dziecko, a żagiel nie większy niż ściereczka do naczyń. Wiał delikatny wiatr. Nie widziała innych statków, ludzi ani masztów na horyzoncie. Nie przejmowała się też kierunkiem ani pozycją; dryfowała spokojnie w stronę horyzontu, ponieważ tam świeciło słońce. Ale nigdy tam nie dotarła. Białe słońce zmieniło kolor na brzoskwiniowy, różowy i czerwony. Światło zaczęło przygasać. Potem zapadła noc i zrobiło się chłodniej. W wyciszonej ciemności słyszała mewy, które z pewnością by ją pożarły, gdyby musiała długo dryfować. A jej brak urody, z którym zawsze

żyła, nie byłby już zauważalny, gdyby mewy posiekały ją na kawałki, słyszała, że najpierw atakują oczy. Ale znów zrobiło się jasno i zobaczyła odległe góry, potężne, błękitne i fioletowe. Mała łódka dryfowała we właściwym kierunku, a ona klęczała, osłaniając oczy dłonią. Po chwili zobaczyła klify i białe fale. Góra była tak ostra, a wiatr tak silny, że mała łódka miała zostać rozerwana na strzępy. Zamknęła oczy i przygotowała się na uderzenie, podniosła ręce, by się ochronić, skuliła się na dnie, leżała tam i czekała.

Spała przez sto lat. Albo dwieście, takie miała wrażenie. Była w innym kraju, na innym kontynencie lub w innym wymiarze, w świecie, do którego nie mogła wejść i z którego nie mogła wyjść tak, jak chciała. Leki, które zostały przepisane, gdy eksperci wydali werdykt, kiedy stwierdzili, że straciła rozum, doszli do wniosku, że cierpi na dziedziczną chorobę psychiczną, co oznaczało poważny brak poczucia rzeczywistości, były tymi samymi, które jej ojciec przyjmował przez te wszystkie lata. Miały one pewne nieprzyjemne skutki uboczne, rozpoznała wszystko ze skarg ojca i przez długi czas odmawiała ich przyjmowania, ku rozpaczyci matki. Wysuszały jej usta, trudniej niż kiedykolwiek było jej się wysłowić. Jej głowa była wypełniona watą, niewiele się w niej działo. Kiedy próbowała się poruszać, czuła się tak, jakby utknęła, jakby ktoś trzymał ją od tyłu. Jej widzenie było ograniczone; obraz ostry tylko przed oczami. Kiedy próbowała uwolnić swoje myśli, w chwilach gdy potrzebowała ucieczki, nie znalazła tego, czego potrzebowała, żadnych białych plaż, żadnych zielonych lasów. Starła się łączyć myśli w długie ciągi słów lub wyraźne obrazy, ale szybko się męczyła. Zwykle poddawała się i siedziała w głuchym oszołomieniu. Wiedziała jednak, że musi napisać do syna i wyznać mu prawdę. Prawdę o tym, co twierdziła

policja. Jakie dokładnie mieli motywy, aby odebrać jej wiarygodność, dlaczego miałyby im ufać, nie znała ich. Mieli szybko zniknąć z jej życia, a ona zostanie wtedy sama z diagnozą druzgocącą jak kula armatnia. Powiedzieli, że odziedziczyła chorobę po ojcu. Że chorowała przez długi czas. Że nigdy nie było prześladowcy, że nigdy nie prosiła policji o pomoc. To było tak przerażające, że nalegała na własną wersję, w przeciwnym razie nie mogła oddychać. Agent przyszedł do jej domu, aby zaoferować jej miejsce w Raju. Twierdzili, że to była jego jedyna intencja. Ale tylko ona spojrzała mu w oczy i usłyszała jego głos. Umrzesz.

Zawsze budziła się wcześnie rano i otrzymywała lek w plastikowym kubku. Musiała połknąć całą dawkę, funkcjonariusz sprawdzał ją, rano, w południe i wieczorem musiała brać zyprexę. Było to upokarzające, ale przełknęła lek. Jej ojciec powiedział, że zyprexa może zabić, słyszał o kilku przypadkach. Nic o tym nie mówiła. Nabrała jednak nawyku uważnego obserwowania strażnika, gdy czekał na pusty kubek.

Okradli ją. Chcieli narzucić jej inną rzeczywistość, której nie przyjmowała. W tym czasie sporo płakała. Jak szaleństwo mogło być jakimś rodzajem ulgi, co to było za rozumowanie? Nie widziała tego w ten sposób. Chciała być odpowiedzialna, chciała odpokutować. Nie przyjaźniła się już ze strażnikami, wyrobiła sobie nawyk patrzenia na nich zmrużonymi oczami, wtedy widziała ich ostro i wyraźnie. Odzywała się bardzo rzadko, siedziała przy oknie przez długie godziny, obserwując światło, sprawdzając, czy zachowuje się tak, jak powinno, czy słońce wschodzi i zachodzi o właściwych porach. Musiała pogodzić się ze strasznym zarzutem, jaki jej postawili: to, co widziała, nie istniało, to, co słyszała, działo się w jej własnej głowie. Ale

nie mogła. Była wyczerpana, oczywiście, po długiej jesieni ciągłego strachu, balansowania na krawędzi, poczucia, że jej prześladowca jest wszędzie, w swojej rozpaczy myślała o dziwnych rzeczach. Takie rzeczy zdarzają się ludziom pod wielką presją. Ale szaleństwo było czymś innym. Nagle w mgnieniu oka zdała sobie sprawę, że stała we własnej kuchni obok martwego ciała, machając do czujnika dymu. Kiedy to wspomnienie wypłynęło na powierzchnię, zaczerwieniła się ze wstydu. Poderwała się tak gwałtownie, że krzesło się przewróciło. Nikt nie macha do czujnika dymu, jak mogła zrobić coś takiego? Ale potem znów się opamiętała. W porządku. Trochę przesadziła, oskarżając władze o inwigilację, ale była wyczerpana po długim okresie braku snu. Brak snu wpływa na umysł, a wtedy pojawiają się zjawy. Następną rzeczą, która pojawiła się w jej pamięci, było pukanie agenta do jej drzwi. Wiedziała od dawna, że on tam jest. Niemal poczuła ulgę, gdy zaraz potem znalazł się w jej kuchni i stanęli twarzą w twarz. Był postacią z krwi i kości, nie duchem, nie czymś, co sobie wyobrażała. A potem przekazał jej tę samą wiadomość, ale tym razem ustnie. Przypomniała sobie, jak grzebała w kuchennej szufladzie, wkładając rękę między narzędzia. Chciała odcisnąć swoje piętno raz na zawsze.

Siedziała z twarzą w dłoniach i pamiętała każdą sekundę. Jego oczy pełne zdumienia, nerwowe dłonie, które chciały otworzyć teczkę i pokazać jej prawdę.

Wpuściła w siebie ulewę wspomnień, wchłonęła je, próbowała je znieść, próbowała zobaczyć je w nowym świetle. W myślach napisała list, który chciała wysłać do syna, wszystko, co musiała mu powiedzieć. Co by pomyślał, w co by uwierzył? Nic dobrego by z tego nie

wynikło, poza tym że on również żyłby w strachu przed dziedziczną chorobą. Nigdy nie wróciliby do domu, pomyślałby, że go zarazi, że ona też umrze w pozycji siedzącej ze sznurem na szyi, jak to zrobił dziadek, z krwią w postaci czarnych skrzepów na dnie jej ciała. Przez wszystkie lata, które minęły, nie otrzymała od niego nic poza kilkoma marnymi pocztówkami, a jednak był blisko. A teraz, po tym incydencie, bliższy niż kiedykolwiek. Gdyby teraz napisała ten list, zniknąłby przerażony. Jedyne, co byłby w stanie wykrzesać z siebie na myśl o matce, to wstyd i strach. Wyparłby się jej na zawsze, nigdy nie wspomniałby o niej w obecności innych, nawet księdzu w więzieniu. Moja mama, powiedziała, nie, nie mam z nią kontaktu. Co ona robi? To mnie nie interesuje.

Ragna znów się rozplakała, poczuła sól w ustach, tak bardzo było jej siebie żal. Wzrokiem szukała wyjścia z celi. Pierwszą rzeczą, która rzuciła jej się w oczy, była zielona metalowa szafka z jeszcze solidniejszym stalowym uchwytem. Następnie przeniosła wzrok na okno i wielobarwne zasłony z grubego, szorstkiego materiału, którego nie dało się podrzeć na strzępy. Ten sam problem z stylonowym fartuchem, nie miała sznurowadeł ani paska. Dotknęła prześcieradła, również sprawiało wrażenie syntetycznego, pomyślano o wszystkim. Całe to gadanie o prawdzie jako czymś świetlistym i oczyszczającym. Teraz musiała ją dopasować, zginać się i zgniatać. Przepłynęła przez nią wściekłość, zdecydowała się jednak napisać do Berlina. Przedstawić mu własną wersję wszystkiego, co wydarzyło się jesienią, a następnie wersję policji, która nie pasowała do jej własnej. Zbrodnia, tak przerażająca. Strach i wściekłość. Przyznanie się do winy, które teraz chciano jej odebrać, którego nie chcieli uznać, ponieważ była chora. Coś, co postrzegali jako ratunek, nie rozumiejąc, że to kwe-

stia jej godności, jej przyszłości. I dróg, które zostałyby zamknięte, kiedy ludzie zajrzeliby do jej dokumentów i zobaczyli tam wszystko czarno na białym. Leki, które musiała przyjmować, to, co robiły z jej głową i ciałem, stawiały wszystko, co się wydarzyło, w innym świetle. Obcym świetle. Jedyną prawdziwą rzeczą było morderstwo. Bennet zsunął się z krzesła, powoli jak marionetka, najpierw głowa, potem ramiona, a w końcu stopy, gdy sięgnął po coś, czego mógłby się przytrzymać, znalazł nogę stołu.

Długo żuła ołówek, jak to miała w zwyczaju od dzieciństwa. Drewno stało się miękkie, miało swój własny smak, lubiła go. Pisała z wielką determinacją, słowo po słowie. W miarę pisania stawała się coraz spokojniejsza. To był projekt o wielkim znaczeniu. Teraz, gdy jej zdrowie psychiczne również przepadło, nie było nic więcej do stracenia. Według lekarza leki miały przenieść ją do prawdziwego świata, gdzie wszyscy inni żyli swoim życiem. Chemikalia skutecznie powstrzymały wszelkie próby ucieczki do innej rzeczywistości, miała widzieć te same rzeczy co oni, słyszeć to samo co oni. W sądzie rozbiorą ją do kości. Ujawnią wszystko, co się wydarzyło, i jej zachowanie na przestrzeni lat. Uderzyło ją, że gazety zjedzą ją jak sępy, jakby już była padliną, zarażoną czymś, co przylgnęło do całej jej rodziny. Pisała. Wykreślała pewne słowa lub bazgrała po nich, by znaleźć nowe, precyzyjne sformułowania. Ocierała łzy. Pisała szybciej, rozgorączkowana. Pamiętała ojca i wszystko, co mówił, teraz wszystko rozumiała. Ragna, powiedział. Zawsze będziesz dominującą siłą w swoim życiu. To właśnie oznacza imię Ragna. „Dominująca siła”. Nigdy nie pozwól, by ktoś zmusił cię do czegoś innego. Je-

steś jedną z wybranych. Jesteś jedną z tych, którzy widzą, dokąd zmierzają sprawy.

Oto się poddała. Przedstawili dowody. Było ich wielu, ona była tylko jedna. Znowu się rozpląkała. Pomyślała o wszystkich ludziach żyjących na świecie, o siedmiu miliardach. Którzy kładli się w nocy i śnili sekretne sny w sekretnych miejscach. Ludzie byli razem tylko przez krótkie chwile.

Policja miała przeczytać list przed wysłaniem go do więzienia Plötzensee. Nie obchodziło jej to. I tak nie będzie mogła zobaczyć ich twarzy, gdy będą go czytać, ani usłyszeć, co myślą i o czym rozmawiają między sobą. Napisała kolejną stronę i kolejną. Pamiętam ten czas. Zawsze było mi gorąco na twarzy, myślałam, że to gorączka. Dużo siedziałam w domu, bałam się słońca, tak łatwo ulegałam poparzeniu i o ciebie też się bałam, odziedzyczyłeś moją białą skórę. Tak to już jest z nami, rudzielcami. Za każdym razem, gdy paliły mnie policzki, myślałam, że to gorączka, że mam infekcję i że idzie do głowy. Było tak wiele znaków. Interpretowałam je najlepiej jak umiałam i interpretowałam je źle.

Przepraszam tysiącrotnie.

Od czasu do czasu robiła sobie krótkie przerwy i wyglądała przez okno. Szukała czegoś, na czym mogłaby oprzeć wzrok, ptaka w locie, powolnej pierzastej chmury lub kołyszącej się korony drzewa. Kiedy myślała, że przeszła przez to wszystko, myśli, słowa, czyny, zaczęła się zastanawiać, jak zakończyć ten długi list. Obawiała się, że to już ostatni. Nie spodziewała się, że odpisze, raczej nie będzie tolerował jej zbrodni lub szaleństwa. Cofnąłby stopę, zatrzasnął drzwi, wyparłby się jej na zawsze.

Najdroższy Rikardzie. Cenię Cię bezgranicznie. Jeśli odmówisz sobie dziecka, nigdy nie doświadczysz takiej miłości, jaką ja mam dla Ciebie. Piszesz, że nie chcesz, aby twoje geny przetrwały, ale nikt nie ma żadnych gwarancji, jeśli chodzi o dziecko. Może być chore lub zdrowe, może żyć długo lub umrzeć przedwcześnie. Dziecko może być Twoją radością i dumą lub największą rozpaczą. Nie możesz kontrolować tych rzeczy. Życie ma swoje zadanie dla nas wszystkich. Ale oto jestem, siedzę w celi, pobłogosławiona zdrowym synem. Moja krew nadal płynie w Tobie, ale tylko z moimi dobrymi cechami, a ja jestem przecież dobra. Jeśli zapamiętasz te słowa, jeśli będziesz potrafił je przywołać w kilku chwilach, to niczego więcej nie potrzebuję.

Twoja oddana mama

*

Przyznała się więc. Na podstawie oceny jej stanu psychicznego dokonanej przez lekarzy. Opisała przestępstwo zwięźle, ale wystarczająco klarownie, jej umysł był jaśniejszy, coś się w niej rozluźniło. Cella wydawała się większa niż osiem metrów kwadratowych. Brama prawdy, pomyślała. Wciąż ją uderzały znaki, połączenie, które zdawało jej się wyraźne, narzucało się jej, czy tego chciała, czy nie. Wiadomości, zapomniany zegarek, skoczek, który się nie podniósł, tylko pozostał na asfalcie, krwawiąc z ust i uszu. Agent, który dobijał się do jej drzwi i chciał wejść. Zasygnalizował zbliżającą się śmierć, która okazała się być jego własną śmiercią. Był w tym jakiś związek, logika. Czy wszystko inne miało być przypadkowe, czy cokolwiek w życiu było

przypadkowe? Siły z góry i z dołu szarpały ją i ciągnęły, każda z własnym planem. Mózg zawsze będzie szukał wzorca, pomyślała, znajdzie to, czego szuka, a jeśli nie, to go stworzy, więc właśnie to zrobiła. Oskarżenie chciało zastąpić jej wersję swoją własną. Spójrz, mówili, to jest prawda.

Położyła się do łóżka i w końcu zasnęła. Śniło jej się, że stoi na dachu wieżowca i chce skoczyć. Na ulicy poniżej stał Rikard Josef, widziała, jak macha. Bez wahania rzuciła się w dół i wyciągnęła ręce, poczuła długi lot, tyle trwał, nic dziwnego, że ludzie się zawiedli, nic dziwnego, że wielu wybrało inną drogę. Potem ocknęła się szarpnięciem, zanim zdała sobie sprawę, czy ktoś ją złapie. O nie, pewnie była za ciężka i spadła za szybko, nikt nie był wystarczająco silny. Louise podeszła i zabrała ze sobą list, oczywiście nie był zaklejony, wszyscy mieli go przeczytać. Długo patrzyła za białą kopertą. W myślach śledziła spowiedź, długi, szczegółowy list pełen smutku, żalu i wyznań, przez całą drogę z jej celi do więzienia w Berlinie.

*

– Wysłał pan już list? – spytała. – Mam nadzieję, że nie został gdzieś na półce, na dnie sterty papierów, i nie dotrze dopiero latem, to już się zdarzało. Pytam, ponieważ nie otrzymałam odpowiedzi, a minęło już wiele dni. Jak pan myśli, ile idzie list stąd do Niemiec?

– Chyba trzy lub cztery dni – odrzekł Sejer. – Tak, Ragno, wysłaliśmy list. Został ostemplowany i umieszczony na półce z pocztą wychodzącą, już go tam nie ma. Rikard już dawno otrzymał pani list, musi pani dać mu czas.

– Chyba będę musiała uwierzyć – zdecydowała odważnie. Sięgnęła po karafkę z wodą. – Ostatniej nocy ciężko mi było zasnąć –

zmieniła temat. – Wie pan, o czym myślałam?

– Proszę mi powiedzieć – poprosił Konrad Sejer.

– Leżałam bezsennie, myśląc o Joannie d’Arc.

– O Dziewicy Orleańskiej? Dlaczego o niej?

– Została spalona na stosie – szepnęła Ragna. – A teraz ja też przechodzę przez ogień, tak myślę.

– Ogień. Ma pani na myśli to, jak Rikard osądzi panią i pani zbrodnię?

– Dokładnie – przytaknęła Ragna, ciesząc się, że podąża za jej tokiem myślenia. – Leżałam, wpatrując się w okno, tak jak Joanna się wpatrywała swej ostatniej nocy. Na kilka godzin przed egzekucją. Trzymali ją w wieży, a ona szukała sposobu, by przetrwać cierpienie. Płomienie, które ją pochłoną, spalą na czarno i zwęglą. Potrzebowała znaku od Boga, dowodu, że jest w Jego łasce i że będzie w Jego łasce nawet po śmierci. Modliła się więc. Modliła się i szukała znaków, ale było ciemno i nic nie było widać, nic nie było słychać. A jednak modliła się, modliła się godzinami. I wtedy stało się coś cudownego. Księżyc wysunął się zza chmury, a jego światło wpadło przez okno, mały otwór z dwoma żelaznymi prętami, jednym pionowym i jednym poziomym. Kiedy wstała z pryczy, zdała sobie sprawę, że białe światło, przechodząc przez kraty, utworzyło krzyż widoczny na kamiennej podłodze. To był znak od Boga. Joanna całkowicie się uspokoiła, zasnęła, spała spokojnie i bez snów, i z godnością poszła w ogień.

– Piękna historia – rzekł Sejer. – Jeśli to prawda.

– To piękna historia niezależnie od prawdy.

Musiał się zgodzić.

– Ale pani chyba się nie modliła ? Szuka pani znaków?

- Chyba tak. Tylko że teraz nie mogę znaleźć żadnego, ponieważ jestem pełna chemii. Mój mózg był kiedyś labiryntem i mogłam bawić się w korytarzach, podekscytowana, jak dziecko, teraz wiele wyjść jest zamkniętych, mózg nie może znaleźć rozwiązań, do których przywykłam, rozumie pan?

Sejer skinął głową z powagą.

- Wie pan - kontynuowała Ragna. - Kiedyś, gdy byłam mała, tata próbował sprzedać mnie na targu.

Chcąc nie chcąc, Sejer musiał się roześmiać, a ona nie poczuła się urażona.

- Miałam zaledwie kilka miesięcy, ale potrafiłam już siedzieć prosto w wózku, a przed wyjściem z domu zrobił wielki plakat. „Świeży wrzaskun na sprzedaż. Wielki potencjał. Złóż ofertę”. Była jesień, więc było mnóstwo straganów i mnóstwo ludzi. Tata stał między owocami, jagodami i wiejskimi jajkami, z wielkim plakatem w rękach, a ludzie przychodzili nieprzerwanym strumieniem, żeby mi się przyjrzeć. Wiele osób przychodziło z ofertami, zwłaszcza starsze panie, uśmiechały się, śmiały i dyskutowały między sobą. Ale mój tata potrząsnął głową i powiedział: „Za mało, za mało! Mówimy o czymś wyjątkowym!”. Staliśmy na placu aż do zachodu słońca. Potem włożył mi plakat pod kocyk i zawiózł do domu, z kościoła aż pod siódmą. Mama powiedziała, że był bardzo szczęśliwy, kiedy wszedł do domu.

Wzięła kilka łyków wody.

- Mama opowiedziała mi tę historię, kiedy byłam starsza. Na początku byłam oczywiście urażona, ale potem zdałam sobie sprawę, że mój tata uważał mnie za bardzo cenną i że oczywiście nie byłam na sprzedaż, za żadną cenę. To właśnie chciał powiedzieć światu.

W szaleństwie jest wiele mądrości, pomyślał Sejer, jeśli się jej szuka. Zanotował i podsunął jej kartkę, by mogła ją przeczytać.

„Wielki potencjał. Złóż ofertę”.

Kiedy później poszedł za nią z powrotem do celi, list leżał tam, świecąc na biało na biurku pod oknem. Zobaczyła go dopiero, gdy Sejer wyszedł, doceniła ostrożny sposób otwarcia koperty. Musiał użyć najostrzejszego noża, jaki dało się znaleźć. Przez długi czas stała, patrząc na list. Wkrótce podeszła kilka kroków bliżej i całym swoim przenikliwym wzrokiem przyjrzała się kopercie z bliska. Czy była cienka, czy gruba, czy zawierała tylko jedną kartkę, czy trzy lub cztery, czy list był lekceważąco zwięzły, czy też dał jej coś więcej, coś, z czym mogła się pocieszyć i żyć, jak miała w ogóle zebrać się na odwagę, by go przeczytać? Podniosła go i położyła na kolanach, chcąc sprawdzić, czy coś waży, czy może jest ciepły tak, że poczuje go przez ubranie, czy też suchy papier leży tam bez znaczenia, bez zrozumienia. Jaka ja jestem głupia, pomyślała Ragna, i tak jest już za późno, po tym już nigdy nie wstanę.

Najdroższa mamusiu! Moja powierniczko!

Twój list leżał na łóżku, gdy wróciłem dziś z siłowni. Nigdy nie trenowałem tak ciężko jak dziś, przekroczyłem próg bólu i odkryłem, że ból jest nieprzyjemny, ale nie niebezpieczny. Wszystko, co przepływa przez moje ciało, sprawia, że jestem rozgrzany i zadowolony, stałem się silny, znoszę coraz więcej i cieszę się szacunkiem. Wszyscy tutaj nazywają mnie Sef. Pytają, dlaczego chciałem przyjechać do Berlina, a ja odpowiadam, że zawsze uważałem to miasto za ważne, istotne, mimo historii cierpienia. Dlatego czuję się tu jak w domu, tak właśnie jest. Potem zobaczyłem list, otwarty jak zwykle.

Wyciągnąłem wszystkie kartki i usiadłem przy oknie, opierając głowę o szybę, z takim samym oczekiwaniem, jakie miałem jako dziecko, kiedy z babcią szykowałyście torbę z łakociami, którą dostawałem w sobotni wieczór. Pamiętasz tę torbę? Zawartość za każdym razem była inna. Co tydzień wymyślałaś coś nowego i chociaż czasami były tam rzeczy, których nie lubiłem, jak lukrecja o smaku salsmiaku czy turecki pieprz, i tak zjadałem wszystko, bo do następnego razu był aż tydzień. Nadal siedzę przy oknie. Czasami wyglądam przez nie, jakby miało wprowadzić światło do pokoju. Płacę teraz, kiedy do Ciebie piszę, tak jak Ty pewnie płakałaś, kiedy pisałaś do mnie. Płacę z żalu i przerażenia, ale także z ulgi. Twój list zawiera rzeczy, które mi się nie podobają i które mnie denerwują, ale i tak trawię go po trochu, tak jak wtedy, gdy piję wrzącą herbatę łyk za łykiem i parzę sobie usta, a opróżnienie kubka zajmuje wieczność. Nie chcę burzyć chwiejnego gmachu, który razem zbudowaliśmy. Myślę, że to, co budujemy, to most o mocnych fundamentach. Napisałem Ci, że prawda zabija, a Ty napisałaś, że świeci. Teraz świeci dla mnie. To jest to, czego chciałem przez całe życie, dowodu, że widzisz siebie, swoją poważną chorobę. Że zdajesz sobie sprawę, że już jako nastolatka byłaś chora, dlatego musiałaś zostać w domu swojego dzieciństwa, żeby babcia mogła sprawować nad Tobą opiekę. Że jesteś gotowa przyjąć pomoc, że chętnie bierzesz leki, które przepisał Ci lekarz, że przyjmujesz je, nawet jeśli wywołują skutki uboczne, tak jak babcia i ja, którzy mieszkaliśmy z Tobą, odczuwaliśmy poważne skutki uboczne samej choroby. Chciałem, byś zaakceptowała swoją diagnozę i wybrała leczenie, jeśli sędziowie zdecydują się Ci je zaoferować. Że zostaniesz w szpitalu tak długo, jak będą tego wymagać, że spróbujesz stworzyć sobie życie z innymi w tej samej sytuacji. Jeśli

tak jest, mam, to obiecuję Ci, że jak tylko Twoja sprawa się zakończy i zamieszkaż w miejscu, w którym będziesz odbywać karę, złożę wniosek o przepustkę, abym mógł Cię odwiedzić. Może zostanie mi przyznana, z powodu choroby w rodzinie, prawdopodobnie otrzymam pomoc w napisaniu wniosku. Być może uda mi się poprosić księdza o napisanie rekomendacji; taka jest natura ludzi kościoła, że ich słowo się liczy. Oczywiście mam o Tobie wiele dobrych wspomnień, Mamo. Za każdym razem, gdy w upalne lato zanosilaś mnie do brodzika i traciłem oddech, bo woda była taka zimna, z węża w piwnicy. Potem musiałem położyć się na wielkim ręczniku kąpielowym, a Ty mnie w niego zawijałaś, nawet głowa mi nie wystawała. I mówiłaś, że jestem cennym prezentem i że teraz idziemy do babci wręczyć prezent. Przeniosłaś mnie na rękach kilka kroków przez trawnik, musiałem wyglądać jak mała mumia. A babcia powoli odwinęła mnie z ręcznika i klasnęła w dłonie z podekscytowania, ponieważ byłem najlepszym prezentem, jaki kiedykolwiek otrzymała. Mam wiele takich wspomnień i teraz je przywołuję.

Jeśli chodzi o mnie, jestem pospolitym złodziejem i jest mi głęboko i szczerze wstyd. Odsiaduję wyrok z innymi pospolitymi złodziejami. Jest coś nikczemnego w tym przestępstwie, czyż nie jest ono najprostsze ze wszystkich? Wszystkie inne dotyczą emocji, takich jak strach, nienawiść czy zazdrość, są oświetlone z tak wielu stron. Oskarżony stojący przed sędziami jest narysowany tak wyraźnie. Złodziej jest po prostu złodziejem. Nie mogę tłumaczyć swojego czynu dezorientacją, chorobą czy potrzebą. Byłem po prostu chciwy i muszę z tym żyć. Znalazłem okazję i skorzystałem z niej. Praca w Dormero i przestawianie liczb stało się ekscytującą grą, od której szybko się uzależniłem. Przez cały ten czas byłem wyjątkowo wesoły

i przyjazny dla moich kolegów, bardziej rozmowny niż zwykle, otwarty, ciepły i hojny. Nie zdawali sobie sprawy, że śmieję się z nich w głębi serca. Ale potem nastrój się zmienił. Na początku było to ledwo zauważalne, ale zobaczyłem, że uciekają wzrokiem, kiedy wchodzę do recepcji, był między nami chłód, którego nigdy wcześniej nie czułem. Resztę już opowiedziałem.

Teraz będę dla ciebie hojny, mamó, tak jak Ty byłaś hojna dla mnie. Dzieci, jak mówisz, kochają. Mogę być zgorzkniała, ale nie jestem stary. Otworzyłaś mi teraz drzwi, a ja otworzę moje dla Ciebie, teraz jest nas dwoje przeciwko światu, musimy trzymać się razem. Pisz do mnie dalej! Opowiadaj mi o dniach i tygodniach, a także o sprawie, kiedy się już zacznie. Będę tu na Ciebie czekał, nigdzie się nie wybieram w najbliższym czasie, ale chcę, żebyś wiedziała, że nie cierpię z tego powodu. Nie chcę też, żebyś Ty cierpiała. Ci, którzy stracili swojego Benneta, będą rozpaczać do końca życia, ale w sądzie również usłyszą Twoją długą historię. Być może zrozumieją Twój strach i poczucie prześladowania, a także twoje gorączkowe dążenie do wyjścia z groźnej sytuacji, nawet jeśli wojna toczyła się tylko w Twojej głowie. To ludzie wiary, ci Jehowi, być może wybaczą i zrozumieją, tak jak ja wybaczam i rozumiem. Być może wyobrażają sobie Benneta tam, w Tysiącletnim Królestwie, wraz z zastępami odzianych na biało aniołów, jeśli tak to tam wygląda. Może pogrążeni w żałobie siadają razem i czytają o przebaczeniu, jest o tym wiele w Biblii, może modlą się za Ciebie. Czas też leczy rany, osiada nad wszystkim jak pojednawcza mgła, dzięki czemu któregoś dnia możesz obudzić się rano i spojrzeć ludziom w oczy. Rozwijaj się po trochu, posuwaj się naprzód powoli i zobacz, czy to się uda. Pomyśl o owadach, które chodzą po wodzie, Mutti. Powierzchnia nie jest wi-

doczna dla ludzkiego oka, a komar nie waży dużo. Ale ponieważ porusza się ostrożnie, utrzymuje się w powietrzu. Dużo o tym wiesz, Szeptaczko. Nie bądź dla siebie taka surowa. Poddaj się tym, którzy chcą dla Ciebie dobrze. Poddaj się mnie i temu, co zaczęliśmy.

Twój kochający syn

Rikard Josef

*

Czytała list tak długo, aż знаła każde słowo na pamięć. Pomyśleć, że dał jej taki prezent, takie pocieszenie, takie zrozumienie i tyle obietnic. Przez długi czas siedziała na brzegu łóżka z listem na kolanach, nie mogąc zmusić się do schowania go do szuflady. Włożyła go w końcu pod ubranie, poczuła suchy papier na skórze. Co jakiś czas kładła na nim dłoń, by się upewnić, że to nie sen, że to nie chory umysł płata jej figle. List był prawdziwy. Słowa pochodziły z serca jej syna, przebyły całą drogę z Berlina do jej celi. List będzie trwał wiecznie, będzie istniał po jej śmierci, być może pewnego dnia wnuk go przeczyta i zobaczy wielkość swojego ojca.

Płakała bezgłośnie. W płynących łzach był zarówno smutek, jak i radość. Jak bardzo musiał być samotny jako dziecko, jak bardzo zagubiony. Złożyła ręce, ale się nie modliła. Wędrowała radośnie po podłodze celi, do okna i z powrotem, nie mogła usiedzieć w miejscu. Kiedy kilka godzin później odwiedził ją niespodziewanie Sejer i stanął przed nią, wyprostowany jak słup, ze swoimi prawie dwoma metrami i krótkimi, srebrzystymi włosami, była zawstydzona jak dziewczynka.

– Czytał go pan? – wyszeptała bez tchu. – List od Rikarda?

Położyła rękę na piersi, gdzie leżała koperta.

- Przeczytałem - zapewnił.

Zdała sobie sprawę, że on też jest nieco zakłopotany. Do Ragny dotarło, że wyszedł z biura i nie jest już w roli przesłuchującego. Nie zamierzał już jej testować, naciskać, przesłuchiwać. Nie żeby kiedykolwiek na nią naciskał, nigdy tak naprawdę jej nie przesłuchiwał. Teraz był raczej gościem na jej terytorium i zachowywał się jak na gościa przystało.

- Nie wiem, gdzie skończę - dodała. - Ale nigdy pana nie zapomnę.

- Taką mam nadzieję.

- Biorę lek trzy razy dziennie. W mojej głowie zrobiło się tak ciasno, ale to, co dzieje się teraz, jest rzeczywistością.

- Rzeczywistość nie jest najgorszą rzeczą, jaka może przytrafić się człowiekowi - zauważył Sejer. - Istnieją pewne prawa, które mają zastosowanie i można je udokumentować.

Nie miał wiele więcej do powiedzenia. Chciał jej tylko współczuć i przekazać, że rozumie, co się dzieje, że rozumie, co oznacza akceptacja syna. Ukłonił się i chciał wyjść, ale i tak zatrzymał się przed drzwiami.

- Ja też pani nie zapomnę - powiedział. - Moja praca nabiera znaczenia, gdy spotykam ludzi takich jak pani. Ludzi, którzy mają coś do zaoferowania.

Była tak przytłoczona, że zarumieniła się, jak miała w zwyczaju. Nie rozumiała, co niby od niej otrzymał, ona nic mu nie dała, tylko jakieś zagmatwane myśli. Ale był z nich zadowolony, żebyś wiedziała, Ragno Riegel.

Ciężkie metalowe drzwi nie zatrzasnęły się za nim tak mocno jak zwykle, zamknął je delikatnie. Usłyszała tylko niezbyt głośny stuk,

w ten sposób chciał okazać jej szacunek. A potem usłyszała kroki oddalające się korytarzem, szedł powoli. Miał swój własny, niezachwiany rytm, którego nie dało się zakłócić. Granit, pomyślała Ragna. Niedługo potem drzwi trzasnęły ponownie, raz po raz, w krótkim odstępie czasu. Pomyślała, że to strzały, ale zaraz spostrzegła, że to wózki z jedzeniem jadą korytarzem, drzwi zatrzaskiwały się, gdy wnoszono kolację. Usłyszała kolejny trzask. Adde wszedł do niej i postawił tacę na jej biurku. Spojrzała mu życzliwie w oczy, uśmiechnęła się zarówno do jego ślepego, jak i zdrowego oka. Na tacy leżała mała karteczka z numerem, siedem zero sześć, to był numer jej celi. Dostała dzbanek lodowatej wody, miskę świeżej sałatki i talerz czegoś, co wyglądało jak tortille.

Pomyślała, że właściwie polubiła funkcjonariusza ze szklanym okiem. Dzisiaj miała w sobie wiele dobra, nie miała mieć z nim już wiele wspólnego, wybierała się wkrótce do centrum zdrowia psychicznego, gdzie będzie spacerować po pięknym ogrodzie, pod ciężkimi koronami drzew. Może był tam staw z liliami wodnymi, a nad stawem mały mostek, po którym przejdzie się z synem. Adde wyszedł. Zatopiła zęby w tortilli i długo przeżuwała. Była zaskakująco dobra, o wiele lepsza niż to, co tu zwykle dostawała, i tak ostra, że łzy stanęły jej w oczach, w głowie zrobiło się gorąco, z nosa zaczęło cieknąć, zaczęła się śmiać, jakby była na lekkim haju. Jezu, nigdy czegoś takiego nie czuła! Napila się wody, zimnej i świeżej. Druga tortilla była rozczarowaniem, sucha i ciągnąca się, bez smaku, nie tak jak pierwsza. Ugryzła ponownie i poczuła coś dziwnego w ustach, coś przypominającego skórkę kiełbasy, którą kucharz zapomniiał usunąć. Wyjęła dziwną rzecz z ust i otworzyła opakowanie, by wyjąć resztę. W środku znajdowała się złożona kartka. Była prze-

siąknięta wilgocią, ale jakby znajoma. Ktoś wysłał jej wiadomość. Tutaj, za ścianami, w tej małej celi.

Wstyd zalał ją z taką gwałtownością, że straciła oddech. Przyprawa paliła i wstyd palił, a jej serce biło zbyt szybko. Jakże była naiwna, jak niewiarygodnie głupia, myśląc, że wszystko wreszcie się skończyło, że mężczyzna, który ścigał ją przez całą jesień, opamiętał się. Nie była tak naiwna od czasu nocy z Waltherem. Przypomniała sobie, że prześladowca przecież w ogóle nie istnieje, przez dłuższą chwilę siedziała z dłońmi na twarzy, zmagając się ze sprzecznymi myślami. Trzymała przed oczami wilgotny, złożony papier. Nie rozumiała, czego teraz od niej chciał, jaką groźbę napisał w swój złośliwy sposób, ale przez cienki papier dostrzegła duże litery.

Chodziła po celi, trzymając wiadomość w dłoni, teraz mogła raz na zawsze pokazać im, kto mówi prawdę. Ale znowu dopadła ją niepewność. Chciała ją przeczytać, a jednocześnie nie. Jeśli przeczyta tę wiadomość, ponownie go do siebie dopuści, tak jak dopuszczała go przez całą jesień. Raz po raz czytała wiadomości, raz po raz pozwalała się niszczyć, pozwalała mu pozbawiać się snu i rozsądku. Nie, zamierzała zamknąć te drzwi raz na zawsze. Zgniotła kartkę w grubą i wilgotną kulkę. Chciała ją wyrzucić, ale nie wiedziała gdzie, nie mogła jej spuścić w toalecie, miała tu tylko przenośną ubikację z pokrywką, zawsze mogła ulec pokusie, by wyjąć kartkę i ją przeczytać, tak jak kiedyś wyjęła worek ze śmieciami z pojemnika przed domem. Nikt nie mógł znaleźć wiadomości, wybrała już drogę. Została chorobę za sobą, była w środku, ściśnięta jak w prasie. Ostrożnie otworzyła kulkę papieru, podarła ją na małe kawałki, włożyła jeden po drugim do ust, przeżuła, przełknęła i popiła wodą, przełknęła i popiła wodą. Przełknę to, pomyślała, chorobę i wszystko inne.

Udaję, że to się nie dzieje, to się nie dzieje! W końcu przełykanie stało się trudne. Kawałki papieru pozostały w jej żołądku w postaci gęstej, papkowatej grudki, która zaczęła rosnąć. Wypiła więcej wody. Trudno jej się oddychało, ale wkrótce grudka zostanie rozpuszczona przez kwas żołądkowy i zniknie na dobre. Kwas wymaże każde słowo.

Przez długi czas siedziała przygarbiona przy biurku. Po chwili usłyszała trzask drzwi, przyszli odebrać tace. A może w innej sprawie i kto tak naprawdę przyszedł? Szybko wstała i sięgnęła po widelec, chowając go za plecami, wpatrując się w drzwi, które wkrótce miały się otworzyć.

Wszedł Adde.

– Wow! – wykrzyknął. – Wypiłaś litr wody. Kilka osób narzekało – zaśmiał się – niektórzy zostawili jedzenie, najwyraźniej było zbyt ostre.

Ragna wpatrywała się w niego. Stał szeroko na nogach, podobnie jak ona. Podszedł do biurka i podniósł tacę, nie zauważając, że czegoś brakuje.

– Nowy człowiek w kuchni – wyjaśnił. – Tak właśnie się dzieje, gdy taksówkarz z Turcji dostaje pracę jako więzienny kucharz.

– Taksówkarz? – wyszeptała z przerażeniem. – Z Turcji?

Znowu było coś w jego oczach, obie gałki wydawały się teraz martwe, pomyślała, obie były szklane. Nigdy jej nie widział i nigdy jej nie słyszał, nikt nie widział, nikt nie słyszał. Miała tylko siebie. I widelec.

– Oczy ci łzawią – zauważył Adde.

Ragna znów poczuła papierową kulkę, wciąż rosła. Stawała się coraz cięższa i cięższa, wypełniała cały jej brzuch, naciskała na płuca

i chciała wejść do gardła, chciała wyjść z ust, by cały świat mógł ją zobaczyć. Jej palce dotknęły zębów widelca, były ostre.

Adde odwrócił się do niej plecami i odszedł kawałek. Usłyszał jakieś dźwięki, nie do końca rozumiał, może chciała coś wykrztusić, może płakała, a może się śmiała. Odwrócił się, ale nie mógł określić, co się dzieje, co oznaczał ten dziwny wyraz twarzy. Słyszał co nieco o Ragnie Riegel, ale nigdy jej takiej nie widział.

– Wszystko w porządku? – zapytał, przyglądając się jej uważnie. Ragna zrobiła kilka kroków do przodu.

– Tak, Adde – szepnęła. – Wszystko jest w porządku.